PODRÓŻE
GEN. GRĄBCZEWSKIEGO
T. I

KASZGARJA

PODRÓŻ DO AZJI ŚRODKOWEJ

PODRÓŻE
GEN. GRĄBCZEWSKIEGO
T. I

KASZGARJA

PODRÓŻ DO AZJI ŚRODKOWEJ

KASZGARJA

GEN. BRONISŁAW GRĄBCZEWSKI

(w r. 1885)

GEN. BRONISŁAW GRĄBCZEWSKI

KASZGARJA

KRAJ I LUDZIE

PODRÓŻ DO AZJI ŚRODKOWEJ

Z PORTRETEM AUTORA, 65 ILUSTRACJAMI I MAPĄ

PODRÓŻE GEN. BR. GRĄBCZEWSKIEGO

TOM PIERWSZY

NAKŁAD GEBETHNER'A I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

908

30061/2

Składy główne:
„The Polish Book Importing Co., Inc." — New-York.
„Księgarnia Polska na Śląsku" Sp. Akc. — Katowice.

Zakłady Drukarskie F. Wyszyńskiego i S-ki, Warszawa, Zgoda 5.

OD WYDAWCÓW.

Generał Bronisław Grąbczewski, którego książkę oddajemy obecnie do rąk publiczności polskiej, dotychczas w Polsce był prawie nieznany. Wprawdzie opis jednej z jego podróży drukowało w swych „Rocznikach“ Towarzystwo Przyjaciół Nauk Poznańskie[1]), w dziele zaś zbiorowem, opracowanem pod redakcją Feliksa Konecznego p. n. „Polska w kulturze powszechnej“, umieszczono o Grąbczewskim nieco wiadomości, dotyczących jego wypraw i badań (tom II str. 177); lecz szerszy ogół polski nie wiedział nic o tym nieustraszonym i niezmordowanym podróżniku i jednym z najlepszych badaczy i znawców Azji Środkowej. Losy bowiem zrządziły, że większą część życia spędził on poza krajem ojczystym, prace zaś swe ogłaszał przeważnie w obcych czasopismach specjalnych. Teraz przeto, gdy generał Grąbczewski przebywa na stałe wśród nas, w Polsce, gdy wypuszczamy w świat pierwszą jego książkę, napisaną w języku ojczystym dla rodaków, uważamy za obowiązek zapoznać czytelnika z wielce sympatyczną postacią znakomitego podróżnika.

---

[1]) Roczniki Tow. Przyj. Nauk Poznańskiego. Tom XVIII z. I 1891 r. str. 201—223 (List z podróży Kapitana Grąbczewskiego w Środkowej Azji do pana Wł. S.(pasowicza) w Petersburgu).

Bronisław Grąbczewski urodził się w r. 1855, w ziemi Kowieńskiej, w majątku rodzinnym, Kownatowie. Ojciec jego, Ludwik, brał czynny udział w powstaniu 1863 r., po upadku którego został zesłany przez rząd rosyjski na Syberję, majątek zaś Grąbczewskich uległ przymusowej sprzedaży, co równało się właściwie konfiskacie.

Młodzieniec kształcił się w Warszawie, gdzie skończył gimnazjum IV-te, poczem odbył służbę wojskową w konsystującym wtedy w naszej stolicy pułku ułańskim lejbgwardji cesarskiej. Następnie pojechał do Petersburga, w r. 1873 zdał egzamin oficerski w Konstantynowskiej Szkole Wojskowej i niezwłocznie został przydzielony, już jako oficer, do tego samego pułku ułańskiego w Warszawie, w którym poprzednio służył, jako żołnierz. Niedługo jednak pozostał na tem stanowisku. Ulegając wrodzonemu popędowi do podróży, zamierzał wyjechać na Daleki Wschód, ale wyprawa wojenna do Kokandu w r. 1875, w której wziął udział, skierowała go do Azji Środkowej.

Od tego czasu poczynają się długie lata jego wędrówek po mało znanych i nieznanych krajach olbrzymiego kontynentu azjatyckiego. Początkowo życie upływało mu wśród wypraw wojennych, przedsiębranych przez rząd rosyjski; tak więc dzielił on trudy wyprawy Ałajskiej w r. 1876 i Samarkandzkiej r. 1878. Wojny te dały możność młodemu oficerowi poznania dokładnie całej doliny Fergany, zarówno jak sąsiednich krajów górskich. Po przyłączeniu Fergany do Rosji, Grąbczewski opuścił armję czynną i przeniósł się na służbę do miejscowej administracji wojskowej. Nowe to stanowisko wymagało częstych podróży po całym kraju, nieraz mozolnych i długich, zniewalało do ciągłych stosunków z ludnością tubylczą i z licznemi żywiołami napływowemi, do wnikania wszechstronnego w życie miejscowe, w zwyczaje i obyczaje. Traktując nader sumiennie i poważnie swe obowiązki, jako członka

zarządu krajem, Grąbczewski niezwłocznie i z zapałem oddał się studjom nad językami, najbardziej rozpowszechnionemi w Azji Środkowej, t. j. nad sartowskim i tadżykskim, które też opanował tak doskonale, że władał niemi jak tubylec. Te zdolności poliglotyczne, zarówno jak wrodzona dobroć i wyrozumiałość, oraz rzetelna życzliwość względem ludności, której dobro uważał za swój cel, zjednywały Grąbczewskiemu szeroką popularność przyjaźń wśród różnoplemiennych mieszkańców obszarów środkowo-azjatyckich.

W r. 1885, jako urzędnik do szczególnych poruczeń przy gubernatorze Fergany, otrzymuje on misję sprawdzenia, łącznie z delegatami rządu chińskiego, linji granicznej między Ferganą a Kaszgarją (granicy rosyjsko-chińskiej), leżącej na wielkich wysokościach pasma górskiego Tianszan. Pomyślnie spełniwszy włożone nań zadanie, Grąbczewski skorzystał ze sposobności i z Kaszgaru przedsięwziął ryzykowną i trudną wyprawę do południowej Kaszgarji. Dotarł on do Chotanu i cel podróży osiągnął: związał swe prace topograficzne z pracami Przewalskiego i Kuropatkina. Świetne sprawozdanie z tej podróży, przesłane Towarzystwu Geograficznemu w Petersburgu i nagrodzone przez nie medalem srebrnym, zapewniło odrazu Grąbczewskiemu rozgłos w świecie naukowym i imię jednego z niewielu poważnych i doświadczonych badaczów Azji Środkowej. Istotnie, zdobywając coraz głębszą i rozleglejsza wiedzę, podróżnik nasz z roku na rok prowadzi badania z coraz większą energią i odwagą, często ryzykując wyprawy, dla sił ludzkich, zda się, niemożliwe.

W r. 1886 w głębi gór Tian-szan bada on górny bieg rzeki Syr-Darji, Narynu i Susamyru, oraz pasma gór Fergańskich i Aleksandryjskich; w dwa lata zaś potem przedsiębierze nader trudną i niebezpieczną wyprawę do źródeł rzeki Indus, do górskiego, napół dzikiego chanatu Kandżu-

tu, położonego na południowych zboczach Himalajów. Aby osiągnąć cel podróży, dojść do stolicy Kandżutu, miasta Baltit, Grąbczewski musiał przeciąć Pamiry z północy na południe, przedostać się przez kilka pasm górskich, walcząc z nadzwyczajnemi trudnościami i przeszkodami. Trzeba było stawiać czoło napadom półdzikich górali lub granicznych oddziałów chińskich i afgańskich, wytrzymywać wpływ surowego klimatu i wielkich wysokości, przebywać piechotą lodowce i stoki górskie, przeprawiać się przez potoki w bród albo po wiązanych mostach wiszących.

Wyprawa udała się doskonale, lecz jedynie dzięki olbrzymiej energii, doświadczeniu i przytomności umysłu samego podróżnika: Grąbczewski zbadał Pamiry, część pasma górskiego Hindukusz, niektóre źródła rzeki Indusu, Kandżut, część Himalajów, bieg Raskem-Darji i pasmo Kaszgarskie.

Wyniki tej wyprawy były bardzo obfite i niezwykle wzbogaciły wiedzę. Grąbczewski bowiem przeszedł 3 000 kilometrów po krajach, bądź mało przedtem znanych, bądź jeszcze zupełnie niezbadanych, dokonał nowych zdjęć topograficznych 1475 kilometrów drogi, określił 14 punktów astronomicznych, 158 wysokości barometrycznych, odkrył złoża nefrytu, zbadał szczyt Czarkem i zgromadził olbrzymie i różnorodne zbiory: etnograficzne, zoologiczne, botaniczne, geologiczne i fotograficzne. Za tę wyprawę otrzymał on od Towarzystwa Geograficznego w Petersburgu medal złoty.

Temi zdobyczami nie zadowolił się jednak niewyczerpanej energji podróżnik, gdyż w następnym zaraz roku 1889 wyrusza na nową wielką — największą ze swoich — wyprawę naukową.

1 czerwca wyjeżdża z Margelanu i 7 lipca dostaje się do stolicy Darwazu, Kała-i-Chumb. Stąd miał zamiar udać się dalej na południe aż do Kafiristanu, lecz, stanąwszy na granicy Szugnanu, trafił na nieprzewidzianą przeszkodę.

Wówczas bowiem w całej pełni rozgorzała wojna między władcą Szugnanu, Said-Akbar-Ali-Szachem, a emirem Afganistanu, Abdurrahman-Chanem. Nieustraszony podróżnik chciał przejść przez terytorja, objęte pożogą wojenną, i zwrócił się o pozwolenie do obu stron walczących. Szach Szugnanu, dzielnie broniący ojczyzny od najazdu wroga, chętnie przystał na przepuszczenie wyprawy przez część swych ziem, niezajętych jeszcze przez Afgańczyków, ale uprzedził Grąbczewskiego, że „rozbójnicy z Kabulu żelazną obręczą otoczyli ziemię jego ojców, i chyba ptak tylko przeleci przez ich forpoczty, nie zapytawszy o pozwolenie"[1]). Wobec tego zaszła konieczność wysłania listu do emira Afganistanu z prośbą o pozwolenie przebycia części drogi przez jego terytorja. W oczekiwaniu na odpowiedź podróżnik po raz drugi przebył góry Darwazu, Karategin i przez dolinę Ku-Dara i Murg-ab doszedł do jeziora Jaszyl-Kul, gdzie rozłożył się obozem. Dopiero 1 października nadeszła odpowiedź odmowna od emira. Wówczas Grąbczewski skierował wyprawę na południowy wschód, ku basenowi Raskem-Darji, którego badania prowadził w ciągu dwóch miesięcy; w okolicach Iły-su odkrył źródła gorące o temperaturze 47°C. Stąd podróżnik poszedł na wschód, ku dolinie Kara-Kasz, aby przedostać się na płaskowzgórze Tybetańskie. Wyprawa przebyła przełęcz, wysokości 5 700 m. n. p. m., na dziale wodnym, między rzeką Kara-Kasz a Jurung-Kasz. Warunki podróży stawały się nie do zniesienia: temperatura sięgała — 35° C, konie padały martwe jeden po drugim. Brak zupełny wody zwiększał jeszcze bardziej cierpienia podróżników. „Przechodziliśmy mimo wielkich jezior — mówi Grąbczewski — których lodowa powierzchnia błyszczała, jak szkło, ale wody dobyć nie mogliśmy z powodu nadzwyczajnej grubości lodu, i konie nasze zostawały nienapojone '.

[1]) Roczniki Tow. Przyj. Nauk. Poznańskiego. Tom XVIII. z. I str. 210.

Trzeba było myśleć stanowczo o powrocie. 4 stycznia wyprawa znowu ujrzała Kara-Kasz i wróciła przez Szachidułłę do Kiljanu, całkowicie zdezorganizowana przez stratę koni i znacznej części pakunków, które musiano porzucić. Ale Grąbczewski nie upadł na duchu. Skoro tylko wyprawę postawił na nogi, znowu wyruszył w drogę w lutym t. r., by się przedostać na płaskowzgórze Tybetańskie. W Chotanie natrafił na ślad ekspedycji tybetańskiej Piewcowa (w której uczestniczył Karol Bohdanowicz, znakomity geolog, obecnie profesor Akademji Górniczej w Krakowie), co wpłynęło na kierunek jego dalszej podróży; 7 marca przybył do Niji. Zbadawszy następnie piaski złotodajne w Sourgaku, ruszył dalej do Polu. Wreszcie 10 maja wszedł na płaskowzgórze. Lecz mrozy i śniegi na wysokości przeszło 5000 m. n. p. m. były tak wielkie, że dalszy pochód uczyniły niemożliwym. — Grąbczewski przeto powraca do Chotanu. W ciągu lipca i sierpnia odbywa badania dorzecza rzeki Tisnafu i Jarkiendu. Wreszcie przez Jarkiend i Kaszgar wyprawa po 18 miesiącach powraca do Osza w Ferganie. Z 7200 klm., przebytych przez tę wyprawę i zbadanych topograficznie, 5000 klm. odbyto przez kraje, przedtem niezbadane. Wyprawa określiła 73 punkty astronomiczne i 351 wysokości barometrycznych, przytem Grąbczewski przywiózł niezwykle bogate i cenne zbiory geologiczne i botaniczne.

Gdy Rosja ostatecznie zajęła Pamiry, podróżnik nasz kraje te miał pod swem zwierzchnictwem, jako naczelnik powiatu w Oszu (Pamiry wcielono do powiatu Oszańskiego, jako jego część).

W r. 1896 Grąbczewski opuszcza Azję Środkową i przenosi się na Syberję, jako komisarz pograniczny nadamurski; na tem stanowisku pozostaje przez 4 lata, rozwijając działalność energiczną na olbrzymiej granicy, powierzonej jego zarządowi i opiece, a wynoszącej 3200 kilometrów. Wreszcie

w r. 1899 otrzymuje nominację na wysoki i nader odpowiedzialny urząd generalnego komisarza Kwantungu z rezydencją w Porcie Artura. I jako komisarz pograniczny nad Amurem, i w charakterze generalnego komisarza w Kwantungu, Grąbczewski z urzędu musi odbywać nieustanne niemal podróże, w czasie których dokładnie poznaje Daleki Wschód. Korzysta on przytem z każdego urlopu, aby pojechać do Japonji; w ten sposób w ciągu szeregu lat zwiedził on ją całą i zbadał sumiennie.

W ciągu kilkudziesięciu lat pobytu w Azji i wielostronnej działalności swej na obszarze rozległych jej krajów, Grąbczewski nie zatracił polskości. Polak i katolik, wśród mas różnoplemiennych i różnojęzycznych, wśród nieustannej zmiany warunków bytu, w środowiskach kultur obcych a tak odmiennych od własnej, nieraz w otoczeniu, goniącem tylko za karjerą i mającem interes swój za główny cel życia, pozostał on zawsze Polakiem — i przez tradycję narodową i rodową, i przez rasową ciekawość świata i żądzę wiedzy, i przez wrodzoną życzliwość dla człowieka, pod jaką bądź szerokością geograficzną go spotykał, i przez poczucie prawa i sprawiedliwości, i przez tę lojalność, która nakazywała mu z zaparciem się interesów własnych, ale nigdy wbrew uczciwości i przekonaniom, spełniać obowiązek i działać dla dobra państwa, które mu powierzało coraz odpowiedzialniejsze stanowiska. Zdobywszy wiele doświadczenia politycznego, przebywając na obszarach, gdzie krzyżują się intrygi i interesy wielkich mocarstw Azji i Europy, Grąbczewski nieraz dawał wskazania i rady rządowi rosyjskiemu, dyktowane zarówno świadomością jego zadań państwowych, jak i szczerą sympatją dla ludów Wschodu.

W r. 1903 kończy się tułactwo azjatyckie Grąbczewskiego: rząd centralny powołuje go na stanowisko gubernatora do Astrachania i hetmana kozackich wojsk astrachań-

skich. W ciągu czterech lat 1903—1906 nowy wielkorządca tyle dobrego zrobił dla podwładnego sobie kraju i zyskał taką popularność i uznanie wszystkich warstw ludności, że i miasto Astrachań, i poszczególne stanice kozackie wyrażały mu uroczyście hołd i wdzięczność. Długoletnie podróże i związane z niemi badania i prace zyskały gen. Grąbczewskiemu imię rozgłośne w całym świecie naukowym, a liczne instytucje i towarzystwa mianowały go swym członkiem[1]).

Wreszcie nadszedł czas okazania wdzięczności zasłużonemu człowiekowi i ze strony rządu rosyjskiego. Nastąpiło to w r. 1906, gdy Grąbczewski, jako gubernator Astrachania i hetman kozaków, zaprotestował przeciwko Stołypinowskiemu projektowi ograniczenia konstytucji rosyjskiej i praw obywateli: wówczas otrzymał telegraficzne „pozwolenie“ niezwłocznego wyjazdu zagranicę! Wyjechawszy na Zachód, generał Grąbczewski przebywał tam w ciągu czterech lat, do r. 1910, poczem mógł wrócić do kraju i zamieszkał w Warszawie.

Rzeczpospolita nie zużytkowała wiedzy i doswiadczenia Grąbczewskiego w żadnym kierunku. Otrzymał on wprawdzie skromną posadę w Państwowym Instytucie Meteorologicznym, ale w r. b., przy zastosowaniu oszczędności w wydatkach skarbowych, Grąbczewskiego „zredukowano“.

Fakt powyższy, normalny może ze stanowiska biurokratycznego, dla piśmiennictwa polskiego niewątpliwie doniosłe będzie miał znaczenie. Rozporządzając wolnym cza-

---

[1]) Gen. B. Grąbczewski jest członkiem korespondentem Polskiego Tow. Geograficznego w Warszawie i Poznańskiego Tow. Przyj. Nauk, honorowym członkiem Tow. Geograficznego w Neuchâtelu, członkiem rzeczywistym Tow. Geogr. w Petersburgu, Tow. Geograficznego w Wiedniu i Tow. Antropologji i Etnografji w Moskwie.

sem, wielki podróżnik nasz całkowicie będzie mógł go poświęcić działalności autorskiej, zbogacając piśmiennictwo ojczyste pracami, które każdej literaturze europejskiej przyniosłyby zaszczyt.

I.

WYJAZD Z MARGELANU. KULTURA FERGANY.
ARAWAN: WĘŻE ŚWIĘTE I GROTA STALAKTYTOWA. OSZ. TRON SALOMONA.
UZDROWISKO DLA KOBIET BEZDZIETNYCH.

Pierwszą podróż do Kaszgarji, prowincji Chin zachodnich, odbyłem w 1885 roku w następujących okolicznościach:

Byłem wtedy urzędnikiem do szczególnych poruczeń przy gubernatorze Fergany, generale Iwanowie. W traktacie z roku 1883 między Rosją a Chinami zastrzeżono, że słupy graniczne między temi dwoma mocarstwami mają być co trzy lata lustrowane i poprawiane przez przedstawicieli obu państw. Czynność tę ze strony Rosji poruczono mnie. Z Margelanu, gdzie wtedy mieszkałem, miałem pojechać do Kaszgaru, siedziby centralnych władz chińskich i stąd, po otrzymaniu instrukcyj od konsula rosyjskiego w Kaszgarze, wyjechać wraz z przedstawicielem Chin ku granicy, która biegła grzbietem pasma gór Tian-Szan. Na tym odcinku granicy było 14 słupów granicznych, postawionych na 14 przełęczach Tian-Szania, przez które można było przedostać się z Chin do Rosji.

Dla charakterystyki ówczesnych stosunków służbowych w Rosji nadmienię, że na podróż do sąsiedniego państwa, gdzie miałem reprezentować Rosję i wraz z przedstawicielem Chin objechać około 700 kilometrów konno wzdłuż Tian-Szania, najwyższego pasma gór tej części wyżyny azjatyckiej, otrzymałem zaliczkę w sumie 200 rubli, z których po powrocie miałem zdać rachunek. Będąc wówczas porucznikiem, miałem prawo do diety po 30 kop. dziennie, oraz do „progonów“ na 1½ konia, licząc po 1½ kop. od konia

i kilometra. W jaki sposób można było podróżować na półtora konia po strasznych górach, a przytem w kraju, zamieszkałym przez koczowników, gdzie wszystko, a więc pościel, namioty, konserwy i t. d. trzeba było wieźć ze sobą, — był to sekret intendentury rosyjskiej. Lecz prawo było prawem.

Podjąłem się jednak wykonania tego polecenia. Ciągnęła mnie zagranicę nieprzeparta ciekawość poznania krajów, które były w owym czasie zupełnie nieznane.

Polecenie otrzymałem 7 sierpnia, a 10-go byłem już w drodze z Margelanu do Osza, mając ze sobą, jako konwój, 5 kozaków orenburskich i dwóch dżigitów krajowców do osobistej usługi. Bagaż wiozły dwa konie juczne.

Cała karawana składała się z 8 dobrze uzbrojonych ludzi, 8 wierzchowych i 2-ch jucznych koni [1]).

Z Margelanu do Osza (94 kil.) prowadził gościniec, dosyć dobrze utrzymany, przez bogatą dolinę Fergany. Śliczne wioski toną w ogrodach z rozłożystemi drzewami morelowemi; powszędy brzoskwinie, granaty, krzewy figowe, grube łozy winogronowe, wsparte na rusztowaniach z drzewa i podobne do cienistych altan, w których dnie i noce spędzają krajowcy z rodzinami, uciekając z ciemnych i dusznych sakel (chałup z gliny, z płaskiemi dachami). Pola zasiane są kukurydzą, olbrzymiej wysokości, lub dżugarą (sorgo), której łodygi są tak wysokie, że człowiek z koniem tonie w dżungarowem polu, jak w morzu.

Plantacje aromatycznych melonów stanowią jedną z podstaw bytu krajowców; olbrzymie kawony (arbuzy) o średnicy do 70 ctm. są tak słodkie i soczyste, że lśni w nich skrystalizowany cukier. Płoty obsadzone są tykwą z ogromnemi owocami, które po wydrążeniu służą za dzbany do noszenia wody i za czylimy (kaljany) do palenia fajki przez wodę. Pola uprawione z drobiazgową sta-

---

[1]) Tłumacza nie miałem. Tłumacza, znającego język chiński, w całym zarządzie krajowym nie było. Miejscowemi zaś narzeczami: sartowskiem (tiurkskiem) i tadżykskiem (perskiem) władałem doskonale. Nieznajomość języka chińskiego i brak wykwalifikowanych tłumaczy zmusiły obie strony do przyjęcia języka tiurkskiego za język dyplomatyczny. Noty do władz chińskich Rosjanie pisali po rosyjsku, dołączając tłumaczenia tekstu w języku tiurkskim. Chińczycy zaś pisali noty po chińsku, załączając tłumaczenie także w języku tiurkskim. W stosunkach osobistych Rosjanie prowadzili rozmowę przez tłumaczy, znających języki rosyjski i tiurkski, a Chińczycy mieli tłumaczy, znających języki chiński i tiurkski.

rannością, z zastosowaniem sztucznej irygacji, gdyż od marca do października niema deszczów zupełnie, i roślinność wegetuje dzięki polewaniu co 2 — 3 dni wodą, sprowadzaną kanałami z rzeczek górskich, oddalonych o 100 i więcej kilometrów. Każdy zagon obsadzony jest drzewkami morwowemi, na liściach których hodują jedwabniki; te zaś dają mnóstwo jedwabiu i atłasu, które ufarbowane na jaskrawe kolory, służą za pokrycie watowanych chałatów i koszul kobiecych. Tam, gdzie wody jest więcej, są całe pola ryżu

Drzewo Arcza, rodzaj tui (Juniperus sp.?), rosnące w górach Tian-Szan na wysokości 1500 — 3000 metrów nad poziomem morza (s. 13).

lub bawełny, która, chociaż nie potrzebuje tyle wody, co ryż, jednak zużywa jej znacznie więcej, niż inne zasiewy.

Wszystko to nęci oko, wzbudza podziw i, pomimo szalonego upału, uprzyjemnia drogę.

Zanocowaliśmy w wiosce Arawan, w gaju wspaniałych platanów i kajragaczy, któremi obsadzona jest mogiła jakiegoś świętego. Tuż przy mogile wznosi się skała, z pod której wytryska obfite źródło zimnej, jak lód, krystalicznej czystości wody, niezamarzającej w zimie i dającej schronienie jakiemuś gatunkowi brunatnych wężów, długości do 1½ metra i grubości ręki w kostce.

Węże te czasami wypełzają z wody i grzeją się na słońcu. Krajowcy pielgrzymi, przybywający latem do mogiły, nie tępią ich, gdyż nie są jadowite i rzekomo bronią mogiły świętego i pielgrzymów przed dżynami i innemi nieczystemi duchami, zamieszkującemi drzewa tego rozkosznego gaju.

Arawan — to wioska, wciśnięta w skaliste góry. Na jednem zboczu, wysoko pod niebem, znajduje się grota stalaktytowa, połączona z całą grupą innych grot wąskiemi przejściami, któremi można się przedostać, tylko pełzając na brzuchu. Im głębiej do środka gór, tem groty są wspanialsze, a ściany lśnią wspanialszą białością. Ową grotę skalistą odnalazł podobno święty, pochowany w gaju. Pełzając na brzuchu z jednej groty do drugiej, nie mogłem pozbyć się myśli, co będzie, jeśli tak częste w tych okolicach trzęsienie ziemi zamknie korytarz, którym pełzam. Pierwsza grota od wejścia nie robi żadnego wrażenia; ściany ma okopcone od ognia, który rozkładają pielgrzymi, odwiedzający grób i groty. Przy grobie meczet i kilku dobrze upasionych mułłów, żyjących z łatwowierności krajowców, na których strumień z wodą ciepłą w zimie i zimną w lecie, węże i cudowna grota ze stalaktytami i stalagmitami wywierają ogromne wrażenie.

Od Arawana do Osza jest 24 kilometry. Osz—to powiatowe miasteczko, położone nad brzegiem bystrej rzeczki górskiej, Ak-Bura (biały wielbłąd), leży na wysokości około 3.000 stóp[1]) nad powierzchnią morza i posiada bodaj najlepsze warunki klimatyczne w całej Ferganie. Upały nie są tak dojmujące, bo nocami, nad wyraz dusznemi w innych miejscowościach, wieje chłodny wietrzyk z gór. Zimą pada śnieg prawie zawsze, choć szybko topnieje; bywają jednak zimy, kiedy śnieg trzyma się 2—3 tygodni, tak, że można nawet użyć sanny, co w innych okolicach Fergany nigdy się nie zdarza. Świeża, czysta woda z Ak-Bury, skierowana sztucznemi kanałami na pola, daje możność obfitego polewania pól i zakładania ogrodów. Miasteczko tonie w zieleni drzew, szczególniej zaś dzielnica europejska, wysunięta powyżej sartowskiego miasta wzdłuż biegu rzeki. W Oszy dojrzewają już jabłka, a sprowadzone z Francji gruszki na trzeci rok dały owoce bajecznego smaku i wagi do 2 i pół funta; pod cienkie gałązki drzew trzeba było podstawiać podpory z workami z siatki, w których gruszki rosły i dojrzewały. Nadto uderza tu wielka ilość drzew morelowych. Wogóle more-

[1]) 972 metry.

lowych drzew w Ferganie jest tak dużo, że używają ich tu na opał. Osobliwość Osza — to wysoka na 200 metrów góra skalista ze ściętym wierzchołkiem. Góra ta nazywa się Tachty-i-Sulejman (Tron Salomona) i ściąga latem tysiące pielgrzymów, przeważnie kobiet.

Na jednem ze zboczy jest stroma skała, wypolerowana plecami wiernych kobiet. Wystarczy niepłodnej kobiecie ześlizgnąć się trzy razy na grzbiecie z tej skały (naturalnie przy odpowiednich modlitwach mułły), żeby była na zawsze wyleczona z bezpłodności, która, według pojęć miejscowych, jest karą boską i stanowi powód do rozwodu.

Corocznie przybywa tu wielka ilość młodych pątniczek w wymienionym celu.

II.

LANGAR. WSPOMNIENIA ZDARZEŃ Z R. 1876.
POSELSTWO DO BADAULETA. NAPAD WATAHY MUŁŁA-HUDAJ-BERDY.
POSEŁ KUROPATKIN RANNY. ODSIECZ. LOSY WŁADCY KASZGARJI,
JAKÓB-BEKA I JEGO POTOMKÓW.

Z Osza do fortu Gulcza (70 klm.) dostaliśmy się w ciągu jednego dnia, choć na trakcie tym są duże przełęcze, sięgające około 7.000 stóp [1]) nad poziom morza. Do miejscowości Langar możnaby się dostać nawet powozem, dalej jednak prowadziła tylko ścieżka górska. Langar utkwił mi dobrze w pamięci jeszcze w roku 1876 z powodu ciekawego epizodu polityczno-dyplomatycznego, w którym odegrałem pewną rolę. Dlatego pozwolę sobie na dygresję i epizod ów opowiem. Zachodnią częścią Kaszgarji władał w owe czasy Jakób-Bek, Sart—awanturnik, pochodzący z pod Taszkientu. Zorganizował on wśród krajowców Kaszgarji powstanie przeciw Chińczykom i opanował 7 okręgów. Część wojsk chińskich uciekła za pustynię Gobi, część poddała się Jakób-Bekowi i przyjęła muzułmanizm. Tę część Jakób-Bek wcielił do swych wojsk pod nazwą „Jangi muzulman“ (nowi muzułmanie). Przepędziwszy Chińczyków, Jakób-Bek przyjął tytuł Badauleta (szczęśliwy) i ogłosił się chanem Dżity-Szaaru (Siedmiogrodzia). Naród, wdzięczny za oswobodzenie od Chińczyków, nazwał go Atałyk-gazy (wojownik za wiarę).

Otóż wielkorządca Turkiestanu, generał-adjutant von Kaufman, po zajęciu chaństwa Kokandzkiego i wcieleniu tego przepięknego kraju do korony rosyjskiej, wysłał byłego chana Hudojara

---

[1]) 2166 metrów.

z synem i z rodziną w głąb Rosji środkowej (do Tuły) i chciał wejść w stosunki z najbliższym wschodnim sąsiadem, władcą Dżyty-Szaaru, Badauletem Jakób-Bekiem. Kaszgarja w owe czasy była zupełną terra incognita.

Zorganizowano tedy poselstwo do Badauleta. Posłem mianowano sztabs-kapitana Aleksieja Kuropatkina (późniejszego długoletniego ministra wojny i głównodowodzącego armją rosyjską w czasie wojny z Japonją). Zastępcą posła został brat jego, kapitan artylerji, Nił Kuropatkin, oficerem do zleceń przy pośle—ja, wówczas w szarży korneta.

Nadto przydzielono do nas oficera topografa, sztabs-kapitana Starcowa, i tłumacza, kapitana Sunargułowa, Tatara.

Przy poselstwie mieliśmy 50 dżigitów na pięknych koniach i dobrze wyekwipowanych, 15 kozaków wojska orenburskiego, oraz 60 jucznych i luźnych koni, które niosły bagaż poselstwa i podarunki wielkorządcy Turkiestanu, gen.-adjutanta von Kaufmana, dla Badauleta.

Wyszliśmy z Osza w południe. Pogoda była wspaniała, kraj zdawał się zupełnie spokojny. Atałyk-gazy wyraził zgodę na przyjęcie poselstwa i wydał zarządzenia, mające nam ułatwić podróż. Zdawało się, że poselstwo zagłębi się spacerem w nieznaną Kaszgarję. Tymczasem losy zrządziły inaczej.

Po noclegu na 18 kilometrze od Osza ruszyliśmy dalej w stronę Gulczy. Naprzód szedł oddział z 20 dżigitów pod wodzą dzielnego Hakim-Beka na wspaniałym argamaku turkmeńskim, o $^3/_4$ kilometra dalej jechaliśmy we czterech, z jednym tylko kozakiem ztyłu; Starcow z drugim ordynansem został gdzieś na boku, prowadząc roboty topograficzne. Dalej, o kilometr ztyłu, rozwinęła się karawana juków w otoczeniu dżigitów i reszty konwoju kozackiego, który strzegł kasy poselskiej i juków z cennemi podarunkami dla władcy Dżityszaaru. Ponieważ oddział dżigitów szedł na przodzie, posuwaliśmy się zupełnie spokojnie, rozmawiając wesoło.

Nagle rozległa się salwa karabinowa. Kule zaczęły świstać ze wszystkich stron.

Poseł, sztabs-kapitan Kuropatkin, został raniony w lewą rękę powyżej łokcia. Mój koń padł, jak piorunem rażony, bo dostał postrzał w sam środek łba. Nił Kuropatkin i Sunargułow wyszli cało. Kozak po salwie zawrócił wtył i skoczył po kolegów, którzy rozciągnęli się o parę kilometrów za nami.

Pokazało się, że o jakieś 200 — 250 kroków od drogi, którą, gwarząc, jechaliśmy, była głęboka wyrwa suchego o tej porze strumyka; w wyrwie tej ukryło się około 100 strzelców z watahy kipczaków (najbardziej wojowniczy szczep miejscowych Kirgizów) pod wodzą Mułły Hudaj Berdy (od Boga dany). Wataha, oczywiście, była dobrze poinformowana o przejeździe poselstwa, gdyż ukryła się tak dobrze w wyrwie, że ani my, ani dżigici, idący przodem w tumanach kurzu, nie zauważyli zasadzki.

Tymczasem z dalszego wąwozu, po salwie, wyskoczył tłum uzbrojonych jeźdźców, wiodących i luźne konie tych, którzy nas

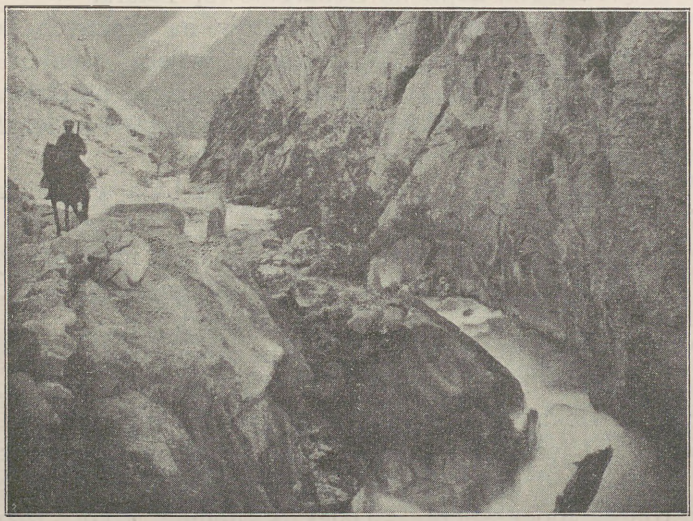

Droga wgórę rzeczki Gulcza (s. 14).

zaatakowali z wyrwy. Wszyscy dosiedli koni, a nie mogąc wyleźć konno z głębokiej wyrwy na drogę, gdzieśmy stali, częścią rzucili się masakrować dżigitów, częścią ruszyli naprzód, starając się znaleźć wyjście ku drodze.

Zbiliśmy się w kupę dokoła rannego posła, zasłaniając się końmi od luźnych strzałów pojedyńczych. Wszyscy mieliśmy tylko pałasze, byliśmy więc bezbronni. Tylko Nił Kuropatkin przypadkiem posiadał rewolwer Smith-Wessona, który wydobył z olster przy siodle.

Nagle widzimy, że część watahy, która wydostała się na drogę, pędzi na nas. Na czele, daleko na przodzie od reszty, pędzi na

ślicznym, siwym argamaku starzec z długą siwą brodą, w ogromnej czałmie, z zielonym sztandarem proroka w lewej ręce i z obnażonym krzywym jataganem w prawej. Już jest o jakie 30 kroków od nas, stojących bezradnie pośrodku drogi, gdy Nił Kuropatkin strzela. Starzec sunie jeszcze parę skoków na nas, chwieje się, wypuszcza sztandar z ręki i pada na drogę, a koń, zataczając półkole, rzuca się wbok. Pędząca za starcem grupka, złożona z 20 — 30 jeźdźców, widząc zwalonego wodza, zawraca za jego koniem.

Tymczasem ztyłu co koń wyskoczy pędzą kozacy konwoju poselskiego, wiodąc luzem konie z kasą poselską i jukami z naj-

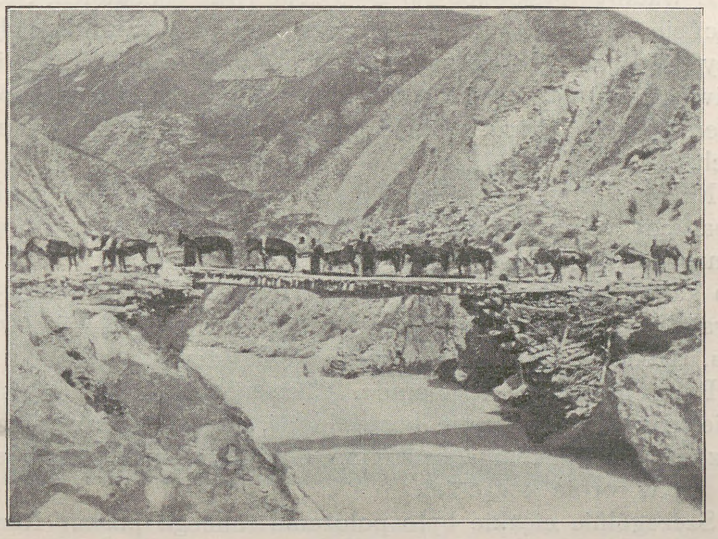

Most na rzeczce Gulcza (s. 14).

cenniejszemi podarunkami. Zdejmujemy walizy skórzane z koni i robimy z nich barykadę dla ochrony rannego posła. Kozacy szybko batują [1]) konie i w okamgnieniu układają je na bok, tworząc z nich czworobok, ukrywający cokolwiek strzelców.

Nagle dostrzegamy pędzącą na nas zwartą masę jeźdźców z 80 — 100 koni, którzy szarżują, wołając: Ałło! Ałło! Kozacy dają salwę już na 600 kroków, a potem podtrzymują ciągły ogień.

---

[1]) „batować“ (od tatarsk. batyng — wiąż!) — zmuszać konie do ułożenia się na bok.

Wataha traci paru jeźdźców i, nie wytrzymując ognia, rozsypuje się w różne strony. Szarżę powtarza jeszcze raz i znów się rozsypuje, nie dobiegając do nas na 150—200 kroków. Część bagażu poselstwa na lepszych koniach łączy się z nami; zdejmujemy ten bagaż i układamy z juków czworobok, w miejsce koni, które się niecierpliwią i nie chcą leżeć, szczególniej kiedy słyszą tętent szarży. Część pakunków wpada w ręce watahy, która w naszych oczach rozbija tłomoki i grabi.

Wataha formuje się znowu, ale w pewnej odległości, i oto rozpoczyna się sport, jakiego w ciągu całego życia więcej nie widziałem.

Z watahy wyskakuje po 2—3 „batyrów“ (bohaterów), którzy, kryjąc się za konie, pędzą galopem, w celu porwania ciała dowódcy i zielonego sztandaru Proroka. Kozacy dopuszczają ich na możliwie bliski dystans i zaczynają ogień ciągły. Batyr albo pada na ziemię, albo zatacza półkole daleko od ciała wodza i wraca do swoich.

Na okolicznych górach, dotąd pustynnych, zjawiają się konni. Liczba ich rośnie z minuty na minutę, i wkrótce góry się roją jak mrowisko, od jeźdźców. Skądeś dolatuje do nas kula wielkiego kalibru, oczywiście wypuszczona z dużej pojedynki, jakich używają krajowcy do obrony swych twierdz. Po chwili świszcze druga, trzecia; dziesiąta rani ciężko konia kozackiego.

Położenie staje się niemiłe. Chce się jeść, pić, ale jesteśmy w miejscowości absolutnie bezwodnej i, choć konserw mamy dosyć, zgotować ich niema na czem. Gryziemy suchary, które znalazły się w torbie kozackiej.

Szczególnie ciężkie było położenie rannego posła. Rany nie przemyto, bo wody nie było. O jodynie nikt nawet nie pomyślał, choć może była ona w apteczce podróżnej. Założyliśmy na brudną ranę bandaż, żeby zatamować krew. Zaczęła się gorączka; żeby ugasić pragnienie, dajemy rannemu łyk wina, po którem pragnienie jego wzmaga się jeszcze bardziej. A na górach ludzi coraz więcej. Jesteśmy prawie pewni, iż z nadejściem nocy nas zgniotą.

Nagle około g. 5 popoł. dostrzegamy od strony Osza ogromną kurzawę. Rozpoznajemy znaczną ilość koni, między któremi widać białe koszule żołnierskie. Domyślamy się, że śpieszy odsiecz.

Pokazało się, że nasz dzielny szef dżigitów, Hakim-Bek, natychmiast po salwie zeskoczył ze swego wspaniałego turkmena, posadził na nim 15-letniego syna, który miał go odprowadzić tylko

do Gulczy i wrócić, i, dając mu w rękę nahaj, kazał co sił pędzić do Osza i zawiadomić o napadzie miejscowe władze. Malec, pomimo pościgu watahy, która domyśliła się, że to posłaniec po odsiecz, w godzinę przebiega 35 kilometrów do Osza, wpada na podwórze urzędu i melduje o napadzie.

Naczelnik powiatu natychmiast bierze kompanję strzelców (kawalerji w Oszu nie było), rekwiruje ile się dało koni, sadza po dwóch strzelców na konia, reszcie każe trzymać się strzemion i śpieszy do nas. Odetchnęliśmy swobodnie.

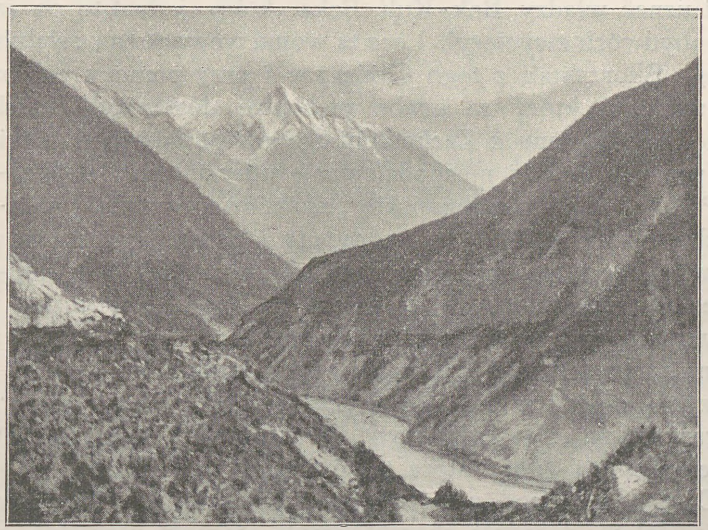

Przełęcz Terek-Dawan 4022 metrów n. p. m. (s. 15).

Piechota dała parę salw z dalekonośnych berdanek, i góry się wnet oczyściły od mrowiska konnych. W kwadrans wataha zniknęła bez śladu i znów zapanowała cisza dokoła.

Cofnęliśmy się do najbliższej wody, ugotowaliśmy herbaty, nakarmili odsiecz konserwami z zapasu poselskiego i, ułożywszy posła w lektyce z dwóch drągów, przywiązanych do siodeł na 2 koniach, nad ranem byliśmy już zpowrotem w Oszu.

Naturalnie, wysłanie poselstwa do Jakób-Beka odroczono do czasu wyzdrowienia posła, a że generał świty, Skobielew, ówczesny gubernator i dowódca tamtejszych wojsk, natychmiast zorganizował ekspedycję w Ałajskie góry dla ukarania i ostatecznego owładnię-

cia koczownikami, więc wycofałem się z poselstwa i poszedłem, jako oficer ordynansowy przy generale, na nową wyprawę, skąd wróciłem późną jesienią, kiedy poseł, kapitan Kuropatkin, wyzdrowiał i oddawna był w Kaszgarji.

Żeby nie wracać do tego epizodu, dodam, że Atałgyk-gazy umarł w 1877 roku, podobno otruty z zazdrości przez jedną z niezliczonych żon swego haremu. Miejsce jego na chwiejnym tronie młodego państwa Dżyty-szaaru (Siedmiogrodzia) zajął syn jego, Bek-Kuli-Bek. Poczęły się zatargi wewnętrzne. Bekowie dwóch najbogatszych okręgów, Jarkendzkiego i Chotańskiego, odpadli i nie chcieli uznać władzy Bek-Kuli-Beka, który jednakże po zaciętej walce obydwóch zwyciężył. Lecz ta wojna wewnętrzna osłabiła jego władzę. Skorzystali z tego Chińczycy i przy pomocy pułkownika Sosnowskiego, który za grube pieniądze dostarczył chińskiemu głównodowodzącemu z Zachodniej Syberji potrzebną ilość wielbłądów, przeszli Gobi i niespodziewanie uderzyli na Bek-Kuli-Beka.

Pułki „Jangi-muzułmańskie“, sformowane przez Jakób-Beka w liczbie około 15000 ludzi, zdradziły i przeszły na stronę Chińczyków, siejąc popłoch i dezorganizację w wojsku Bek-Kuli-Beka. Ostatecznie został on rozbity, uciekł do Rosji i zamieszkał w rodzinnym Pskiencie, pod Taszkentem (gdzie go parę razy odwiedzałem), na skromnej pensyjce rządu rosyjskiego. Kaszgarję zaś zajęli Chińczycy. Siedzą w niej dotąd, przechrzciwszy Dżyty-szaar (Siedmiogrodzie) na „Nan-łu-ba-czyn“ (Południowe Ośmiogrodzie) z rezydencją generał-gubernatora tej prowincji w Urumci.

Cały ten epizod z odleglejszej przeszłości, który powyżej opowiedziałem, dosadnie charakteryzuje stosunki rosyjskie. — Oto wielkorządca Turkiestanu śle posła do Jakób-Beka z bogatemi darami, chcąc zawrzeć z nim sojusz przyjazny i podnieść jego powagę przez autorytet Rosji; oczywiście, czyni to celowo, gdyż woli mieć za sąsiada słabego chana, powolnego swym życzeniom, niż potężne mocarstwo chińskie. Niedość tego: synowi jego daje schronienie i pensję, aby mieć zawsze w pogotowiu pretendenta na tron Dżyty-szaaru w razie zatargu z Chinami. Jednocześnie z tą akcją inny funkcjonarjusz tego samego rządu rosyjskiego w Syberji Zachodniej dostarcza Chińczykom wielbłądów, aby mogli przebyć Gobi i opanować Kaszgarję!

III.

GULCZA. Z GULCZY DO DOLINY WIELKIEGO AŁAJU. KARAWANY HANDLOWE I KARAWAN-SARAJE. DROGA PRZEZ PRZEŁĘCZE TEREK I TAŁTYK.

Lecz wracam do swej podróży.

Rzeczka Gulcza stanowi jedno ze źródeł Syr-Darji, zbierając, jak wachlarz, wszystkie rzeczki, spadające z pasma gór zachodniego Tian-Szania, których korytami wiodą drogi na przełęcze i dalej do Chin. Dolina rzeki w miejscu, gdzie wychodzi droga z Osza, ma około 2 kilometrów, jest ładnie zadrzewiona wysokiemi, rozłożystemi topolami, a także całym bukietem najrozmaitszych krzewów: tamaryszku, oblepichy, głogu, cierni, kaliny, dzikich malin i t. d. Zbocza gór są pokryte przeważnie lasem arczowym (rodzaj tui, Juniperus). Drzewo to rośnie bardzo powoli, jest nadzwyczaj twarde, nie gnije, nie przepuszcza wilgoci, i dlatego krajowcy, budując swoje domy z niewypalonej cegły, układają grube deski z arczy, jako podstawę ściany. Domy te stoją dziesiątki lat. Wysokość Gulczy sięga 5000 stóp [1]) nad poziom morza. Na polach rośnie tylko pszenica jara i jęczmień. Zasiewy kukurydzy nie dojrzewają, lecz krajowcy używają jej jako paszy zimowej dla bydła, w razie większych śniegów.

Ponieważ doliną rzeki Gulczy przechodzi w dolinę wielkiego Ałaju, oraz na pastwiska alpejskie Tian-Szania większość koczowników z całej wschodniej Fergany z tysiącznemi tabunami koni i z setkami tysięcy baranów, więc Rosjanie wybudowali tu fort, z po-

[1]) 1511 metrów.

mieszczeniem dla kompanji piechoty, pół seciny kozaków, oraz obsługi artyleryjskiej dla 2 dział. Fort ten w obecnych warunkach wojny nie posiada żadnego znaczenia, ale dla koczowników, mających tylko pojedynki, zapalane lontem, był niezdobytą twierdzą. Nadto umożliwiał Rosjanom zarządzanie koczownikami i organizowanie doraźnego pościgu za watahami, które w owych czasach powstawały, jak grzyby po deszczu, grabiły kogo się dało, poczem szybko znikały.

Z Gulczy w dolinę Wielkiego Ałaju (102 kilometry) droga wije się wąską ścieżką[1]) wgórę rzeki, przerzucając się z jednego brzegu na drugi. Jest to jedyna droga handlowa, którą ciągną karawany z towarami z Fergany do Kaszgarji i odwrotnie, karawany ogromne, złożone ze 150—200 jucznych koni, z poganiaczami pieszymi, po jednym na każde 5—6 koni. W Oszui w rozmaitych miastach Kaszgarji, gdzie (pomimo dróg kołowych) towary przewozi się przeważnie na jukach, istnieją ogromne karawanseraje dla przyjęcia karawan handlowych. Zwykle jest to budynek czworoboczny z ogromną bramą wjazdową i obszernem podwórzem, dokoła którego wznosi się po sto i więcej magazynów. Magazyny służą za skład towarów, a nadto i za mieszkanie ich właścicieli. Ztyłu jest drugie obszerne podwórze ze stajniami na kilkaset koni i z mieszkaniami dla poganiaczy. Karawanseraje zamyka się na dzień na przerzucany przez bramę łańcuch, przy którym stale stoją dozorcy, opłacani przez właściciela i odpowiedzialni za całość towarów i koni; na noc karawanseraje zamyka się na ciężką, okutą żelazem, bramę. Zarząd karawanserajów jest w stałej styczności z właścicielami koni jucznych i za małą zapłatę dostarcza kupcom koni i poganiaczy. Karawanseraje takie buduje się zwykle w han-

---

[1]) W 8 lat później (1893 r.) otrzymałem polecenie przerobienia tej drogi na kołową. Ponieważ ówczesne stosunki z Chinami były bardzo naprężone, i można było z dnia na dzień oczekiwać zbrojnego starcia, więc chodziło o jak najśpieszniejsze przerobienie górskiej ścieżki, po której mogły chodzić tylko juczne konie, niosące na sobie najwyżej 8 p. (320 funt.), na kołową, po której mogłyby chodzić 2-kołowe arby w jednokonne z ciężarem do 30 pud. (1200 funt.). Praca była wykonana w ciągu 4 miesięcy. Pomagał mi w tem syzyfowem przedsięwzięciu porucznik Zarako-Zarakowski (obecnie generał, mieszkający stale w Warszawie) z oddziałem saperów. — Droga przeszła przez przełęcz Tałdyk (11800 stóp = 3589 metrów n. p. morza) w Ałajskich górach i kosztowała rząd rosyjski 60000 r., licząc w tem i koszta kilku mostów drewnianych przez rzekę Gulczę.

dlowem centrum miasta. Wszystkie tranzakcje hurtowe zawsze prawie w nich się dokonywają.

Oprócz ogólno handlowych karawanserajów, prawie we wszystkich miastach Azji Środkowej są jeszcze seraje narodowościowe; w tych zamieszkują nietylko przyjezdni z pewnej miejscowości, ale i całemi latami przebywający tam przedstawiciele pewnej ludności, naprz. w Hindu-Seraju — zatrzymują się przyjezdni Indusi — czciciele ognia, z płomieniami, namalowanemi farbą czerwoną między brwiami, w Kaszmir - Seraju kupcy z Kaszmiru; w Dżugut- (albo Jagudi) Seraju, zamieszkują żydzi i t. d. To ułatwia znacznie życie na obczyznie współziomkom lub współwyznawcom. Kobiet do zamieszkania w karawanserajach nie dopuszczają, a kupiec żonaty musi wynajmować mieszkanie dla rodziny na mieście.

Wogóle co się tyczy kobiet, w karawanserajach są wprowadzone dosyć ostre przepisy. Tak więc: kobiety dopuszcza się do wnętrza tylko w godzinach handlowych, dla kupna przywiezionych towarów lub sprzedaży własnych wyrobów. Magazyny (cele) okien nie mają i są oświetlone tylko przez stale otwarte, szerokie drzwi, wnętrze więc każdej celi jest zawsze widoczne dla sąsiadów i dozoru. Byłoby rzeczą bardzo nieprzyzwoitą, gdyby kupiec zaprosił kobietę do magazynu. Siedzą one zwykle na ogólnej werandzie, okalającej wszystkie magazyny-cele wokół całego podwórza, handlarz zaś wynosi towary i pokazuje klientkom na werandzie. Po namaz-i-szam (modlitwa przedwieczorna) żadna kobieta nie może pozostać w karawan-seraju.

W miejscowości Terekny-auzy (ujście Tereka), około 40 km. od Gulczy, zarosłej rozłożystemi topolami, drogi się rozchodzą: na południe biegnie droga ku przełęczy Tałdyk (wierzbowa), w pasmie gór Ałajskich, i dalej w dolinę Wielkiego Ałaju, a na wschód — ku przełęczy Terek (topola) w pasmie Tian-Szania, wprost ku ostatniemu fortowi rosyjskiemu, Irkesztam, na samej granicy Chin. Przełęcz Terek (13200 stóp n. p. m.)[1]) skalista, z bardzo trudnym i stromym stokiem, użytkowana jest przez karawany zimą, bo śnieg zwiewają wichury, i przełęcz prawie zawsze jest dostępna. Zatem tą drogą ciągną tylko podróżni bez juków, bo droga ta jest krótsza o 30 kilometrów, ale zato po wschodniej stronie Tian-Szania ma trudny bród przez rzeczkę Kok-Su (zie-

[1]) 4022 m. n. p. m.

lona woda), spadającą z lodowców i wskutek tego w pewnych godzinach dni upalnych zupełnie niemożliwą do przebycia. Droga przez przełęcz Terek, szczególniej ze strony Fergany, zawalona jest kośćmi jucznych koni i wielbłądów, które zginęły na tej ścieżce i były porzucone przez właścicieli. Mięso pożarły wilki, których włóczy się dużo w tamtejszej okolicy, a kości białym szlakiem wskazują drogę innym podróżnym. Spotyka się także kości i czaszki ludzi, którzy, idąc lub jadąc samotnie, zginęli na przełęczy, i nie miał kto zabrać i pochować ich ciał. Karawany przeto i podróżni przechodzą latem przeważnie przełęczą Tałdyk (wierzbową) 11800 stóp n. p. m.[1]); łagodna ta przełęcz prowadzi na wspaniałe pastwiska alpejskie doliny Wielkiego Ałaju, gdzie karawany zwykle odpoczywają kilka dni, podkarmiając konie do dalszej drogi do Kaszgaru, wiodącej przez miejscowości, pozbawione trawy.

Poszliśmy przełęczą Tałdyk, wznoszącą się łagodnemi zboczami wgórę. Ścieżka wiodła krętemi zygzakami. Ze szczytu przełęczy roztacza się piękny widok na całe pasmo gór Ałajskich oraz dolinę Fergany z wąwozami, pokrytemi ślicznym lasem arczowym, który u stóp przełęczy karłowacieje, ściele się po ziemi, a na przełęczy nie rośnie już zupełnie. Miękkie zbocza Tałdyka pokryte są trawą alpejską.

Z Tałdyka — lekki spadek w dolinę, i znów droga przełęczą Chatyn-Art (przełęcz kobieca), 11,526 stóp n. p. m.[2]), skąd otwiera się jedyny widok na dolinę Wielkiego Ałaju.

---

[1]) 3600 m. n. p. m.
[2]) 3513 m. n. p. m.

IV.

DOLINA WIELKIEGO AŁAJU. KIRGIZI. ICH ZWYCZAJE I OBYCZAJE. BAJGA. WYŚCIGI.

Dolina ta ciągnie się ze wschodu na zachód na przestrzeni około 200 kilometrów, stopniowo zniżając się od 12000 stóp n. p. m. [1]) na wschodzie ku przełęczy TuunMurun (długi nos) do Daraut-Kurgana — na 8209 stóp n. p. m.[2]). Szerokość doliny dochodzi do 40 kilometrów we wschodniej części i 8 kilometrów w zachodniej. Z południowej części doliny wznosi się wspaniałe, pokryte wiecznemi śniegami pasmo gór Zaałajskich z olbrzymim szczytem Kaufmana (23000 stóp n. p. m.) w części wschodniej. Tak wyjątkowo wspaniałego widoku nie zdarzyło mi się nigdzie widzieć.

Piękny jest widok Pirenejów, pokrytych wiecznym śniegiem, z bulwarów miasta Pau we Francji południowej; bardzo ładnie wygląda pasmo gór Kaukaskich z dwugłowym Elbrusem (19000) z okien wagonów kolei władykaukaskiej. Ale i tu, i tam widok na góry przysłaniają podgórza. Zupełnie inny wygląd ma pasmo gór Zaałajskich.

Tu, między przełęczą Chatyn-Art a górami dolina rozszerza się na przeszło 40 kilometrów. Stąd odrazu wznoszą się zbocza jaskrawo zielone, potem ciemno-sine, a dalej — śnieg i lodowce. Powietrze jest tu tak czyste, iż, zda się, każdy wąwóz, każdą grudkę ziemi można gołem okiem rozeznać. Zgroza przejmuje na samą myśl, coby się stało, gdyby jaka powódź nawiedziła

[1]) 3700 m.
[2]) 2502 m.

te kraje, gdyby wskutek jakiegoś kataklizmu stopniały lodowce i masy śniegu.

Pośrodku doliny Ałajskiej biegnie rzeka Kyzył-su (czerwona woda[1]), stanowiąca jedno ze źródeł rzeki Amu-Darji (grecki Oxus), wpadającej do morza Aralskiego. Tak więc pasmo gór Ałajskich oddziela dorzecze Amu-Darji od Syr-Darji (grecki Jaxartes), dwóch największych rzek Azji Środkowej, znanych jeszcze z czasów Aleksandra Macedońskiego, który podobno dochodził do Syr-Darji i założył na brzegu tej rzeki miasto Chodżent, istniejące dotychczas.

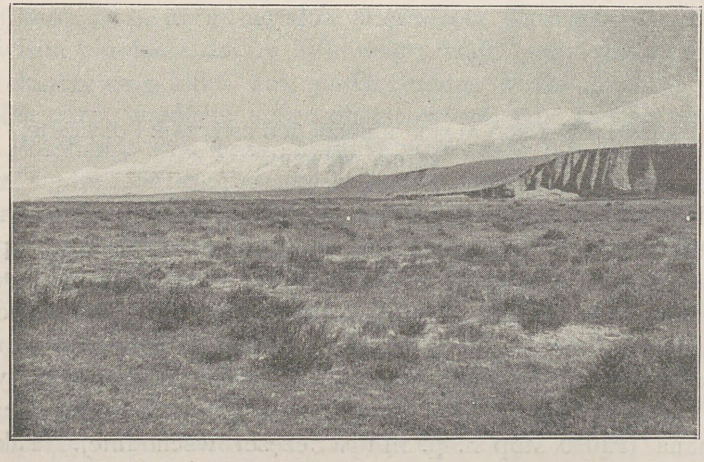

Dolina Wielkiego Ałaju u przełęczy Tałdyk.
Pasmo wiecznie-śnieżnych gór Zaałajskich ze szczytem Kaufmana 23000 stóp n. p. m. (s. 17).

Cała dolina Ałaju pokryta jest wspaniałą trawą. Nigdzie drzewa, nigdzie krzaczka. Nic, tylko łąki alpejskie, które służą za wspaniałe pastwiska dla dziesiątków tysięcy jurt koczowników. Koczownicy ci dążą do tego Eldorada ze swemi stadami ze wschodniej i południowej Fergany zaraz po roztopach w dolinie przez wszystkie pięć przełęczy w pasmie gór Ałajskich. W miarę wzmagania się upałów linja śniegów wznosi się coraz wyżej w góry, oswobadzając od śniegu coraz to nowe przestrzenie, które natychmiast pokrywają się świeżą, soczystą trawą. Na świeże pastwiska przenoszą się auły, wędrując coraz wyżej w góry, aż

[1]) Woda w tej rzece jest zupełnie czerwona wskutek mnóstwa piasku, naniesionego z lodowców okolicznych.

do września, t. j. do pory, kiedy śniegi przestają tajać, a inja wiecznych śniegów zatrzymuje się na 14000 stóp n. p. m.[1]). Od końca sierpnia poczyna się powrót aułów na zimowe leże. W październiku spadają nowe śniegi, i dolina Ałaju, tak ożywiona w lecie, staje się pustynią. Dłużej od innych pozostają na Ałaju właściciele ogromnych stad koni, które trudno jest wypaść w dolinie. Czasami nawet zimują w dolinie Ałaju, przechodząc tylko ze wschodniej części na zachodnią, do Daraut-Kurgana, gdzie dolina zniża się już do 9000 stóp n. p. m., a gdzie prócz tego góry Zaałaj-

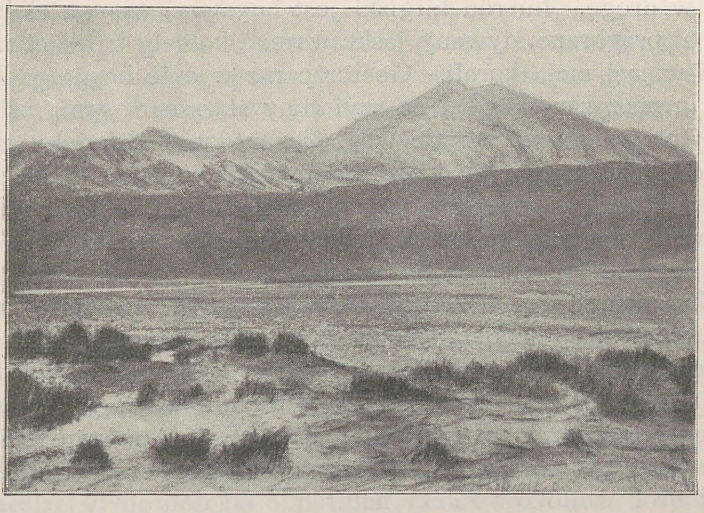

Dolina Wielkiego Ałaju w Daraut-Kurganie (s. 19).

skie i Ałajskie zbliżają się ku sobie na 8 kilometrów. Jest tam dużo wąwozów, w których tabuny mogą się ukryć przed wichrem. Znam osobiście Kirgiza Ir-Daulet-Bija (Majestat ziemi), który miał 12 tabunów koni, po kurumiu, t. j. po 800 — 900 sztuk w każdym, oprócz odpowiedniej ilości baranów, wielbłądów, krów i t. d. Kirgiz ten trzody swe wysyłał na zimę w dolinę Fergany, sam zaś, lubiąc konie, przebywał stale na Ałaju, koczując razem ze swemi tabunami. Nie wiedział on jednak nigdy, ile koni posiada.

Przenosiny aułu z miejsca na miejsce — to święto: jurty się rozbiera i kładzie na wielbłądy, pokryte jaskrawemi dywanami;

[1]) 4260 metrów.

na innych znowu wielbłądach umieszcza się cały dobytek, a więc pościel, ubranie, skrzynie zamczyste, okute żelazem, które przy otwieraniu wydają dźwięki muzyczne i t. d. Wszystko to rozkłada się równomiernie, robiąc wygodne siedzenia. Potem mężczyźni i dzieci od 5 — 6 lat siadają na koń i biorą do ręki sznury, przewleczone przez nozdrza wielbłądów. Kobiety zaś z małemi dziećmi na rękach i dziewczynki od lat 11 — 12 przywdziewają swe najparadniejsze kostjumy, zawsze jaskrawe, a często ze złotogłowia, głowy upiększają ogromnemi turbanami, szyję — koralami, które całemi pękami sznurów spuszczają się aż do pasa — i auł rusza w drogę. Im ród kirgiski jest bogatszy, tem wielbłądy są piękniej przybrane, dywany jaskrawsze, a kobiety bardziej wystrojone i więcej mają korali. Goszcząc raz w aule bogatego Kirgiza rodu Juwasz, zauważyłem na szyi żony starszego syna, usługującej mi przy jedzeniu, korale wagi 38 funtów. Zdziwiony zapytałem, czy nie męczy jej noszenie takiego ciężaru. Spojrzała na mnie z takiem zdumieniem, iż zrozumiałem, że w jej pojęciu zadałem pytanie głupie, grzecznie jednak odpowiedziała: „Nie, ja je noszę bardziej na plecach, niż na szyi“.

Zwinięcie aułu i urządzenie się na nowej siedzibie odbywa się zdumiewająco szybko, i w 2 — 3 godziny na pustynnem miejscu wyrasta cała wioska, kipiąca życiem; tam zaś, gdzie wrzało przed chwilą życie, pozostają tylko ślady ognisk. A jednak wystawienie jurty, szczególnie w ten sposób, żeby się mogła oprzeć wichrom górskim, wymaga niezwykłej umiejętności. Wielkość jurty i dobroć wojłoków zależy naturalnie od dobrobytu właściciela; im Kirgiz jest bogatszy, tem ma jurtę większą i wojłoki bielsze; jurt mniejszych, niż 4 do 5 metrów średnicy, nie stawia się wcale. Bywają jednak i ogromne. Raz zatrzymałem się na noc u pewnego bija (naczelnika) rodu Czum-bagysz, który mię umieścił w swojej „michman-chana“ (michman — gość, chana — pokój), która miała w średnicy 11 m. Była to prawdziwa sala balowa, zupełnie okrągła, jak wszystkie jurty w tym kraju, w odróżnieniu od szałasu Tybetańczyków i Kałmyków, namiotów arabskich, lub Czumów, koczowników Syberji, Goldów, Samojedów i t. d., które mają najrozmaitsze kształty, w zależności od klimatu i innych warunków.

Jurty zwykle są wysokie, znacznie wyższe od wzrostu człowieka, więc można w nich stać i chodzić wygodnie. Wojłoki na nich układa się w ten sposób, że pośrodku zostaje okrągły otwór, który się pokrywa oddzielnym wojłokiem „tundiuk“ z przywiąza-

nym do niego sznurem, zapomocą którego otwór przy pięknej pogodzie łatwo się ściąga, a w razie deszczu zakrywa. Nazewnątrz, zwierzchu wojłoków, jurty obwiązuje się bardzo szerokiemi (25 c.) taśmami kolorowemi, wyrobu domowego, z grubej, ale misternie tkanej wełny. Wewnątrz jurtę zdobią dokoła maty z długiej trzciny, z których każda obwinięta jest nitkami różnokolorowemi; połączone razem i związane stanowią one wzorzystą matę, ładnie zdobiącą wnętrze jurty, którą prócz tego upiększa się różnokolorowemi frendzlami z wełny i misternemi festonami. Jurta średniej wielkości, *z białej koszmy*, przyzwoicie przybrana, kosztowała w owe czasy 200—250 rubli.

Podłogę jurty zaściela się „cynówkami“ z trzciny; na to kładzie się gruby wojłok, pokryty z wierzchu jaskrawym dywanem. Pośrodku jurty dołek, kilka kamieni, stanowiących ognisko, a nad niem żelazny, składany trójnóg, na którym wiesza się kocioł na żelaznych łańcuchach. Przy ognisku są miedziane *kumgany* do zaparzania herbaty. Zupę jedzą Kirgizi z drewnianych lub cynowych czarek; resztę potraw, jak mięso, ulubiony „pałau-asz“ z ryżu — palcami. Tak zresztą jedzą wszyscy, nie wyłączając miljarderów-kupców, krajowcy Azji środkowej. Kirgizi chleba prawie nie używają, a jeśli go jedzą, to w formie rwanych klusek (bugursak), smażonych w maśle, lub na baranim tłuszczu, albo klusek, pociętych na cienki makaron, zalanych zlekka bardzo słonym buljonem. Mięso jedzą tylko w razie święta rodzinnego, przyjazdu znakomitego gościa, lub choroby któregoś ze zwierząt domowych, jakie trzeba dorżnąć, żeby nie zdechło. Za najwytworniejsze uważa się mięso baranie, potem koninę, szczególniej źrebięcinę (kiełbasa z mięsa źrebięcego jest rzeczywiście wyborna), potem mięso wielbłądzie, naostatku wołowe lub cielęce. Żyją więc Kirgizi przeważnie kumysem albo ajranem. Kumys przygotowuje się w ogromnym worze skórzanym, do którego zlewa się wszelkie mleko, więc owcze, kozie, wielbłądzie, krowie i kobyle. Całemi dniami kobiety bełtają to mleko kijem, na końcu którego umocowany jest krzyż drewniany. Im dłużej i więcej mleko się bełcze, tem lepszy jest kumys. W każdym razie będzie to jednak kumys gorszego gatunku. Idealny kumys, na podarki albo na przyjęcie znakomitego gościa, przygotowuje się z czystego mleka kobylego, bełcze się w ciągu co najmniej trzech dni: jest on gęsty, jak śmietanka, koloru słomkowego, orzeźwiająco kwaskowaty. Wypity jednak w większej ilości powoduje lekkie upojenie, jak po wypiciu przy śniadaniu bu-

teleczki lekkiego, białego wina francuskiego „grave“ albo „sauterne“.

W podróżach konnych kumys — to napój nieoceniony, sytny i orzeźwiający. Worek skórzany (tursuk) z kumysem, przywiązany do siodła ze strony ocienionej, żeby go nie paliły promienie słoneczne, zaopatrzy podróżnego na kilka dni w jedzenie i picie, im więcej zaś kumys będzie się bełtał w tursuku na koniu, tem będzie lepszy i smaczniejszy. Naturalnie, tylko trzeba się przyzwyczaić do pewnego smaku skóry i dymu, jakiego napój ten nabiera od tursuka z niewyprawionej skóry.

Ajran — mleko kwaśne, rozbełtane z wodą, stanowi jedyne pożywienie Kirgizów biednych, nie mających wielkich trzód; znajduje się on wszakże w każdym najbogatszym domu, jako napój do stałego użytku służby, dzieci i kobiet, na których ciężą wszystkie prace domowe. Mężczyzni całemi dniami siedzą, przykucnąwszy, u drzwi jurty i gwarzą z sąsiadami. Młodzież pasie stada w górach, często o kilka kilometrów od aułu, strzegąc ich od wilków i innych drapieżników. Pastuchy pasą stada konno. Wogóle Kirgiz bez konia obejść się nie może i piechotą chodzić nie lubi. Przed jurtą każdego mniej więcej zamożnego Kirgiza zawsze stoi koń, osiodłany i przywiązany do wbitego w ziemię kołka. Biedne konisko krąży przy kołku bezradnie, bo ma powód od uzdy tak przymocowany do siodła, że ani schylić się po trawę, ani położyć się nie może.

Auły tego samego rodu kirgiskiego trzymają się jednej miejscowości i wzajemnie się bronią przed napadami bandytów i złodziei. Każdy ród kirgiski ma swój znak (tawro), zrobiony z żelaza, którym w sposób barbarzyński wypala na skórach swoich zwierząt nigdy nie schodzące znaki. Znaki te rozstrzygają spory w razie pomieszania się stad na wspólnych bezgranicznych pastwiskach, oraz pozwalają rozpoznać przynależność zakwestjonowanego zwierzęcia w razie kradzieży i odnalezienia go gdzieś daleko na rynkach Fergany. Można konia przefarbować, ale nie uda się zatrzeć wypalonego „tawra“.

Bezczynne życie, jakie prowadzą mężczyzni, powoduje ciągłe odwiedziny wzajemne i plotkowanie. Nowiny w tych bezmiernych stepach rozchodzą się z taką szybkością, jak u nas przez żydowską „pocztę pantoflową“. Kirgiz, choćby śpieszył się w pilnej sprawie, spotkawszy drugiego, musi się zatrzymać i w kilka minut dowie się o wszystkiem, co się dzieje w stronach, skąd jedzie spotkany, i, nawzajem, opowie mu wszystko o swoich stronach.

Kirgizi wogóle są bardzo uczciwi i gościnni. Nie znam wypadku, by który z nich odmówił mi noclegu, nie napoił chociażby kumysem, albo ajranem, jeżeli nie mógł zabić barana lub kozy. Uczciwość kirgiska jest przysłowiowa. Pracując w administracji kraju i rozpatrując setki sporów, niejednokrotnie obserwowałem, jak dzieci lub wnuki zwracały długi swoich ojców lub dziadów, zaciągnięte na słowo... Pamięć przodków czci się z wielkim pietyzmem. Oprócz przyjęć w czasie pogrzebów, które zawsze były rujnujące dla spadkobierców, najstarszy z rodu w rocznicę śmierci obowiązkowo urządza „tój“, które trwają zawsze co

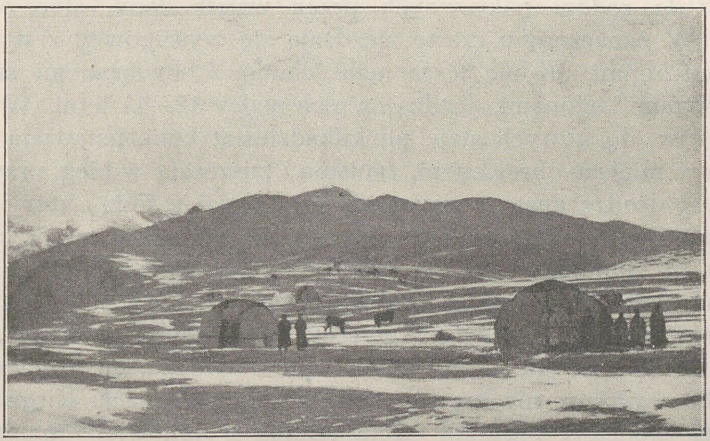

Auły kirgiskie w dolinie Wielkiego Ałaju, zajmujące tereny, oswobodzone z pod śniegu (s. 19).

najmniej trzy dni i ściągają Kirgizów nietylko z danego rodu, lecz wogóle wszystkich chętnych. A że Kirgizowi nie zależy na przestrzeni, przeto siada na koń, przywiązuje do siodła tursuk kumysu lub ajranu i jedzie o 100—200 kilometrów, by pogwarzyć z Kirgizami z rozmaitych stron, wziąć udział w „bajga“ lub popatrzeć na wyścigi.

Bajga — to narodowa zabawa kirgiska: polega ona na tem, żeby z konia porwać leżącego na ziemi zabitego kozła, unieść go z tłumu ubiegających się współzawodników, odciągnąć ich od siedzących gdzieś na pagórku na dywanie sędziów i, zmyliwszy wszystkich, przycwałować z kozłem znów przed sędziów i rzucić

im go pod nogi. Za taką sprawność zwycięzca otrzymuje natychmiastową nagrodę w postaci jaskrawego chałata, który w tej chwili wkłada na siebie na wierzch ubrania, żeby wszyscy zebrani widzieli, iż on jest zdobywcą, i roznieśli to po stepie. Kozła zaś chwyta z konia nowy rywal, i szalona jazda przez kamienie i wyrwy, przy wzajemnem wyrywaniu sobie kozła przez innych współzawodników, rozpoczyna się na nowo.

Wyścigi u Kirgizów znane są tylko na długą metę, zwykle 40 kilometrów (5 tasz). Urządzają je oni w czasie wesela, śmierci albo obrzezania w rodzinach bardzo bogatych, gdyż kosztują drogo. W czasie, oznaczonym na wyścigi (przeważnie jesienią, kiedy konie są najsilniejsze), posyła się zawiadomienie do całego swego rodu i do rodów pokrewnych przez wzięte żony, albo oddane córki. W oznaczonym czasie zjeżdżają się wyścigowcy z wytresowanemi końmi. Konie te są małe, chude, z obwiązanemi szpagatem nogami i ogonami. Jeżdżą na nich malcy 12—14 letni. W dzień wyścigów, do których staje po kilkadziesiąt koni, ustawiają je do startu w miejscu określonem, zapisują i puszczają w bieg, przyczem po całej drodze gęsto rozstawieni są Kirgizi z rodu, który urządza wyścigi, a także z tych, którzy biorą udział w wyścigach; ludzie ci pilnują, żeby do pędzących nie przyłączył się ktoś w drodze albo nie zamienił zmęczonego konia. Na starcie jest jurta, w której siedzą sędziowie i wyczekują przybycia jadących, pijąc herbatę. Czasu, jak długo wolno być w drodze, nie oznacza się, bo nikt zegarków nie ma i nie zna się na godzinach. Kirgizi żyją według słońca i regulują życie podług 5 omówień (namarów), przepisanych przez religję.

Koło jurty sędziowskiej i dalej po drodze gromadzą się tłumy konnych, czekających na wyścigi. Opodal wszystkie wzgórza zajęte są przez kobiety z bliskich i dalekich aułów; przyszły one piechotą albo przyjechały z mężami i braćmi i, nie mieszając się z tłumem, zajęły miejsca na wzgórzach. Wreszcie słychać okrzyki patrzących, tętent biegnących koni, i zjawia się pierwszy koń chwiejący się, zakrwawiony, z jeźdźcem, malcem ledwie żywym. Bardzo często konia tego ciągną za powód od uzdeczki dwaj inni jeźdźcy, co nie jest zabronione przez prawidła wyścigowe. Pierwsza wygrana zwykle jest poważna, bo składa się z 9 nagród po 9 sztuk. Więc 9 chałatów (1 ze złotej parczy, 1 ze srebrnej, jeden z aksamitu, 3 z sukna, 3 z jedwabiu), 9 wielbłądów, 9 koni, 9 krów i 45 baranów. Drugi i trzeci koń otrzymują już nie $9 \times 9 = 81$ sztuk

podarków, lecz tylko 9 sztuk, t. j. jeden chałat, 1 wielbłąda, jednego konia, jednego wołu albo krowę i 5 baranów. Dalsze sześć koni otrzymuje tylko po jednym koniu, wielbłądzie, albo krowie. Reszta — nic.

Urządzenie takich wyścigów i przyjęć w pierwszą rocznicę śmierci ojca rujnuje niektórych doszczętnie. Znam Kirgiza z rodu Czumbagysz, Mirzę Pajasa, człowieka bardzo porządnego, któremu ojciec, Dżarkien - Baj - Datcha (Datcha — generał), zostawił 10000 baranów, 200 koni, 60 wielbłądów, 120 krów i t. d. Po urządzeniu uroczystości pośmiertnych, odpowiednich do wysokiego stanowiska ojca, został goły, jak święty turecki.

V.

MAŁŻEŃSTWO U KIRGIZÓW. TRANZAKCJE MATRYMONJALNE. WESELE I PRZENOSINY. PRZYJĘCIE WESELNE. PSY KIRGISKIE. ŚWISTAKI NA AŁAJU.

Drugą nadzwyczajnie kosztowną rzeczą u Kirgizów jest ożenek, bo za żonę trzeba zapłacić kałym (wykup), który, zależnie od znakomitości i bogactwa rodu żony, dochodzi do takich sum, że nowożeniec nieraz rujnuje się zupełnie.

Miałem jako stałego towarzysza swych włóczęg myśliwskich Mahomet-Seid-Chan-Tiura-Seida, a więc dokumentami stwierdzonego potomka Mahometa, przytem siostrzeńca ostatniego chana kokandzkiego, Hudojar-Chana, i jego „udajczy", t. j. adjutanta; wziął on za żonę jedną z córek Hudojar-Chana i zapłacił za nią kałymu 59.000 tillej, t. j. dukatów złotych, sumę na ówczesne stosunki bajeczną, miljardową. Wypłacenie takiej olbrzymiej kwoty zrujnowało Mahomet-Seida i zmusiło go do wyzbycia się nawet łowczych sokołów i jastrzębi, których był wielkim znawcą i miłośnikiem. Dodać muszę, że przyjaciel mój ożenił się z córką chana nie wtedy, kiedy Hudojar-Chan był u steru władzy, ale w 10 lat po zajęciu chaństwa przez Rosjan, kiedy, o ile pamiętam, Hudojar już umarł na wygnaniu w Rosji, córka zaś jego wniosła mężowi, jako wiano, tylko wielkopańskie przyzwyczajenia i prawo do używania tytułu „Oim", t. j. pani.

Tranzakcje matrymonjalne u Kirgizów dokonywają się zwykle pomiędzy rodzicami przyszłych małżonków, gdy ci są jeszcze niemowlętami, i od tego czasu poczyna się coroczna wpłata kałymu częściowo: bydłem, pieniędzmi lub rzeczami. W razie śmierci

jednego z narzeczonych, pozostały się żeni, albo pozostała wychodzi zamąż za najbliższego krewnego. Byłem raz zaproszony na wesele do bogatego Kirgiza z rodu Juwasz, którego 15-letni syn żenił się z 26-letnią wdową po bracie swego teścia tylko dlatego, że narzeczona jego umarła, a teść więcej córek nie miał. Zdarzają się wypadki, że po zrobieniu tranzakcji i wpłaceniu części kałymu umiera narzeczonemu ojciec, a pogrzeb i w rok potem uroczystości pośmiertne tak rujnują narzeczonego, iż nie może on dalej wypłacać kałymu. Wtedy narzeczony likwiduje samodzielne gospodarstwo i razem z pozostałą częścią zwierząt domowych wstępuje na służbę, jako prosty parobek, do swego przyszłego teścia, przyczem należna mu pensja i przyrost od inwentarza żywego idą na opłatę kałymu. Narzeczony czasami dobrych 10 lat czeka i patrzy, jak jego przyszła się starzeje.

Koszta weselne ponoszą rodzice panny młodej i dają oprócz tego „wiano“, stosownie do swojej zamożności i znaczenia, jakie posiadają wśród ziomków. Wiano składa się zwykle z jurty, kilku dywanów, ze skrzyń, okutych żelazem, z różnych sprzętów gospodarskich i z niewielkiej ilości zwierząt domowych. Resztę dodają rodzice pana młodego, albo też młodzi żyją w biedzie, powoli dorabiając się lub wyczekując sukcesji.

Przewiezienie panny młodej z aułu rodziców do aułu pana młodego odbywa się z wielką paradą, na którą wylegają patrzeć mieszkańcy wszystkich okolicznych aułów, mówiąc, że „taki a taki“ ujlandy (uj — dom, jurta, „ujlandy“ zadomowił się). Na pierwszym wielbłądzie, przybranym w największy i najjaskrawszy dywan, siedzi panna młoda, w ogromnym zawoju na głowie, w kilku najlepszych chałatach, włożonych jeden na drugi, a jeżeli dostaje futro, to i w futrze pomimo lata. Na nogach ma buty z czerwonej albo z zielonej skóry, na szyi — niezbędne korale i im więcej, tem poważniej; ztyłu — skrzynia z ubraniami. Wielbłąda prowadzi konno ojciec lub inny poważny członek rodziny. Na drugim wielbłądzie, także przykrytym dywanem, leży jurta, na niej zaś Kirgizka, wdowa—krewna lub stara służąca, która będzie matkowała na nowem miejscu pannie młodej, często mającej zaledwie 13—14 lat. Ztyłu — znów skrzynia. Dalej, według zamożności, albo idą jeszcze wielbłądy, naładowane rozmaitemi przyrządami gospodarskiemi, albo stadko inwentarza domowego, przyczem wszystkie konie, woły lub krowy są objuczone rozmaitemi sprzętami gospodarskiemi. Im więcej takich tobołków, tem lepiej wyposażona

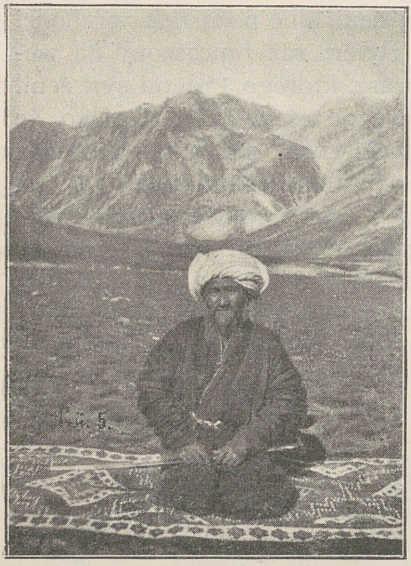

Kirgiz Ir-Daulet (Majestat ziemi), właściciel 10000 koni tabunowych, oprócz odpowiedniej ilości innej trzody (s. 19).

jest panna młoda przez rodziców. Orszak otacza konna kawalkada mężczyzn z aułu panny młodej.

W połowie drogi orszak spotyka pan młody w otoczeniu kawalkady konnej ze swego aułu. Wszyscy zsiadają z koni, a pan młody ugaszcza przybyłych kumysem i zaprasza do swego aułu. Państwo młodzi zajeżdżają do jurty rodziców pana młodego, a panna młoda ze swoją Kirgizką i przy pomocy miejscowych kobiet stawia szybko na wskazanem jej miejscu swoją jurtę i ustawia to, co przywiozła z sobą. Kiedy wszystko jest gotowe, panna młoda staje u drzwi i czeka męża, któremu towarzyszą do jurty wszyscy, co go odprowadzali i spotykali. Goście wchodzą do jurty, siadają rzędem przy ścianach na dywanach, poczem ukazuje się kobieta z kumganem (rodzaj wschodniego imbryka z miedzi, zawsze misternie cyzelowanego) z ciepłą wodą w jednej i miedniczką w drugiej ręce, kłania się gościom pokolei i wylewa parę kropli ciepłej wody na podstawione palce każdego. Gość wyjmuje z za pasa brudną chustkę i wyciera w nią zwilżone palce. Następnie kobieta wychodzi, obsłużywszy w ciągu paru minut 30 — 40 gości. W ten sposób przepisane przez religję obowiązkowe umycie rąk przed jedzeniem jest skończone.

Goście pożądliwie spoglądają na drzwi jurty. Wchodzi młoda dziewczyna z „dastarchan'em“ (obrusem), który rozścieła na ziemi przed klęczącymi gośćmi. Jest to zwykle kawał perkalu jaskrawego, nieprany od czasu nabycia i noszący ślady wszystkich potraw, które na nim spożywano. Następnie wchodzi szereg kobiet; wnoszą one miedziane misy z mięsem i tacki blaszane z dastarchanem, na których cienką warstwą rozsypane są pistacje z rodzynkami, czasami pomieszane z cukrem, drobniutko porąbanym. Misy stawia się symetrycznie pośrodku każdej piątki lub szóstki. Goście szybko się orjentują, czy misa przeznaczona jest na piątkę,

albo na szóstkę, i te piątki lub szóstki uprzejmie zwracają się ku sobie twarzami, tworząc półkole, w środku którego stoi misa z mięsem.

Najpoważniejsi wiekiem i stanowiskiem goście zajmują miejsca pod ścianą jurty, wprost drzwi wchodowych. Przed nimi, oprócz misy z mięsem, stawia się jeszcze, jako przysmak, głowę ugotowaną podawanego zwierzęcia. Gdy wszystko ustawiono, kobiety z ukłonami, milcząc, cofają się ku drzwiom i znikają. Wszczynać jakąkolwiek rozmowę z usługującemi kobietami byłoby nietaktem, który wywołałby ogólne oburzenie. Kirgizki nie zakrywają się przed obcymi, ale prawo muzułmańskie jest prawem: kobieta powinna znać swoją rolę pracującej całe życie niewolnicy. Rozmawiać z Kirgizką można tylko w poufnem otoczeniu, w obecności najbliższych krewnych, i tylko o przedmiotach poważnych i aktualnych dla danej chwili. Każdy żart i śmiech, wielomówstwo byłyby źle przyjęte i przez kobietę, i przez obecnych.

Najstarszy wiekiem albo stanowiskiem podnosi obie dłonie do góry i, mówiąc: „Bismillo, Rachman i Rachim!“ (W imię Boga wszechmogącego i przedwiecznego), gładzi niemi brodę. Goście, podnosząc dłonie, odpowiadają „Amin“ (niech będzie tak), zakasują rękawy, wyjmują z pochew ostre, nieskładane noże krajowej roboty (w rodzaju fińskich) i wyciągają ręce po dawno upatrzony kawał mięsa; ten kraje się własnym nożem na mniejsze kawałki i, zmoczywszy je albo w soli, posypanej na brzegu misy, albo w roztworze solnym, postawionym w drewnianych czarkach obok mis z mięsem, pakuje palcami do ust. Gwar rozmów milknie, słychać tylko chrzęst rzetelnie pracujących zębów. Zjawia się młoda dziewczyna z tursukiem kumysu pod pachą i z czarką, z której piją wszyscy pokolei, dziewczyna zaś ciągle czarkę dopełnia.

Ponieważ jednak nieprzyzwoicie jest wypić podaną czarkę do dna, przeto każdy następny gość wypija to, czego nie dopił jego poprzednik. Mięso znika z misy z szybkością przerażającą. Wreszcie zostaje tylko kawałek „skromności“, który jeden z piątki czy szóstki kraje na równe części i dzieli między sąsiadów. Znakomity gość, przed którym stoi głowa zjedzonego zwierzęcia, bierze ją do ręki, artystycznie, zręcznie ogołaca z mięsa i, nie zapominając o sobie, rozdaje smakołyki w rodzaju oka, kawałka ucha i języka najbliższym sąsiadom; ci, otrzymawszy przesyłkę, robią gest, jakby się chcieli podnieść z siedzenia, mówiąc: „Ałło ryza bułsun“ (niech Bóg będzie zadowolony z ciebie). Inni goście biorą

ostrza swych noży w palce i trzonkami rozbijają nagromadzone przed sobą kości po zjedzonem mięsie, wysysając tłuszcz i szpik. Kumys albo ajran obchodzi dalej kolejkę. Zaczynają się rozmowy. W towarzystwie zawsze znajdzie się bałagura — dowcipniś, który opowiada coś, a wszyscy się śmieją hałaśliwie.

Jeżeli jest się w domu bogatym, gdzie, oprócz mięsa, można się spodziewać innych potraw, goście obgryzione i strzaskane kości układają w pustych misach, oczekując cierpliwie na zjawienie się następnych dań, a więc: rosołu, gotowanego bez włoszczyzny, tylko z cebulą i ze strączkami czerwonego pieprzu; wątroby, płuc i serca, pokrajanych na cienkie plasterki, pokryte takiejże grubości sadłem z baraniego kurdiuka; żołądka, pociętego na długie i bardzo cienkie pasemka i zalanego roztworem z soli, przyczem każda piątka bierze palcami flaki, macza je obficie w sosie i pakuje do ust tak, jak włosi to robią ze swym makaronem; wreszcie ulubionego „pałan-osz“, t. j. piławu z ryżu, duszonego z baraniem sadłem z cebulą i z czerwonym pieprzem. Jeżeli się zaś jest w domu średniej zamożności, gdzie, oprócz obficie podanego mięsa, niema nadziei dalszych potraw, goście, złożywszy kości na misy, odsuwają się na dawne miejsca pod ścianą jurty, wyciągają z za pasa chustki, wycierając niemi tłuste palce, i poczynają oddawać się kurtuazyjnej czkawce. Im Kirgiz jest lepiej wychowany i im bardziej przeto chce pokazać gospodarzowi, że jest syt i zadowolony z przyjęcia, tem głośniej i energiczniej oddaje się czkawce. Wchodzą następnie kobiety, pewnie podpatrujące przez dziurki w wojłokowych ścianach jurty, co się dzieje wewnątrz, zabierają misy z kośćmi i wyrzucają je tuż pod jurtą czekającej zgrai psów, które zajadle gryzą się o każdą kosteczkę.

Potem kobiety ukazują się znowu, wnosząc w kumganach herbatę, którą stawiają koło tacek z pistacjami. Ile było mis z mięsem, tyle będzie kumganów z herbatą, przy każdym zaś jedna filiżanka, z której piją wszyscy pokolei. Kumgan bierze do ręki najmłodszy z piątki, nalewa odrobinkę, pije, jakby chciał pokazać, że nie jest zatruta, potem nalewa ponad połowę czarki i podaje ją najstarszemu wiekiem w piątce. Ten pije powoli, podmuchując i gwarząc, czasami przegryza pistacją lub rodzynkiem. Po wypiciu zwraca filiżankę trzymającemu kumgan. Ten nalewa znowu tyle, ile było nalane pierwszemu z piątki i podaje drugiemu. Potem pije trzeci, czwarty, nakoniec dostaje się filiżanka nalewającemu, który zkolei rozkoszuje się herbatą. Kumgan opróżniony

stawia się koło tacki, na której leżą jeszcze pistacje i rodzynki. Śmielszy z piątki wyciąga rękę, bierze garsteczkę pistacji i, mówiąc „bala-czekamga“ (dla dzieci), zawiązuje je w koniec pasa, którym jest kilkakrotnie opasany.

Lody prysły. Tacki w całej jurcie opróżniają się momentalnie. Kobiety wynoszą kumgany, filiżanki i tacki. Młoda Kirgizka zwija ostrożnie obrus i, strząsnąwszy wszystkie okruszyny do ogniska w tejże jurcie (żeby dobrobyt z niej nie zniknął), wychodzi. Przyjęcie skończone.

Pierwsi wychodzą ci, co siedzą bliżej drzwi jurty, nie żegnając się z nikim, mówiąc tylko „Atym'ga karajman“ (Zobaczę, co się z moim koniem dzieje), i chyłkiem się wynoszą. Jurta się powoli opróżnia. Ostatni wychodzą goście honorowi, których gospodarz odprowadza do koni, czasem zaś sam siada na koń i odprowadza ich parę kilometrów. Auł pustoszeje. Tylko psy długo uspokoić się nie mogą.

Kirgizi trzymają mnóstwo psów, a właściwie pozwalają im mnożyć się w dowolnej ilości, gdyż potrzebują ich dla strzeżenia i ochrony stad od wilków i złodziei, ale nie karmią ich wcale. Psy kirgiskie chude, z długą szerścią, bardzo złe i wrzaskliwe, jak i psy w Konstantynopolu, pełnią obowiązki dezynfektorów, pożerając z głodu wszystko, co mogłoby zatruć powietrze. Latem, na Ałaju, odżywiają się dobrze, polując z wyrafinowanym artyzmem na świstaki, których co krok spotyka się dziesiątki.

Zwierzę to duże, tłuste waży około 60 funtów, jest bardzo ostrożne, żyje rodzinami; świstaki mają wśród siebie stałych stróżów, którzy, stojąc słupkiem, bacznie czynią przegląd okolicy i o najmniejszem niebezpieczeństwie ostrzegają przeraźliwym świstem. Wtedy cała rodzina, która żeruje albo wygrzewa się na słońcu, pędem biegnie do nor, których w każdem legowisku jest mnóstwo, i znika w nich w mgnieniu oka. Na swe nieszczęście, świstaki są nadzwyczaj ciekawe i zato często płacą własnem życiem. Wadę tę dobrze znają psy kirgiskie, które korzystają z niej w swoich napadach na świstaki. Nieraz całemi godzinami stojąc z lornetką w ręku daleko na uboczu, z zapartym oddechem obserwowałem wyniki walki dwóch zwierzęcych instynktów, która odbywa się w następujący sposób.

Rodzina świstaków, złożona z 15—20 sztuk, żeruje w trawie lub wygrzewa się na słońcu wpobliżu swych nor. Stróż, stojący słupkiem, zdaleka widzi skradającego się psa, gwizdem więc uprze-

dza stado, które pędem chowa się do nor. Pies, widząc, że jest zauważony, leci za stadkiem, obserwując norę, do której schował się stróż, gdyż wie, że świstak długo nie wytrzyma: w tej chwili wylezie, żeby zobaczyć, co się dzieje na Bożym świecie. To też gdy mordeczka świstaka wysuwa się z nory, pies momentalnie się zatrzymuje w biegu i kamienieje. Świstak wyłazi cały i staje, słucha, oglądając się podejrzliwie. Nagle, czy pies drgnie, czy świstak, przyjrzawszy się, pozna zdradę, dość, że stróż z przeraźliwym świstem chowa się do nory. Ale zanim pies zdąży posunąć się kilkadziesiąt kroków, już świstak znów wytknie głowę, i pies w tej chwili zamienia się w posąg! To się powtarza kilka razy, aż przestrzeń, dzieląca psa od świstaka, zmniejszy się tyle, że pies jednym skokiem może uchwycić zwierzątko za kark. Świstak broni się rozpaczliwie, że zaś ma ostre i długie pazury, a zęby tak osadzone, że, jak buldog angielski, ukąsiwszy, zdobyczy nie wypuści, chyba wyrwawszy jej kawał mięsa, więc rany, zadane przez świstaka, są zwykle bardzo poważne. To też pies, uchwyciwszy go za kark, stara się podrzucić wgórę w ten sposób, żeby upadł nawznak. W chwili, kiedy świstak staje na nogi, pies znowu go łapie za kark i znowu podrzuca wgórę, aż wreszcie zwierzę rozbite, oszalałe ze strachu zaprzestaje obrony, i pies je zagryza. Wprawa psów kirgiskich w tej walce jest zdumiewająca, ale dowodem, że ta walka jest trudna i niebezpieczna, są ślady, jakie nosi na skórze każdy z psów. Oprócz legjonu psów, polujących na świstaki, trzebią je również wilki i niedźwiedzie. Ostatnie rozkopują nory świstaków, docierając do głębokich galeryj, gdzie świstaki się układają na śpiączkę zimową; nieraz dzień cały pracują nad tem, ale, dotarłszy do celu, wymordowują całą rodzinę.

Niebezpiecznym również wrogiem dla świstaka jest ptactwo drapieżne: sokoły, sępy i orły, które krążą pod obłokami i pędem kuli spadają na zdobycz. Od ptactwa świstaki bronią się bardziej pazurami, niż zębami, i przy ataku przewracają się nawznak, przytem drapieżniki powietrzne w tej pozycji na świstaki nie napadają, bojąc się ich długich i ostrych pazurów. Pewnego razu przypadkiem widziałem ogromnego orła-brodacza himalajskiego, łatwo unoszącego w powietrzu barana, cielaka lub źrebię, jak, zaatakowawszy świstaka, natychmiast rzucił się wbok, gdy ten przewrócił się nawznak, broniąc się pazurami i zębami; schwytał go jednak, gdy świstak znowu stanął na nogach, żeby zemknąć do nory.

Cała dolina Wielkiego Ałaju, pokryta norami świstaków, stanowi poważne niebezpieczeństwo dla koni, szczególnie przy szybkiej jeździe — „bajdze".

Tyle o dolinie Wielkiego Ałaju i o jej mieszkańcach.

Dolinę tę z południa ogranicza niebotyczne pasmo gór Zaałajskich, zawalone wiecznemi śniegami; a za niemi rozciąga się ogromne jezioro Kara-Kul (jezioro czarne, lub smocze), 13600 st. n. p. m.[1]), mające około 120 kilometrów w obwodzie, i najwyższe płaskowzgórze Wysokiej Azji — Pamiry, zkolei ograniczone z południa pasmem Hindukusza, którego wody biegną już do oceanu Indyjskiego.

---

[1]) 4200 metrów.

VI.

DROGA DO FORTU IRKESZTAM. IRKESZTAM. HANDEL POGRANICZNY. KURTUAZJA CHIŃSKA. Z IRKESZTAMU DO KASZGARU. ZAJŚCIE W ULUGCZACIE. WADY ADMINISTRACJI CHIŃSKIEJ. SPOTKANIE Z NACZELNIKIEM OKRĘGU KASZGARSKIEGO.

Dawszy jeden dzień koniom wypocząć na pastwiskach doliny Wielkiego Ałaju, 15 sierpnia ruszyliśmy do fortu Irkesztam, wybudowanego przez Rosjan przy samej granicy Chin. Droga na przełęcz Tuun-Murun (długi nos) jest łagodna i wygodna. Właściwie mówiąc, drogi tu niema żadnej. Dolina, zwężając się w miarę wznoszenia się na przełęcz, ciągle jest pokryta wspaniałą trawą, i każda karawana idzie, gdzie jej wygodniej, trzymając się wydeptanych ścieżek jedynie w tym celu, aby nie trafić na jary, rozmyte przez wodę deszczową. Przechodzi się łagodnemi zboczami szczytu Kaufmana 23000 st. n. p. m., z błyszczącemi w słońcu lodowcami i nieprzejrzanemi zwałami wiecznych śniegów. Przełęcz Tuun-Murun, około 13.000 st. n. p. m.[1]) — stanowi dział wodny Amu-Darji, wpadającej do morza Aralskiego, i rzeki Tarym, wpadającej do jeziora Lob-nor w zachodniej części pustyni Gobi. Nocowaliśmy w forcie Irkesztam, zrobiwszy w ciągu 5 dni marszu 310 kilometrów.

Fort Irkesztam, zbudowany przez Rosjan w 1885 roku, leży na wysokim, prawym brzegu Kyzył-su[2]) (czerwona woda) przy ujściu rzeczki Irkesztam, która na mapach rosyjskich niewłaściwie

[1]) 3900 metrów.

[2]) Kyzył-su (kaszgarska) nosi jednakową nazwę z rzeką w dolinie Wielkiego Ałaju, ale biegnie na wschód, gdy tamta na zachód.

nazwana była rzeczką Maltabar, co dało powód do długotrwałego zatargu pogranicznego z Chinami. Fort ten składał się z niewielkiego blokhauzu, w którym były koszary na 25 kozaków i pomieszczenie dla oficera; w podwórzu stajnia dla koni i składy dla furażu, osłonione ścianą kamienną od strzałów karabinowych. Fort zamyka wąwozy, przez które prowadzą dwie główne drogi z Chin do Fergany: przez przełęcze Terek w Tian-Szanie i Tuun Murun, i z tego względu posiadał ważne znaczenie, jako punkt obserwacyjny. Wybudowano go na wysokości 8,500 st. n. p. m., na zboczu gór, pozbawionych wszelkiej roślinności. Wiatry szaleją tu z siłą huraganu; klimat nadzwyczaj zmienny, często w ciągu paru godzin, w zależności od kierunku wiatru, różnica temperatury wynosi $15^0 — 18^0$ C. Strategicznego znaczenia fort ten nie posiadał i musiałby być opuszczony natychmiast po rozpoczęciu działań wojennych. Ale oficer, zamieszkujący w blokhauzie, podtrzymując dobre stosunki z Kirgizami, koczującymi na zboczach gór, należących do Chin, mógł mieć zawsze wszelkie wiadomości o tem, co się działo w Kaszgarji.

Na dole, na brzegu rzeczki był posterunek celny z ogromnym karawanserajem, gdzie zatrzymywały się karawany handlowe z Kaszgarji, podlegające rewizji celnej. Tam mieszkał urzędnik celny z kilkoma żołnierzami dozoru celnego i z dżigitami, którzy objeżdżali granicę.

Handel Rosji z Chinami w owych czasach był bardzo ożywiony, i przez punkt celny w Irkesztamie przechodziło codziennie po kilka karawan o 100 i więcej jucznych koniach. Z Rosji wywożono wszelkiego rodzaju towary: cukier, wyroby ze stali i żelaza (piły, topory, zamki), szkło, tanie fajanse, farby, zapałki, papier, a także wyroby krajowców Turkiestanu: jedwab, atłas itp.

Z Chin wwożono do Rosji: herbatę zieloną (przywożoną z Indji, bo krajowcy Turkiestanu herbaty chińskiej, która nie jest cierpka, nie pili, jak również nie pijali herbaty, którą my pijemy), dywany, wojłoki, grube materje z bawełny lub wełny, nici jedwabne kręcone, futra lisie i baranie z baranów tybetańskich z długą szerścią, złoto, srebro w sztabach, korale i t. d. Według traktatów, zawartych z Chinami, poddani rosyjscy mieli prawo wwozić i handlować w pogranicznych z Rosją prowincjach chińskich wszelkiemi towarami, z wyjątkiem broni i materjałów wybuchowych, poddani zaś chińscy wwozili i handlowali, bez opłaty cła, towarami pochodzenia miejscowego, ale nie przywiezionemi z Indyj.

Więc naprzykład herbata zielona (indyjska), cienki biały muślin indyjski, używany przez krajowców na turbany na głowę, korale, materje ze złotogłowia, sukna i aksamity angielskie były obłożone tak wysokiem cłem, że pokrywały z lichwą wydatki na ochronę granicy i na dozór celny. Wszystkie towary do przewozu układa się w paki nietylko jednakowej wagi (po 160 funtów), ale mniej więcej jednakowej wielkości, gdyż tylko w tym wypadku juk dobrze się trzyma na siodle. Inaczej zsuwa się co chwila, zatrzymując karawanę, a często w miejscach niebezpiecznych powoduje spadanie zmęczonych koni w przepaść.

Drugi brzeg rzeki Irkesztam był już chiński; na nim stała straż chińska oraz jurty z dżigitami z konnej lanzy (pułku) kirgiskiej, będącej na służbie chińskiej.

Prawie natychmiast po przyjeździe do Irkesztamu, zjawił się u mnie pograniczny bek Kirgizów chińskich, Karym-Bij, w towarzystwie urzędnika chińskiego, z ogromnym czerwonym biletem wizytowym kaszgarskiego daotaja (gubernatora całej prowincji); powitał on mię i, wręczając bilet wizytowy, powiedział, że generał Chuang Dao-taj, główny naczelnik całej Kaszgarji, wita mię, przesyła swe ukłony, jego zaś wyznaczył do asysty przy mnie w celu ułatwienia podróży do Kaszgaru, stolicy prowincji.

Postanowiłem, nie zwlekając, puścić się zaraz w dalszą podróż do krainy przeciwieństw, gdzie wszystko jest inaczej, niż u nas, począwszy od biletu wizytowego. Więc w Chinach kolor biały oznacza żałobę, jak u nas czarny. Byłoby zatem w wysokim stopniu nieprzyzwoicie wręczać bilety wizytowe na białym papierze. Dlatego są one zawsze czerwone. Dalej, rozmiar biletu wizytowego jest w zależności od hierarchji służbowej właściciela. Bilet wizytowy Dao-taja był długości arkusza papieru, używanego u nas do podań, tylko mniej, niż o połowę węższy. Na jednej stronie stały trzy hieroglify dużego formatu, malowane grubym pendzlem, czarnym tuszem: Chuang-Da-żeń (Chuang — wielki człowiek); na drugiej — drobnemi hieroglifami: Wielkiego Dajcyńskiego mocarstwa, w 5 roku rządów cesarstwa Guan-Siuj, z rozkazu jego cesarskiej mości, Dao-taj (dosłownie wielki prokurator) prowincji Nan-łu-baczyna (południowe ośmiogrodzie).

Kurtuazja wymagała, żebym natychmiast prosił urzędnika, aby podziękował Daotajowi za powitanie, przesłał ukłony od siebie i swoją kartę wizytową. Łatwo sobie wyobrazić, jak wiele stra-

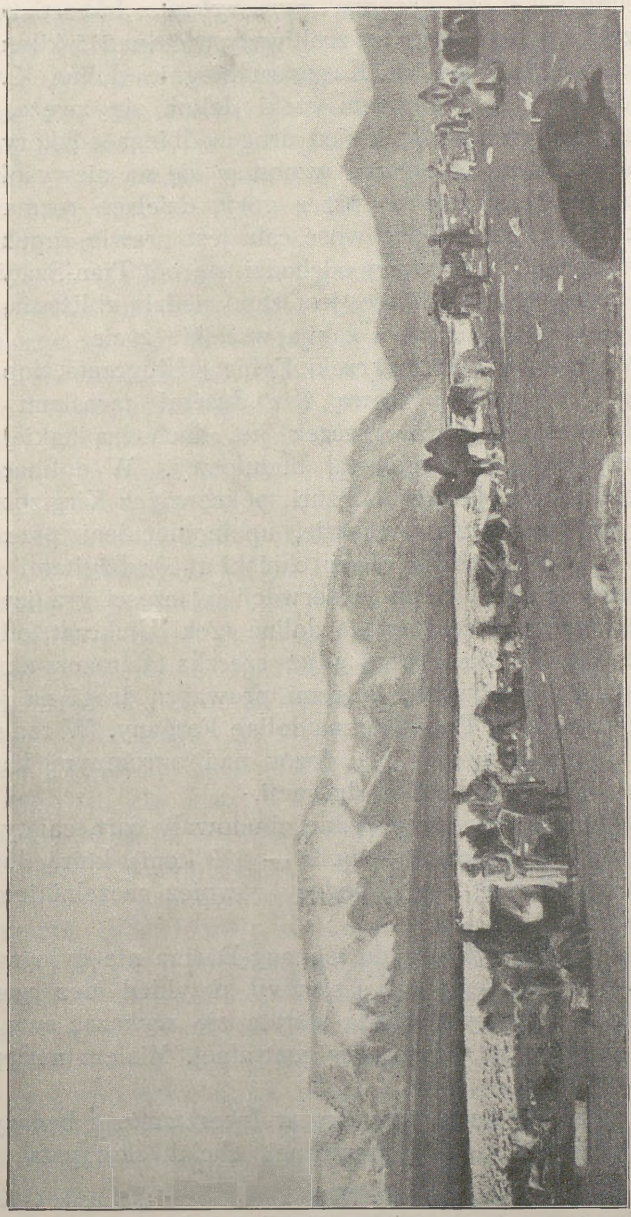

Przenosiny auta z miejsca na miejsce (s. 20).

ciłem w oczach urzędnika chińskiego, wręczając mu swój malutki bilet wizytowy, przytem wydrukowany na białym papierze.

Na drugi dzień, 13 sierpnia, wyruszyłem z Irkesztamu, a 20 sierpnia przybyłem do Kaszgaru, zrobiwszy w 5 dni 215 kilometrów.

Ścieżka z Irkesztamu do Kaszgaru biegnie doliną Kyzył-su, która przecina góry. Z biegiem rzeki dolina się zwęża, brody rzeczne stają się głębsze, w końcu droga odbiega od koryta czasem na dość znaczną odległość, wznosząc się na niewysokie, ale strome i kamieniste przełęcze przez góry, dzielące rozmaite dopływy rzeki Kyzył-su. Miejscowość cała jest prawie zupełnie pozbawiona roślinności. Im dalej odchodzi się od Tian-Szania, tem roślinności mniej, co, naturalnie, jest zapowiedzią zbliżania się do bezwodnej pustyni Gobi, która zabija wszelkie życie.

Wyjątek stanowią doliny rzeki Egina i Uługczata, dopływów rzeki Kyzył-su z pyszną trawą i z dużemi zaroślami topoli, które w dolnych częściach rzeczek już dochodzą takiej wielkości, że mogą służyć za materjał budulcowy. W dolinach tych zimują Kirgizi rodów Juwasz i Dżuri, pokrewnych Kirgizom ałajskim, którymi zarządzają bekowie, upełnomocnieni przez rząd chiński. W Eginie mieszka oficer chiński z 40 dżigitami konnej kirgiskiej lanzy (pułku), celem obserwacji tej części granicy z Rosją. Jeszcze większe znaczenie ma dolina rzeki Ułukczat, oddalona o 40 kilometrów od Irkesztamu, gdyż rzeczka ta, razem z rzeczką Egin, zbierają 11 dopływów, któremi prowadzą drogi na jedenaście [1]) przełęczy przez Tian-Szan na dolinę Fergany. W ten sposób kto włada Uługczatem, ten ma dozór nad ogromnym kawałem Tian-Szania i owemi jedenastu drogami.

W Uługczacie władze chińskie zbudowały fort, zajęty przez konną kirgiską lanzę (lanza — pułk — 500 koni), którą dowodził generał chiński, Chuang-Darin, będący również naczelnikiem całej linji pogranicznej.

W czasie mojego przejazdu Chuang-Darina nie było w Ułukchacie, zastępca zaś jego dał jaskrawy przykład dezorganizacji władz chińskich, z których każda starała się wykazać swą samodzielność i niezależność od władzy centralnej. Miałem następujące zdarzenie.

Oficer kozacki, zajmujący fort w Irkesztamie i będący faktycznie naczelnikiem linji pogranicznej, chciał skorzystać z za

[1]) Przełęcze na rzekę Egin: Ittyk, Karabil, Karaczał, Kukart i Tart-Kul. Na rzekę Ułukczat: Sawajardyn, Sijdam, Talgij, Tuz-Aszu i Kałmak-Aszu.

proszenia mnie przez władze chińskie do Kaszgaru i pojechać ze mną do Uług-czatu; chodziło mu o poznanie się osobiste z chińskim naczelnikiem linji pogranicznej, żeby ustanowić jakiś modus vivendi przy rozstrzyganiu częstych sporów między Kirgizami, poddanymi rosyjskimi i chińskimi. Wiedząc z doświadczenia, jak przyjazne stosunki władz pogranicznych dodatnio wpływają na mieszkańców pogranicza, których życie zmusza do częstego przechodzenia granicy państwowej, chętnie się na to zgodziłem. Wyjechaliśmy razem, przyczem oficer wziął z sobą 15 kozaków z garnizonu Irkesztamskiego.

Z Eginu (18 kilometrów), gdzie zatrzymaliśmy się na pół godziny, pojechał naprzód do Uług-czatu urzędnik, odkomenderowany przez kaszgarskiego Dao-Taja, żeby uprzedzić o naszym przyjeździe gen. Chuanga, kazać wystawić jurtę dla naszego noclegu, kupić nam barana, furaż dla koni i t. d.

Przy wjeździe naszym do Uługczatu urzędnik ten spotkał nas i z oburzeniem opowiedział, że Chuanga niema, zastępca zaś jego twierdzi, że on, jako wojskowy, jest pod komendą głównodowodzącego wojskami, generała Dunga, a nie kaszgarskiego Dao Taja; zlekceważył oddany list Dao-Taja o dostarczenie nam noclegów i potrzebnych produktów za pieniądze i nietylko sam odmówił jakiejkolwiek pomocy, ale pod karą chłosty zabronił Kirgizom miejscowym wystawiać dla nas jurtę i cokolwiek sprzedawać. Naturalnie, urzędnik oznajmił, że on już doniósł o tem grubjaństwie Dao-Tajowi Kaszgaru, i że Dao-Taj ukarze grubjanina.

Ja i moi kozacy mieliśmy z sobą lekkie namioty i dostateczny zapas prowizji, ale oficer i kozacy z Irkesztamu nie mieli absolutnie nic z sobą; że zaś dzień był bardzo upalny, przeto spędzić noc na rosie przy temperaturze 2°—3° i przytem o głodzie stanowiło perspektywę niebardzo przyjemną.

Zresztą, chodziło tu o zachowanie pewnego autorytetu. Postanowiłem być grzeczny, ale stanowczy. Dowiedziawszy się więc, że zastępca Chuanga na lato wyniósł się z dusznego fortu i mieszka w jurcie o kilometr od fortu, w lasku topolowym, pojechałem do niego. Zsiadłszy z konia, wszedłem do środka i, nie zwracając uwagi na gospodarza, który siedział w wielkim negliżu na dywanie i palił fajkę, kazałem znosić swój bagaż do jurty.

Gospodarz, widząc, że jest otoczony zbrojnymi kozakami, chwilę patrzył na nas ze zdumieniem, potem szybko rzucił się do kufra, wyjął oficjalną czapkę z piórem i włożył ją na głowę, choć był

Kirgizka z rodu Juwasz, przybrana do zmiany miejsca aułu (s. 20).

tylko w koszuli. Potem wciągnął na bose nogi oficjalne buty na wysokich 2-calowych podeszwach, wdział kurmę mundurową i tak przybrany odświętnie przywitał mię głośno, przyklękając na jedno kolano według chińskiego zwyczaju przy powitaniu starszego przez młodszego w randze lub stopniu służbowym.

Potem przez tłumacza począł przepraszać, mówiąc, że jest chory, że nie wiedział, iż jestem tak ważną osobą; że źle był poinformowany przez urzędnika chińskiego, i prosił, by nie rozpakowywać bagażów, gdyż on w tej chwili każe wystawić potrzebne jurty i dostarczyć wszystkiego, co ten biedny kraj może, do wygodnego noclegu.

Widząc, że gospodarz ogromnie stchórzył i chce uciec, uprzejmie prosiłem, aby się nie fatygował osobiście, lecz potrzebne rozporządzenia wydał przez tłumacza; przytem dodałem, że, będąc gościem Dao-Taja, nie wątpiłem na chwilę o gościnności władz chińskich i dlatego zajechałem wprost do jego mieszkania, przepraszając, że w koszuli nie poznałem w nim urzędnika Wielkich Chin, z któremi Rosja od 200 lat jest w największej przyjaźni. Potem siedliśmy, wzajemnie się częstując: ja go papierosami, on mnie fajką, i poczęliśmy rozmawiać.

Tymczasem licznie zgromadzeni Kirgizi ze śmiechem obserwowali komiczną figurę naczelnika, który na bosaka, w koszuli, ale w oficjalnej czapce z piórem biegał po jurcie, śpiesznie się ubierając. Na okrzyk władz rzucili się po jurty i prowizję. W godzinę wszystko było gotowe, i naczelnik, jak tego wymagała etykieta chińska, odprowadził nas osobiście do jurt, przygotowanych dla nas, obejrzał i sam ocenił barana i siano, poczem odszedł, przekonawszy się, że niczego nie potrzebujemy.

Kiedy pożywienie dla nas było już przygotowane, posłałem po naczelnika, prosząc go na obiad. Przyszedł natychmiast, przeprasza-

jąc, że on nie przyjął mię obiadem, ale jego kucharz nie umie gotować po europejsku. Przyniósł mi pół funta herbaty, hermetycznie opakowanej, w blaszanem pudełku, mówiąc, że jest to herbata wspaniała, że otrzymał ją z prowincji Kan-su, i że jest to magiczny środek przeciw wszelkim boleściom żołądka. Podarunek przyjąłem.

Po obiedzie, kiedy miał już odchodzić, wybrałem wśród drobnych upominków, jakie wiozłem z sobą, fajkę porcelanową z wizerunkiem Wenus, wchodzącej do kąpieli, i nabiwszy ją tytoniem, prosiłem, aby spróbował, jak mu będzie smakował tytoń rosyjski. Widziałem, że figurce przypatrywał się z zachwytem, więc prosiłem, żeby fajeczkę zachował na pamiątkę. Wymawiał się, ale pokusie do tego stopnia nie mógł się oprzeć, że, nie zgasiwszy fajki, szybko schował ją do woreczka (Chińczycy kieszeni nie mają, ale noszą na pasie woreczki misterne, w których chowają fajki i różne drobiazgi), mówiąc, że z tą pamiątką przez całe życie się nie rozstanie. Rozeszliśmy się jako przyjaciele. Naczelnik poszedł do siebie w otoczeniu świty, niosącej na kijach ogromne latarnie kolorowe, na których wypisane są inicjały i urząd idącego urzędnika.

Nazajutrz (17 sierpnia) wyruszyłem w dalszą podróż. Do brodu przez Kyzył-su odprowadził mię naczelnik chiński z honorami, w otoczeniu beków i konwoju konnej lanzy kirgiskiej. Rozstając się, prosił, żebym pozwolił oficerowi kozackiemu zostać jeszcze na jeden dzień w Ułukczacie, bo on, nie mogąc przyjąć mię u siebie, chciałby zrewanżować się za wczorajsze przyjęcie, ugaszczając oficera.

Jedną z wielkich anomalij administracyjnych w Chinach jest zwyczaj sprzedawania posad, przyczem na wysokie urzędy, jak Dziań-Dziunia (wicekról) w Mandżurji, gubernatorów (Szun-fu) w rozmaitych prowincjach, albo wielkorządcy prowincyj kresowych wyznacza się ludzi, którzy mogą wpłacić pewne sumy tym, od których nominacja zależy. Ponieważ

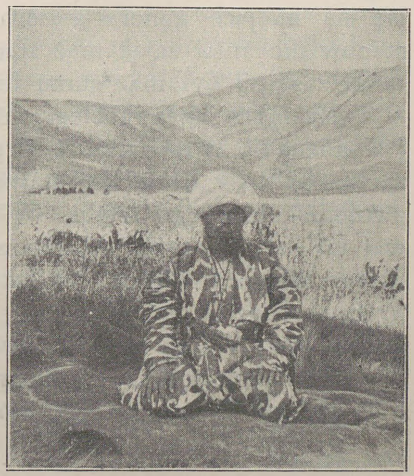

Bij (naczelnik) kirgiskiego rodu Czum-bagysz (s. 20).

łapówki te często są tak olbrzymie, że jeden człowiek, nawet bardzo bogaty, zapłacić ich nie może, więc po otrzymaniu zapewnienia, że urząd taki a taki będzie mu przyznany, kandydat rozprzedaje podwładne mu urzędy mniejszym urzędnikom, którzy zkolei biorą pieniądze od jeszcze mniejszych i t. d.

Urzędy sprzedaje się na trzy lata, przyczem bardzo często wskutek skarg obywateli lub z powodu dowiedzionego mu wyzysku, połączonego z okrucieństwem, winny zwalnia się z urzędu wcześniej, a wraz z nim ulegają usunięciu wszyscy lub przynajmniej ogromna większość urzędników cywilnych i wojskowych, nowy bowiem naczelnik wprowadza z sobą na urzędy mnóstwo swoich ludzi. Stąd w rozmowie z urzędnikami chińskimi często się słyszy: „gdy po trzech latach wrócę do domu". Że system taki jest nadzwyczaj krzywdzący, to nie ulega kwestji. Bo przecie każdy, kto zapłacił za urząd, musi w ciągu trzech lat nietylko wpłaconą sumę wydusić z ludności, ale coś zarobić, no, i przeżyć trzy lata.

Bardzo często zwolnieni wielkorządcy po trzech latach znów ubiegają się o swą dawną posadę, gdyż, znając zasoby kraju, mogą wydusić więcej i odpowiednio powiększyć płacę za stanowisko. Taki właśnie wypadek zaszedł w czasie podróży mojej po Kaszgarji. Naczelnik Nowej Linji, w którego rękach była najwyższa wojenna i cywilna władza w kraju, mąż stanu Lu [1]), przenosił się na miejsce generał-gubernatora prowincji Szan-si, a jego stanowisko miał zająć mąż stanu Czan-łou-szaj, którego trzy lata temu zastąpił był mąż stanu Lu.

Następne dwa noclegi miałem w miejscowościach Uksałyr i Kandżugan, w siedzibach Kirgizów z rodu Czumbagysz, któremi zarządzał Rosy Chan Bij, starzec, patrjarcha kirgiski, zdecydowany zwolennik mocnego rządu. W poufnej rozmowie ze mną pokazywał mi listy generała Abramowa, dowodzące, że bezinteresownie dostarczał on władzom rosyjskim wszelkich wiadomości politycznych, w nadziei, że ziomkom jego będzie lepiej się działo pod berłem rosyjskiem, niż pod chwiejną władzą Badauleta.

W Kandżuganie robiono przygotowania do przyjęcia naczelnika okręgu Kaszgarskiego, który jechał ku źródłom rzeczki Kur-

---

[1]) Pełny tytuł jego brzmi: Wielkiego Dajcyńskiego mocarstwa, komenderowany z najwyższego rozkazu wice-prezydent wojennego kolegjum, mający rangę odważnego bohatera, „mąż stanu Lu".

gaszyn-Kany (żyły ołowiu), celem obejrzenia terenu, na którym miała być ruda srebrno-ołowiana i węgiel kamienny. Z urzędnikiem tym minęliśmy się w drodze.

Jechał on w „mapa“, t. j. w chińskiej dwukołowej arbie, minjaturowej, bardzo ładnie wylakierowanej i wysłanej wewnątrz miękkiemi poduszkami, obitemi materją koloru chabrowego. W budzie „mapa“ okienne niebieskie firaneczki i kieszenie nadają jej wygląd miłej zabawki, ale nie powozu, w którym chińczycy robią ogromne przestrzenie, podróżując z wewnętrznych prowincyj Chin na kresy i odwrotnie. „Mapa“ ciągnęły dwa rosłe muły, zaprzężone w szpic i prowadzone przez pieszych poganiaczy. Przy „mapa“ jechało konno około 40 urzędników, żołnierzy, beków muzułmańskich i t. d., tworzących świtę każdego wyższego urzędnika chińskiego w podróży lub w czasie wizyt oficjalnych.

Mijając się, przywitaliśmy się wzajemnie: ja ukłonem wojskowym, on potrząsając pięściami obydwu rąk, podniesionych do twarzy na wysokości nosa. Jest to w tej krainie przeciwieństw najżyczliwsze powitanie. Tem samem tłumaczy się i komiczny wygląd naczelnika chińskiego w Uługczacie, który w koszuli i na bosaka ustroił się najpierw w oficjalną okrągłą czapkę, ze sterczącym ztyłu długim na 30 centymetrów pióropuszem z pawich piór. Według etykiety chińskiej jest rzeczą w wysokim stopniu nieprzyzwoitą być przy gościu u siebie w mieszkaniu bez czapki na głowie. Gość wchodzi także w czapce na głowie i pewien czas siedzi w niej. Potem już, po przyjęciu i spożyciu oficjalnej filiżanki herbaty, po wzajemnych ceremonjach, wolno jest zdjąć oficjalną czapkę z piórem i zastąpić ją czarną jedwabną krymką, z czarnym pomponem na środku. Gość i gospodarz zdejmują czapki jednocześnie i także jednocześnie wkładają krymki, przyglądając się sobie zpodełba, żeby jeden nie ubliżył drugiemu przedwczesnem zdjęciem czapki z głowy.

VII.

KARANGLIK. DROGA WŚRÓD SKAŁ Z PIASKOWCÓW.
SZTUCZNA IRYGACJA W KASZGARJI I W AZJI ŚRODKOWEJ.
CELNY URZĄD CHIŃSKI W MINGJULE I ZATARG Z JEGO NACZELNIKIEM.
ŻOŁNIERZE CHIŃSCY. OBOJĘTNOŚĆ CHIŃCZYKÓW NA ŚMIERĆ.
EGZEKUCJA W MANDŻURJI.

Na przestrzeni od Irkesztamu do Kaszgaru najtrudniejszą była droga od Uksałyru do Kan-dżugana; jedzie się 22 kilometry po bezwodnej płaszczyznie, co w upalne dni bardzo męczy konie. Nadto miejscami droga ta biegnie wąskim korytarzem, szerokości 3—4 kroków, między ścianami piaskowca, rozmytego przez deszcze i zwietrzałego; ściany te czasami zwisają nad korytarzem, czasem zaś przybierają dziwne kształty w formie bastjonów. Niemniej przykre do przebycia są dwie przełęcze, niewysokie, ale strome i kamieniste, na które droga się wspina schodkami po śliskich piaskowcach. Np. w miejscowości Taj-gak Tasz (śliski kamień), gdzie konie z ciężkim ładunkiem często padają i kaleczą się.

W korycie rzeki Kyzył-su i jej dopływów spotyka się dużo wysp i oczeretów, zarośniętych rozłożystemi topolami, łozą, oraz krzewami tamaryszka, głogu, cierni i t. d. W okolicach tych poczynają się pola uprawne z zasiewami jęczmienia i jarej pszenicy. O 12 kilometrów od Kan-dżuganu leżą kopalnie wosku skalnego, o małej wydajności.

Za Karanglikiem—już się nie spotyka zimowych siedlisk kirgiskich; droga biegnie po gruncie przeważnie kamienistym, przytem od czasu do czasu widać ślady zniszczonych kanałów sztucznych irygacyj.

W kraju tym, jak wogóle w całej Azji Środkowej, gdzie jest woda—tam jest życie; prace irygacyjne, sztucznie nawodniające pola, stoją na wysokim poziomie, zwłaszcza jeżeli wziąć pod uwagę zupełny brak wszelkich przyrządów niwelacyjnych. Często ogarnia zdumienie, gdy się widzi kanały, wyprowadzone z górskich rzek o 100 i więcej kilometrów, w celu irygacji stepów, o wspaniałej, bajecznie urodzajnej glebie lessowej. Trzeba sobie przytem uprzytomnić, że kanały te muszą mieć stałą pochyłość, a mianowicie taką, aby woda, płynąc niemi zbyt szybko, nie wyrywała dna lub nie spowodowała zbytniego osadu piasków, t. j. nie zamulała kanałów. Wszystkie te prace prowadzą się zawsze na „oko“, bez użycia jakichkolwiek przyrządów, które są zupełnie w tamtejszych krajach nieznane. Metody przeprowadzania wody— wyrobiła wiekowa kultura i praktyka, która zmusiła do pomysłowości w tym kierunku narody, zamieszkujące kraje, gdzie od marca do października nie spada ani kropelka deszczu, słońce zaś praży tak, że za dotknięciem się nap. klamki żelaznej, wystawionej na działanie promieni słonecznych, na palcach występują pęcherze, jakby się dotknęło rozpalonego żelaza. Sprowadzanie wody czasami z wielkiej odległości, jest tam niezbędne nietylko do nawodniania pól, ale i do picia.

Niemałym bodźcem, pobudzającym ludność do wyszukania i sprowadzenia wody, są zasady wiary muzułmańskiej. Koran głosi, że ziemia niezroszona jest własnością niczyją (państwa), ale każdy, kto ją „ożywi“, t. j. przeprowadzi sztuczne nawodnienie, staje się prawym właścicielem ożywionej ziemi i człowiekiem miłym (bliskim) Bogu. — Coroczne oczyszczanie kanałów irygacyjnych, umacnianie ich brzegów, naprawa mostów, żeby przejezdni nie zanieczyszczali kanałów, przechodząc przez nie w bród, jest obowiązkiem wszystkich obywateli gminy, którzy, zależnie od ilości posiadanej przez siebie ziemi, powinni dać robotnika z pożywieniem, belki, gwoździe, słomę i inne niezbędne materjały. Roboty prowadzi się pod kierunkiem mirobów (mir-władca, ob-woda), których wybiera gmina. Ludzie ci obserwują ciągle stan wody w kanałach, bacząc, aby nikt nie korzystał z wody w większej ilości, niż mu to przyznaje odpowiedni dokument; dokumenty takie sporządza się przy przeprowadzaniu kanałów, w zależności od stopnia udziału mieszkańców w ich budowie. Mirob — pilnuje również, żeby z kanału nie wyprowadzali nowych odnóg ludzie, niemający do tego prawa, a także, żeby śluzy, zbudowane na po-

czątku kanałów, wyprowadzonych z większych rzek, były w porządku i przepuszczały tyle wody, ile jej potrzebuje ludność, korzystająca z kanałów. — Będąc w ciągłych rozjazdach, mirob zaniedbuje własne gospodarstwo i dlatego otrzymuje od gminy pewne wynagrodzenie, ale nie jako stałą remuneracyę, lecz tylko jako pewien procent od urodzaju; ponieważ zaś urodzaje są zależne od ilości wody w kanałach, wynagrodzenie więc jest w stosunku prostym do zapobiegliwości miroba.

Nowe kanały przeprowadza mirob-basza (głowa władców wody). Zazwyczaj jest to starzec, który całe życie spędził piastując obowiązki miroba i zasłużył sobie na ogólny szacunek wszystkich gmin danej miejscowości.

Trasując pewien teren, przez który miał przejść nowy kanał, i wytykając jego kierunek, mirob-basza zdejmował turban i kładł się nawznak głową w stronę, dokąd miała płynąć woda, a nogami w tą, skąd woda płynęła i, ułożywszy głowę we właściwy sobie sposób, patrzał w niebo. Jeżeli widział za sobą ziemię, znaczyło to, że miejscowość się wznosi i woda tam nie popłynie; jeżeli miejscowości zupełnie nie widział, znaczyło to, że ziemia ma zbyt wielki spadek i nie nadaje się do przeprowadzenia kanału. Ziemię mirob-basza powinien był zobaczyć na długości tylu a tylu kroków i wtedy kołkami oznaczał kierunek nowego kanału. Kładł się znowu, kręcił, zmieniał pozycję i, znalazłszy stosowny kierunek, trasował drogę kanału kołkami, przesuwając się tylko o kilka lub kilkanaście kroków. I znowu się kładł bez końca, ciągnąc linję kanału na dziesiątki kilometrów. Łatwo pojąć, jaka to była olbrzymia praca i ile w niej było subjektywizmu każdego mirob-baszy.

W Ferganie są kanały jak nap. Uług-Nar lub Szarychan-Taj, wyprowadzone na 150 — 200 kilometrów, w miejscu, gdzie Syr-Darja wypływa z wąwozów górskich na dolinę. Przynoszą one życie miljonom hektarów pól i dziesiątkom tysięcy ludności. Po kanałach takich swobodnie można płynąć dużą łodzią. Wszystkie te kanały wyprowadzono i urządzono bez żadnego udziału inżynierów w europejskiem znaczeniu tego słowa, bo o jakichkolwiek przyrządach władcy chańskiego nie mieli pojęcia. Rosjanie, po zajęciu tego kraju, użyli swoich inżynierów, ci zaś, znając sztuczną irygację tylko teoretycznie, wskutek nieumiejętnego obchodzenia się z wodą, poczynili wielkie szkody państwu i krajowcom, zamieniwszy wiele kulturalnych wiosek w bezwodne pustynie. — Wy-

padek taki zdarzył się u źródeł rzeki Kara-Darji, której woda przy chanach całkowicie spływała w kanały. Celem podjęcia wody potrzebne były śluzy, urządzane naturalnie prymitywnie z faszyny i turów, nabitych kamieniami. Śluzy takie, podczas gwałtownego przyboru wody, rzeka zrywała. Ludność wprawdzie pozostawała kilka dni bez wody, lecz potem wszystko się naprawiło i szło swoim trybem. Rosjanie postanowili wybudować tam tamy kamienne na betonie, z żelaznemi śluzami dla przyjęcia zbytecznych ilości wody. Kosztowało to bajońskie sumy! I ostatecznie pewnej bardzo ciepłej

Wnętrze jurty Kirgiza średniej zamożności.
W jurcie — cała rodzina: ojciec, syn, jego dwie żony, wnuk.
Wzdłuż ścian jurty — pościel, ubranie i dywany (s. 21).

wiosny, wskutek gwałtownych roztopów w górach, przybór wody był tak wielki, iż rzeka, zatrzymywana przez tamy, rzuciła się w kanały, wytworzyła sobie nowe koryto, i setki wiosek, otoczonych wspaniałemi ogrodami i zasianemi polami, zostały na kilkanaście metrów nad korytem rzeki bez kropli wody. Ponieważ naprawa zniszczonych kanałów się nie udała, więc właściciele porzucili swe posiadłości i wynieśli się, a duża połać kulturalnego kraju zmieniła się w pustynię.

Ostatni nocleg nasz na tej drodze był w Ming-Jule (tysiąc dróg), 45 kilometrów od Kaszgaru. Tu zbiegają się wszystkie drogi

wiodące w stronę Fergany, Siedmiorzecza i innych prowincyj Rosji. Tutaj też jest główna chińska komora celna, kontrolująca przyjeżdżających i wyjeżdżających, oraz towary. O każdym przyjezdnym, o każdej karawanie handlowej zawiadamia się co wieczór kancelarję Dao-Taja. Władza centralna zawsze jest zawiadomiona o wszystkich przyjeżdżających lub wyjeżdżających z prowincji, zarówno jak o ruchu karawan handlowych.

Zatrzymałem się na nocleg w rabacie (rabat — zajazd). Jest to duży budynek z sypialniami dla przejezdnych, z ogromnem podwórzem, otoczonem wysoką ścianą, z szopami do składania towarów i ze stajniami na kilkaset koni. Przy rabacie mieszka parę rodzin kaszgarskich, które obsługują podróżnych. Niedaleko od rabatu, w pasmie gór, okalających dolinę, widać w skale ogromny otwór owalny, przeświecający nawskroś. Kamień ten, dziwna igraszka natury, nosi nazwę Tiszik-Tasz (dziurawy kamień).

Przydzielony do mego boku urzędnik chiński prosił mię o pozwolenie jechania dalej do Kaszgaru, by mógł on donieść, że szczęśliwie przejechałem przez góry i przybyłem do Ming-Juła. Obdarowawszy go drobnemi upominkami, wręczyłem mu list do konsula rosyjskiego, oraz bilet wizytowy do Dao-Taja.

Zaraz po odjeździe urzędnika do Dao-Taja, zjawił się u mnie naczelnik komory celnej w celu sprawdzenia dokumentów i nakazał otworzyć kufry do rewizji. Wiedząc, że bagaż osób urzędowych nie podlega rewizji na komorach celnych w Chinach, odpowiedziałem, że z dokumentów, które przejrzał, wiadomo mu, iż jestem przedstawicielem Rosji dla wspólnego z władzami Chińskiemi objazdu granicy państwowej, nie zaś kupcem, więc towarów nie wiozę, lecz tylko rzeczy niezbędne w podróży. Nadto przyjeżdżam do Kaszgaru na specjalne zaproszenie naczelnych władz chińskich, jako gość Dao-Taji Chuanga, przeto sądzę, że rewizja, gdy większość karawan handlowych przepuszcza on przez swą komorę bez rewizji, byłaby dla mnie ubliżeniem; wobec tego do rewizji nie dopuszczę; jeżeli zaś naczelnik komory uważa, że nie mam słuszności, to chętnie rzeczy swe zostawię na komorze, a sam Dao-Taj rozsądzi, kto z nas miał rację. Naczelnik długo mi tłumaczył, że jest on obowiązany robić rewizję, bo na mocy traktatu z Rosją wwożenie broni i amunicji jest wzbronione; że jeżeli czasem przepuszcza karawany bez rewizji, to bierze na siebie ciężką odpowiedzialność, czyni to jednak tylko przez współczucie dla poddanych rosyjskich, nie chcąc narażać ich na stratę czasu i kło-

pot z rozpruwaniem juków. Odrazu zrozumiałem, że chodzi mu o łapówkę. Miałem zamiar posłać mu jaki upominek, gdyby był na to nie nastawał. Ale teraz zaciąłem się i postanowiłem nic nie dać. Rozstaliśmy się chłodno.

Nazajutrz raniutko kazałem go obudzić, żeby przyjął moje rzeczy na przechowanie, gdyż wyjeżdżam. Przyszedł natychmiast w paradnym mundurze i oznajmił, że się rozmyślił: rzeczywiście, bagaż mój nie powinien podlegać rewizji; tłumaczył się, że wczoraj, rozmawiając ze mną, był podniecony, bo palił opjum; jeżeli wyrządził mi przykrość, prosi o przebaczenie, głównie zaś o to, bym nie mówił o nim Dao-Tajowi.

Wspominam o tem błahem zajściu tylko dlatego, że było ono charakterystyczne dla całej podróży mojej po Kaszgarji. Gdzie tylko trafiałem na jakiekolwiek władze chińskie, tam zawsze wynikał jakiś zatarg; gdzie zaś ich nie było, krajowcy okazywali nam jak najżywszą sympatję i gościnność.

Po tej rozmowie z naczelnikiem komory ruszyłem dalej. Od rabatu droga prowadzi do fortu chińskiego w Ming-Jule, zajętego przez niewielki garnizon. Przy forcie, nie mającym zresztą żadnego znaczenia strategicznego, wznosi się mur, który przecina drogę i zbiega na dół do samej rzeki, tak, że przejść można tylko przez wrota, zajęte przez żołnierzy chińskich. Ci wyglądają nader zabawnie: średniego lub małego wzrostu, często ospowaci, twarze mają wygolone, cerę żółtą, koloru pergaminowego; głowy podgolone, lecz długie włosy, rosnące na czaszce, zaplecione są w jeden warkocz, do którego wplata się czarną taśmę, dochodzącą do pięt, często fantazyjnie zatkniętą za pas; chodzą w szerokich krótkich kurmach niebieskich, sięgających, tylko do siedzenia i zapiętych zboku. Na głowie, zamiast okrągłych urzędowych czapek, mają chusteczki kolorowe (zawsze fatalnie brudne), zawiązane ztyłu, lub na czole na mały supełek; noszą spodnie szerokie, związane w kostce u dołu, lub tylko nagolenniki; owe nagolenniki to pantalony krótkie, które sięgają od kostki nieco wyżej nad kolana; powyżej zaś — od kolan podtrzymuje te spodeńki szeroka taśma, przymocowana do pasa na brzuchu; z pod taśmy widać wiekuiście brudne kalesony, skrojone z maty, t. j. z grubego materjału bawełnianego.

Wojacy ci, w butach z czarnego materjału (nie ze skóry), na wysokich 2-calowych podeszwach bez obcasów, robią wrażenie nie wojska, lecz bab, na które bez uśmiechu politowania niepo-

dobna było patrzeć. Jednak jest to materjał wojskowy znakomity, Chińczycy bowiem pozbawieni są nerwów, życia nie cenią i umierają tak spokojnie, jak może żaden naród na świecie. Przekonałem się o tem osobiście w 14 lat później, gdy wojowałem z nimi w Mandżurji, w czasie powstania „wielkich kułaków“, a następnie, kiedy byłem komisarzem wojennym w Mukdenie, gdzie miejscowy Dziań-Dziuń (Wice-król), mąż stanu Cyn, skazywał na śmierć setkami pojmanych chunchuzów (zbuntowanych żołnierzy, tworzących rozbójnicze szajki). Delikwentów wyprowadzano na plac obnażonych do pasa, ze związanemi ztyłu rękoma; sami oni klękali jeden za drugim w odległości 5—6 kroków. Potem występował kat wysoki, barczysty, często również do pasa obnażony, zawsze przybrany w pas z czerwonego materjału, owinięty kilkakrotnie dokoła bioder, z krótkim, szerokim mieczem w ręku. Delinkwent schylał głowę; kat chwytał go za warkocz, który obwijał sobie około lewej ręki, i jednem cięciem odcinał głowę, którą odrzucał na bok; ciało padało, brocząc potokami krwi. Następnie kat podchodził do drugiego zkolei, do trzeciego i t. d., póki nie ściął wszystkich głów, skazani zaś, klęcząc, patrzyli zupełnie spokojnie na ściętych poprzedników, pokornie schylając głowę przed katem. Nigdzie szamotania się, krzyków, wyrywania się z rąk kata, nigdzie żadnych oznak rozpaczliwej chęci ocalenia swego życia! Podobna chęć jest tak obca naturze Chińczyka, że konwój, który przyprowadza skazanych na miejsce kaźni, stoi nie przy nich, ale odgradza część placu od publiczności, żeby, napierając tłumnie, nie przeszkodziła katowi w operacji. Skazani sami ustawiają się na placu, klękają dla wysłuchania wyroku i później zostają w tej pozycji, pokornie schylając swoje głowy przed katem. Tylko ręce związują im ztyłu, żeby, w razie niefortunnego cięcia szablą przez kata, delinkwent odruchowo nie zasłonił szyi przed powtórnym ciosem.

Na kurtkach, zprzodu na piersiach i ztyłu na plecach, żołnierze mają naszyte duże tarcze z białej materji, na których czarną farbą wypisane jest nazwisko szeregowca, oraz imię dowódcy pułku, w którym służy.

Z obydwóch stron wrót, na kanach (tarasach), wzniesionych nad drogą, siedziało lub leżało na wojłokach kilkunastu żołnierzy. Jedni z nich grali w karty, inni palili fajki, nie zwracając najmniejszej uwagi na nasz przejazd.

VIII.

DOLINĄ KYZYŁ-SU DO KASZGARU. DELEGACJA HANDLOWA. „DASTARCHAN". TOPOLA „TUGRAK". PRZYJAZD DO KASZGARU. PIERWSZE WRAŻENIA MIEJSKIE. CEREMONJALNA WIZYTA U DAO-TAJA. PRZYJĘCIE. POWRÓT DO DOMU.

O 12 kilometrów od Ming-Juła — góry się kończą. Kyzył-su wybiega z wąwozu na obszerną kamienistą równinę. Prace irygacyjne przeprowadza się tu na wielką skalę. Na horyzoncie widać wioski kaszgarskie, tonące w zieleni ogrodów. Kyzył-su rozgałęzia się na wiele odnóg, a w czasie „wielkiej wody" zalewa równinę.

O 25 kilometrów od noclegu zbliżyliśmy się do miejscowości Andiżan-Kiczu (bród Andiżański)[1]). Tutaj — znowu posterunek wojskowy. Droga przechodzi przez ogrodzone podwórze, gdzie się mieszczą koszary, komora celna, szopa na towary, stajnie, i przez drugie wrota wychodzi na most drewniany, rzucony przez główne koryto Kyzył-su. Za Andiżan-Kiczu widać ogrody dużej wioski Sarman, liczącej 350 domów i stanowiącej jakby przedmieście Kaszgaru.

Karawany handlowe nie mają prawa iść z Andiżan-Kiczu prostą drogą do Kaszgaru, lecz muszą zawracać na północ, na posterunek Zung-Karauł, (Wielki posterunek) o 16 kilometrów od Andiżan-Kiczu, gdzie mieści się główny zarząd celny, i tam złożyć deklarację drobiazgową co do przywiezionych towarów.

---

[1]) Andiżan — powiatowe miasto Fergany ze znacznie rozwiniętym handlem i przemysłem, prowadziło rozległy handel z Kaszgarem. Stąd krajowcy, poddani rosyjscy, noszą nazwę Andiżanów.

O 17 wiorst od Kaszgaru spotkał mię wyższy urzędnik Dao-Taja z tłumaczem, wręczył mi bilet wizytowy Dao-Taja i w jego imieniu powitał, jako gościa rządu chińskiego. Równocześnie przybyli na moje spotkanie: przewodniczący kupców, poddanych rosyjskich, oraz delegacja kupców, która zaprosiła mię na „dastarchan“, t. j. przyjęcie.

Zdaleka już widać było wysoki namiot jedwabny, przyozdobiony sztandarami o barwach rosyjskich; w namiocie duży stół zastawiono misami najrozmaitszych potraw oraz tacami owoców

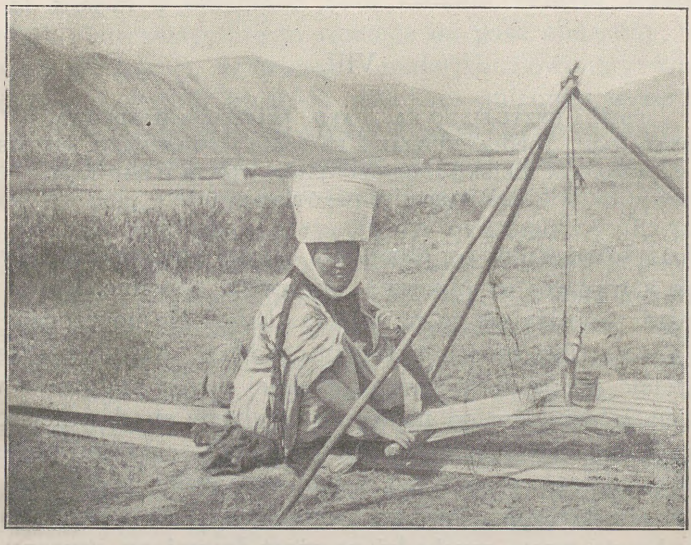

Kirgizka z doliny Wielkiego Ałaju tka wełnianą materję na ubranie (s. 22).

i słodyczy. Po rogach stołu stały tradycyjne dwie głowy cukru. Ponieważ przygotowane przyjęcie nie mogło się pomieścić w namiocie, na stole, więc „dastarchan“ (obrus) opadał na dół i pokrywał obszerny trawnik przed namiotem, również cały zastawiony tacami owoców i słodyczy oraz misami z jedzeniem.

Dla kozaków oddzielnie wystawiono „szamionę“ (rodzaj namiotu na wysokich żerdziach, który daje dużo cienia i nie tamuje dostępu powietrza), a pod nią na wojłokach obfite przyjęcie.

Zaprosiwszy do namiotu urzędnika chińskiego wraz z tłumaczem, „starszynę“ i delegację kupców, z przyjemnością zsiadłem

z konia po 30 kilometrowej jeździe podczas upału i z apetytem zająłem się improwizowanem śniadaniem, gwarząc z delegacją i z urzędnikiem, który, przyzwyczajony do chińskich ceremonij, był widocznie zgorszony, że dopuściłem do swego stołu jego tłumacza i delegację krajowców, traktując wszystkich jednakowo, jak gości równouprawnionych.

Po godzinnym odpoczynku ruszyliśmy dalej do Kaszgaru drogą przez oazę wśród wspaniałych pól, wiosek i ogrodów. Chwilkę zatrzymałem się przy Mazara-Tugrak, obsadzonem topolami tugrak. Jest to topola, której przedtem nie spotykałem nigdzie w Azji Środkowej. Ma ona liście małe i tak suche, że się kruszą w ręku lub od wiatru; wskutek tego pod drzewem nigdy liści nie bywa. Dlatego też w lasach tugrakowych niema czarnoziemu, który bywa zwykle w lasach bukowych lub dębowych. Topola ta doskonale znosi suszę i z tego powodu spotyka się ją wpobliżu pustyni Gobi.

Wreszcie zbliżyliśmy się do Kaszgaru od strony wrót Kum-Darwasa (wrota na piaskach) i, nie wchodząc do miasta, udaliśmy się wzdłuż murów miejskich w stronę konsulatu rosyjskiego, który mieścił się w ogrodzie Jar-bak (ogród nad jarem), nad brzegiem Kyzyl-su, wpobliżu drugiej bramy miejskiej, Jar-bak-darwaza.

Kolonję rosyjską wtedy stanowili: konsul N. Piotrowski, sekretarz konsulatu, J. Lutch, oraz pół seciny kozaków syberyjskich z oficerem. Konsulat wówczas nie miał jeszcze swego domu i mieścił się w saklach kaszgarskich, przerobionych nieco po europejsku. Konsul nie chciał mieszkać w mieście, żeby nie był zmuszony poddawać się obowiązującym w Chinach przepisom. A te są nader krępujące: na pół godziny przed zachodem słońca rozlega się strzał armatni, po którym wszystkie wrota w obrębie murów miasta przymyka się do połowy; ludność miejska z pośpiechem wraca do miasta, wiejska zaś—wyjeżdża. Potem punktualnie o zachodzie słońca następuje jeszcze jeden wystrzał armatni, i nietylko wrota miejskie zamyka się na łańcuchy i zapory, ale i wszystkie ulice również ulegają zamknięciu zapomocą bram okratowanych, klucze zaś od wrót miejskich i dzielnicowych zostają odniesione do kancelarji Dao-Taja tak, że życie w mieście zamiera, i niepodobna przedostać się z jednej ulicy na drugą.

O świcie nowy wystrzał armatni oznajmia mieszkańcom o otwarciu wszystkich wrót, i miasto się ożywia.

Na drugi dzień (21 sierpnia) z rana posłałem do Dao-Taja już nowy, zrobiony w konsulacie, ogromny czerwony bilet wizytowy, oznajmiając, że mam zamiar go odwiedzić, i zapytując, o której godzinie mię przyjmie.

W godzinę potem przyjechał osobisty tłumacz Dao-Taja, mandżur Fu-da-łoje, mówiący bardzo dobrze po rosyjsku, z biletem wizytowym Dao-Taja i z zawiadomieniem, że Dao-Taj będzie szczęśliwy, gdy mię zobaczy u siebie o 11 rano. Fu-da-łoje okazał się człowiekiem bardzo sympatycznym, bywał często w konsulacie i bawił nas swą brawurą, oraz szczerą pogardą, jaką każdy Mandżur czuje do Chińczyka. Poczęliśmy się przygotowywać do wizyty, że zaś konsul i przez kurtuazję, i w chęci podkreślenia wagi mojej misji chciał mię osobiście przedstawić Dao-Tajowi, więc sformowała się imponująca kawalkada.

Naprzód biegł szybkobiegacz, krajowiec, przepasany przez plecy szeroką wstęgą o barwach rosyjskich, nawołując: „usuńcie się, jedzie konsul wielkiego mocarstwa rosyjskiego". Za szybkobiegaczem jechało trzech kozaków, z których środkowy niósł w ręku sztandar konsulatu. Za nimi, w oddaleniu 20 kroków — konsul, ja i sekretarz konsulatu, wszyscy w mundurach galowych, ze wszystkiemi orderami. A ponieważ panowie dyplomaci koni dosiadali rzadko, więc czuli się na nich fatalnie, zwłaszcza zaś mając na głowach stosowane kapelusze i przy boku cywilne szpady, które ciążyły im i nie nadawały się do jazdy konnej. Za nami jechał dowódca konwoju i 30 uzbrojonych kozaków.

Jamyń (mieszkanie urzędowe) Dao-Taja położony był w środku miasta Kaszgaru, w dawnej urdze Jakóba Beka, przerobionej według wymagań Chińczyków.

Ulice Kaszgaru są nadzwyczaj wąskie, i tylko główne arterje nadają się do przejazdu arb. Reszta ulic nie jest szersza nad 3—4 kroków, tak, że jadąc konno, nie wszędzie mogliśmy się zmieścić we trzech. Teraz dopiero uwydatniła się niezbędność szybkobiegacza, który pędził naprzód i oczyszczał drogę. Był to dzień bazarowy. Ze wsi o świcie przybyły tłumy ludu, przeważnie na osiołkach, przywożąc swe produkty i zakupując rzeczy potrzebne. Ulice były zatłoczone ludźmi i zwierzętami, i przejazd rzeczywiście spotykał trudności. Słysząc okrzyki szybkobiegacza, przechodnie przyciskali się do murów, inni zaś albo cofali się w boczne ulice, albo złazili ze swych zwierząt i starali się wciągnąć je do sieni i furtek domów, żeby tylko przepuścić orszak.

Domy w Kaszgarze są przeważnie dwupiętrowe, karkasowe, o ścianach, wykładanych niewypalaną cegłą; dachy płaskie, zalane roztworem gliny. Na dachach latem, w duszne noce upalne urządza się prowizoryczne namioty, w których wszyscy śpią razem. Na dachach tych suszą się również owoce: morele, figi i winogrona, oraz bielizna po praniu, wogóle wszystko, co ma przeschnąć albo się przewietrzyć. Podwórka w domach są małe z powodu braku miejsca, gdyż miasto jest okrążone murem obronnym, i ziemi pod budowę brak. Ogrodów niema zupełnie. Czasami tylko na podwórku trafia się drzewo morwowe, albo morelowe, lub też pod ścianami winograd, pnący się na wysokie rusztowania, tworzy cieniste altany, w których kobiety, spędzają całe dni, gotując, szyjąc, piorąc i t. p. Ulice mają wygląd jednostajny i przygnębiający, bo wszystkie domy są szare i bez okien od frontu, jak zresztą we wszystkich miastach i wioskach muzułmańskich Azji Środkowej, gdzie kobiety powinny się zasłaniać od obcych, mając zaś okna, napewno nie wytrzymałyby i wyglądały na ulicę.

W mieście jest dużo bazarów i guzarów. Bazary są to dzielnice handlowe albo ulice wyłącznie ze sklepami. Ulice te zwierzchu, na wysokości dachów, pokryte są rusztowaniem z gałęzi w celu ochrony od palących promieni słońca. To zaciemnia ulicę, lecz daje we dnie przyjemny chłód, tem milszy, że ulice bazarów często polewa się wodą. Guzar — to malutki bazar; znajduje się on obowiązkowo w każdej dzielnicy i składa się z trzech — czterech sklepów, a mianowicie: ze sklepu spożywczego, z rzeźniczego oraz z niezbędnej *czajchena* (herbaciarnia), gdzie można dostać herbaty, chleba, owoców i czegoś do zjedzenia. Tu zbierają się sąsiedzi na pogawędkę, tu się przyjmuje gościa, jeżeli ten ma mało czasu albo jeżeli gospodarz nie chce lub nie może urządzić u siebie przyjęcia.

Tylko meczety albo medrese (wyższe szkoły), fundowane przez krajowców — bogaczy, budowane są z wypalonej cegły i mają charakter długotrwały. Choć i tu karkas przeważa. Woda przeprowadzona jest do miasta sztucznemi kanałami, które, rozgałęziając się na misterną sieć, rozbiegają się po całem mieście i płyną strumykiem nieszerszym nad szerokość ręki; woda przepływa obowiązkowo przez każde podwórko. Oczywiście, płynąc z jednego domu do drugiego, jest ona bardzo zanieczyszczona i w czasie epidemji roznosi zarazę po całem mieście. To też ludzie zamożni otrzymują wodę do picia z rzeki Kyzył-su, albo przywożoną w beczułkach, zręcznie przymocowanych do siodła na osiołku, albo przynoszoną na

plecach w gubsarach, t. j. w ogromnych worach ze skóry byczej lub cielęcej. W meczetach są niewielkie sadzawki z brzegami, wyłożonemi drzewem; na brzegach stają mężczyźni dla pięciokrotnych codziennych ablucyj, przepisanych przez koran. W czasie obmywania czałmę zdejmuje się razem z krymką, którą obwija ona dokoła, a na wygoloną głowę narzuca się zdjęty z siebie wierzchni strój.

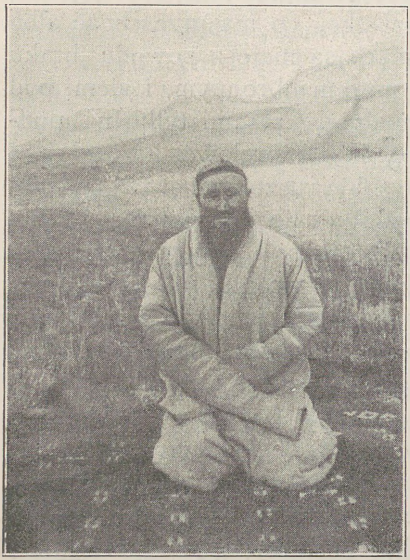

Kirgiz z rodu Czum-bagysz
Mirza Pajas, syn Dżarkien-Baj-Datchi
(s. 25).

Na ulicach — tłum szary. Nie widać tu strojów jaskrawych z miejscowego jedwabiu, atłasu lub adrasu, tak charakterystycznych dla ulic rosyjskiego Turkiestanu lub Buchary.

Widać na wszystkich twarzach przygnębienie; każdy się lęka, by się nie wydał zbyt zamożnym, nie zwrócił na siebie uwagi i nie ściągnął wyzysku. Kobiet, ubranych jaskrawo, spotyka się trochę więcej, ale także stosunkowo niewiele. Ubiór kobiecy stanowią koszule, przeważnie białe, z grubej materji bawełnianej, oraz takież spodnie, związane w kostce. Kobiety starsze noszą koszule z daby, niebieskiej bawełnianej materji, praktyczniejszej, bo nie tak łatwo się ona brudzi. Na głowie—tubitejka (krymka) ręcznej roboty, misternie wyhaftowana różnokolorowym jedwabiem. Parandży t. j. długiej szarej sukni do samej ziemi, z takiemiż rękawami, którą się wkłada przez głowę a która osłania całą postać kobiety, tutaj nikt nie nosi. Zastąpiono ją kawałem białej materji przezroczystej, którą się narzuca na głowę i która zakrywa całą figurę do ziemi. Zimą, zamiast tubitejki, kobiety noszą okrągłe czapki z baraniego futra, których szerokie rondo pokryte jest futrem wydry, a wierzch złotogłowiem. Jest to jedyna rzecz cenna, która zdobi tutejsze kobiety. Na nogach noszą buty, a nie półbuciki z miękką skórzaną podeszwą i kalosze, jak w Turkiestanie. Kobiety Kaszgarji nie zakrywają się tak starannie, jak w innych miejscowościach Azji; przeciwnie, przytulone do muru, z ciekawością przyglądały się

naszemu pochodowi i dopiero pod gradem kozackich spojrzeń jakby niechcący naciągały na twarze białe zasłony albo odwracały się twarzą do ściany, przy której stały, przygarniając do siebie dzieci.

Tak przedzierając się przez różnobarwny tłum ludzi i zwierząt jucznych, podjechaliśmy do Jamynia, przed wrotami którego wznosi się ściana z namalowanym na niej smokiem. Nad wjazdem pawilon w stylu chińskim, a w nim straż. Ta w chwili naszego wjazdu na podwórze daje wystrzał z tajfury, t. j. z przenośnego działa, które w czasie ćwiczeń nosi 4 żołnierzy na szerokich pasach skórzanych.

Ubiór głowy młodej Kirgizki w dolinie Wielkiego Ałaju (s. 27).

Dyplomaci wiedzą o strzale, że zaś Chińczycy prochu nie żałują, i huku bywa dużo, więc chwytają się za grzywy końskie, żeby nie wylecieć z siodła, a ordynansi — kozacy trzymają konie za lejce i wprowadzają na pierwsze podwórze. Naprzeciwko wjazdu — główne ogromne wrota drewniane z dwiema furtkami po bokach. Na wrotach — jaskrawe portrety jakichś bohaterów rodzinnych, mających strzec tego domu. Wrota na nasze przyjęcie szeroko się otwierają, wpuszczając nas na drugie podwórko, znacznie mniejsze, brukowane cegłą paloną i okolone parterowemi budynkami, w których mieszkają: straż, tłumacze i służba Dao-Taja. Sztandar i konwój zostaje na pierwszem podwórzu, my zaś konno wjeżdżamy na drugie, schodzimy z koni i oddajemy je ordynansom.

Naprzeciwko wejścia wznosi się pawilon, obity czerwonem suknem, gdzie na podwyższeniu siada na krześle Dao-Taj w czasie rozpatrywania spraw sądowych. Na tylnej ścianie widać wymalowany złotemi farbami herb Chin—podwójnego Smoka. Z obydwu boków pawilonu szerokie drzwi prowadzą na trzecie podwórko.

Zszedłszy z koni, zbliżamy się powoli ku pawilonowi. Z lewej strony stoi rzędem warta honorowa z żołnierzy chińskich,

z prawej — w szpaler ustawiona służba w ubiorach galowych. Im wyższe stanowisko zajmuje urzędnik, tem służby ma więcej. — Przechodzimy przed wartą. Oficer komenderuje po chińsku. Warta prezentuje broń, przyklęka na jedno kolano i coś głośno wykrzykuje, poczem natychmiast wstaje. Podchodzimy do pawilonu.

Nagle tylna ściana pawilonu się rozwiera, i szybkim krokiem wchodzi na stopnie Dao-Taj. Etykieta wymaga, żeby gospodarz spotkał gościa u stóp pawilonu. Stąd wynika, że goście winni iść powoli przez podwórze, aby dać czas gospodarzowi przygotować się do spotkania. Dao-Taj to mężczyzna mniej więcej 35-letni, wrostu średniego, szczupły, o twarzy pergaminowo żółtej, wygolony, z błędnemi oczyma, nad któremi widać brwi podstrzyżone: jednę siwą, drugą zupełnie czarną. Ubrany jest w jasno-niebieską suknię jedwabną, sięgającą do kostek, z szerokiemi rękawami, zapinaną zboku; na sukni — ciemno-czekoladowa mundurowa kurtka jedwabna, również z szerokiemi rękawami, zapinająca się zprzodu na pięć guzików złotych. Na piersiach — złotem haftowany kwadrat z łabędziem pośrodku, co ma być jakimś wysokim orderem dla urzędników cywilnych, wojskowi bowiem noszą wyhaftowane tygrysy lub inne zwierzęta drapieżne. Order europejski, to jest gwiazda ze wstęgą, istnieje w Chinach tylko jeden. Jest to gwiazda Podwójnego Smoka różnych stopni, którą zdobi się tylko europejczyków. Dao-Taj ma okrągłą czapkę z pawiem piórem, sterczącem ztyłu na 30 ctm.; na środku czapki koralowa gałka oznacza rangę generalską. Na nogach—białe skarpetki płócienne, związane w kostce ze spodniami tej samej barwy, co suknia, oraz haftowane czarne zgrabne pantofle na dwucalowych, białych podeszwach bez obcasów.

Dao-Taj szybko przesuwa się przez pawilon, schodzi po stopniach, przykłada obie pięści do twarzy i potrząsa niemi przyjaźnie; potem schodzi z ostatniego stopnia pawilonu i wita się z nami, potrząsając długo ręką każdego i pytając szybko po dziesięćkroć: Hóma! Hóma! (Czy dobrze?) Na to się odpowiada Haù! Ho! Ho-de-chyn (Dobrze! Bardzo dobrze!)

Następnie Dao-Taj bierze jedną ręką pod ramię konsula, drugą mnie i wprowadza na stopnie pawilonu, prosząc, byśmy szli przodem; my zlekka się opieramy, nalegając, aby on, jako gospodarz, poszedł pierwszy, wreszcie wszyscy trzej wkraczamy jednocześnie na trzecie podwórko, również brukowane cegłą, lecz mniejsze od poprzedniego. Podwórko to okolone jest partero-

wemi domkami, w których mieszkają najbliżsi współpracownicy Dao-Taja. Urzędnicy ci stoją szpalerem w galowych mundurach; każdy z nich kolejno, w miarę jak przechodzimy przed nimi, szybko przyklęka na jedno kolano i potem natychmiast przyłącza się do orszaku.

Podchodzimy do głównego budynku, gdzie mieści się ogromna sala przyjęć. Szerokie drzwi (właściwie wrota) sali otwarto naoścież: chwila dwornych zaproszeń wzajemnych do wejścia na salę, poczem wkraczamy wszyscy trzej jednocześnie. Sala jest długa, oświetlona otwartemi drzwiami i oknami, zaklejonemi papierem przetłuszczonym. Wprost drzwi—wysokie ławy gliniane, pokryte dywanem; na nich leżą dwie czerwone sukienne, czworograniaste poduszki watowane. Między poduszkami stoi lakierowany stoliczek do herbaty na bardzo niskich nóżkach. Poczynając od ław, ciągną się przez całą salę, niemal do samych drzwi wchodowych dwa rzędy wysokich krzeseł, z bardzo wysokiemi oparciami, tworząc rodzaj szerokiego korytarza, przez który postępujemy swobodnie we trzech. Między każdemi dwoma krzesłami stoi wysoki stolik do herbaty. Podchodzimy do ław. Dao-Taj znowu każdemu z nas grozi pięściami, potem wskazuje, gdzie należy siąść, i w tej chwili stawia na stoliku filiżankę herbaty, którą podaje mu służba. Filiżanki są bez spodków. Herbatę zasypuje się bezpośrednio do filiżanki, zaparza wrzątkiem i zakrywa przykrywką porcelanową, dopasowaną do filiżanki. Kolor herbaty jest zielonawo-słomkowy, smak gorzkawo-cierpki. Pije się ją bez cukru. Czasami, gdy gatunek herbaty jest bardzo wysoki, wrzuca się do filiżanki po jednym jej kwiatku. Kiedy goście mają już wskazane miejsca i podaną herbatę, najstarszy z nich, w danym wypadku konsul, bierze ostatnią filiżankę i stawia ją obok miejsca Dao-Taja, który jeszcze raz grozi nam pięściami — i wszyscy siadamy. Urzędnicy, którzy weszli do sali razem z nami, częściowo stają z obydwóch stron ław, częścią za krzesłami gości. Tłumacze stają obok Dao-Taja, konsula i mnie. Poczyna się rozmowa.

Dao-Taj mówi długiemi okresami, o dwóchsetletniej przyjaźni dwóch wielkich mocarstw, starając się wysłowić pięknie i głosem śpiewnym. Rozpytuje mię o wrażenia podróży, o życie i handel Fergany. W odpowiedzi moje wsłuchuje się uważnie, przerywając je krótkiemi uwagami, naprzykład: — „jaki pan rozumny“, „jak pan ślicznie mówi“ i t. p., co, naturalnie, i z mojej strony wywołuje komplementy, dotyczące administracji chińskiej, jej taktu, do-

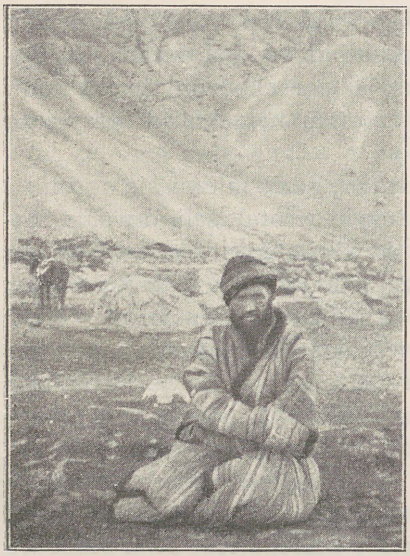

Karym-Bij, pograniczny bek Kirgizów chińskich w Irkesztamie (s. 36).

brobytu Kirgizów, a wszystko to jest skutkiem rządów takiego męża stanu, jakim jest szanowny gospodarz kraju. Dao-Taj słucha z przyjemnością, przyczem często przechyla się cokolwiek wtył i zamyka oczy, jakby od nadmiernego zachwytu. Po półgodzinnej rozmowie wypiliśmy herbatę. Dao-taj niepomiernie długiemi paznokciami (na 3—4 cm., co stanowi dowód, że Chińczyk pracuje umysłowo, nie zaś fizycznie i że nie jest kupcem) wydobywa rozparzone zdziebełka herbaty i, rozmawiając, przeżuwa je. Wreszcie, widząc, że my nie idziemy za jego przykładem, zrywa się z miejsca, znowu grozi nam wszystkim pięściami i z najwyższą uprzejmością prosi nas na „maleńką“ przekąskę.

Wstajemy i, zachowując te same etykietalne formalności przy każdych drzwiach, idąc na przedzie z Dao-Tajem pod ramię, wychodzimy z sali przyjęć na podwórze, potem skręcamy wbok i przez otwór w ścianie, w kształcie gwiazdy, przechodzimy na inne podwórze do budynku z ogromnym tarasem, służącym za salę jadalną. Teraz już z powodu silnego upału Dao-Taj wprowadza nas do jadalni w swych apartamentach prywatnych. Jest to duży pokój, z ogromnemi otwartemi naoścież drzwiami, przez które wchodzi dużo światła i powietrza. Ściany jadalni są białe, błyszczące, wyłożone alabastrem; na ścianach rozwieszone są rysunki kwiatów i ptaków, wykonane bardzo misternie tuszem i farbami na długich rolkach grubego papieru przez jedną z żon Dao-Taja. Pośrodku--duży okrągły stół, dokoła którego stoi 8 krzeseł.

Z bocznego pokoju wychodzi trzech wysokich urzędników chińskich, zaproszonych przez Dao-Taja na obiad. Urzędnicy ci kolejno podchodzą szybkiemi krokami do Dao-Taja, grożąc sobie wzajemnie pięściami, jednocześnie z Dao-Tajem przyklękają na prawe kolano i podają sobie ręce. Dao-Taj przedstawia nam ich; są to: naczelnik okręgu kaszgarskiego, komendant miasta i do-

wódca konnej lanzy, stojącej załogą w samem mieście Kaszgarze. Dao-Taj z naciskiem oznajmia, że zaprosił wojskowych, żebym się nie nudził w czasie obiadu. Po ogólnem zapoznaniu się, Dao-Taj wskazuje mnie i konsulowi miejsca obok siebie, innym gościom — dalej. Jest nas ośmiu: 4 europejczyków, 4 Chińczyków, tak, że siedzimy, przedzieleni Chińczykami. Ceremonja wskazywania miejsc jest ukończona — siadamy do stołu. Obok naszych krzeseł stają tłumacze, za krzesłami urzędnicy świty Dao-Taja, którzy wraz ze służbą zmieniają nam talerze, podsuwają potrawy, dbają, aby poruczony im gość na chwilę nie został bez opieki.

Oglądam zastawę stołu, nakrytego czerwonym obrusem. Jest on cały pokryty zimnemi przekąskami, których naliczyłem do 40 talerzyków. Były tam mianowicie: wędlina najrozmaitszych gatunków; jajka na twardo, prawie czarne, gdyż podobno 300 lat przechowywane w wapnie; rozmaite sałaty z mięsa i z ryb; pijawki smażone w cukrze i jakieś ciastka, bardzo aromatyczne i zaostrzające apetyt. Oprócz tego przy każdem nakryciu stoją talerzyki z migdałami w soli, z prażonemi pestkami od kawonów w soli i z paroma gatunkami ostrej soi. Podają wódkę wyrobu chińskiego, zaprawioną trawami aromatycznemi i podegrzaną, nalewając ją w kieliszki niewiększe od naparstka. Że jednak dolewają jej często, i że każdy z Chińczyków, chociaż woła „bussy“, „bussy“, ale przepija do sąsiada, nic więc dziwnego, iż w rezultacie zbiera się spora porcja owych naparstków. Przekąski, jak i wogóle wszelkie potrawy mięsne lub rybne, pokrajane są na drobne kawałki. Dla nas położono widelce i noże. Chińczycy jedzą dwiema pałeczkami kościanemi długości 25 ctm., z których jednę zaciskają między drugim a trzecim palcem, drugą zaś między trzecim a czwartym palcem prawej ręki; posługują się oni niemi artystycznie. Zupę jedzą porcelanowemi łyżkami o krótkich rączkach.

Po skończonej przekąsce Dao-Taj prosi, byśmy zdjęli czapki, i, sam zdejmując swoją, wkłada czarną krymkę z czerwonym pomponem. Czapki biorą urzędnicy i składają je na stole pod ścianą.

Podają dalsze potrawy. Więc naprzód zupy 5—6 gatunków: z gniazd jaskółczych, z suszonych żółwi, ze skrzeli rekinów. Wszystkie są bardzo smaczne i esencjonalne; nalewa się je w filiżanki takiej wielkości, jak do herbaty, tylko szerokie i z grubej porcelany. Po zupie następują rozmaite potrawki z ptactwa i z ryb, potem pieczyste: ze świniny, z baraniny, z drobiu, skórki z tłustego prosięcia, chrupiące w ustach, nadzwyczaj smaczne. Po pieczystem

podają smakołyki: rodzaj pierogów z psiego mięsa, silnie zaprawionych podsmażoną cebulą, trepangi (morskie zwierzątka, wielkości i koloru figi suszonej, pokryte setkami ust, któremi przylepiają się do ryb i innych zwierząt i wypijają z nich krew) w sosie, albo maleńkie schabiki z mięsa psów chińskich, z długą szerścią i ze złamanym nosem. Schabiki te, wielkości monety 20-kopiejkowej, są rzeczywiście nader delikatne, mięso zaś ich uważa się za taki przysmak, że na bazarach Pekinu lub Mukdenu z głów tych zwierząt nie zdejmuje się skóry umyślnie, żeby każdy kupujący widział, iż nabywa to, a nie inne mięso.

Przy pieczystem Dao-Taj prosi, byśmy zdjęli surduty, i sam zrzuca kurmę orderową, pozostając tylko w sukni jedwabnej, podpasanej pasem; za pasem zprzodu tkwią misterne długie worki do pieniędzy i drobiazgów, bo kieszeni niema; ztyłu zaś fantazyjnie zatknięta jest długa taśma, sięgająca do pięt, która stanowi przedłużenie warkocza. Przy stole toczy się ożywiona rozmowa, każdy coś opowiada; biesiadnicy wybuchają głośnym śmiechem, lecz urzędnicy, stojący wokoło stołu, żadnego udziału w rozmowie i śmiechu nie biorą, odpowiadając na uwagi, odniechcenia rzucane przez Dao-taja, jednosylabowem „Sza". (Słucham!).

Poczyna się gra na kieliszki chanszynu (wódki) między sąsiadami przy stole, polegająca na tem, że jeden z gości prostuje palce swej pięści, drugi zaś równocześnie zgaduje, ile palców tamten wyprostował. Więc naprz. jeżeli ja szybko z zaciśniętej pięści wyprostuję dwa palce, a sąsiad mój równocześnie krzyknie „lango" (dwa), wtedy ja przegram i będę musiał wypić oba naparstki; jeżeli zaś sąsiad mój nie zgadnie, on wypija oba kieliszki. W grze bierze udział cały stół; jeżeli komu się nie wiedzie, tak, że musi wypić dużo kieliszków, wszyscy kpią z nieszczęśliwego gracza z całego serca.

Dao-Taj, wygolony, w jedwabnej sukni, z nieodłącznym wachlarzem, z długiemi włosami i warkoczem ztyłu, wygląda, jak stara baba w szlafroku porannym. Goście chińscy także zdejmują wierzchnie ubranie. My szczerze im zazdrościmy, bo gorąco piekielne, ale zrzucić mundurów sukiennych niepodobna, gdyż pod spodem mamy tylko bieliznę. Rozpinamy się więc tylko chętnie.

Po smakołykach podają nam cały szereg jarzyn, a więc: kapustę morską, suszoną i podsmażoną na sucho w oleju, wygotowane korzenie młodego bambuka w słodkim sosie (wyglądają, jak nasze szparagi, tylko są delikatniejsze, gdyż cały korzeń jest miękki,

jak u nas koniec szparagów); wygotowane ziarnka lotosu (kwiat, który Budda trzyma w ręku) w słodkiej polewce i t. p.

Obiad ciągnie się już 4 godziny. Goście wstają, wychodzą na chwilę i znowu wracają.

Przed końcem obiadu podają drobniutkie bułeczki z ciasta, pieczone na parze. Potem wnoszą jeszcze tace; na każdej stoi po pięć salaterek z jakiemiś potrawami, ale co to za potrawy, nie wiem, bo goście chińscy wymawiali się od nich, mówiąc, że są syci, a i nas niebardzo zapraszano. Widocznie były to potrawy „dekoracyjne", „dla liczby"; nie wypada bowiem dla znakomitych gości podawać obiadu mniejszego, niż na 120 dań, włącznie z przekąskami. Takich tac było pięć, i salaterkami, których nie sprzątano, zapełnił się cały stół. Wreszcie podano ryż i oddzielnie białą wodę, w której ryż się gotował. Chińczycy jedzą ryż pałeczkami nadzwyczaj zręcznie i jedzą go stosunkowo dużo, popijając tą wodą. Ja ryż bardzo lubię, ale zapić go nieosoloną ciepłą wodą nie mogłem.

Wogóle, jadąc do Dao-Taja, wiedziałem, że wystąpi on z obiadem, słysząc zaś tak dużo o kuchni chińskiej, postanowiłem nie brzydzić się niczem i wszystkiego spróbować. Przy niektórych potrawach w rodzaju pijawek smażonych w cukrze, przy kołdunach z psiego mięsa, trepangach, lub schabikach z biednych tłustych psiaków było mi nieswojo, tem bardziej, że konsul, drażniąc mię, opowiadał półgłosem herezje o każdej z potraw, ale przemogłem się i próbowałem wszystkiego, tłumacząc sobie, że, jeżeli można było objadać się ostrygami w Arcachon lub Ostendzie, w Paryżu ślimakami lub żabami, w Marsylji zaś zachwycać się zupą „boullabesse", to nie było powodu, bym nie spróbował w Chinach kuchni narodu o kulturze najstarszej w obecnym świecie.

Po ryżu konsul, jako najstarszy z gości, prosił Dao-Taja o pozwolenie podziękowania kucharzowi za wspaniałą ucztę. Dao-taj długo się nie zgadzał, twierdząc że niewarto, gdyż była to tylko przekąska, że o wizycie mojej dowiedział się dopiero dzisiaj, więc przy najszczerszych chęciach nie mógł wystąpić z lepszym obiadem; lecz w rzeczywistości był bardzo z tego zadowolony i kazał przyjść kucharzowi, który od każdego gościa dostał pewną, zawczasu przygotowaną kwotę i, przyklękając na jedno kolano, prosił o wybaczenie, że nas tak źle nakarmił.

Uczta była skończona. Włożyliśmy urzędowe czapki i, podziękowawszy za uprzejme przyjęcie, poczęliśmy się żegnać. Była

już 6-sta wieczorem. Goście-Chińczycy, pożegnawszy się, zniknęli gdzieś w bocznych mieszkaniach, gospodarz zaś, w otoczeniu swej świty, odprowadził nas aż do koni.

Znowu powtórzyła się ceremonja przed każdemi drzwiami: prosiliśmy, żeby nas nie odprowadzał, lecz Dao-Taj się nie zgadzał i zniknął za ścianą pawilonu dopiero wtedy, kiedy dosiedliśmy koni. Kozaków naszych zastaliśmy w różowych humorach, gdyż Dao-Taj wysłał im był wiadro wódki i 4 szynki. We wrotach dano tym razem 3 strzały z armat, na znak, że byliśmy nietylko z urzędową wizytą, lecz i podejmowani przez Dao-Taja. Wróciliśmy do domu około 7 wieczorem, zmordowani, w mundurach zakurzonych i nawskroś przepoconych i... głodni, pokazało się bowiem, że, chociaż zjedliśmy dań bez liku, ale — wszystkiego w bardzo małej ilości i w przeciągu 6 godzin; żołądek więc stale odbywał proces trawienia, tem bardziej, żeśmy dużo pili chanszynu, zaprawionego rozmaitemi trawami, i używali chińskiej soi, która także pomaga do trawienia.

Że zaś nie jedliśmy ryżu, który stanowił właściwie podstawę całego obiadu, więc, przejechawszy się parę kilometrów konno, po kąpieli i po przebraniu się, byliśmy tak głodni, że z przyjemnością zasiedliśmy do własnej kolacji.

IX.

REWIZYTA DAO-TAJA. ODWIEDZINY U GŁÓWNEGO DOWÓDCY WOJSK. OBIAD NA 240 DAŃ. TEATR CHIŃSKI. REWIZYTA ZUNG-TUNA. WZAJEMNE GRZECZNOŚCI I PODARUNKI.

Na drugi dzień Dao-Taj oddał mi wizytę w konsulacie. Przyjęliśmy go według etykiety u wejścia do ogrodu, w galowych mundurach, a konwój konsulatu prezentował broń.

Wyjazd Dao-Taja za mury miasta stanowi rzadkie zdarzenie i połączony jest z wielkiemi ceremonjami. Na przedzie biegnie dwóch szybkobiegaczy z kijami, krzycząc: „Padajcie na ziemię! Wielki Dao-Taj jedzie". Potem jedzie kilku urzędników konno; z nich jeden trzyma gong (instrument miedziany w rodzaju tacy lub misy), w który bije młotkiem drewnianym. Na głos gongu wszyscy się zatrzymują, klękają choćby w błocie i schylają głowy do ziemi, trzymając je w tem położeniu, póki nie przejedzie Dao-Taj. Za gongiem — znowu kilku konnych, z których jeden trzyma ogromny parasol czerwony, rozpięty na wysokim kiju; jest to oznaka najwyższej władzy administracyjnej i symbol prawa sądu bezapelacyjnego nietylko w urzędzie, ale na każdem miejscu, gdzie będzie rozpięty. Potem — „mapa", zaprzężona w dwa rosłe konie w szpic, prowadzone przez poganiaczy. W „mapie" siedzi Dao-Taj, najczęściej, jak bóstwo, zasłonięty ze wszystkich stron niebieskiemi firankami. „Mapa" otoczona jest pieszymi żołnierzami, uzbrojonymi w starodawny oręż chiński, który teraz już nie jest w użyciu. Są to na wysokich kijach osadzone trójzębne widły i miecze, wyszczerbione, jak piła. Tuż za „mapą" jedzie konno 30—40 urzędników różnych rang. Cała ta horda włazi za Dao-Tajem do pokojów,

wypełnia je swoistym zapachem potu i czosnku, wszystko ciekawie ogląda, a czasami chowa[1]) drobiazgi do woreczków. Wskutek tego w pokojach recepcyjnych konsulatu przed przyjazdem wysokich władz chińskich usuwano wszelkie drobiazgi, które łatwo można było wynieść.

Dao-Taj zabawił w konsulacie kilka godzin. Jadł mało, ale słodki likier z małych kieliszków sączył po kropelce chętnie. Wkońcu policzki mu się zaróżowiły, rozkrochmalił się i stał się bardzo rozmowny, wykazując dużo inteligencji, znajomości kraju i stosunków międzynarodowych. Ta rozmowa dała mi możność pozyskania jego sympatji, co potem bardzo mi się przydało w dłuższej podróży po Kaszgarji.

Na trzeci dzień pobytu w Kaszgarze (23 sierpnia) złożyłem wizytę głównemu dowódcy wojsk (Zung-Tun) w prowincji Naulu-bo-czyn, mężowi stanu Dung-Da-żeń, który mieszkał w twierdzy Jangi-Szaar (Nowe-miasto) o 9 kilometrów od Kaszgaru.

Konsul Petrowskij nie wziął udziału w tej wizycie, gdyż z Zung-Tunem nie lubili się wzajemnie. Pojechaliśmy z sekretarzem konsulatu, p. J. Lutschem i z oficerem kozackim, naturalnie, z zachowaniem przepisów etykiety chińskiej, to jest z ogromnym konwojem, ze sztandarem, z szybkobiegaczami, zawiadomiwszy wprzód z wieczora o zamierzonem przybyciu w odwiedziny.

Jangi Szaar — to największa twierdza w Kaszgarji, mająca około 1½ kilometra w średnicy, otoczona dokoła wysokim i grubym wałem. Wał ten usypany jest z ziemi na wysokość ponad 8 metrów, przy szerokości 20 m. na dole i 9 m. u góry. Na wierzchu

---

[1]) Muszę przyznać, że pod tym względem i niektórzy wyżsi urzędnicy rosyjscy byli bez skrupułu. Po zajęciu Pekinu w 1901 roku przez wojska koalicyjne, pałac cesarski był strzeżony przez wojska rosyjskie z oddziałów generała Liniewicza, później głównodowodzącego całą armją rosyjską w wojnie z Japonją, i Stessla, (później znanego komendanta Portu Artura). Admirał Aleksiejew, ówczesny główny naczelnik armji i floty rosyjskiej na Dalekim Wschodzie, z ogromną świtą zwiedzał pałac cesarzowej Tajtsu, która uciekła w ostatniej chwili przed zajęciem pałacu, zostawiwszy w nim wszystko. Na stołach i stolikach były rozstawione bezcenne drobiazgi, przedmioty z bronzu, korali, kości słoniowej lub złota. Otóż na własne oczy widziałem, jak wielu z otoczenia admiralskiego oglądało te arcydzieła, zachwycało się niemi i następnie — chowało do kieszeni „na pamiątkę". Mnóstwo takich „pamiątek" sprzedawano potem w Porcie Artura Chińczykom. Na interwencję konsula angielskiego odebrałem od kupca Tifontaja kupione przez niego za 10,000 rb. insygnia orderu Podwiązki, obsypane brylantami, podarunek królowej Wiktorji Bogdychanowi.

walu wznosi się ściana ochronna wysokości 1½ m. ze strzelnicami. Dokoła murów jest głęboki rów, napełniony wodą, i mosty zwodzone przed każdemi wrotami do twierdzy. Twierdza wyglądała dobrze i przy ówczesnem uzbrojeniu mogła stanowić poważną zaporę,

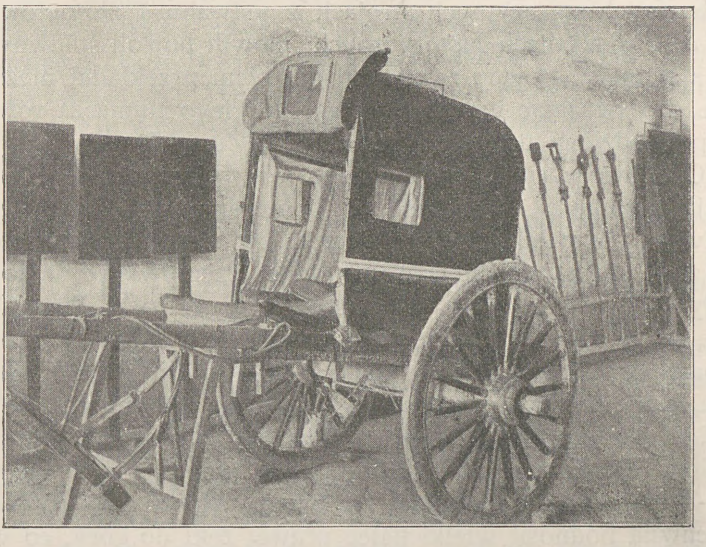

„Mapa", kareta chińska, w której wyżsi urzędnicy podróżują po kraju (s. 43).

dla krajowców zaś była wprost nie do zdobycia. To też Zung-Tun dumny był z twierdzy i potem, kiedyśmy się bliżej zapoznali, zaproponował mi, abym ją zwiedził szczegółowo.

W twierdzy mieścił się pałac Zung-Tuna, przy nim arsenał i składy prochu, koszary dla pieszej i konnej lanzy, stanowiącej załogę twierdzy, naczelnik okręgu kaszgarskiego, wojskowe i cywilne urzędy, oraz dwa rzędy sklepów chińskich, w których można było dostać wszystkiego, czego miejscowi Chińczycy potrzebowali z ubrania lub do kuchni.

Zung-Tun Dung-Da-żeń odrazu mi się spodobał. Wysokiego wzrostu, pełny, z czarnemi wąsami, energiczny w ruchach, bez przesadnego ugrzecznienia, wywierał wrażenie szczerego żołnierza, może trochę zbyt rubasznego w obejściu.

Po oficjalnej herbacie zaproszono nas na śniadanie i tu gościnność Zung-Tuna okazała się w całej pełni. Ogromny stół uginał

się pod rozmaitemi zimnemi przekąskami. Siedzieliśmy na otwartej werandzie, nie przy okrągłym, lecz przy zwyczajnym stole i twarzą do sceny teatralnej, na której przez cały czas obiadu nadworna trupa Zung-Tuna przedstawiała jakąś nieskończenie długą tragedję bohaterską dawnych Chin. Aktorzy byli w maskach, w nadzwyczaj bogatych starożytnych strojach z jedwabiu i złotogłowia, bohaterowie w zbrojach historycznych; mówili powoli śpiewnym głosem, a tłumacz, stojący za mojem krzesłem, przekładał niezmordowanie, nie zważając na to, że przez drugiego tłumacza równocześnie prowadziłem ożywioną rozmowę z Zung-Tunem.

Osobliwością teatru chińskiego jest to, że kobiece role wykonywają mężczyźni, przebrani po kobiecemu i mówiący głosami piskliwemi. Z całej duszy żałowałem, że nie miałem z sobą aparatu, żeby sfotografować kostjumy, które rzeczywiście na to zasługiwały. W czasie uczty, która trwała do zmroku, Zung-Tun pił dużo, ale w miarę; grał ze mną chętnie w kieliszki, a przegrawszy parę razy, posadził przy mnie z drugiej strony jakiegoś spryciarza, który zręcznie szachrował, tak, że, ku wielkiej uciesze Zung-Tuna, musiałem parę kolejek wypić extra. Zorjentowawszy się, złapałem spryciarza na szacherce, co już zupełnie zachwyciło Zung-Tuna; śmiał się do łez, bił brawo, klepał mię po ramieniu i co chwila podnosił wielki palec prawej ręki do góry, co według etykiety chińskiej oznacza wyższą oznakę uznania. Spryciarza usunięto, miejsce zaś jego zajął poprzednio siedzący przy mnie dostojnik wojskowy z pośród gości Zung-Tuna. W miarę zwiększającej się ilości dań Zung-Tun zdejmował swe szaty galowe, szczerze namawiając, żebym się rozpiął i zdjął mundur. A że miał na sobie, oprócz kurmy orderowej z wyhaftowanym na niej tygrysem, czy innym jakimś drapieżnikiem, jeszcze żółtą kurmę jedwabną, która w Chinach jest najwyższą odznaką za osobistą waleczność i daje prawo do wjazdu konno albo w lektyce na wewnętrzne podwórze pałacu Bogdychana, więc go wypytywałem, w jakich walkach brał udział. Pokazało się, że w młodych latach walczył z koalicją francusko-angielską, potem uczestniczył w stłumieniu powstania tajpingów, ostatnio zaś dowodził wojskami chińskiemi przeciwko Dunganom (Chińczycy wyznania muzułmańskiego), którzy zamieszkują północno-zachodnią część Chin i w ciągu kilku lat prowadzili energicznie powstanie przeciwko rządowi. Powstanie to było stłumione z niesłychaną surowością, przyczem Zung-Tun kazał podobno ściąć 60000 Dungan, wziętych do niewoli. Opowia-

dając o niektórych epizodach tej nadzwyczaj ciężkiej wojny, Zung-Tun rozpiął koszulę, pokazując ślady bardzo poważnych ran w piersi i w bok, od których nie wyleczył się dotychczas.

Notując ilość podawanych potraw (o jakości straciłem zupełnie pojęcie, tyle było rozmaitych dań), doszedłem do zawrotnej liczby 240 (włącznie z zimnemi przekąskami). Zdaje się, że jest to rekordowa liczba sztuki kulinarnej w Chinach; przynajmniej w kilkanaście lat później, będąc komisarzem wojennym całej Mandżurji i bywając na przyjęciach u wice-króla prowincji Peczilijskiej, znanego w Europie męża stanu, Li-chung-czana, lub u wice-króla mukdeńskiego, Dziuń-dziunia Cyna, więcej niż 240 dań przy obiadach nigdy nie spożyłem. Chcąc sobie wyjaśnić, w jaki sposób można zdążyć przygotować takie mnóstwo potraw, poprosiłem kiedyś o pozwolenie zwiedzenia kuchni. Pokazało się, że samowar, którym tak się chlubią Rosjanie, jest wynalazkiem chińskim. W kuchni stał cały szereg samowarów, rozmaitej wielkości, ale bez kranów. Samowary chińskie w środku (gdzie u nas wrzątek) podzielone są na 10 — 12 przegródek, w których jednocześnie gotuje się tyleż pokrewnych potraw. Każdy samowar obsługuje kucharz — specjalista od pewnego rodzaju potraw. Więc ryby, jarzyny, potrawki z ptactwa lub z mięsa, zupy i t. d. gotuje się odrazu w 10 — 12 odmianach. Sztuka kuchmistrza polega na nadawaniu każdej potrawie ostatecznego smaku, głównie zaś na skombinowaniu porządku, w jakim się potrawy podaje. Że zaś uczty chińskie zazwyczaj przygotowuje się na 8 — 10 osób, i potrawy podaje się w niedużych salaterkach, więc przedziałek w samowarach najzupełniej wystarcza. Trudniejsza sprawa z pieczystem, które się smaży poczęści na rusztach, poczęści zaś w piecykach d u s z o w y c h; piecyki te, do których jest dostęp z dwóch stron, posiadają kilka rzędów blach, na których w małych brytfannach lub na niewielkich patelniach duszą się i smażą przeróżne mięsiwa.

O zmroku przez podwórze między werandą a otwartą sceną przeciągnął pochód z różnokolorowemi latarniami i chińskiemi lampjonami najrozmaitszej formy. Pośrodku kilku chłopców, idąc gęsiego, niosło ogromnego smoka, zrobionego z papieru różnokolorowego i oświetlonego od wewnątrz. Z jego pyska, z nozdrzy, z oczu, z uszu, z pazurów, oraz z ogona tryskały różnokolorowe ognie sztuczne i, strzelając z hukiem, rozpryskiwały miljony iskier. Chłopcy szli szybko, naśladując do złudzenia ruchy wężowe smoka.

Wogóle był to obraz barwny i ciekawy, dowodzący, że pirotechnika w Chinach rozwinięta jest w wysokim stopniu.

Odjechaliśmy do domu późnym wieczorem, otoczeni całym legjonem szybkobiegaczy, którzy nieśli na kijach ogromne różnokolorowe latarnie. Zung-Tun odprowadził nas do koni, po raz ostatni uprzejmie pogroził pięściami i zapowiedział swoją rewizytę nazajutrz, przyczem z żołnierską szczerością wyrwało mu się, że pierwszy raz z przyjemnością pojedzie do konsulatu rosyjskiego.

Istotnie na drugi dzień Zung-Tun przyjechał do konsulatu. Świta jego mniej więcej odpowiadała świcie Dao-Taja, tylko była liczniejsza i wspanialsza. Zamiast czerwonego parasola, który niesiono przed Dao-Tajem, jako odznakę wyższej w kraju władzy administracyjnej, jeden z urzędników Zung-Tuna, w czerwonej kurmie i w takichże chińskich butach, wiózł obnażony szeroki miecz, symbol władzy absolutnej nad wojskami. Zung-Tuna niesiono w lektyce. Tragarzy było 12, szli szybkim posuwistym krokiem, tak, że świta konna ledwie mogła nadążyć drobnym truchtem. Od czasu do czasu, na lekki okrzyk starszego, tragarze podnosili lektykę do góry i przez głowę przekładali ją z jednego ramienia na drugie. Pochód otwierał oddział łuczników mandżurskich, uzbrojonych w szerokie miecze, z łukami w ręku i z kołczanami, pełnemi strzał na plecach. Taki sam oddział łuczników zamykał pochód. Prawo używania łuczników mają tylko wysocy urzędnicy, pochodzenia mandżurskiego. Najwyżsi dostojnicy pochodzenia chińskiego nie mają prawa używać łuczników — Mandżurów. Lektykę otaczali jeźdźcy, wiozący różnobarwne ogromne sztandary, na których białemi hieroglifami wypisano nazwę lanzy, do jakiej sztandar należy. Ile lanz ma Zung-Tun pod komendą, tyle sztandarów otacza jego lektykę. Kiedy pochód wjechał na podwórze konsulatu, naliczyłem ich 34.

Po urzędowej herbacie w konsulacie Zung-Tun chciał koniecznie złożyć mi wizytę specjalną w namiocie mym, w ogrodzie konsulatu. Był to akt grzeczności, od którego wymówić się nie mogłem. Namiot był rozbity na wysokim brzegu Kyzył-su, płynącej dokoła ogrodu. Od rzeki wiał chłód. Zung-Tun wszedł do namiotu i, usiadłszy na łóżku polowem, ciekawie obejrzał składany stolik i krzesełko, lornetkę, strzelbę, pas z rewolwerem i z nabojami, wszystkiego dotykając ręką i co chwila powtarzając: „Ho! Hau!“ (dobrze, doskonale).

Nie spodziewając się wizyty, nie miałem przygotowanej nawet oficjalnej herbaty, zaproponowałem więc kieliszek spirytusu, uprzedzając gościa swego, że chanszyn rosyjski jest bardzo mocny. Wypił odrazu sporą czarkę, zagryzł landrynkiem i, mrugnąwszy porozumiewawczo, rzekł: „To nasza — wojskowa, bardzo dobra". Potem poszedł do moich kozaków, których namiot stał opodal przy koniach. Obejrzał ich uzbrojenie, ubranie, siodła, troki i konie, a dowiedziawszy się, żeśmy w 10 dni zrobili 1000 „li" (500 kilometrów) przez góry, pochwalił kozaków za sprawność wojskową i zawołał jednego z urzędników, który mu natychmiast podał trzos ze srebrem. Zung-Tun wyjął 10 łan srebra (25 rubli) i podał je starszemu z mojego konwoju, mówiąc „zabawcie się".

Wachmistrz podziękował, ale pieniądze przyjął, dopiero otrzymawszy moje zezwolenie, co również wywarło na Zung-Tunie wrażenie dodatnie. Korzystając ze sposobności, oświadczyłem mu, że mię bardzo interesują wojska chińskie i że chętnie przyjrzałbym się ich ćwiczeniom. Zung-Tun natychmiast zawołał jednego z urzędników świty, który, wydobywszy z za cholewy teczkę z papierem oficjalnym, a z za pasa tusz i pendzelki, niezwłocznie napisał zaświadczenie, dające prawo zwiedzania koszar i przyglądania się ćwiczeniom wojskowym. Do zaświadczenia Zung-Tun przyłożył swą pieczątkę, którą nosił, jak pierścionek, na małym palcu, gdyż był zupełnym analfabetą, nie umiejącym ani czytać, ani pisać.

Wróciliśmy do namiotu. Nie mając czem zająć gościa, wyjąłem stereoskop składany, który wziąłem był z sobą między innemi, niezbędnemi w Chinach, podarunkami, i dałem mu do oglądania rozmaitego rodzaju fotografje, których spory zapas miałem z sobą.

Zainteresował się niemi nadzwyczajnie; z bardziej swawolnych śmiał się, jak dzieciak, wołając „znakomite! wspaniałe!" i uderzając się rękoma po kolanach.

Gdy zabierał się zpowrotem do konsulatu, żeby pożegnać konsula, prosiłem go, aby przyjął stereoskop, jako pamiątkę wczorajszej wspaniałej uczty, za którą, będąc w podróży, zrewanżować się nie mogłem. Długo się wzdragał, nie chcąc przyjąć tak „wspaniałego" podarunku, wkońcu jednak przyjął.

U wrót ogrodu stał oddział łuczników mandżurskich. Ponieważ nie spotykałem ich przedtem, z ciekawością przyglądałem się rynsztunkowi. Zauważył to Zung Tun, natychmiast się zatrzymał, wziął łuk z ręki żołnierza i począł objaśniać mi sposób

jego użycia. Łuk, wysokości około 2 metrów, sklejony był z cienkich bambusów nadzwyczajnie misternie i giął się łatwo. Cięciwa, z grubej byczej kiszki, brzęczała, jak struna; strzała, wielkości około metra, miała na końcu ostrze stalowe.

Nie mogłem sobie wyobrazić, żeby ta zabawka mogła służyć za oręż. Spróbowałem naciągnąć cięciwę: pokazało się, że nato potrzeba dużej siły. Tymczasem Zung-Tun rozkazał żołnierzowi odliczyć 200 kroków i na drzewie powiesić jego kurmę z naszytą na piersiach białą tarczą. Lekko naciągnął cięciwę tak, że łuk wygiął się w półkole i, prawie nie mierząc, wypuścił strzałę, która poleciała z głośnym warkotem. Podeszliśmy do drzewa: strzała przebiła sam środek kurmy i zagłębiła się w drzewo do połowy długości ostrza stalowego.

Wydobyłem ją z wielką trudnością, odłamawszy jej koniec. Byłem zdumiony. A Zung Tun z dwornością ofiarował mi na pamiątkę łuk i kołczan ze strzałami.

Pokazało się, że strzelanie z łuku i młynkowanie pałaszem z taką szybkością, że okiem niepodobna uchwycić jego ruchów, są niezbędne dla otrzymania szarży oficerskiej w wojsku mandżurskiem; Zung Tun celował w tych ćwiczeniach.

Wreszcie wsadziliśmy do lektyki Zung Tuna, który po raz ostatni pogroził nam pięścią, i odetchnęliśmy swobodnie po uciążliwych czterech dniach wzajemnej wymiany grzeczności.

Pozostałe parę dni, które mogłem jeszcze spędzić w Kaszgarze, żeby w umówionym terminie spotkać się z przedstawicielem Chin na północnej granicy Fergany, użyłem na bliższe zapoznanie się ze stolicą kraju, Kaszgarem.

X.

MIASTO KASZGAR. BRAMY. DZIELNICE. MIESZKAŃCY. HANDEL. ŻYCIE ULICZNE. MAŁŻEŃSTWA I ROZWODY.

Miasto to, jak mówiłem, otoczone jest murem obronnym o znacznej grubości, lecz źle utrzymanym i bez rowów obronnych, napełnionych wodą. Kaszgar posiada tylko trzy bramy: od strony północno-zachodniej Jar-Bak-Darwaza (brama-ogród nad jarem), wiodąca do rzeki Kyzył-su, która opływa miasto ze strony północnej i wschodniej; Kum-Darwaza (brama piaskowa) ze strony południowo-zachodniej, prowadząca do Jangi Szaara (Nowe Miasto) i dalej drogą główną na Jarkend w głąb kraju, i Tiszyk-Darwaza (brama dziurawa), wiodąca w stronę mogiły świętego Appak-Chodży, którą krajowcy otaczają szczególną czcią i poważaniem.

Kaszgar ma 160 dzielnic, z których każda posiada inną nazwę. Dzielnice to niewielkie, liczące mniej więcej po 30—40 domów, gęsto zaludnionych. Wielu mieszkańców ma Kaszgar, powiedzieć trudno, gdyż krajowcy, obawiając się osobistych podatków, które władze chińskie nakładają na każdego z nich, wymykają się z pod kontroli. Że zaś religja muzułmańska zabrania mężczyznom wchodzić do pomieszczeń, zajętych przez kobiety,—nadto, ponieważ z powodu zamykania bram każdej ulicy na noc mieszkańcy zmuszeni byli porobić przejścia wewnętrzne z jednego domu do drugiego, aby w razie potrzeby móc wrócić do siebie lub przejść na sąsiednią ulicę, przeto kontrola i obliczenie mieszkańców faktycznie są bardzo utrudnione.

W przybliżeniu jednak Kaszgar ma zapewne około 6000 domów, licząc więc średnio tylko 10 mieszkańców na dom, otrzymamy liczbę ludności około 60000.

Pomimo, że jest to miasto stare, które w kronikach chińskich figuruje pod nazwą „Kasza-ga-lu“, posiada ono część jeszcze starszą, zwaną Iczkare Szaar (miasto wewnętrzne). Ta część miasta składa się z kilku dzielnic, zbudowanych na wysokiej górze i otoczonych drugim murem, który obecnie wali się w gruzy.

Kaszgar jest miastem bardzo handlowem, bo tu ześrodkowuje się większość obrotów handlowych. Składy hurtowe znajdują się

Dastarchan (przyjęcie) kupców, poddanych rosyjskich w Kaszgarze, urządzone w polu przed Kaszgarem (s. 52).

tylko w karawanserajach, stanowiących przeważnie własność rozmaitych uczelni oraz zakładów dobroczynnych. Karawanseraje owe wybudowane były przez ludzi bogatych i bogobojnych, którzy, chcąc przekazać imię swe potomności, ofiarowywali je uczelniom lub na cele dobroczynne.

Wynajęcie oddzielnego pokoju (hudrża), zwykle tak obszernego, że jednocześnie służył on i za skład towarów, kosztowało około 50 kop. tygodniowo. Większych i lepiej urządzonych karawanserajów było dziesięć [1]). Kupcy, poddani rosyjscy, mieszkali przeważnie w Kunak-Saraju (Seraj przyjaciół).

[1]) Kunak-Saraj, Chudaj Bergana, Durga Bekaj, Jamyn-saraj, Mahomet, Jusuf-Baja, Jarkend-Sara', Uratiube Saraj, Pczak-Saraj i Ak-su-Saraj.

Handel detaliczny odbywa się w sklepach na bazarach, których jest kilka; każdy rodzaj towaru ma swój bazar, naprzykład: wszelką manufakturę sprzedają na Iczkare-Szaar bazarze, ryż — na Gruncz-bazarze, mąkę i zboże wszystkich gatunków — na Kunak-bazarze; owoce, drzewo, słomę, węgiel — na rynkach Chait-go i Urdany-Aldy; konie, bydło, barany, osły i wielbłądy — o 2 kilometry za miastem po drodze do Jangi Szaara, na placu At-bazar i t. d.

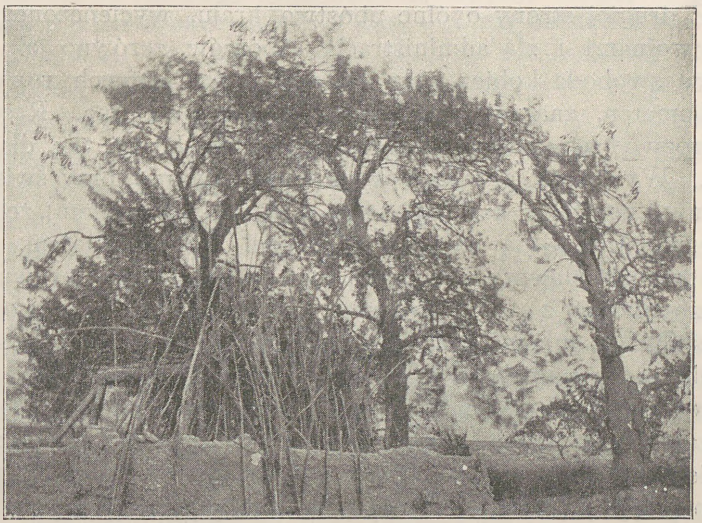

Mazar-Tugrak, obsadzony topolami „Tugrak", które rosną tylko w Kaszgarji, w bliskości pustyni Gobi (s. 53).

Handel drobiazgami, potrzebnemi w życiu codziennem, kwitnie na guzarach każdej dzielnicy. Oprócz tego bardzo rozwinięty jest handel najrozmaitszemi towarami w straganach na guzarach; nadto pełno jest handlarzy na ulicach. Roznoszą oni towary w koszach i w pudełkach, na plecach lub na głowie, co bardzo ożywia ruch na ulicach, które szczególniej w dni bazarowe, kiedy do miasta napływa wiele ludności wiejskiej po zakupy, przedstawiają istne mrowisko, przez jakie trudno się przecisnąć.

Wogóle życie uliczne w Kaszgarze jest znacznie więcej rozwinięte, niż w innych miejscowościach Turkiestanu. Niema tam zwyczaju, jak w Turkiestanie lub w Bucharze, trzymania w czajchane ładnych młodych chłopców, co usługują publiczności, prze-

pijają do gości herbatę, wieczorami zaś tańczą przy dźwiękach bębna, przyciągając mnóstwo wielbicieli, którzy często toczą bójki na noże, walcząc o względy młodych pederastów. Większa swoboda, jaką wywalczyła sobie tamtejsza kobieta, możność ukazywania się na rynkach i prowadzenia handlu z twarzą prawie odsłoniętą — wszystko to sprowadziło wrodzony mężczyźnie kult piękna na właściwe tory, i pederastja zdarza się tylko wśród Chińczyków, którzy przyjeżdżają na czas krótki i żony swoje przywożą w wyjątkowych wypadkach.

Z drugiej strony ogólne ubóstwo kraju, wycieńczonego ciągłemi wojnami i złą administracją zaborców, zarówno jak i owa większa swoboda kobiet, przy nadzwyczajnie łatwych rozwodach u mahometan, znacznie obniżyły moralność publiczną. Rzeczywiście, rozwód u mahometan jest niezwykle łatwy, ale dla mężczyzn. Wystarcza, gdy mąż w gniewie krzyknie przy świadkach do żony: „ucz talak kujdym“ (trzy razy się rozwiodłem), żeby dalsze współżycie z nią było już grzechem i konkubinatem. Bywa i tak, że, ochłonąwszy z gniewu, mąż żałuje swego porywu i nie chce się rozstać z żoną. Wówczas musi przejść całą procedurę przedślubną, a mianowicie: musi żonę swoją umieścić gdzieś w innym domu, u swoich, albo u żony krewnych; przeczekać 45 dni na dowód, że żona nie spodziewa się potomstwa; wydać ją faktycznie zamąż za innego mężczyznę (do tej sprawy wybiera się zwykle 80-letniego starca, który zgadza się na to za pieniądze), aby przebyła z nim w oddzielnem mieszkaniu, chociażby jedną dobę; otrzymać od niego złośliwe „ucz talak kujdym“ i znowu przeczekać 45 dni. Dopiero wtedy może kobieta wyjść zamąż powtórnie za swego pierwszego małżonka.

Czasami staruszek, zachwycony wdziękami swej młodej żony, albo też chcąc wyłudzić większą sumę pieniędzy, nie daje rozwodu, i wtedy pierwszy mąż poczyna przed miejscowym kadim o swoją własną żonę zabawny proces, który ciągnie się długo i zawsze okrywa śmiesznością porywczego męża.

Znacznie mniej kłopotów przysparza naprawa stosunków po wypowiedzeniu kabalistycznego „byr talak kujdym“ (raz się rozwiodłem), albo „iskzi talak kujdym“ (dwa razy się rozwiodłem), bo w pierwszym wypadku współżycie może nastąpić po pogodzeniu się małżonków w obecności dwóch poważniejszych krewnych, albo mieszkańców tej samej dzielnicy, w drugim zaś — po rytualnem obmyciu przez miejscowego imama (proboszcza) obojga małżonków,

po odczytaniu odpowiednich modlitw w obecności przynajmniej 2-ch honorowych świadków i po spożyciu chociażby skromnego piławu.

Znacznie trudniejszy jest rozwód, jeżeli żąda go kobieta, a mąż się nie zgadza, gdyż w tym wypadku trzeba dowieść przez świadków, zeznających pod przysięgą, że współżycie jest niemożliwe wskutek bicia żony przez męża i znęcania się nad nią, w przeciwnym razie żona obowiązana jest zwrócić mężowi cały wypłacony za nią „kałym". W takich razach kobiety uciekają się do rozmaitych sposobów. A więc same siebie szczypią i następnie siniaki pokazują miejscowemu kadiemu, jako dowody okrucieństwa męża; w nocy uciekają na dach domu i krzyczą przeraźliwie, jakby je kto zarzynał, budząc sąsiadów w całej dzielnicy i t. p. Jeżeli mąż straci cierpliwość i rzeczywiście wytłucze żonę należycie, sprawa jest wygrana, gdyż sąsiedzi pod przysięgą zeznają, że bił on publicznie na dachu swą żonę. Jeżeli nie, to kobieta szuka innych sposobów uwolnienia się od niemiłego małżonka.

Ciężkie warunki życia miejscowego sprawiły, że kobieta w Kaszgarji przyzwyczaiła się patrzeć na siebie, jak na towar, który ma łatwy i szeroki zbyt — w czasie młodości. To też nie znam kraju, gdzieby się związki małżeńskie zawiązywało tak prędko, lecz i na czas tak krótki, jak w Kaszgarji, nadto przy minimalnym wydatku 3 — 4 rubli na sprawienie żonie jakiejś koszuliny z białej grubej materji bawełnianej, koniecznego piławu dla 2 — 3 sąsiadów żony i opłacenie imama za odczytane modlitwy. Naturalnie, cena dziewczątka jest wyższa od ceny rozwódki; przytem, jeżeli mąż po ślubie uważa się za pokrzywdzonego i podaje skargę, powołując się na świadectwo kobiet, które były obecne na weselu, to matka zwraca część kałymu i skromnie przeprasza, gdyż zapomniała uprzedzić, iż córka jej „Dżuma-Kuny-tukulgan ikian" (urodziła się w piątek). Według wierzeń bowiem kaszgarskich, dziewczyny, przychodzące na świat w piątek, rodzą się już kobietami. Czasami mąż prawuje się przed sądem kadiego o zwrot kałymu i kosztów, czasami godzi się z faktem i milczy, obawiając się śmieszności, i ogranicza się do napiętnowania teściowej pogardliwem słowem „luli" (cyganka).

Sakrament małżeństwa w Kaszgarji stał się płaszczykiem, pod którym kryje się prostytucja. Często wczesnym rankiem na ulicach miasta można widzieć taką scenę: na osiołku, biegnącym drobnym truchtem, siedzi mężczyzna, nogami prawie dostając do ziemi; za nim biegnie młoda kobieta, wołając: „dżawab biring".

Daj rozwód). To — nowożeniec, który poprzedniego wieczora wziął ślub, a teraz rankiem odjeżdża od żony, żeby więcej do niej nie wrócić, i przez roztargnienie albo przez wrodzoną złośliwość nie wypowiada sakramentalnych wyrazów: „ucz talak kujdym". Wreszcie ktoś z siedzących przed domem na ulicy starszych sąsiadów zawoła: „dżawab birsen giz czy" (Dajże rozwód). Wtedy nowożeniec zwraca głowę ku kobiecie, mówi żądane słowa, gładzi dłonią brodę lub miejsce, gdzie powinna być broda, piętami uderza osiołka i znika za zakrętem ulicy. Przypadkowo siedzący przed domem mężczyźni gładzą dłońmi brodę, mówiąc: Amin. Kobieta zaś składa ukłon do pasa w stronę odjeżdżającego męża, potem w stronę siedzących mężczyzn z jej dzielnicy, pilnie starając się zapamiętać, kto był świadkiem tego zdarzenia. Ceremonja skończona, po 45 dniach kobieta w tejże dzielnicy może wyjść zamąż. Mówię: w tejże dzielnicy, gdyż w każdej innej, gdzie ludzie nie wiedzą, że dnia poprzedniego brała ślub przed imamem, może wyjść zamąż chociażby natychmiast. Taka taniość ożenku ściąga do Kaszgarji wielu wychodźców z pośród mahometan rosyjskich lub kaszmirskich, którzy żenią się, a potem wracają do ojczyzny, gdzie mają rodziny, porzucając kaszgarską żonę i dzieci na pastwę losu. Wytwarza to nędzę i sprzyja szerzeniu się prostytucji. Jeszcze gorszy jest los Kaszgarek, które, poślubiwszy Chińczyków, po ich odjeździe do kraju pozostały same, często z dziećmi. Z kobietą taką żaden muzułmanin się nie ożeni, uważając ją za „haram" (nieczystą) i nadając jej pogardliwe przezwisko: „Kytajny igan" (ogryzek chiński). Dobrze, jeżeli, żyjąc w dobrobycie z urzędnikiem chińskim albo z kupcem (Chińczycy zasadniczo, z bardzo małemi wyjątkami, żon swoich z Chin nie przywożą), zaoszczędzi coś, wyjedzie potem do innego miasta, kupi sobie kawałek ziemi i nikomu nieznana utonie w morzu muzułmańskiem. Zwykle jednak kobiety przechodzą od jednego Chińczyka do drugiego i kończą życie w schroniskach przy lanzach, urządzanych przez władze wojskowe, w celu powstrzymania żołnierzy od wałęsania się i myszkowania po mieście, co powoduje rozdrażnienie i wzburzenie krajowców.

Matki-Kaszgarki wydają swe córki zamąż bardzo wcześnie, bo już po dojściu do 10—12 lat. Wiele z nich choruje i umiera, ale często widziałem 12—13-letnie dzieciaki, karmiące piersią własne dziecko.

XI.

ARCHITEKTURA W KASZGARZE. MAUZOLEUM APPAK-CHODŻI. SZKOŁY I MECZETY. CEREMONJE RELIGIJNE. NAUKA W SZKOŁACH. FUNDACJE SZKOLNE. GROBOWIEC APPAK CHODŻI.

Architektura w Kaszgarze stoi na niskim stopniu rozwoju. Niema tam nietylko zabytków starożytności, w rodzaju wspaniałego meczetu Bibi Chanum w Samarkandzie, zbudowanego przez Tamerlana, w stylu arąbsko-maurytańskim, z wysokiemi basztami, ale i bardziej nowoczesnych pałaców, w rodzaju np. Urdy w Bucharze albo Urdy w Kokanie, która miała 184 dziedzińce rozmaitej wielkości, każdy dookoła z dziesiątkiem oddzielnych mieszkań, zajętych przez 300 żon ostatniego Chana Kokanu, Hudojara, oraz przez jego najbliższą świtę i straż przyboczną.

Muszę zaznaczyć, że wspaniałego tego zabytku architektury azjatyckiej nie uszanowali Rosjanie, którzy, przerabiając urdę, tak ją zeszpecili, że z dawnej struktury śladów nie pozostało. Wkońcu zburzyli całą przednią część urdy i nie wiem, czy coś z niej teraz zostało. A szkoda, bo, jak widać z pamiętników cesarza Babura [1]), który się urodził w Andiżanie, był chanem Fergany, potem zawojował całe Indje i założył tam dynastję Baberydów, rządzącą tym krajem w ciągu lat 200, Urdę w Kokanie, dawniejszej rezydencji Babura, zaczęto budować wedle jego pomysłu i według dawanych przez niego wskazówek.

---

[1]) Zahir-ad-din-Babur († 1531), założyciel dynastji Wielkiego Mogoła w Indjach. — Pamiętniki, napisane ślicznym językiem aderbedżańskim (sartowskim). Tłumaczone na język rosyjski na wydziale języków wschodnich uniwersytetu kazańskiego. Roku wydania nie pamiętam.

Meczety i medrese (wyższe szkoły duchowne) są niewielkich rozmiarów, a lepsze z nich wzniesione przeważnie przez uchodźców z Fergany Chodżej albo Jakóba-Beka.

Jednym z monumentalnych pomników i zabytków architektury miejscowej są zabudowania nad grobem świętego Chazreti Appak Chodżi, który kiedyś rządził Kaszgarją, potomkowie zaś jego dotąd uważają się za pretendentów do tronu tego kraju. Pamięć tego świętego otoczona jest czcią w całej Kaszgarji; do

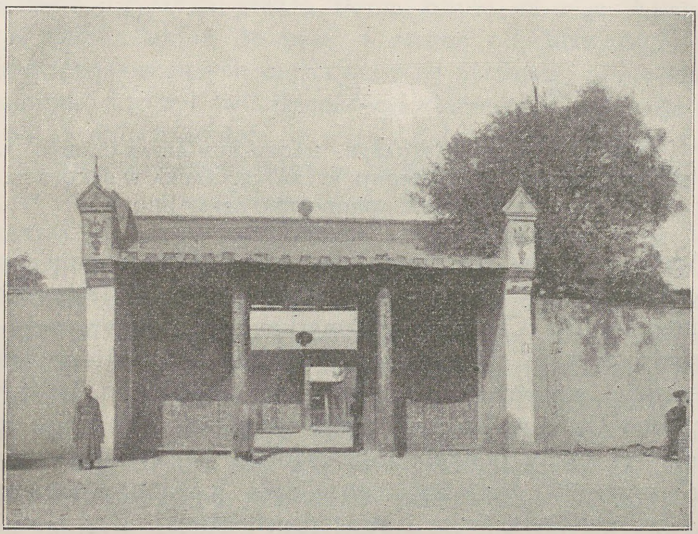

Wjazd do konsulatu rosyjskiego w Kaszgarze (s. 53).

jego grobu dążą dziesiątki tysięcy pielgrzymów z najdalszych zakątków Kaszgarji.

Grób Appak Chodżi znajduje się o 4 kilometry od Kaszgaru i połączony jest z miastem szeroką, dobrze utrzymaną drogą, która na całej swej przestrzeni biegnie wśród olbrzymiego cmentarzyska, dowodnie świadczącego o starożytności Kaszgaru. Droga ta prowadzi do szerokich wrót, za któremi na przestrzeni kilkuset kroków, z obydwóch stron ulicy, mieszczą się sklepy z najrozmaitszemi towarami, herbaciarnie, jadłodajnie i wogóle wszystko, co może być potrzebne pielgrzymom.

Przed drugiemi wrotami zsiada się z koni, które zostają na pierwszym dziedzińcu, i przez kryte przejście wchodzi się na drugi

dziedziniec, pośrodku którego znajduje się sadzawka, obsadzona dużemi, cienistemi topolami, mająca z każdej strony około 80 metrów.

Naprzeciw sadzawki wznosi się medrese (wyższa szkoła duchowna), zbudowana przez Jakóba-Beka z cegły palonej. Medrese było obdarowane przez Jakóba-Beka olbrzymim wakufem (wakuf— jest to posiadłość ziemska, karawanseraj, albo inny jaki majątek, z którego dochody na wieczne czasy idą na utrzymanie uczelni, profesorów i studentów), ale władze chińskie wakuf skonfiskowały; wychodziły one z założenia, że Jakób Bek, jako uchodźca z Taszkentu, awanturnik, osobistego majątku nie miał, więc, jeżeli go zdobył, to z poborów państwowych, które powinny też wrócić do państwa.

W Kaszgarji, jak i w innych krajach Azji Środkowej, istnieją szkoły dwóch typów: maktab-hane i medrese. Maktab-hane — to szkoła początkowa. Każde miasto lub większa wioska składa się z dzielnic (mahale), z nich każda obejmuje 40—60 domów. Mahale obowiązkowo posiada swój meczet, a przy nim mułłę (proboszcza) i szkołę, w której mułła uczy czytać i pisać. Mułła i szkoła utrzymują się z dobrowolnej daniny, którą płacą mieszkańcy dzielnicy (mahale). Nadto mułła pobiera datki dobrowolne za śluby, pogrzeby, obrzezanie i za odczytywanie modlitw w najrozmaitszych okolicznościach życia. Przy meczecie jest jeszcze mueddzin, albo azanczi, który 5 razy dziennie, w określonych godzinach, wchodzi na wieżyczkę i śpiewnym, donośnym głosem wzywa prawowiernych do meczetu na modlitwę. Dlatego w każdem mieście muzułmańskiem głos mueddzinów rozlega się jednocześnie we wszystkich meczetach miasta, jak u nas dzwon na „Anioł Pański". Sygnał do rozpoczęcia wezwań podaje mueddzin meczetu dżami (katedry), największej świątyni, zbudowanej zwykle przy grobie jakiegoś miejscowego świętego. Podchwytują go wszyscy azanczije całego miasta lub wioski. W meczecie dżami (ogólnym), w odróżnieniu od meczetu dzielnicowego, odprawia się w piątki około południa modły pontyfikalne; stąd meczety te noszą także nazwę maczyt-dżuma (dżuma-piątek). W meczetach niema żadnych wizerunków, ani obrazów, gdyż byłoby to oznaką bałwochwalstwa. Ściany meczetu mogą być upiększone tylko misternemi napisami z Koranu. W głównej ścianie, w tem miejscu, gdzie w kościołach mieści się główny ołtarz, znajduje się półokrągła nisza z podwyższeniem, z którego miejscowy mułła odczytuje odpowiednią surę (rozdział, psalm) z Koranu. Muzułmanie modlą się z twarzą, zwróconą w stronę Mekki, gdzie jest grób Mahometa. Podłoga meczetu

bywa wysłana dywanem lub wojłokiem, stosownie do zamożności dzielnicy. Nie wolno wejść do meczetu i przystąpić do modlitwy bez uprzedniego obmycia obrządkowego. Stąd w każdym meczecie musi być sadzawka z wodą bieżącą. Wchodząc do meczetu, trzeba zdjąć kalosze lub buty. Turban na głowie — to symbol, oznaczający, że wierny jest gotów każdej chwili umrzeć i stanąć przed obliczem Boga. Ciała muzułmanina do pogrzebu nie ubiera się jak u nas, ale obwija się je w kawał białego tiulu, który wierni noszą na głowie, jako turban. Ciało składa się do ziemi, bez trumny, w ten sposób, żeby umarły na wezwanie trąby Archanioła Dżebraila mógł usiąść na sąd ostateczny. Nie wolno więc szczelnie zasypywać ciała: robi się sklepienie nad niem, lub rusztowanie z drzewa, na które sypie się ziemię. Naturalnie, z biegiem czasu, sklepienie się zawala, drzewo jeszcze prędzej gnije i w mogiłach powstają szczeliny, co nadaje ohydny wygląd cmentarzom. Modląc się, muzułmanin wyciąga koniec materji, z której zwinięty jest turban (zawój), i spuszcza go na plecy. Ma to oznaczać zupełną gotowość do natychmiastowej śmierci, bo modlący się począł rozwijać płachtę, w którą będzie owinięty po śmierci.

Do meczetu na modlitwę wchodzą tylko mężczyźni, stają rzędem i naśladują wszelkie ruchy, jakie wykonywa mułła, modlący się w niszy. Więc jednocześnie z nim padają na kolana, jednocześnie plują trzykrotnie przez prawe i lewe ramię, odpędzając szatana, żeby ich nie kusił. Modlitwa trwa około 10 minut, tylko zaś w piątki, w czasie południowego nabożeństwa—około pół godziny, gdyż wtedy wierni wysłuchują rozdziału koranu, odczytywanego śpiewnym głosem.

Kobiety wstępu do meczetów nie mają, ale w meczetach dżami są chóry, osłaniane gęstą kratą drewnianą, za którą modlą się wyłącznie niewiasty.

Wszelkie narady, dotyczące spraw danej dzielnicy, odbywają się tylko na dziedzińcach meczetów, najczęściej natychmiast po dżuma-namazie (modlitwie południowej). Tu się też odbywają przyjęcia dla biednych, urządzane przez bogatszych mieszkańców dzielnicy z powodu ślubów, obrzezania, powrotu do zdrowia i t. p., przyczem lwią część zapasów żywności, dostarczanych na przyjęcie, otrzymują: mułła i mueddzin.

Na podwórku przed meczetem może się zatrzymać i przenocować w przedsionku meczetu każdy podróżny lub bezdomny, ale niedłużej, niż dwie — trzy doby.

Podczas podróży każdy prawowierny ma na siodle czysty dywanik, który, w wyznaczonych na modlitwę godzinach, zdejmuje, rozkłada na ziemi i modli się, zwrócony twarzą w stronę Mekki, dokonawszy uprzednio rytualnych obmyć; w braku wody, wolno myć się piaskiem.

Lecz wracam do niższych szkół, maktab-chane — przy meczetach. W zasadzie nauka w tych szkołach powinna być dla wszystkich dzieci przymusowa i bezpłatna. W rzeczywistości zaś nikt nie pilnuje obowiązkowego nauczania, ponieważ władze zaborcze i w Rosji, i w Chinach propagują szkoły z państwowym językiem wykładowym, na szkoły zaś komunalne przy meczetach nie zwracają uwagi. To też do szkół tych posyłają dzieci tylko ci rodzice, którzy o to dbają. Nauka trwa kilka lat. Wszystkie dzieci uczą się w jednym pokoju, automatycznie wykrzykując niezrozumiałe dla siebie arabskie nazwy liter. Nauka obejmuje czytanie pisma arabskiego, oraz początki arytmetyki. Szkoły te zanikłyby, gdyby nie dobra wola i interes nauczyciela-proboszcza, który za każdego ucznia pobiera od gminy minimalną opłatę na książki i materjały piśmienne. Są szkoły, gdzie wpływowy nauczyciel potrafił zgromadzić po 80 do 100 dzieci, ale jest wiele i takich, gdzie uczących się jest zaledwie kilkoro.

Wyższym typem krajowej szkoły są t. zw. medrese, ufundowane wyłącznie kosztem osób prywatnych. Istnienie tych szkół ubezpieczone jest wakufem, z którego dochody dzielą się na trzy części. Jedna z nich przeznaczona jest na remont budynków; druga na opłaty zarządu (mutowalji) i profesorów (mudarisów); trzecia wreszcie stanowi fundusz „stypendjalny“ dla studentów, którzy nietylko uczą się bezpłatnie i darmo zajmują pokoiki w medrese, ale jeszcze dwa razy do roku otrzymują pewną zapomogę w gotówce, oraz w żywności, aby ile możności nie troszczyli się o zdobycie środków do życia, lecz cały czas swój poświęcali nauce. Im lepiej jest uposażone medrese, tem więcej miewa mudarisów i uczniów.

W medrese młodzież uczy się w dalszym ciągu czytać, pisać i rachować, Koranu, geografji krajów mahometańskich i nadto studjuje księgi uczonych, objaśniających Koran i stanowiących t. zw. Szarjat. Wogóle wykłady w tych niby wyższych uczelniach ograniczają się wyłącznie na nauce biegłego czytania, pisania i recytowania napamięć wyjątków z Koranu, który, jako pisany po arabsku, trudny jest dla narodów, mówiących innemi językami.

Liczba studentów w każdym medrese jest ograniczona: zależy od ilości komnat, w których mieszkają oni, zwykle każdy oddzielnie, co najwyżej po dwóch. Kontrola nad prawidłowym zarządem wakufem należy do potomków fundatora, którzy często sami są

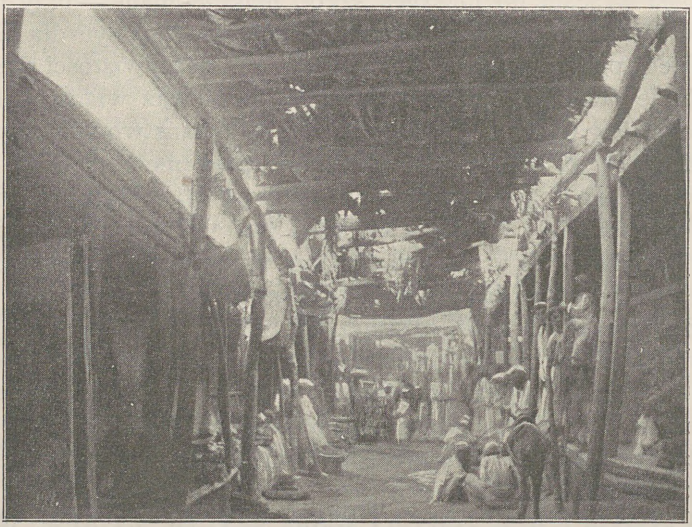

Bazar w m. Kaszgarze (s. 55).

mutowaljami, t. j. zarządcami wakufu; biorą w niej udział również członkowie komitetu zarządu, do którego, oprócz mutowalja, wchodzą jeszcze: jeden profesor (mudaris) i jeden student; komitet raz do roku zdaje rachunki z zarządu przed wszystkimi studentami i profesorami. W razie sporów ostateczna decyzja należy do miejscowego kadja, który ma prawo usunąć niesumienny zarząd i zastąpić go innym. Ilość lat potrzebna do przejścia kursu nauczania w medrese nie jest określona i zależy od zdolności i pilności studenta.

Oprócz tych dwóch typów szkół, są jeszcze t. zw. kore-hane, także ufundowane i materjalnie zabezpieczone przez osoby prywatne; w nich studenci, po ukończeniu medrese, uczą się całego koranu napamięć. Ludzie, którzy przeszli medrese, noszą tytuł Domułła, umiejącym zaś koran napamięć dodaje się do tego Kore.

W czasie mojej bytności u grobu Chazzeti Appek-Chadżi — w tamtejszem medrese, mogącem pomieścić paręset studentów

i kilku mudarisów, było tylko 32 studentów i jeden mudaris, który otrzymał wykształcenie w medrese w Bucharze. Wolne pokoje chętnie wynajmowano pielgrzymom, przyjeżdżającym z różnych stron Kaszgarji na modły do grobu świętego.

W jednym z pokojów mieszkał już od paru miesięcy Arab przyjezdny z Egiptu; w gorących przemowach do setek słuchających go pielgrzymów propagował on ideę mahdizmu i namawiał lud do powstania przeciwko Chińczykom i do wojny z niewiernymi, obiecując pomoc Mahdiego, który rozbił już Anglików i z 600 000 wojska gotów jest pomóc Kaszgarom. Arab zbierał obfite datki od pielgrzymów i żył zapewne nieźle. Ponieważ działo się to w kilka lat po śmierci Mahdiego, więc, wysłuchawszy jednego z namiętnych przemówień Araba, zapytałem go, dlaczego kłamie i bałamuci lud, kiedy Mahdi dawno już nie żyje, a wojska jego zostały rozproszone. Arab nie stropił się mojem wystąpieniem; przeciwnie, zwrócił się do słuchaczy, mówiąc: „Chyba ten człowiek sam jest niewierny, choć mówi dobrze waszym językiem i wygląda na Rumi (oficera wojsk sułtana tureckiego), jeżeli nie wie, że Mahdi nie może umrzeć, ale znikł czasowo i wojska swoje obrócił w zastępy aniołów, żeby niewiernych uśpić i potem zgnieść odrazu". Wypadek ten charakteryzuje dosadnie stosunek ludu do Chińczyków, skoro Arab w ciągu kilku miesięcy mógł bezkarnie prowadzić agitację, nie bojąc się, by go wydano i nie bacząc na nas, cudzoziemców, ciekawie słuchających jego agitacyjnych przemówień.

Obok medrese stoi meczet, zbudowany z cegły palonej, a naprzeciwko — druga sadzawka, trochę mniejszych rozmiarów. W sadzawkach dawniej były ryby, które na głos dzwonka wypływały na powierzchnię wody i które karmili pielgrzymi. Teraz ryb niema. Wyłowili je żołnierze chińscy.

Za meczetem leży duży ogród, w którym mieści się grobowiec Appak Chadżi. Jest to wysoki budynek z palonej cegły, z dachem okrągłym, w rodzaju kopuły i z czterema minaretami po rogach. Kopuła i dachy minaretów pokryte są różnokolorową emalją. W środku ściany wschodniej szerokie wrota wiodą do wnętrza grobowca, a nad drzwiami widać napis w języku dungańskim. Na moje nieszczęście, Główny Szeik, zarządzający grobowcem, wyjechał do Kaszgaru i zabrał klucze z sobą, więc nie mogłem zwiedzić wnętrza grobowca. O ile jednak udało mi się rozejrzeć przez wąską szparę we drzwiach, w wnętrzu tem prze-

dzielonem jedwabną portjerą, jest grobowiec, przybrany buńczukami i sztandarami, zdobytemi przez Jakóba-Beka od Chińczyków.

Obok grobowca wznosi się niewielki budynek (Kore-hana) z otwartą galerją, na której siedzą lektorzy koranu, odmawiający odnośne rozdziały na zamówienie pielgrzymów.

Z południowej strony grobowca rozciąga się cały cmentarz, pokryty mogiłami towarzyszów Jakóba Beka, zabitych w wojnie z Chińczykami. Na mogiłach tych leżą kamienne nadgrobki, z wyrytemi napisami z koranu, lub upiększone emalją różnokolorową. Tutaj pokazywano mi miejsce, gdzie był grób Jakóba-Beka. Chińczycy, po zajęciu Kaszgaru, wydobyli z grobu ciało, głowę ucięli, ciało spalili, a prochy rzucili na wolę wiatru.

Obok ogrodu, w którym mieści się grobowiec Chazreti Appak Chadżi, zbudowano ogromny meczet z palonej cegły. Nad główną nawą meczetu i bocznych pawilonów wznoszą się kopulaste dachy z różnokolorowej emalji. Wewnątrz—kilka oddzielnych naw, z kopułowemi sufitami, rozdzielonych arkadami. W meczetach tych odprawiano piątkowe modły, a także modły w dzień wielkich świąt w obecności Jakóba-Beka, który, swoim kosztem upiększywszy i doprowadziwszy do porządku grobowiec świętego, ogólnie czczonego w Kaszgarji, wykazał przez to dużo politycznego taktu i zasłużył na niekłamaną wdzięczność narodu.

Grobowiec Appak Chodżi — to najbardziej monumentalny pomnik w Kaszgarze.

XII.

ODJAZD Z KASZGARU NA PRZEŁĘCZ SUJAK PRZEZ TIAN-SZAN.
POŻEGNALNY „DASTARCHAN".
JEDWABNIKI I ICH HODOWLA. WYRÓB NICI JEDWABNYCH.
DROGA NA PRZEŁĘCZ SUJAK. NOCLEG W GÓRACH.
SPOTKANIE Z PRZEDSTAWICIELEM CHIN.
OBJAZD DWUNASTU PRZEŁĘCZY TIAN-SZANU.
WPŁYW WIELKICH WYSOKOŚCI GÓRSKICH NA ORGANIZM LUDZKI.
ROŚLINNOŚĆ I ZWIERZOSTAN NA ZBOCZACH TIAN-SZANU.

Dnia 27 sierpnia znowu przyjechał Dao-Taj i, po wymianie wzajemnych grzeczności, w potocznej rozmowie, jakby odniechcenia, nadmienił, że przedstawiciel Chin, urzędnik IV stopnia, Wan-Da-łoja, śpieszy z Urumczi i 2 września będzie pod przełęczą Sujak (kości), na granicy Fergany. Obliczywszy w myśli, że mam do przebycia konno 175 kilometrów od Kaszgaru do Sujaka i przytem po ścieżce górskiej, postanowiłem wyjechać nazajutrz, o czem zaraz powiedziałem Dao-Tajowi. Chuang-da-żeń zrobił na to ogromne oczy, jakby był głęboko zdumiony mojem postanowieniem i zawołał: „Jak to? Już, ależ to niemożliwe? Ja pana nie puszczę. Będę się czuł bardzo źle bez nieocenionego towarzystwa pańskiego". Pomimo zapewnienia z mej strony, że nie mogę zostać dłużej, gdyż w przeciwnym razie pełnomocnik Chin musiałby na mnie czekać, Dao-Taj jeszcze protestował, mówiąc: „Nic nie szkodzi! On gospodarz, pan gość. Gospodarz zawsze czeka na gościa".

Wiedząc, że niespodziewaną wizytę Dao-Taja wywołała właśnie konieczność śpiesznego zawiadomienia mię o przyjeździe przedstawiciela Chin na granicę, oraz że zdumienie i protesty Dao-Taja są wynikiem obowiązkowych ceremonij chińskich, odpowiedziałem

stanowczo, że nigdybym sobie nie darował, gdyby pełnomocnik Chin czekał na mnie w górach, że i mnie ciężko jest rozstać się z tak gościnnym mężem stanu, ale — obowiązek przedewszystkiem; więc wyjeżdżam nazajutrz o świcie i proszę o wybaczenie mi, że nie będę mógł złożyć wizyty pożegnalnej, ani uprzedzić o swym śpiesznym odjeździe Zung-Tuna, któremu zresztą poślę swój bilet wizytowy. W czasie tej ciężkiej, gdyż z gruntu nieszczerej rozmowy, Dao-Taj to oczy zamykał, to znów wykrzykiwał: „Co za rozum! Ileż pan ma taktu“. Potem zeszliśmy na tory zwykłej gawędy i rozstaliśmy się, jako wielcy przyjaciele.

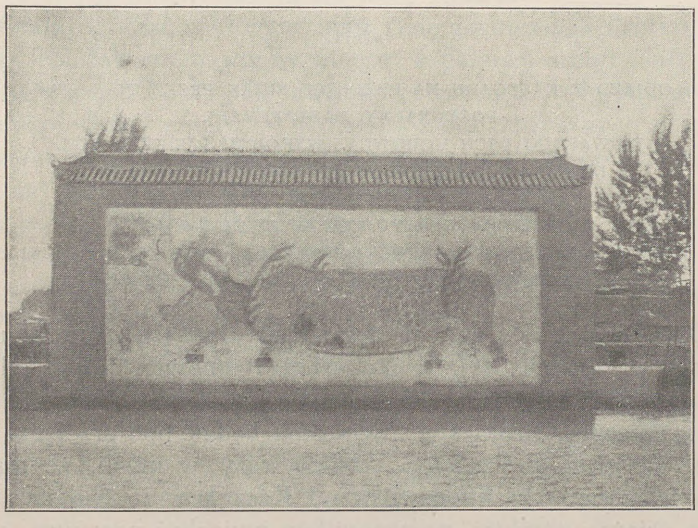

Ściana, oddzielająca ulicę od zajazdu do „jamynia“ (urzędu) ze smokiem, pożerającym słońce (s. 57).

Nazajutrz rano, śpiesząc na Tian-Szan, wyjechałem traktem kaszgarsko-naryńskim. Odprowadzali mnie: członkowie konsulatu rosyjskiego, urzędnicy Dao-Taja, prezes i delegaci stowarzyszenia kupców, poddanych rosyjskich, oraz konwój kozacki i konwój żołnierzy chińskich. Cała ta ogromna kawalkada, wznosząc tumany kurzu, przesunęła się przez Jar-Bak, przedmieście Kaszgaru, przeszła częścią przez most, częścią w bród przez rzekę Kyzył-su i podążyła na wysoki lewy brzeg rzeki, skąd roztacza się widok na miasto Kaszgar. Za Zung-Karaułem, głównym

celnym urzędem chińskim, ciągnęliśmy kilka kilometrów stepem, a potem weszliśmy do wioski Artysz, liczącej do 2 000 domów.

Tu w jednym z ogrodów wystawiono namioty z dastarchanem; zatrzymaliśmy się więc na pożegnalny obiad, wydany przez kupców, poddanych rosyjskich. Podczas obiadu na spienionym koniu przygalopował jeden z urzędników poczciwego Zung-Tuna, prowadząc luzem drugiego konia, objuczonego podarkami. Były tam: szynka, garnek wyborowego chanszynu, garnek konfitur z korzenia imbiru, i blaszanka z herbatą (smakołyki, sprowadzone aż z Kantonu drogą karawanową przez całe Chiny), oraz duży garnek chanszynu,

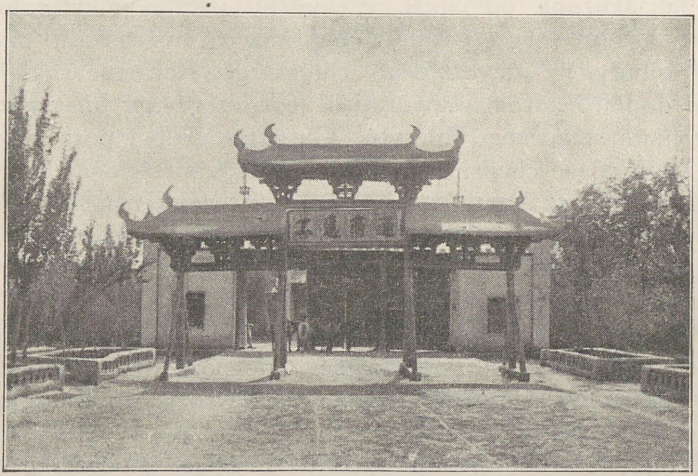

Wrota do „jamynia“ kaszgarskiego Dao-Taja (s. 57).

trzy szynki miejscowe i blaszanka herbaty dla kozaków. Na bilecie wizytowym — krótki list: Zung-tun pisał, iż nie żegna mię, bo serce mu mówi, że się jeszcze zobaczymy, ale prosi, abym przyjął posłane drobiazgi, szczególnie zaś poleca konfitury z imbiru, które podniecają i dodają sił i energji w ciężkiej podróży.

Byłem w kłopocie, co mam robić. Nie przyjąć? Byłoby to obrazą dla Zung-Tuna. Przyjąć? Juki moje poszły naprzód: ani nie miałem czem odwzajemnić się Zung-Tunowi, ani nie było gdzie umieścić podarków. Wziąć zaś prowjanty wraz z koniem, jak tego chciał Zung-Tun — na to nie pozwalała miłość własna.

Z kłopotu wybawił mię starszy z kupców, który, mając

w Artyszu znajomych, wynajął dla mnie jucznego konia z poganiaczem, i ten powiózł przysłane prowjanty.

Nader ciekawe było opakowanie szynki, sprowadzonej z Kantonu; znajdowała się ona w drodze co najmniej rok, podlegając przytem wpływom upałów i mrozów, doszła mię jednak tak świeża i soczysta, jakgdyby ją kupiono tegoż dnia w najlepszym sklepie w Westfalji.

Bardzo żałuję, że nie zanotowałem świetnego sposobu tego opakowania. Wiem tylko, że szynka była owinięta w cienki papier pergaminowy, hermetycznie pokryty grubą na ½ centymetra warstwą szarej maści, która stwardniała i odstawała od papieru, jak skorupa od jajka. Zwierzchu paczkę pokrywało kilka warstw różnorodnego gatunku papieru, to w rodzaju miękkiej, grubej bibuły, to zwyczajnego chińskiego, starannie zaklejonych; na tem dopiero adres wytwórcy i jego czerwony bilet wizytowy z życzeniem smacznego apetytu. Garnki z grubej porcelany chińskiej, zawierające chanszyn (mocna wódka, zaprawiona ziołami aromatycznemi), oraz konfitury z imbiru, oprócz hermetycznie przykrywających je porcelanowych wierzchów, miały misterne obszycia z grubych pęcherzy byczych, tak, że pomimo długiej drogi na wielbłądach doszły doskonale.

Po obiedzie i serdecznem pożegnaniu rozstaliśmy się: ja wyruszyłem w góry, a odprowadzający mię pozostali w Artyszu, aby skorzystać na wsi z przepięknego dnia i wrócić do Kaszgaru dopiero o wieczornym chłodzie.

Droga w stronę Siedmiorzecza i Fergany z początku ciągnie się przez kraj o wysokiej kulturze, między polami ryżu i bawełny, wśród ogrodów owocowych i gęstych plantacyj drzew morwowych, których świeże gałązki corocznie ulegają obcięciu, albowiem na ich liściach hodują się jedwabniki.

Jajka jedwabników czarne, wielkości ziareczka maku, już w marcu kobiety poczynają nosić w wąskich woreczkach pod piersiami, ogrzewając je ciepłem własnego ciała. W początkach kwietnia, jednocześnie ze zjawieniem się pierwszych listków na świeżych gałązkach morwy, jajka pęcznieją, i z każdego z nich wyłania się minjaturowa żółta gąsieniczka z czarną główką, którą kładzie się na świeże listki morwy, rozłożone rzadko na przetaku. Przetak ten wiesza się na otwartej werandzie dla łatwiejszego dostępu świeżego powietrza, ale osłania się go starannie muślinem, lub inną przewiewną materją, która nie wstrzymuje dostępu powie-

trza, lecz chroni od mrówek i innych owadów, chętnie pożerających delikatne gąsienice.

Po tygodniu gąsieniczki są już 1½—2 cm. wielkości i szybko się poruszają. Liści im już za mało. Wtedy na narach drewnianych, wciąż na otwartej werandzie, układa się drobne gałązki morwy, tylko co ścięte z drzewa; gąsienice przepełzają na nie, objadając liście do szczętu tak, że zostają tylko nagie gałęzie. Dwa razy dziennie regularnie powtarza się operacja nakładania świeżych gałązek na wierzchu starych, w ten sposób jednak, żeby pomiędzy niemi był przewiew powietrza, gdyż gąsienice są bardzo wrażliwe i łatwo podlegają rozmaitym zaraźliwym chorobom, od których giną masowo. Natychmiast po nałożeniu zwierzchu świeżych gałęzi gąsienice same przechodzą na wierzchnią warstwę. Rosną nadzwyczaj szybko, pożerając coraz większą ilość świeżych liści, tak, że warstwa objedzonych gałęzi w oczach prawie się zwiększa. Takie karmienie trwa 30 dni. Gąsieniczki przez ten czas stały się już gąsienicami długości 5—6 cm. Następuje okres przekształcania się gąsienic w poczwarki; wypuszczają one z siebie cieniutkie nici, któremi się osnuwają, wytwarzając kokony wielkości średniej śliwki, prawie zawsze mniej lub więcej wydłużone (choć czasami zdarzają się i zupełnie okrągłe), koloru bladożółtego lub żółtego, rzadko — białego. Następuje najtrudniejszy okres hodowli jedwabnika. Trzeba trafić na moment odpowiedni do zabicia poczwarki: jeżeli ją zabić zawcześnie, otrzyma się nitkę jedwabiu cienką, będzie się ona rwała, i trudno ją rozplątać; i odwrotnie, jeżeli przeczekać zbytecznie jeden — dwa dni, poczwarka przekształci się w motyla o grubym brzuszku i białych albo bladożółtych skrzydłach, który przegryzie dziurę w kokonie, przecinając wszystkie nitki, jakie przez to tracą wartość, i wyleci. Zabijają kokony rozmaicie: albo wystawiając je na działanie gorących promieni słońca tamtejszego, które nagrzewa do 75°—85° C., albo rzucając na chwilę do kotła z wrzątkiem. Na jajka w roku następnym wybiera się kilkadziesiąt największych kokonów, którym pozwala się dojrzeć i motylkom wylecieć. Zebrane jajka zawija się w parę gałganków i umieszcza pod pułapem, albo w innem napół ciemnem miejscu do następnej wiosny. Hodowlą jedwabników zajmują się tylko kobiety, i uzyskane ze sprzedaży kokonów pieniądze idą wyłącznie na ich potrzeby. To też w połowie maja na rynkach każdej wioski spotyka się stosy kokonów, które skupują przekupnie, zwożąc je następnie do większych miast, gdzie są fa-

bryczki rozmotywania kokonów. Jest to najruchliwszy okres na przednówku i w kobiecem gospodarstwie. Każda z kobiet stara się swój zbiór sprzedać, albo wymienić na perkale, kumacze i t. p. rzeczy—jak najprędzej, gdyż kokony szybko schną i tracą na wadze. Dla wykarmienia jedwabników, wyhodowanych z $1^1/_3$ łuta jajek trzeba 10—12 drzewek morwowych, które latem przedstawiają smutny widok, niby słupy, rosnące dokoła pól, bez liści i bez gałęzi. Dopiero w sierpniu na koronach tych drzewek ukazują się nowe gałązki, rosną szybko, pokrywając się liśćmi; na następną wiosnę obcinają je znowu doszczętnie. Oprócz drzew morwowych, których gałęzie obcina się dla jedwabników, krajowcy hodują jeszcze morwy na owoce; owoce są ckliwo-słodkie, wodniste, cokolwiek przypominają jeżynę. Drzewa te są ogromne, rozłożyste i tak obsypane owocami, jak u nas wiśnie lub jabłonie kwiatami. Drozdy i inne ptactwo pożera je masami. Krajowcy jedzą je w stanie surowym w niewielkiej ilości, lecz kiedy morwa zupełnie dojrzeje, rozpościerają pod drzewami płachty i trzęsą, jak u nas jabłka. Zebrane owoce suszą na dachach, mielą na ręcznych żarnach i otrzymaną mąkę mieszają z mąką kukurydzową lub pszenną, wypiekając z takiej mieszaniny chleb słodki i dosyć smaczny.

Rozmotywaniem kokonów zajmuje się znaczna ilość małych fabryczek po miastach i miasteczkach. Służy do tego celu duże koło, obracane ręcznie przez najętego robotnika, lub członka rodziny. Koło to zkolei wprawia w szybki ruch wirowy kilka dużych szpulek. W tym samym pokoju wmurowany jest kocioł, pod którym nieustannie pali się ogień, podtrzymując wodę w stanie wrzenia; w wodzie gotują się kokony, pływając po wierzchu. Pod wpływem wrzątku klej, zlepiający cieniutkie, jak włosek, nitki jedwabiu, rozpuszcza się. Majster, zazwyczaj człowiek poważny, wyławia palcami oddzielające się w kipiącej wodzie niteczki i nadzwyczaj zręcznie narzuca je na wirującą szpulkę. W ten sposób, obracające się wrzeciono nawija nitkę, ściąganą z kokona, który drga i kręci się na wodzie. Naturalnie, niteczki często się rwą; sztuka majstra polega więc na tem, żeby zrywające się niteczki chwytać błyskawicznie i po mistrzowsku narzucać na wrzeciono. Trzeba mieć palce z azbestu, żeby całemi dniami z wrzątku wyławiać porwane niteczki.

W tym samym pokoju, przy zastosowaniu pasa transmisyjnego, szybko kręcą się wrzeciona, które nitki z 3—4 szpulek skrę-

cają w jedną, i jedwab do tkania lub farbowania na najrozmaitsze barwy jest już gotów! W pokojach, gdzie dokonywa się rozmotywanie kokonów, panuje obrzydliwy zapach wskutek tego, że poczwarki, znajdujące się w kokonach, ulegają rozkładowi.

Kokony, zawcześnie zabite, niedające przeto długich nitek, rozczesuje się na specjalnych maszynach; wydają one nitki grube i znacznie tańsze. Jest to „sarnak", z którego wyrabia się tańsze miejscowe materje jedwabne z osnową z bawełny, nazywane adras.

W Mandżurji, gdzie drzewa morwowe nie rosną z powodu silnych mrozów w zimie, jedwabniki hodują na liściach dębu, znanego w botanice, jako Quercus manchurica. Jedwabnik ten daje nitki grube, z których wyrabia się znana i u nas materja „czesun-cza". Mnóstwo takiego jedwabiu wyrabiają fabryki w Laojanie, Hajczenie i w innych miastach prowincji mukdeńskiej.

Za Artyszem kończą się plantacje ryżu i bawełny. Ścieżka karawanowa zwolna wznosi się wgórę, w kierunku północno-zachodnim, i biegnie przeważnie nad korytem rzeki Tujun, płynącej z gór Tian-Szan. Rzeka ta ma dwa główne dopływy: Ak-saj (biała rzeka) i Sujak (koście), które łączą się o 115 kilometrów od Kaszgaru, w miejscowości Kyzył-Kurgan. O 50 kilometrów od Kaszgaru przeszliśmy obok fortu chińskiego Tiszyk-Tasz; za tym fortem, minąwszy Tukaj-baszy (początek lasu), wysepkę z napływów rzecznych, gęsto zarośniętą wierzbami, rozłożystemi górskiemi topolami, tamaryszkiem i cierniem, mieliśmy przed sobą najgorszą część drogi na całej przestrzeni od Kaszgaru do przełęczy Sujak w pasmie gór Tian-Szan.

Rzeka płynie wąwozem, o spadzistych zboczach skalnych, miejscami nieszerszym nad 50 — 60 kroków, droga zaś często przebiega z jednego brzegu rzeki na drugi przez brody, latem głębokie, zawsze kamieniste. Na jednem urwisku wznosi się niezajęty przez Chińczyków fort Czakmak, zbudowany przez Jakóba-Beka, z parapetami dla dział, dobry do ostrzeliwania drogi. Najbliższe od fortu wierzchołki gór, zbocza, otoczone glinianemi ścianami ze strzelnicami, bronią dostępu do fortu. Jedziemy już wśród zimowych leży Kirgizów, koczujących na chińskich zboczach gór Tian-Szan.

Za Kyzył-Kurganem drogi się rozchodzą: na północ, rzeczką Ak-saj prowadzi droga w dolinę Ad-basza i dalej przez rosyjski fort Naryń do Siedmiorzecza, a na północny-zachód rzeczką Sujak — na przełęcz Sujak, położoną o 62 kilometry od Kyzył-Kurgana.

Jedziemy drogą na Sujak i jesteśmy już na wysokości przeszło 11 129 stóp (3 392 m.) n. p. m. w strefie łąk alpejskich. Łagodne zbocza gór pokryte są wspaniałą trawą. Koczuje tam wielu Kirgizów, którzy w ciągu lata wypłoszyli dalej w góry zwykłych mieszkańców tych stref, ogromne dzikie barany (ovis argali). Spotykamy po drodze całe cmentarzyska z kości, bielejących zdaleka, przeważnie pod urwistemi skałami. Są to ślady krwawych walk dzikich baranów z wilkami. Wilki, skupiwszy się w wielkie stada, starają się odbić od stada baranów część młodych; gdy im się to uda, pędzą je ku znanemu sobie miejscu, gdzie zbocza górskie kończą się urwiskami, i pożerają oszalałe ze strachu barany, gdy te, nie mając innego wyjścia, rzucają się ze skały na dół, raniąc się lub kalecząc. Cmentarzyska z białych kości nadały nazwę rzece i przełęczy.

Wreszcie wznosimy się bez wysiłku na przełęcz Sujak, leżącą na wysokości 13 032 stóp (3 972 m.) nad p. morza. Stąd rozpościera się przepiękny widok na dolinę rzeki Tar, którą biegnie droga do wioski Uzgent w dolinie Fergany. Zachodnie zbocza Sujaka są również łagodne. W głębi doliny widać zbocza gór, pokrytych wspaniałemi lasami arczy (juniperus sp?). Z przełęczy widać także, o kilka kilometrów na północ, drugą przełęcz, Sujak, wiodącą przez pasmo gór Aleksandra do Siedmiorzecza; właśnie bowiem w tem miejscu od Tian-Szania, który ciągnie się z północy na południe, oddziela się potężne pasmo gór, biegnących na zachód i noszących nazwę pasma Aleksandra. Góry te dzielą rosyjskie prowincje Fergany od obwodu kozaków Siedmiorzecza.

Całą drogę od Kaszgaru, wynoszącą 175 kilometrów, przebyliśmy w ciągu 5 dni marszu, z których trzy ostatnie — podczas strasznej ulewy, trwającej bez przerwy dniem i nocą. Deszcz ten nietylko nas przemoczył do nitki, ale i toboły z rzeczami. Pod przełęczą ulewę zastąpił śnieg, pokrywając wszystko grubym na ½ łokcia, białym całunem. W nocy przyszedł przymrozek, a górski, zimny wiatr przenikał do szpiku kości. Szczególnie dał się nam we znaki zupełny brak drzewa. Zebrane z wielkim trudem z pod śniegu garstki nawozu nie chciały się palić, więc niepodobna było nietylko wysuszyć rzeczy i samemu obeschnąć, ale i choćby rozgrzać się herbatą, tak, że chanszyn i kantońska szynka Zung-Tuna przydały się, jak nigdy. Dopiero Kirgizi rosyjscy, koczujący po drugiej stronie przełęczy, dowiedziawszy się przez swoją „pantoflową pocztę“, że już jestem pod przełęczą, i wie-

dząc, że na stronie chińskiej niema drzewa, samorzutnie przed świtem dostarczyli nam taką ilość paliwa, że mogliśmy rozniecić ogromne ognisko, ogrzać, osuszyć się i jeszcze posłać pewien zapas drzewa przedstawicielowi Chin, który też przyjechał i, zatrzy-

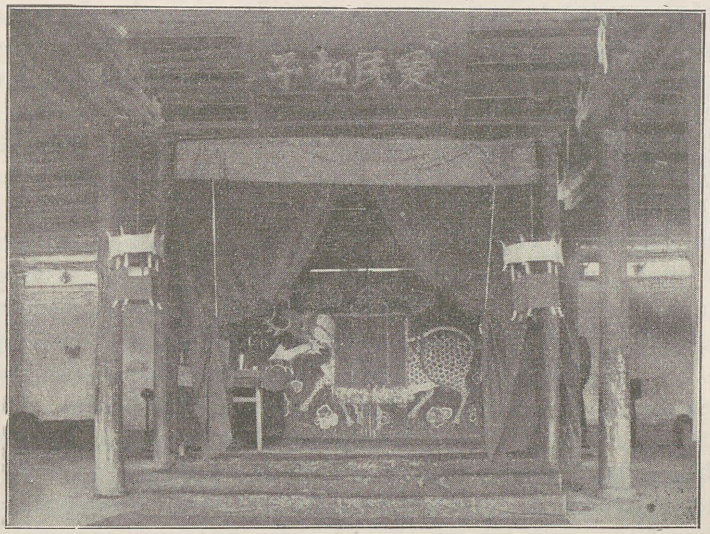

Pawilon, obity czerwonem suknem, z narysowanym smokiem, w którym Dao-Taj odbywa sądy (s. 57).

mawszy się na sąsiedniem wzgórzu, przemoknięty nawskroś, nie miał paliwa.

Z rana zobaczyłem obóz mego przyszłego towarzysza objazdu linji granicznej. Wyglądał wspaniale w porównaniu z moim. Kręciło się tam ze 40 ludzi. Dla władz swoich Kirgizi wystawili jurty i dostarczyli wielbłądów dla przewozu ciężarów[1]). To też mój mały obozik, składający się z 5 ludzi i z 8 koni, mógł zaimponować tylko sprawnością rynsztunku.

Po zapoznaniu się i wzajemnej wymianie wizyt, ruszyliśmy tego samego dnia na obejrzenie znaków granicznych, w postaci wysokich słupów kamiennych z odpowiedniemi napisami w języku rosyjskim i chińskim. Większość ich była w porządku. Niektóre

[1]) Nie uchroniło ich to od chłosty zato, że nie dostarczyli drzewa, tylko nawóz, który na deszczu zwilgotniał i nie chciał się palić.

zaś źle zbudowane, wskutek braku potrzebnych materjałów, uległy stopniowo zniszczeniu, i trzeba było je poprawić. Umyślnych uszkodzeń nie znaleźliśmy.

Objazd trwał 12 dni, w ciągu których zbadaliśmy 12 przełęczy gór Tian-Szan[1]), zrobiwszy 672 kilometry, co według obrachunku mego kolegi chińskiego stanowiło 1680 chińskich „li". Posuwaliśmy się ciągle na wysokości ponad 12 000 stóp n. p. m., na przełęczach zaś wznosząc się do 14 000 st. n. p. (Szczyt Mont Blanc wznosi się na 15 785 stóp nad poz. morza).

Pierwszy raz w życiu zdarzyło mi się być w ciągu 12 dni i nocy bez przerwy na takiej wysokości. Polując na dzikie barany Ovis Poli lub pokrewne im Ovis argali, często podchodziłem zwierza na szczytach gór na wysokości 15 — 16 tysięcy st. n. p. m., lecz po 2 — 3 godzinach schodziłem niżej. Noce zaś zawsze spędzałem znacznie niżej. To też z ciekawością obserwowałem wpływ rozrzedzonego powietrza na organizm swój i swoich towarzyszów podróży. Otóż osobiście znosiłem tę podróż dobrze, szczególnie w pierwszych dniach przebywania na tej wysokości. We dnie czułem się przytem lepiej, niż w nocy, nocą bowiem często brakło mi tchu; zrywałem się z łóżka polowego z silnem biciem serca, nie mogąc schwytać w płuca dostatecznej ilości powietrza. Czterech kozaków czuło się zupełnie dobrze, choć przy wznoszeniu się na przełęcze brakowało im tchu, co zresztą zdarzało się wszystkim, nawet krajowcom, zamieszkującym tamtejsze okolice. Piąty, młody, krwisty kozak, wyglądający bardzo zdrowo, służył nam za aneroid. Do wysokości 12 000 st. n. p. m. czuł się on wybornie; na poziomie 13 000 st. dostawał krwotoku z nosa, którego nie było można niczem zatamować. Wyżej—tracił przytomność, spoglądał na wszystkich błędnemi oczyma, nie rozumiał, co do niego mówiono, i sam mówił z trudnością i bez związku, wywierając wrażenie człowieka, bredzącego w ciężkiej malignie. Najwięcej cierpiał jednak mój kolegą chiński. W czerwonym watowanym kapturze, z pod którego wysuwał się długi warkocz, z twarzą, oblepioną czarnemi plastrami, jakie miały odciągać przypływ krwi do mózgu, ciężko dyszący i przytem cierpiący na szalony ból głowy, Wan-Da-łoje—miał wygląd godny współczucia.

---

[1]) Sujak (kości), Kuk-art (zielona przełęcz), Dżytym-aszu, Tuz-aszu Kałmak-aszu, Tałgij, Sijdam, Kyz-dar, Tart-kuł, Karaczał, Ittyk (Kara-Bil) i Kara-Bil (Sasyk-Unkur).

Ciekawy jest fakt, że krajowcy, nawet urodzeni w tamtejszych okolicach, niezawsze są wolni od ataków duszności (miejscowa nazwa choroby — tutek), czasami tak silnej, że dla ocalenia życia muszą oni spiesznie przenieść się kędyś na dół. „Tutek“ napastuje częściej ludzi w wieku podeszłym i otyłych. Od duszności giną nawet zwierzęta, szczególnie młode wielbłądy i źrebięta; krowy na wielkich wysokościach rodzą często martwe cielęta. Zato nigdy nie zdarzyło mi się słyszeć, żeby na duszność chorowały barany.

Kaszgarski Dao-Taj Chuang - Da - żeń (s. 58).

Objawy duszności są bardzo przykre: jest to zupełny brak tchu. Człowiek stara się złapać powietrze, ale płuca są puste. Osobliwie ciężkie są napady duszności w nocy, podczas snu. Nagle człowiek czuje, że się dusi; zrywa się z łóżka, patrzy dokoła błędnemi oczyma, a płuca pracują, jak miech kowalski. Powoli zmora przechodzi, i znowu można się ułożyć do snu. Lekarstwa na to niema. Ale doświadczenie wytworzyło pewne wskazania, przy zastosowaniu których można znacznie zmniejszyć ataki tej nieprzyjemnej choroby. Więc naprzód—dieta. Trzeba pamiętać, że na olbrzymich wysokościach woda wre już przy 75° C., a nie przy 100°, jak to bywa na poziomie morza, więc wiele produktów, jak np. ryż, lub mięso, nie ugotują się, choćby je nie wiem jak długo gotować. Trzeba przeto jeść tylko rzeczy strawne i lekkie, żeby nie obciążać żołądka. Najlepszem pożywieniem jest gęsta polewka z prażonej mąki z dodatkiem suszonych moreli, no i kumys, jeżeli go można dostać

Poza tem trzeba unikać wszelkich ruchów gwałtownych które zawsze wywołują ataki duszności. Gdy się wstaje z miejsca, wsiada na koń, podnosi coś z ziemi, trzeba czynności te wykonywać spokojnie i powoli. Człowiek przyzwyczaja się zwolna nawet do bardzo rozrzedzonego powietrza. Tak np. w 4 lata po opowiedzianych tu zdarzeniach odbywałem podróż przez Pamiry, wzdłuż zboczy Himalajów, przez pustynię Raskemu, do północno-zachodniego Tybetu i w przeciągu 10 miesięcy nie schodziłem ani razu

poniżej 14 — 15 000 st. n. p. m., wznosiłem się zaś na przełęcze wysokości przeszło 19 000 stóp, jednak ciężkich ataków duszności nie miewałem, chociaż nabawiłem się rozedmy płuc, która męczy mię dotychczas.

Przy szczegółowym objeździe przełęczy w tej części gór Tian-Szan wyjaśniło się, że przełęcze te można podzielić na 4 grupy. Pierwsza to przełęcze: Sujak, Dżyty-Aszu i Kuk-art. Wody z nich spływają do rzeczki Sujak (Tujun), której brzegiem przyszliśmy z Kaszgaru. Do drugiej grupy należą: Tuz-aszu, Kałmak-aszu, Tałgyj i Sijdam. Wody z tych przełęczy ściekają do rzeki Ucz-Tasz, wpadającej do Kyzył-su, około fortu chińskiego, Uług-Czat, o 40 kilometrów od rosyjskiego fortu, Irkesztam. Wszystkie te siedem przełęczy mają zbocza łagodne, pokryte wspaniałą trawą, ale zupełnie pozbawione są lasów, a nawet zarośli, gdy tymczasem zachodnie zbocza Tian-Szania (zwrócone w stronę Fergany) pokryte są wspaniałemi lasami. W tem właśnie tkwi tragizm Kirgizów, poddanych rosyjskich, koczujących na zachodnich zboczach Tian-Szania. W lecie mają oni do użytku wspaniałe pastwiska wśród lasów; lecz w zimie wichry górskie, tamowane przez lasy, nie zwiewają z pastwisk śniegu, z pod którego trzody nie mogą wydobyć dla siebie pożywienia. Stąd wynika konieczność przenoszenia koczowisk na stronę chińską Tian-Szania, gdzie niema lasów, a wichry zwiewają śniegi, obnażając pastwiska. Bekowie kirgiscy, mianowani przez władze chińskie, wiedzą o krytycznem położeniu kirgizów rosyjskich i za prawo wypasu biorą od nich $^1/_{20}$ część trzody.

Przy objeździe mym Kirgizi podali dużo skarg w sprawie krzywd, doznanych od beków. Zwróciłem się w tej kwestji do Wan-Da-łoje, prosząc, by ustalił taksę za wypas. Naturalnie, obiecał i z prawdziwie azjatycką złośliwością kazał przepędzić Kirgizów na stronę rosyjską, żeby skargami nie przyczyniali kłopotu władzom chińskim.

Ogromne pastwiska na chińskich zboczach Tian-Szania rzeczywiście są nadzwyczaj bogate, szczególnie na płaskowzgórzu Ucz-Tasz. Byliśmy w tej miejscowości we wrześniu, w 10 — 12 dni po opuszczeniu ich przez miejscowych Kirgizów, którzy, przebywając tam ze swojemi stadami przez całe lato, już odeszli byli na zimowe leża pod Uług-Czat. Pomimo spóźnionej pory roku, po kilku deszczach trawa tak szybko odrosła, jakgdyby latem nikt nie korzystał z tych pastwisk.

Na płaskowzgórzu Ucz-Tasz, w miejscowości Bałykny-Ujasy (gniazdo rybie) jedna z rzeczek spada dość dużą kaskadą. Otóż w zagłębieniu, wyżłobionem przez wodospad, jest mnóstwo pstrągów, które, nie bojąc się ludzi, igrają w słońcu, wysoko wyskakując nad wodą. Miejsce to uważa się za święte; tamtejsi Kirgizi za nic nie złakomią się na te smaczne ryby, gdyż, według podania, każdy, kto zje pstrąga, umrze w strasznych bólach. Obserwując igraszki pstrągów, nie umiałem sobie wyjaśnić, skąd się one wzięły w tej miejscowości, gdyż ryby te są nieznane w całej Kaszgarji, i więcej nigdzie ich nie spotykałem [1]).

Przez płaskowzgórze Ucz-Tasz przechodziliśmy, jak wspomniałem, w parę tygodni po odejściu stamtąd na zimowe leża miejscowych Kirgizów, kiedy miało ono wygląd pustyni. Na miejsce Kirgizów wyszły z gór stada dzikich baranów (ovis argali) i rozmaitych gatunków antylop. Spotykaliśmy stada arharów po 150—200 sztuk, i musiałem użyć całego wysiłku woli, żeby nie porzucić mego chińskiego kolegi, który, nie znosząc gór, bardzo śpieszył się z objazdem (robiliśmy średnio po 56 kilometrów dziennie), i nie zniknąć na parę tygodni w pogoni za zwierzem.

Stadka kóz po 16—20 sztuk, zawsze z przewodnikiem, brodatym rogaczem na czele, trzymały się w bardziej skalistej części gór. Poza tem widzieliśmy dużo antylop. Kirgizi mówili, że są i jelenie, ale tych nie widziałem. Za zwierzem szły wilki stadkami po 5—6 sztuk. Oprócz tego spotykaliśmy wiele drobnego zwierza: lisów, gronostajów, szczególnie zaś świstaków, których legowiska trafiają się na każdym kroku.

Niedźwiedzia w ciągu 12 dni widziałem tylko raz jeden, a i wtedy, spłoszony wrzawą naszej karawany, Miś uchodził potężnym kłusem w góry. Był to duży okaz, szarobrunatny, nie zaś czarny, z białą obrożą (tybetański), jakiego spotykałem potem na Pamirach. Bez lornetki widziałem doskonale każdy jego ruch: kłusował, kiwając się i od czasu do czasu zwracając głowę ku nam, jakby mierzył okiem dzielącą go od nas odległość. Śladów jednak niedźwiedzi widziałem dużo, co dowodzi, że gnieżdżą się one w skalistej i pokrytej lasami zachodniej części Tian-Szania, przechodząc na stronę wschodnią, bezleśną jeno dla żeru, na polowanie na świstaki, które stanowią dla nich łatwą zdobycz.

[1]) W parę lat później widziałem pstrągi na zboczach Himalajów, w miejscowości Bałykczy, między fortem Szachiduła-Chodża a przełęczą Kara-Korum, na wysokości 16 000 st. n. p. m.

Na przełęczy Tałgyj, prawie na samym szczycie jest jezioro, które podczas naszego przejazdu, w pierwszych dniach września, już było pokryte grubą warstwą lodu.

Ponieważ z Kaszgaru wyruszyliśmy w ostatnich dniach sierpnia przy temperaturze + 32° C. w cieniu, nic więc dziwnego, że w namiotach marzliśmy fatalnie.

Trzecią grupę stanowią przełęcze: Tart-kuł, Kyz-dar, Karaczał i Ittyk (Kara-bil). Wody, spływające z nich, tworzą rzekę Egin, która wpada do Kyzył-su, o 20 kilometrów od Irkesztamu.

Od strony Fergany drogi z 10 pierwszych przełęczy (od Sujaku do Karaczału) zbiegają się w miejscowości Ałaj-ku, wzdłuż

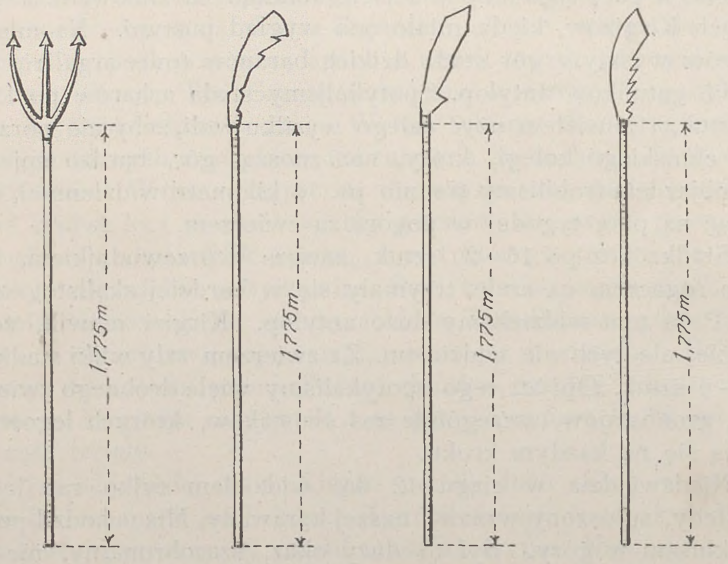

Broń starożytna straży, otaczającej lektyki dygnitarzy chińskich (s. 65).

rzeki Tart-kuł, która zbiera wszystkie rzeczki z całej tej części Tian-Szania. To też dolina Ałaj-ku, będąc węzłem dróg, wiodących z Fergany do Chin, służy także za punkt zborny dla wszystkich koczowników wschodniej części Fergany, którzy w lecie pozostają na zachodnich zboczach Tian-Szania, w zimie zaś zmuszeni są przechodzić na pastwiska do Chin.

Wreszcie do czwartej grupy należą przełęcze: Ittyk i Kara Bil (Sasyk Unkur), które zbiegają ku rzece Kok-su, jednemu ze źródeł Kyzył-su kaszgarskiego. Granica państwowa odchyla się

tutaj na wschód od Tian-Szania, ciągnie wzdłuż jednego z pasm, dzielącego rzekę Kok-su od Egina, i wychodzi na fort Irkesztam. Oba zbocza Tian-Szania z przełęczami Terek i Bilauli leżą już w granicach Rosji.

Droga na przełęcz Kara-Bil na przestrzeni około 12 km. biegnie korytem rzeki, wyżłobionem w skałach i bardzo wąskiem. Korytarz ten, miejscami nieszerszy nad 3—4 kroki, z prostopadłemi ścianami, nosi nazwę Kapczygaj i wygląda ponuro i groźnie. Ogólne wrażenie, jakie mi pozostało z objazdu Tian-Szania na przestrzeni około 672 kilometrów, było bardzo dodatnie. Wspaniałe pastwiska w północnej części pasma gór i nieprzebrana ilość rzadkiej zwierzyny mogą zadowolić najwybredniejszego myśliwego. Południowa część Tian-Szania ze skalistemi zboczami, porosłemi gęstemi lasami arczowemi, daje schronienie niedźwiedziom, dzikom i stadom kozłów skalnych. W wąwozach, porosłych oblepichą, jałowcem, głogiem i cierniami, powiązanych pnączami (clematis sp.) w nieprzebyte gąszcza, gnieździ się ptactwo, między innemi ślicznie upierzone bażanty azjatyckie, rzadkie ułary (rodzaj dzikiego indyka), oraz górskie kurki (kaklik) z mięsem o smaku jarząbka, lecz 1½—2 razy od niego większe. Nie dziw, że ten przepiękny kraj przyciągał latem wielu Anglików i Amerykan, żądnych wrażeń myśliwskich.

XIII.

PRZYJAZD DO IRKESZTAMU. SPÓR O GRANICĘ.
POWRÓT DO KASZGARU. ĆWICZENIA WOJSK CHIŃSKICH.
ZAJŚCIE NA PLACU ĆWICZEŃ. ŚLEDZTWO I SĄD NAD WINOWAJCĄ.
STARANIA O WYJAZD DO KASZGARJI POŁUDNIOWEJ.
ANTAGONIZM WŁADZ CYWILNYCH I WOJSKOWYCH. EGZAMINY.
POZWOLENIE DAO-TAJA NA WYJAZD DO CHOTANU.

14-go września zakończyliśmy objazd Tian-Szania i zatrzymaliśmy się w Irkesztamie: Wan-Da-łoje po chińskiej stronie rzeczki, ja zaś na rosyjskiej, u stóp niedawno wybudowanego fortu, który ogromnie niepokoił władze chińskie.

Trzeba zdarzenia, że na oficjalnej mapie granicznej, zatwierdzonej przez pełnomocnych komisarzy obydwóch rządów, rzeczkę Irkesztam nazwano mylnie rzeką Maltabar. Skąd się wzięła ta nazwa, przytem na mapie urzędowej—niewiadomo, gdyż najbardziej drobiazgowe poszukiwania, dokonane przez nas obu, Wan-Da-łoje i mnie, nie doprowadziły do znalezienia rzeczki tej nazwy. Pomimo tego, że miejsce, gdzie na mapie oznaczono rzeczkę Maltabar, odpowiadało zupełnie rzeczywistemu położeniu rzeczki Irkesztam, pomimo, że Wan-Da-łoje nie mógł nigdzie w innem miejscu wskazać rzeki Maltabar, jednak zakwestjonował położenie fortu rosyjskiego, twierdząc, że jest on zbudowany na terytorjum chińskiem, i pod rozmaitemi pozorami nie zgadzał się na pozostawienie słupa granicznego na dawnem miejscu. Na sprzeczkach i poszukiwaniach Maltabaru przeszło nam 5 dni. Widząc, że Wan-Da-łoje czuje się w Irkesztamie, na wysokości 9000 st. n. p. m., już doskonale i przeciąga narady może nawet z rozkazu Dao-Taja

w Kaszgarze, śpiesznie zredagowałem protokół o objeździe granicy do Irkesztamu i oświadczyłem: ponieważ przedstawiciel chiński nie chce, czy nie może pogodzić się z rzeczywistością, dalsze przeto omawianie punktu spornego można prowadzić tylko bezpośrednio z Dao-Tajem, w Kaszgarze; wskutek tego zmuszony jestem wrócić do Kaszgaru, o czem proszę donieść Dao-Tajowi, oraz przez chińską pocztę konną przesłać pismo moje konsulowi rosyjskiemu.

19-go września wymieniliśmy protokóły co do sprawdzenia bezspornych znaków, i ja natychmiast wyjechałem do Kaszgaru; Wan-Da-łoje zaś został w Irkesztamie, gdzie przy pomocy miejscowych Kirgizów miał nadzieję znaleźć tak potrzebny mu Maltabar kędyś w granicach Rosji i dowieść przez to, że Irkesztam jest zbudowany na ziemi chińskiej, a więc powinien być zniesiony.

Drogę do Kaszgaru, 215 kilometrów, odbyłem, jak i za pierwszym razem, w pięć dni i 23 września stanąłem w konsulacie, którym z powodu wyjazdu na urlop konsula Petrowskiego zarządzał sekretarz konsulatu, Jakób Lutsch. Trzeba było znowu z wszelkiemi ceremonjami złożyć wizyty Dao-Tajowi Chuang i Zung-Tunowi Dung. Obydwaj mężowie stanu przyjęli mię z nadzwyczajną uprzejmością i wystąpili z wystawnemi ucztami. Zung-Tun ucieszył się bardzo, dowiedziawszy się o naszej przygodzie pod przełęczą Sujak, kiedy to po strasznych upałach w Kaszgarze wpadliśmy w letnich kitlach pod trzechdniową ulewę, która zakończyła się śnieżną zawieją i, przemoknięci do nitki, kostniejąc pod mroźną wichurą, nie mogąc zdobyć paliwa do ugotowania herbaty, ogrzewaliśmy się przysłanym przez Zung-Tuna chanszynem, pokrzepiając się szynką, sprowadzoną aż z Kantonu.

Po przyjęciu rewizyt rozpoczęły się żmudne posiedzenia naprzemian to w konsulacie, to u Dao-Taja w sprawie słupa granicznego w Irkesztamie. Dao-Taj obstawał twardo przy tem, że, skoro pełnomocnicy cesarscy Chin i Rosji orzekli, iż granica państwowa z Tian-Szania biegnie przez rzeczkę Maltabar w stronę Pamirów, to przyznać Rosji Irkesztamu nie można. Nie pomagały dowodzenia, że słowo Maltabar zaprotokółowano mylnie, że takiej rzeczki w rzeczywistości niema; że położenie rzeczki Irkesztam na mapie, potwierdzonej pieczęciami cesarskich komisarzy pełnomocnych, właśnie odpowiada rzece Maltabar, więc jest to omyłka oczywista; że wreszcie komisarze zgodzili się właśnie na ten, a nie inny punkt i postawili słup graniczny; chodzi przeto nie o prze-

prowadzenie nowej granicy, ale o protokólarne stwierdzenie, że słup, wystawiony przez pełnomocnych komisarzy cesarskich, stoi na miejscu i jest odrestaurowany.

Dao-Taj nie dał się przekonać i zaproponował, aby całą sprawę przedstawić do decyzji głównemu naczelnikowi „Nowej Granicy“ i prowincji Nan-lubo-czyn, mężowi stanu Lu, którego rezydencja była aż w Urumczi; obiecywał przytem, że odpowiedź może nadejść za jakie 30 dni, i prosił, abym poczekał na odpowiedź w Kaszgarze, jako jego drogi gość. Skwapliwie przyjąłem propozycję Dao-Taja, w nadziei, że będę miał nietylko więcej czasu na zbadanie nieznanej mi Kaszgarji, jej handlu i przemysłu, lecz również, że w ten czy inny sposób może uda mi się zwiedzić jej południową część aż do Chotanu. Kraj ów bowiem pociągał mię bardzo, ponieważ w tym czasie najznakomitszy podróżnik rosyjski, pułkownik Przewalskij, przybył z Tybetu do Chotanu i, odpocząwszy, udał się dalej na północ, przecinając pustynię Gobi, i przez posterunek Zajsański w Syberji Zachodniej wrócił do Rosji. Gdyby więc udało mi się dotrzeć do Chotanu, zostałoby dokonane połączenie Turkiestanu ze zdjęciami topograficznemi Przewalskiego, i ogromna połać nieznanej Azji Środkowej byłaby zdjęta i opisana.

Jednak, jakby pod wpływem przeczucia, poprosiłem Dao-Taja, by zaproszenie swe zakomunikował mi piśmiennie, motywując to koniecznością przesłania go do gubernatora Fergany, w celu udowodnienia, że nie z własnej winy pozostanę tak długo w Kaszgarze. Dao-Taj chętnie się zgodził i na drugi dzień przysłał mi żądane pismo.

Zacząłem wtedy zwiedzać rynek kaszgarski i w sposób dyskretny zbierać wszelkie wiadomości o wojskach chińskich, o ich zaopatrzeniu i uzbrojeniu. Wiadomości takich, dotyczących prowincyj Chin Zachodnich, graniczących z Rosją, rząd rosyjski nie posiadał wcale. Położenie pod tym względem przedstawiało się w następujący sposób:

Przy poselstwie rosyjskiem w Pekinie był pełnomocnik wojskowy, pomocnik zaś jego mieszkał w Tian-tsinie, to jest na Dalekim Wschodzie, gdzie Chiny miały armję, wyćwiczoną przez instruktorów europejskich. Stąd wynikały przesadne wiadomości o uzbrojeniu i sprawności wojsk chińskich i oględna obawa, nakazująca unikać wszelkich starć z Chinami.

Tymczasem wojska te znajdowały się w portach oceanu Spokojnego, i wskutek braku kolei w Chinach trzebaby było 3—4 lat,

żeby je przerzucić na front zachodni. Wojska zaś, położone na granicy rosyjskiej, mogły być straszne dla hord Jakóba-Beka, ale dla armji europejskiej żadnego znaczenia nie miały.

Aby więc stwierdzić ten fakt i przedstawić niezbite dowody nędznego stanu armji chińskiej, korzystałem z każdej sposobności: starałem się jak najdokładniej przyjrzeć ćwiczeniom wojsk chińskich w Kaszgarji, poznać urządzenia i uzbrojenie fortec tamtejszych, zbadać zapasy amunicji i t. d.

Najbliżej lokalu, zajętego przez konsulat rosyjski, leżały koszary pieszej i konnej lanzy (pułku) chińskiej, któremi zarządzał generał Wan-dżu-min. Mając piśmienne pozwolenie Zung-Tuna, wydane jeszcze za pierwszym przyjazdem moim do Kaszgaru, dające prawo przyglądania się ćwiczeniom wojsk chińskich, legalnie i zupełnie otwarcie wyjeżdżałem konno, w asystencji jednego tylko kozaka, na plac ćwiczeń i, stanąwszy na uboczu, zapisywałem w swym notatniku spostrzeżenia, dotyczące formy ćwiczeń. A były one bardzo ciekawe. Naprzód tedy rzucała się w oczy ogromna ilość sztandarów. Liczba ich w pieszej lanzie stanowiła cały pierwszy szereg, a więc $^1/_3$ ludzi, biorących udział w ćwiczeniach. Pułk szykował się w trzy szeregi. Pierwszy stanowiły sztandary najrozmaitszych barw: czerwone, czarne, białe i t. d., prócz żółtego, który przysługiwał, jako przywilej, tylko wojskom mandżurskim, stanowiącym ochronę przyboczną rodziny cesarskiej, pochodzącej z dynastji mandżurskiej.

Drugi szereg pułku składał się z żołnierzy, uzbrojonych w karabiny najrozmaitszych fabryk, z bagnetami, albo też z kordelasami, przytwierdzonemi do lufy; odtylcowych karabinów nie było. Żołnierze, uzbrojeni w karabiny, mieli z lewej strony przerzucone przez prawe ramię torby (w rodzaju myśliwskich), uszyte z niebieskiego materjału bawełnianego z gniazdami do umieszczania ładunków z prochem. Kule nosili oni w osobnych wąskich i długich workach, przewieszonych przez lewe ramię. Trzeci szereg stanowili ludzie, uzbrojeni w piki bambusowe, długości 5½ m., które robi się ze sklejonych bambusów, mocno owiniętych taśmą bawełnianą i zwierzchu lakierowanych. Piki te miały w średnicy 4 cm. i, pomimo swej długości, były lekkie i bardzo mocne. Na jednym ich końcu umieszczone jest ostrze stalowe długości 25 cm., na drugim — żelazna zaostrzona skówka dla oparcia o ziemię. Tam, gdzie się kończy ostrze piki, osadzony jest niewielki buńczuk z włosia końskiego, pomalowanego na czerwono. Takie same dwa

buńczuki są jeszcze przytwierdzone w równych odstępach poniżej ostrza piki.

Dowódca lanzy stawał w pawilonie nad bramą wjazdową koszar (impań) w otoczeniu oficerów i flagami dawał sygnały do ćwiczeń. Sygnały przejmowali żołnierze pierwszego szeregu i powtarzali je, poczem już komendę flagową wypełniały szeregi. Na pewien sygnał, podany flagą, wybiegali strzelcy z drugiego szeregu po jednemu, po dwóch, lub też całym szeregiem, klękali przed sztandarami, któremi energicznie wtedy machano, strzelali w stronę, wskazaną przez sztandary, odbiegali za trzeci szereg żołnierzy i tam nabijali broń. Kiedy cały szereg z karabinami zakończył strzelaninę, wtedy przed sztandary wybiegał szereg z pikami, wbijał je końcami w ziemię, pochylając ostrza w stronę przeciwnika i tworząc w ten sposób las zaostrzonych pik; jednocześnie za tym szeregiem wściekle machano sztandarami, strasząc wroga wyszytemi na nich smokami ogromnych rozmiarów, w żelaznych zbrojach wielkoludami i rycerzami.

Równocześnie na flankach żjawiały się tajfury dużego kalibru, długie pojedynki, niesione na pasach rzemiennych przez czterech ludzi. Z tajfury strzelał piąty, podoficer (szy-dżan), opierając ją na trójnogu, który nosił na plecach szósty z obsługi tej długiej armatki. Po wystrzale tajfura cofa się wtył poza szeregi pułku, i tam ją nabijają.

Przy szarży żołnierze ze sztandarami i pikami szybko biegli w stronę, wskazaną przez chorągwie, potrząsając w biegu pikami i wywijając sztandarami, dopóki nie wstrzymano ich sygnałem flagi z pawilonu dowódcy. Patrząc na tę szybko pędzącą szarańczę, mimowoli myślałem, jakie okropne spustoszenie zrobiłby tu chociażby jeden karabin maszynowy.

Oficerów w szeregach nie było; stali oni na boku bez broni, trzymając w ręku metrowe laski bambusowe, któremi doraźnie tłukli żołnierzy, którzy nie zrozumieli podanego przez dowódcę sygnału, lub też źle go wykonali. Naturalnie, wskutek tego zamęt w szeregach jeszcze bardziej się wzmagał.

Znacznie lepiej prezentował się pułk kawalerji, choć siedział na małych, wychudzonych koniach, najrozmaitszej maści. Uzbrojenie kawalerji stanowił karabin, przewieszony na ramieniu przez plecy lufą na dół, i szeroki miecz, przywiązany do siodła pod lewem kolanem. Chińczycy jeżdżą na krótkich strzemionach i na wysokich siodłach kałmyckich, pokrytych niebieskiemi lub czer-

wonemi kołderkami watowanemi. Siedzą oni na koniu mocno i przy szarżach pędzą śmiało. Dodatnie wrażenie osłabia fatalne umundurowanie: szerokie kurmy i rozwiewające się koszule, głównie zaś niebieskie i czerwone chusteczki, zastępujące czapki, któremi przewiązują sobie głowy. Z pod chustek wysuwają się długie warkocze, których końce przywiązane są do pasa. Wszystko to razem kawalerji chińskiej nadaje wygląd hufca czarownic, pędzących na Łysą górę.

Najciekawsze jednak są ćwiczenia z berdyszami i dwiema szablami. Na ćwiczenia z berdyszami szeregi stają o 12 — 15 kroków jeden od drugiego; zwróciwszy się twarzami do siebie, to atakują przeciwnika, robiąc przytem ogromny skok do góry i naprzód i szybko wywijając berdyszem, to znowu bronią się od ataku, błyskawicznie przypadając do ziemi i zakrywając głowę berdyszem. Ruchy te są uzgodnione, i cały szereg wykonywa je równocześnie, wywierając wrażenie klownów w cyrku, wyprawiających olbrzymie skoki.

Przy ćwiczeniach dwiema szablami, żołnierze w szeregu stają o 5 — 6 kroków jeden od drugiego, młynkując obydwiema szablami z taką szybkością, że ruchów szabli okiem uchwycić niepodobna. Przytem młynkujący wyskakuje wbok lub wgórę, wypręża się całem ciałem lub przysiada do ziemi. Ćwiczenie trwa 12—15 minut bez przerwy i musi być bardzo męczące.

Jak mówiłem, najczęściej przyglądałem się ćwiczeniom lanz z najbliższych konsulatu koszar generała Wan-dżu-mina, znanego w konsulacie rosyjskim z niesfornej brutalności i z pogardy dla Europejczyków, których zawsze nazywał nieinaczej, jak „janguzi“ (rudy djabeł zamorski — pogardliwe przezwisko, dawane przez Chińczyków Europejczykom).

Otóż raz, usłyszawszy warkot bębna, dosiadłem konia i w towarzystwie jednego tylko kozaka udałem się na plac ćwiczeń. Byłem bez broni, kozak miał tylko pałasz. Ponieważ było już chłodno, więc na skórzaną kurtkę szwedzką włożyłem jesienny płaszcz oficerski, w rękę zaś wziąłem rodzaj steku (batoga) chińskiego, składającego się z bambusa długości metra, na końcu którego umocowany był rzemień, długości 25—30 cm. Stek (batog) taki służy Chińczykom do poganiania koni w czasie jazdy konnej; przewiesza go się na rzemyku na prawej ręce.

Przyjechawszy na plac ćwiczeń, zatrzymałem się, jak zwykle, zboku na małem wzgórzu i z konia patrzyłem na ćwiczenia, notu-

jąc sobie ciekawsze albo nieznane mi ruchy. Należy nadmienić, że konsulat rosyjski dla uniknięcia wszelkich nieporozumień, zawiadomił był Wan-Dżu-mina, że przyglądam się ćwiczeniom za pozwoleniem Zung-Tuna, i załączył odpis danego mi zaświadczenia.

Na placu ćwiczyła się piechota przy udziale czterech tajfur. Wan-dżu-min osobiście dowodził, stojąc ze świtą w pawilonie nad wjazdową bramą do koszar.

Stałem już z pół godziny na pagórku, gdy nagle od piechoty odłączyło się 2 żołnierzy z pikami, pędząc ku mnie. Jeden biegł

Muzykanci i aktorzy uliczni w Kaszgarze (s. 68).

z taką szybkością, że wyprzedził swego kolegę na 40—50 kroków. Nie zwróciłem na to uwagi, sądząc, że z toku ćwiczeń wypada im zająć jakieś miejsca, na które potem przebiegnie cały szereg, jak to nieraz i przedtem się zdarzało. Siedziałem więc spokojnie na koniu, trzymając notes w lewem ręku i ołówek w prawem.

Raptem pierwszy z żołnierzy, zrównawszy się ze mną, wykonał szalony skok i ugodził mię piką, potrząsając nią z nadzwyczajną szybkością. W oczach mignęło mi ostrze piki. Zupełnie odruchowo schwyciwszy wiszący na prawem ręku stek, bambusem, jak pałaszem, z całej siły, uderzyłem zgóry w pikę. Ostrze ośli-

zgnęło się po płaszczu, rozcinając go, jak brzytwą, i rozdzierając kurtkę, spodnie i skórę na prawem udzie, następnie przebiło gruby, wojłokowy potnik i utonęło w boku konia. Pchnięcie było takie silne, iż żołnierz nie mógł wyrwać piki. Koń mój rzucił się wbok, kopiąc tylnemi nogami i wlokąc za sobą wyrwaną z rąk żołnierza pikę. Dopiero przegalopowawszy paręset kroków, kiedy pika sama się wysunęła, zdołałem opanować i zatrzymać konia.

Byłem sam jeden. Kozak, krzyknąwszy „strzeż się“, pędem pomknął do konsulatu. Zsiadłem z konia i rozejrzałem się po placu. Żołnierze wracali do szeregu; lanza stała spokojnie, ćwi-

Muzykanci uliczni w Kaszgarze (s. 68).

czenia były przerwane. Opatrzyłem konia: ranę w boku miał ogromną. Krew tryskała strumieniem; pika, wysuwając się, wskutek nerwowych ruchów konia, musiała znacznie powiększyć pierwotną ranę, bo z otworu jej wyłaziły poszarpane kawały mięsa, czy też trzewia. Usiłowałem ranę zatknąć chustką, ale się nie trzymała. Zbroczony krwią, w podartem ubraniu, powlokłem się do konsulatu, kulejąc i prowadząc konia za sobą. Nagle zobaczyłem pędzącą ku mnie w cwał konwojową sotnię kozaków konsula. Pokazało się, że mój kozak wpadł na podwórze konsulatu, krzycząc „ratujcie, porucznika Chińczycy mordują“. Ko-

zacy poskoczyli do koni, i naoklep, tak jak stali, więc niejeden nawet boso, lub tylko w bieliźnie, porwawszy karabiny i ładownice, ruszyli mi na pomoc. Zrównawszy się ze mną, zeskoczyli z koni, gorączkowo nakładając ładunki do magazynów. Oficer kozacki rzucił się do mnie, wołając: „pozwól pan dać parę salw do tych rozbójników". Naturalnie, zabroniłem. Do koszar chińskich było jakieś 1000—1200 kroków. Wan-dżu-min, widząc, że kozacy przygotowują się do strzału, dał sygnał przerwania ćwiczeń i żołnierze schronili się do koszar, ogrodzonych wysokim murem.

Podano mi konia, poczem wróciliśmy do konsulatu.

Zajście to było dla mnie bardzo nieprzyjemne. Z jednej strony przewidywałem, iż trudno będzie przekonać władze rosyjskie, że na placu znajdowałem się legalnie i niczem nie wywołałem napaści chińskiej; z drugiej zaś strony prócz rany żal mi było zniszczonego ubrania, gdyż w Kaszgarze, oczywiście, nic kupić nie mogłem, i trzeba było sprowadzić je aż z Margelanu. Na szczęście, rana moja była zupełnie powierzchowna, i po przemyciu jej i obandażowaniu, mogłem chodzić.

Po naradzie z sekretarzem konsulatu, J. Lutschem [1]), późniejszym generalnym konsulem i pełnomocnym ministrem w Seulu (w Korei), postanowiliśmy donieść spiesznie o wypadku ministerjum spraw zagranicznych. Poza tem ja miałem donieść o wszystkiem władzom turkiestańskim, ale żadnych protestów do miejscowych władz postanowiliśmy nie wnosić. Fakt, że zostałem w Kaszgarze, jako gość Dao-Taja, na placu zaś ćwiczeń byłem za zezwoleniem Zung-Tuna, stawiał mię w położeniu wyjątkowo korzystnem wobec najwyższych władz miejscowych. To też postanowiłem wyzyskać tę brutalną napaść na siebie, gościa, zaproszonego przez władze, i wydobyć pozwolenie zwiedzenia Kaszgarji południowej, chociażby do Chotanu, aby stworzyć łączność między mojemi pracami topograficznemi a pracami Przewalskiego.

Pracowaliśmy całą noc i o świcie wysłaliśmy odpowiednio zredagowane raporty specjalnym dżygitem pocztowym. Od Dao-Taja w ciągu dnia nikt się nie zjawił, choć zwykle po parę razy dziennie przychodził któryś z tłumaczy z biletem wizytowym i prosił o załatwienie rozmaitych spraw z krajowcami, poddanymi rosyjskimi; tych było w Kaszgarji bardzo wielu, i wszyscy oni podlegali nie sądowi Dao-Taja, lecz konsula, co drażniło miłość

[1]) Konsul Petrowskij był na urlopie.

własną wielkorządcy chińskiego. Oczywiście Chuang wiedział już o napadzie na mnie, lecz czekał, w jaki sposób zareaguję w tej sprawie. My zaś postanowiliśmy milczeć.

Na drugi dzień zdechł mój koń. Lutsch nie pozwolił go wywieźć, i zostawiono trupa w stajni. Około południa Dao-Taj nie wytrzymał i przysłał tłumacza, Mandżura Fu-czana, znającego dobrze język rosyjski. Oddając bilety wizytowe, w imieniu Dao-Taja pytał on nas o zdrowie, jednocześnie zaś zawiadamiał, że Chuang, otrzymawszy z kraju (prowincji Hunan) pewne rzadkie smakołyki, pragnąłby przyjąć mię u siebie i ugościć, pyta więc, kiedy moglibyśmy przyjechać do niego na obiad.

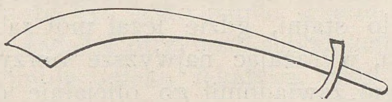

Miecz obnażony, który noszą przed głównym wodzem wojsk danej prowincji, jako symbol prawa śmierci nad podwładnymi (s. 70).

Odpowiedziałem z rezerwą, że zdrowie moje, chwała Bogu, jest w dobrym stanie, co zaś do obiadu, to jestem bardzo zajęty i w najbliższym czasie nie będę mógł skorzystać z uprzejmości Dao-Taja.

W trakcie rozmowy o rzeczach obojętnych trafiło się tak, że musiałem przejść do sąsiedniego pokoju; Fu-czan wtedy zauważył, że kuleję, i zapytał, co się stało.

Odpowiadam tedy bez ogródek:

— Fu-czan, jesteś pan przecie Mandżurem, a nie Chińczykiem z prowincji Hunańskiej, który piśmiennie prosi mię, żebym został jego gościem w Kaszgarze, a potem pozwala, aby mnie mordowano o kilkaset kroków od jego rezydencji. Przecież pan wiesz, co się stało! Czyż może być mowa o obiadach? Żałuję bardzo, że doniosłem swym władzom, iż jestem gościem Dao-Taja i zostanę w Kaszgarze 30 dni, gdyż wyjechałbym w tej chwili.

Fu-czan odrazu zmienił ton i zawołał:

— Ależ tak! Ma pan słuszność. Dao-Taj jeszcze wczora wiedział o napadzie, ale chce, żebyście panowie wnieśli skargę, i posłał mię do konsulatu, abym wybadał, dlaczego nie czynicie tego.

— Dlatego — odpowiadam mu — że mnie, jako gościowi, nie wypada skarżyć się na swych gospodarzy.

Potem przeszliśmy do mnie. Kiedy Fu-czan zobaczył poszarpane i krwią zbroczone ubranie, obandażowaną nogę, a w stajni zabitego konia, zdumiał się. Pokazało się, że wprawdzie Dao-Taj wiedział o napadzie na mnie, ale nie przypuszczał, że mię poraniono i że tylko cudem uszedłem śmierci. To też w godzinę po odjeździe Fu-czana był on już w konsulacie. W uniformie galowym i w otoczeniu wyższych urzędników przyjechał przeprosić mię za napaść; skarżył się przytem, że wojskowi go nie słuchają, że rządzić krajem w takich warunkach niepodobna, i oświadczył, że dał znać już o wszystkiem Zung-Tunowi; czeka na niego i będzie żądał wymierzenia najsurowszej kary Wan-dżu-minowi.

Poczęły się znowu oględziny poszarpanego ubrania, potem wszyscy poszli do stajni, gdzie leżał mój zabity koń. Dao-Taj wywracał oczyma, wyrażając najwyższe obrzydzenie do napastnika, i prosił, abym zawiadomił go oficjalnie o całem zdarzeniu, gdyż musi on donieść o tem głównemu naczelnikowi „Nowej Granicy“, mężowi stanu Lu.

Odpowiedziałem, że skarżyć się nie będę, gdyż jestem gościem, i nie wypada mi zanosić skargi na gospodarza; Wan-dżu-min powinien ponieść karę, ale jaką, nie wiem, ponieważ jest to sprawa pomiędzy nim a Zung-Tunem. Wyszedłem z przygody stosunkowo cało i pretensji nie mam, gdyż nie chciałbym za okazaną mi gościnność odpłacić nieprzyjemnościami.

Dao-Taj przez chwilę patrzał na mnie z niedowierzaniem; potem rzucił się ku mnie, jął ściskać mię za rękę; wreszcie, zasypawszy mię istnym gradem komplementów, oświadczył, że kamień spadł mu z serca, gdyż w razie skargi musiałby donieść o całem zajściu do Urumczi; tam zaś wrogowie jego skorzystaliby z nieszczęścia, podnosząc zarzuty, że, nie uzyskawszy pozwolenia, zatrzymał mię w Kaszgarze i przez to stał się przyczyną niemiłego zatargu. Rozstaliśmy się serdecznie, i obiecałem przyjąć zaproszenie na obiad, skoro tylko rana moja się zagoi.

Przed wieczorem przybył Zung-Tun nie w lektyce, lecz na spienionym koniu i w otoczeniu ogromnej świty. Z właściwą sobie porywczością obejrzał natychmiast moje ubranie i zabitego konia, poczem wpadł we wściekłość i posłał po Wan-dżu-mina. Pokazało się, że Zung-Tun przywiózł z sobą doktora chińskiego, któremu poruczył opiekę lekarską nade mną, oraz przyprowadził własnego konia i drugiego jeszcze wierzchowca z siodłami, wzamian za zabitego; nadto przywiódł z sobą konia jucznego z dwiema wali-

zami skórzanemi, w których było nie wiem ile jamb (moneta chińska, w formie łódki, wagi około 4½ funta czystego srebra) na kupno ubrania dla mnie. Znalazłem się w trudnem położeniu. Etyka nie pozwoliła mi przyjąć koni wzamian za zabitego, tem bardziej zaś srebra na ubranie. Z drugiej znów strony odmową nie chciałem obrazić Zung-Tuna.

Ponieważ wyjścia kompromisowego nie widziałem, bo nie miałem z sobą nic, coby mogło być równoważnikiem darów Zung-Tuna, postanowiłem tedy iść drogą prostą: nie pozwoliwszy otwierać waliz ze srebrem, żeby nie dać powodu do przypuszczeń, że może wartość ubrania zniszczonego przewyższa wartość srebra, oświadczyłem, że jesteśmy obaj wojskowi, etyka zaś wojskowych wszystkich krajów może być tylko jedna. Jestem stroną pokrzywdzoną i powinienem żądać i otrzymać satysfakcję, ale nigdy pieniężną. A więc przyjmuję opiekę lekarską, jako dowód sympatji Zung-Tuna do mnie; żądam jednak ukarania Wan-dżu-mina według praw chińskich i wierzę w sprawiedliwość Zung-Tuna, że satysfakcja będzie publiczna, bo i krzywdę wyrządzono mi publicznie. Ale podarunków i pieniędzy stanowczo nie przyjmę.

Zung-Tun zapewne nie odrazu zrozumiał motywy odmowy, gdyż parokrotnie przerywał tłumaczowi, żądając wyjaśnień. Potem podniósł wielki palec zaciśniętej pięści prawej ręki, powtarzając kilka razy: „Ho! Hau“ i, serdecznie uścisnąwszy mi rękę, powiedział do swego otoczenia: „Oto, jak ludzie wielkiego serca załatwiają sprawy honorowe“. Natychmiast też posłał po Wan-dżu-mina.

O podarunkach więcej mowy nie było.

Wkrótce nadjechał Wan-dżu-min. Był blady, ręce mu się trzęsły, i widać było, że w konsulacie czuł się bardzo źle.

Zung-Tun zadawał krótkie pytania, na które Wan-dżu-min również krótko odpowiadał. Potem mówiono mi, że Zung-Tun pytał Wan-dżu-mina, czy on posyłał żołnierzy, żeby mię zamordować, i że Wan-dżu-min na wszystkie pytania odpowiadał twierdząco.

Wtedy Zung-Tun zapytał obecnych, czy Wan-dżu-min jest winien. Jednogłośnie wszyscy krzyknęli: „sza“ (tak). Wtedy Wan-dżu-min uklęknął. Zung-Tun wstał, podszedł do klęczącego, zdjął z jego głowy oficjalną czapkę (mauza), wyjął z niej długie pawie pióro i oddał je jednemu ze świty; ten zaraz schował pióro do drewnianego futerału, który miał za pasem; potem wyjął nożyk, jaki każdy Chińczyk nosi przy sobie wraz z pałeczkami do jedzenia, odciął koralową gałkę, przymocowaną pośrodku mauzy, i tak

Typ kobiety kaszgarskiej (s. 76).

ogołoconą z ozdób czapkę podał Wan-dżu-minowi. Winowajca włożył ją na głowę i powstał z klęczek, poczem pożegnał Zung-Tuna, przyklękając na jedno kolano, taki sam oficjalny ukłon złożył przede mną i odjechał. W ten sposób byliśmy świadkami czasowego pozbawienia rangi i komendy, dokonanego w gmachu konsulatu rosyjskiego, a nie w jamyniu Zung-Tuna.

Wkrótce Zung-Tun pojechał do domu, widocznie zmęczony całą ceremonją, oświadczywszy, że Wan-dżu-min pozbawiony jest rangi i komendy tylko czasowo, gdyż on, Zung-Tun, ma prawo degradować tylko sztabowych oficerów. Generałów zaś degraduje czasowo i przedstawia sprawę Bogdychanowi, który zwykle zatwierdza podobne wyroki. Dla ostatecznej rehabilitacji Zung-Tun zaprosił mię nazajutrz na rewję wojsk garnizonu kaszgarskiego i na 8 rano obiecał przysłać swoją lektykę. Bogiem a prawdą, nie chciało mi się jechać do tego gniazda osiego, ale—*noblesse oblige* — pojechałem.

Na placu ćwiczeń stało 8 lanz w szyku bojowym. Lektykę w otoczeniu kozaków zaniesiono do głównych wrót koszar lanzy Wan-dżu-mina, który stał przed bramą w czapce oficjalnej, lecz bez ozdób, i, spotkawszy mię, poprowadził na górę do pawilonu nad wrotami. Tam zaś stał Zung-Tun w otoczeniu dowódców lanz, zebranych na placu, z ich świtami. Po przywitaniu, przyczem dowódcy lanz przyklękali, Zung-Tun umieścił mię przy sobie z prawej strony i dał sygnał do rozpoczęcia ćwiczeń, które odbyły się zwykłym trybem. W czasie ćwiczeń podawano herbatę i fajki; herbatę wszyscy pili, stojąc i przyglądając się ćwiczeniom. Gdy się rewja skończyła, w lektyce Zung-Tuna odwieziono mię do konsulatu.

W ten sposób udało się zlikwidować narazie zdarzenie, z którego tylko przypadkowo wyszedłem z życiem.

Władze chińskie jednak były bardzo zaniepokojone tym wypadkiem i starały się zwiększoną uprzejmością złagodzić skutki samowoli jednego z dowódców.

Obydwaj przedstawiciele władzy wydali wspaniałe przyjęcie dla mnie z zachowaniem wszystkich ceremonij, o których mówiłem wyżej. Trzeba więc było zrewanżować się w konsulacie, że zaś etykieta chińska nie pozwala na przyjęciu mieć u siebie więcej, niż jednego dostojnego gościa, któremu świadczy się wszystkie honory, nie można było przeto w jednym dniu ugościć obydwóch przedstawicieli władzy (tem bardziej, że ci bardzo się wzajemnie nie lubili), co powodowało stratę czasu.

Korzystając z każdego spotkania się z Dao-Tajem, dopytywałem się, kiedy przyjdzie odpowiedź z Urumczi; przytem wyznawałem otwarcie, że nudzi mię to czekanie bezczynne, i że chętnie zwiedziłbym inne prowincje, pozostające pod jego zarządem. Lecz Dao-Taj robił za każdym razem oczy przerażone, zapewniając, że im dalej od władz centralnych, tem wojska Zung-Tuna są niesforniejsze, i że on byłby ciągle w trwodze o mój los. W odpowiedzi na to uprzytomniałem mu, że przecież Anglicy jeżdżą po całych Chinach i we wszystkich większych miastach mają misje religijne, które właściwie są placówkami politycznemi, gdyż misjonarze są w ciągłej styczności nietylko z poselstwem swojem w Pekinie, lecz i z Foreign office'em. Dao-Taj kiwał głową, potakiwał; dodawał, że wszyscy misjonarze są to szpiedzy, lecz przebywają w Chinach za paszportami, wydanemi przez wice-króla Li-Chung-Czana; jeżeli jednak im się coś zdarzy, nikt zato nie odpowiada. Tymczasem, tu, w Kaszgarji, on ponosiłby podwójną odpowiedzialność, nie ma bowiem prawa wydawania paszportu cudzoziemcom.

Dni płynęły, i sprawa moja nie posunęłaby się naprzód, gdyby nie pomoc Zung-Tuna. W rozmowie z nim wspomniałem, że pragnąłbym zwiedzić Kaszgarję południową, ale Dao-Taj nie daje mi paszportu, motywując odmowę niesfornością wojsk i obawą, aby mię znowu nie spotkała jaka krzywda. Zung-Tuna ogromnie to wzburzyło. Zerwał się z miejsca, wołając:

„Ach! ten lis! ten „dyplomata kłamliwy". On zawsze przeciwko mnie! Kiedy trzeba prowincję zawojować, to ja i moje wojska krew przelewamy! Kiedy żołnierz poturbuje kupca, który go obdziera i ostatniego obola zabiera za przedmioty bez wartości, to wojska są niesforne?! — Nie potrzebujesz się pan z nim liczyć! Przydzielę panu za przewodnika jednego ze swoich Tun-

Lin'ów (generałów dywizji), to panu zastąpi wszystkie paszporty Dao-Taja. Przecież mam prawo pochwalić się swojemi twierdzami i pokazać swoje sławne pułki cudzoziemcowi! Li-Chung-Czan w Tian-dzinie ciągle tak robi! Tylko jego wojska, ubrane i ćwiczone po europejsku, prochu nie wąchały, i niewiadomo, czy są co warte. Moje zaś — zdobyły dla Chin całą ogromną prowincję! Kazałem ściąć 60 000 głów dungańskich, i teraz, bądź pan spokojny, rewolucji, która wstrząsnęła podstawami Imperjum, więcej już nigdy nie będzie. Kiedy pan chcesz jechać?! Choćby jutro? Powiedzmy, wyjedziesz pan pojutrze. Tun-Lin z konwojem będzie u pana pojutrze o 7 rano i wręczy odpowiednie rozkazy do władz prowincjonalnych. Nie bierz pan z sobą swych dzielnych kozaków, tylko paru, do osobistej usługi: ręczę głową za pańskie bezpieczeństwo. Ten „lis" będzie się znowu na mnie skarżył, ale ja gwiżdżę na jego denuncjacje. Przecież mąż stanu Lu wie, kim jestem i co to za figura tutejszy Dao-Taj i jego otoczenie".

Podziękowałem gorąco Zung-Tunowi, ale w duszy nie miałem najmniejszej ochoty jechać z Tun-Linem, który mógł mię całkowicie skrępować: wszak przy nim nie mógłbym prowadzić robót topograficznych, swobodnie zwiedzać kraju, rozmawiać z ludnością, zebrać poufnych wiadomości o agentach angielskich, o handlu i przemyśle, o podatkach, jakie rząd chiński wyciska z ludu—słowem, odpadłoby wszystko, co stanowiło prawdziwą wartość podróży.

To też, żegnając Zung-Tuna, jeszcze raz serdecznie podziękowałem mu za pomoc, ale, wracając do konsulatu, postanowiłem zajechać do Dao-Taja i omówić z nim tę sprawę.

Dla zrozumienia położenia, muszę nadmienić, że w żadnem państwie niema takiego antagonizmu między urzędnikami cywilnymi a wojskowymi, jak w Chinach. Pochodzi to stąd, że dla otrzymania stanowiska w administracji trzeba zdać egzamin skomplikowany i trudny. W stołecznych i w większych miastach prowincjonalnych są specjalne komisje egzaminacyjne, które zbierają się dwa razy do roku i egzaminują starających się o posady. W 15 lat później, będąc komisarzem wojennym w Mandżurji, z rezydencją w Mukdenie, miałem sposobność zbliska przyjrzeć się tej procedurze; przytem, jak mię zapewniano, jest to może jedyna dziedzina życia państwowego, gdzie łapownictwo jest, jeżeli nie zupełnie wyłączone, to bądź co bądź znacznie utrudnione. Egzaminy w Mukdenie np. odbywają się w następujący sposób.

Na tydzień przed ich rozpoczęciem każda z wyższych uczelni w Mandżurji wybiera z grona swych profesorów jednego delegata, który w oznaczonym terminie przyjeżdża do Mukdenu, gdzie, jako członek komisji egzaminacyjnej, znajduje wyznaczone sobie mieszkanie w pałacu Bogdychana.. Prezesa komisji mianuje Ministerstwo Oświaty z grona najpoważniejszych uczonych. Przywozi on z sobą w kopertach, zapieczętowanych i opatrzonych pieczęcią ministra, tematy z dziedziny piśmiennictwa chińskiego (pismo chińskie ma około 35 000 hieroglifów, które umie napamięć tylko nieliczne grono uczonych), prawa, filozofji, etyki, matematyki i t. d.

W pałacu Bogdychana jest oddzielne podwórze, wyłożone ogromnemi płytami kamiennemi. Pośrodku podwórza ustawiono szereg kamiennych kiosków, 2—3 razy większych od naszych budek wartowniczych. Budki te stoją o 12—15 kroków jedna od drugiej, są ponumerowane, mają drzwi, zamykające się na klucz, i okno bez szkła, przez które widać całe wnętrze kiosku.

O godzinie oznaczonej zbierają się kandydaci do egzaminu, ciągną losy, poczem każdy staje przy budce, oznaczonej wyciągniętym przezeń numerem. Przybywa komisja egzaminacyjna, sprawdza dokumenty, daje tematy, czysty papier ze stemplem ministra, sprawdza, czy kandydat nie ma jakich podręczników przy sobie, zamyka go w budce na klucz i idzie dalej. Na podwórzu, wzdłuż linji kiosków, trzyma straż żołnierz, uzbrojony w karabin, nie pozwalając nikomu tamtędy przechodzić. Przed oknami budek przechadza się od czasu do czasu jeden z członków komisji i sprawdza, czy zamknięty w kiosku nie korzysta z jakich notatek lub podręczników. Po upływie 5 godzin komisja przybywa in gremio i odbiera prace egzaminacyjne. Jeden egzemplarz kładzie do koperty i odsyła do Ministerstwa w Pekinie, drugi zostawia u siebie i na drugi dzień ze swym wnioskiem, co do wartości pracy, wysyła również do Ministerstwa Oświaty. Po skończeniu egzaminów komisja przedstawia spis tych, którzy według jej zdania zasługują na dyplom; lecz dyplomy rozdaje kolegjum oświaty, o ile zgodzi się z wnioskiem komisji po przejrzeniu pracy egzaminowanego kandydata. Otrzymany w ten sposób dyplom daje prawo do zajęcia odpowiedniego stanowiska i do noszenia na mauzie gałki, której barwa oznacza, jaki egzamin zdał kandydat. Oczywiście, urzędnicy cywilni cenią bardzo swą wiedzę i dyplomy i traktują z lekceważeniem analogiczne oznaki ludzi wojskowych, którzy żadnych egzaminów nie zdają i rangi swe do IV stopnia włącznie

(generałów) otrzymują od naczelnych wodzów armji za osobiste zasługi w bitwach; często na najwyższych szczeblach hierarchji wojskowej zdarzają się analfabeci, jak np. Zung-Tun w Kaszgarji.

Stąd wzajemny antagonizm: cywilni nazywają wojskowych nieukami i brutalami, wojskowi zaś cywilnych lisami i haczykami prawniczemi.

Przejeżdżając przez Kaszgar do konsulatu, wstąpiłem do jamynia Dao-Taja, żeby go zawiadomić o wyjeździe. Wysłuchał mnie z ciekawością i natychmiast oświadczył, że właśnie zdecydował się sam wziąć moją podróż na swoją odpowiedzialność; kazał już przygotować paszporty i dostarczy mi je wieczorem; prosił, przytem, abym wyjechał niezwłocznie, gdyż odpowiedź co do Irkesztamu może nadejść za parę tygodni. Poza tem Dao-Taj prosił mnie, abym odwiedził wszystkich naczelników okręgów, którym on posłał już był stosowne rozporządzenia. Żegnając się, z naciskiem zauważył, że zapewne teraz obejdę się bez pomocy Tun-Lina, któryby mnie włóczył po władzach wojskowych ze szkodą dla powagi i autorytetu władzy cywilnej.

Oczywiście, upewniłem go, że wyjadę nazajutrz raniutko i dziś jeszcze poślę do Zung-Tuna z zawiadomieniem, że paszport legalny mam i że za żywy paszport w osobie Tun-Lina serdecznie mu dziękuję.

Po naradzie z zarządzającym konsulatem przyszliśmy do wniosku, że Dao-Taj dał mi pozwolenie na podróż w głąb kraju li tylko pod wpływem wiadomości, że przy pomocy Zung-Tuna obejdę się bez jego paszportu. Skądinąd znowu pozwolenie to umożliwiło mi wymówienie się od podróży z Tun-Linem, któryby mnie fatalnie krępował. To też pomimo spóźnionej pory posłaliśmy starszego tłumacza konsulatu do Jangi-Szaara, rezydencji Zung-Tuna, z ustnem poleceniem, by podziękował Zung-Tunowi za propozycję przydzielenia mi towarzysza podróży, lecz ten ze względu na wydanie paszportów przez Dao-Taja nie będzie mi już potrzebny; jednocześnie tłumacz miał zawiadomić, że wyjeżdżam nazajutrz o świcie.

Wspomniałem o wszystkich tych kłopotach dlatego, że w Chinach dotychczas nic się nie zmieniło, i zjawienie się Europejczyka w głębi kraju wywołuje zawsze protest i przeszkody ze strony administracji, która stara się uniemożliwić mu dłuższy pobyt.

Na wydostanie pozwolenia straciłem 15 dni i dopiero 10 października mogłem wyjechać dalej w stronę Chotanu.

XIV.

WYJAZD DO CHOTANU. KULTURA KRAJU.
BRZOSKWINIE W KASZGARJI. UPRAWA RYŻU. POCZTA CHIŃSKA.
DOMY ZAJEZDNE (LANGARY). MIASTO JANGI-GISAR.
GAWIEDŹ ULICZNA. HANDEL ZAMIENNY. „LEKARZ Z MUSU".
KONFERENCJA Z KUPCAMI Z FERGANY I JEJ SKUTKI.

Wyruszyłem o świcie, mając z sobą 5 kozaków, którzy towarzyszyli mi z Fergany, 2 krajowców i dwa konie juczne. Wzamian zabitego konia kupiłem sobie innego od chorążego sotni konwojowej konsulatu; ten bowiem, skończywszy obowiązującą go służbę, wracał do swej stanicy i chętnie sprzedał swego długiego kirgiza, trochę nieskładnego, ale z dobrym chodem i znakomicie po kozacku wytresowanego.

Tłumacza nie potrzebowałem, gdyż Kaszgarczycy mówią tym samym językiem tiurkskim, co i krajowcy Fergany, tylko z akcentem bardziej gardłowym, oraz nie wymawiają czasami tej lub owej głoski, np. w okręgu Jarkiendskim nie wymawiają zupełnie litery *r*. Ponieważ jednak języki tiurkski i tadżykski (perski) znałem doskonale, więc do zmian tych łatwo się przyzwyczaiłem. Dla wskazywania drogi i zakupu potrzebnych na noclegach zapasów żywności, z rozporządzenia Dao-Taja, od wioski do wioski towarzyszyła mi administracja miejscowa. Było to nieprzyjemne, ale godziłem się z tem, gdyż obecność tych ludzi i znajomość stosunków miejscowych oswobodzała mię od osobistego chodzenia do sklepów i kupowania produktów, gdyż żaden z kozaków językiem miejscowym nie władał.

Przejeżdżając przez Jangi-Szaar, posłałem Zung-Tunowi bilet wizytowy. Na pierwszym noclegu w Japczanie otrzymałem jego

rozkaz, wystosowany do wszystkich władz wojskowych Południowej Kaszgarji z poleceniem okazywania mi wszelkiej pomocy i ochrony w drodze. Byłem mu, oczywiście, wdzięczny za ten nowy akt kurtuazji, ale nie skorzystałem z niego w ciągu całej podróży. Jechaliśmy drogą na miasto Jangi-Gisar, odległe o 66 kilometrów od Kaszgaru, rezydencji naczelnika okręgu.

Chińczycy, pojmując znaczenie wody i sztucznej irygacji pól dla krajowców, pod względem gospodarczym podzielili Kaszgarję na okręgi, w zależności od tego, skąd ludność otrzymuje wodę. Więc Kaszgarski okrąg administracyjny obejmuje wszystkie wioski, otrzymujące wodę z rzeki Kyzył-Su, która po wyjściu z gór rozgałęzia się na setki ogromnych kanałów, każdy zaś z nich zkolei znowu dzieli się na setki drobniejszych.

Granicę między okręgami Kaszgarskim a Jangi-Gisarskim stanowi linja podziału wód. Do okręgu kaszgarskiego należą przeto wszystkie wioski, otrzymujące wodę z rzeki Kyzył-Su, do Jangi-Gisarskiego zaś te, co ją dostają z rzeczek górskich: Upał, Jangi-Gisar i Igiz-Jar.

Droga biegnie prawie ciągle między wioskami; niektóre z nich liczą po kilkaset domów (gospodarstw). Wioski ciągną się na parę kilometrów i toną w zieleni ogrodów. Owoców wszędzie mnóstwo, lecz nie są one takie soczyste i smaczne, jak w Ferganie, co zapewne należy przypisać temu, że prowincja ta leży na wysokości przeszło 4 000 st. n. p. m., i wskutek tego niema tam takich szalonych upałów, jak w Turkiestanie rosyjskim.

Była już jesień. Wszędzie w wioskach na małych bazarach piętrzyły się góry kawonów, melonów, winogron i moreli rozmaitych gatunków, oraz brzoskwiń. Co do ostatnich zainteresował mię jeden z gatunków, jakiego przedtem nie spotkałem w innych krajach Azji Środkowej. Są to brzoskwinie wielkości i barwy średniej pomarańczy, z miąższem takiegoż koloru, lecz tak zwartym i jędrnym, że lepiej jest krajać je nożem; odznaczają się one dużą pestką, nie oddzielającą się od miąższu, oraz miłym smakiem kwaskowatym, z bardzo delikatną goryczą, szczególnie w miąższu przy pestce. Sądziłem, że brzoskwinie te przeniesiono z Chin do Kaszgarji, ale później, włócząc się długie lata po rozmaitych prowincjach chińskich, nie spotykałem takich nigdzie ani na południu: w Hon-Kongu, Kantonie lub Fudżeu, ani na północy: w Pekinie Tziandzinie lub Czyfu.

Zasiewów mnóstwo, uprawa pól — wspaniała, choć gatunek ziemi niewdzięczny: przeważają glina i gleba słona, jaka się spotyka między morzem Aralskiem a Kaspijskiem. Ludność uprawia pszenicę, jęczmień, kukurydzę, dżugarę (sorgo), proso różnych gatunków, bawełnę, marenę (z której robi się farba). Owies i len są tu nieznane. Ryż sieją wszędzie, gdzie jest woda w ilości dostatecznej. Uprawa pól ryżowych odznacza się szczególną starannością. Pola te, podługowatej formy, otoczone są wałami, wysokości około 30—40 c. m. i wznoszą się tarasami—jedno nad drugiem. Nawodnienie poczyna się od tarasu najwyższego. Skoro woda pokryje cały taras aż do brzegu wału, zbytnia jej

Pod przełęczą Sujak (3 709 metr. n. p. m.) (s. 94).

ilość spływa na następny taras, leżący o 30—40 cm. niżej i t. d. aż do poziomu kanału. Pole stoi pod wodą 1—2 dni, póki woda nie wsiąknie w ziemię; wtedy tworzy się błoto, które pod palącemi promieniami słońca wywołuje bujny rozrost wszelakich chwastów. Oczywiście przytłumiają one normalny rozwój ryżu. Natenczas na polach zjawiają się mężczyźni i kobiety w ogromnych kapeluszach i, brnąc po błocie powyżej kolan, ostrożnie pielą, wyrywając rozmaite trawy błotne, tamujące rozrost ryżu. Pola przestaje się zalewać wodą, odkąd ryż poczyna kwitnąć. Po zbiorze ryż otłukuje się w prymitywnie urządzonych tłoczniach (obdzieraczach), urządzonych w sposób następujący. Woda w ka-

nale obraca koło, naciskające swemi zębami dwie belki, długości 4 — 5 metrów; na grubych ich końcach przymocowane są kloce, jakby młoty. Belka, naciśnięta przez koło, podnosi się drugim końcem wraz z klocem wgórę dopóty, aż zrąb koła ześlizgnie się z belki; wtedy ciężki jej koniec wraz z młotem opada na warstwę ryżu, otłukując go, t. j. obdzierając żółtą skórkę z białego ziarna ryżowego. Obdzieracze takie nie wymagają ani obrobionego kamienia, ani części żelaznych, mogą być zbudowane w każdej wsi, są też w powszechnem użyciu.

Przy każdem gospodarstwie, oprócz ogrodu owocowego, są obowiązkowo ogrody warzywne, gdzie sadzą cebulę, marchew, rzepę, ogórki, kapustę chińską (nie „główkowa“, jak u nas, ale z liśćmi rozstrzępionemi) bakłażany, tykwy najrozmaitszych form i wielkości: olbrzymie, z których wyrabia się kasza, to znów puste w środku, służące, jako dzbany i wiadra, do noszenia wody, oraz do nargilów i czylimów do fajek. Warzywa, owoce, chleb i ryż są głównemi produktami spożywczemi. Mięsa Kaszgarczycy używają bardzo mało i to przeważnie po miastach kupcy i klasa zamożniejsza. Z powodu braku pastwisk bydła Kaszgarczycy hodują niewiele; głównie trzymają konie, które są im niezbędne nietylko do robót polnych, ale i do przewożenia towarów. W międzywioskowej komunikacji i w dostawie produktów na rynki miejskie ogromną rolę odgrywają osły, które żywią się byle czem, mogą zaś nosić na sobie 240 funtów, gdy tymczasem koń, wymagający, oprócz siana, jeszcze kukurydzy, albo jęczmienia, uniesie tylko 320 funtów.

Mała ilość bydła powoduje małą ilość nawozu, którego wystarcza zaledwie na ogrody warzywne. Pola użyźnia się lessem, który ludność przywozi często zdaleka, z gór, i rozsypuje cienką warstwą po polach.

Po drodze widzieliśmy wiele pól nieobsianych, stojących ugorem. Pochodzi to stąd, że w czasie ostatnich zamieszek politycznych tylu ludzi zginęło, tylu uciekło zagranicę lub przeniosło się do innych miejscowości, że nie wystarcza rąk do uprawy, i pola leżą odłogiem.

Nocowaliśmy o 36 kilometrów od Kaszgaru w wiosce Japczan, (około 350 domów), w nowym domu zajezdnym, wybudowanym przez Chińczyków. Jest tam kilka budynków, otoczonych wysokim murem, z dwoma podwórzami, w których mieszczą się stajnie. Pokoje dla przejezdnych są czyste i obszerne. Mieszka tu

również chiński urzędnik pocztowy i przy nim 4 — 5 konnych pocztyljonów. Takie domy zajezdne wznieśli Chińczycy prawie we wszystkich wioskach na trakcie kaszgarsko-chotańskim, co bardzo ułatwia podróż, gdyż podróżni, przejeżdżający często z ogromną karawaną koni i towarów, nie tracąc czasu na poszukiwania, mają zabezpieczony nocleg.

Właściwie poczty w naszem pojmowaniu, t. j. urządzeń, służących do przesyłania listów i paczek, oraz do przewożenia pasażerów, w Kaszgarji niema. Ale poczta konna, która rozwozi rozporządzenia władz chińskich, jest rozrzucona po całym kraju i dociera do najdalszych zakątków.

Zasady, na jakich urządzono pocztę, nie są jednakowe w całym kraju. Naprzykład na trakcie kaszgarsko-chotańskim jest 15 stacyj pocztowych. Na każdej mieszka niższy urzędnik, Chińczyk, pobierający 12 sar srebra[1]) miesięcznie i 90 funtów mąki; ma on mieszkanie i otrzymuje 240 funtów drzewa na opał. Urzędnik ten rozporządza 4—5 pocztyljonami konnymi, którzy pobierali po 3 sary srebra i po 90 fun. mąki miesięcznie; każdy miał rządowego konia i otrzymywał dla niego od wioski, gdzie stał, określoną ilość kukurydzy i siana. Po otrzymaniu przesyłki pocztowej urzędnik kwitował pocztyljona, notując na przesyłce, o której godzinie ją przyjął i kiedy wysłał w dalszą drogę. W ten sposób urzędnik, otrzymujący rozporządzenie, wiedział dokładnie, z jaką szybkością przesyłkę więziono i gdzie ją zatrzymano. Przesyłki zwyczajne powinny były iść z szybkością 8 kilometrów na godzinę, pilne zaś, do których było przypieczętowane pióro, 15 kilometrów na godzinę.

W górach, wśród koczujących Kirgizów, pocztą zarządzali kirgiscy bekowie, którzy obowiązani byli mieć 4—5 ludzi na własnych koniach i otrzymywali na nich po 48 funtów mąki i 64 fun. kukurydzy. W górach, gdzie stały konne lanze kirgiskie, np. w Ułukczacie (o 40 kilometrów od Irkesztamu), dostawa przesyłek należy do żołnierzy, którzy zato nie otrzymują żadnego wynagrodzenia.

Przesyłka paczek odbywa się dniem i nocą bardzo sprawnie. Będąc w Chotanie, o 500 kilometrów od Kaszgaru, otrzymywałem listy pilne już na drugi dzień po wysłaniu, zwyczajne zaś na czwarty.

---

[1]) Sar srebra kosztował wtedy 2 ruble.

Na następny nocleg zatrzymaliśmy się w mieście okręgowem, Jangi-Gisarze, również w zajeździe chińskim, zbudowanym na rynku miejskim mniej więcej w ten sam sposób, co w Japczanie. Zostałem tam przez jeden dzień, aby zapoznać się z miejscowym handlem i przemysłem, i wskutek tego musiałem złożyć wizytę naczelnikowi okręgu.

Było to konieczne jeszcze i z innego względu. Staliśmy się przedmiotem ciekawości gawiedzi miejskiej i chińskiego żołdactwa; wszystko to bez ceremonji właziło do zajętego przez nas pomieszczenia, zakażając powietrze zapachem miejscowego czosnku (sarymsak), którego obrzydliwym odorem przesiąka ciało i ubranie. Według pojęć medycyny chińskiej sarymsak jest najlepszym środkiem dezynfekcyjnym przeciwko wszelkim epidemjom, a szczególnie przeciwko zaburzeniom żołądka, i dlatego zalecają go władze wojskowe. Kto sam używa sarymsaku, ten przyzwyczaja się do tego zapachu i nie czuje go u innych. Ale każdego cudzoziemca, szczególnie mnie, który nie znoszę zapachu cebuli i nigdy jej nie używam, zapach sarymsaku przyprawiał o mdłości.

Gawiedź chińska i żołnierze brutalnie włazili do zajętego przez nas mieszkania, ciekawie oglądali nasze rzeczy, starając się wszystko wziąć do rąk; długo przypatrywali się, jak piszę, rysuję na planszecie zdjęcia topograficzne, i chwytali do ręki nabitą broń. Wszelkie prośby o opuszczenie mego mieszkania nie skutkowały, zamknąć zaś drzwi nie mogłem, gdyż pokój pozbawiony był okien, i światło wpadało przez wielkie i szerokie drzwi. Posterunek kozacki, stojący u drzwi, musiałem zdjąć, gdyż Chińczycy, czując swą przewagę liczebną, wszczynali z wartownikiem kozackim kłótnię, która łatwo mogła przejść w bójkę.

Koniec tym nieprzyjemnościom położyło przybycie do mnie naczelnika okręgu, którego prosiłem o ochronę. Przyjechał niespodzianie dla mych nieproszonych gości, kazał schwytać tych, których zastał u mnie w mieszkaniu, wyprowadzić ich z zajazdu i na ulicy przed wrotami wsypać każdemu po sto kijów. Operację wykonano momentalnie. Naczelnik okręgu nie zdążył wypić sakramentalnej filiżanki herbaty, gdy umilkły krzyki winowajców, operowanych przed bramą. Takiej rozprawy się nie spodziewałem i nie mogłem jej zapobiec, choć była ona dla mnie bardzo niemiła. Odjeżdżając, naczelnik okręgu postawił przed wrotami zajazdu 2 wartowników, trzymających w ręku długie deszczułki, oklejone czerwonym papierem, z wypisanem na nich ogłoszeniem,

że każdy, kto wejdzie do mego mieszkania lub będzie dotykał moich rzeczy, otrzyma chłostę. Rozporządzenie to, które mię dosyć krępowało, było jednak niezbędne ze względu na wyjątkową niekulturalność żołnierzy chińskich.

Tego dnia z rana, jeszcze przed wizytą u naczelnika okręgu, poszedłem na rynek, żeby obejść miejscowe sklepy, obejrzeć w nich towary i wynotować ceny, dla zorjentowania się, jakie z tych towarów można dostarczać z Fergany. Za mną, ze sklepu do sklepu, tłumem wtłaczali się Chińczycy, dotykając palcem mego ubrania i uzbrojenia. Starałem się tego nie widzieć i skrzętnie zapisywa-

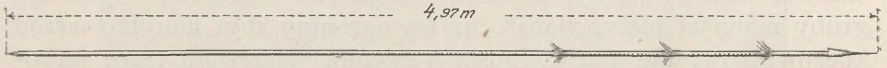

Pika bambusowa, w którą uzbrojona jest trzecia część piechoty chińskiej (s. 105).

łem w notesie potrzebne mi wiadomości. Notując, oparłem nogę na krześle; nie wiedząc, że jeden z Chińczyków ogląda moje ostrogi i trzyma je palcami, ruszyłem do drugiego sklepu — i niespodzianie, przytrzymany za ostrogę, runąłem jak długi, uderzając się boleśnie o ladę sklepową.

Miasto Jangi-Gisar liczy koło 3 000 domów i 30 000 mieszkańców. Jest to punkt, gdzie się skupia handel z koczownikami, zamieszkującymi góry Mus-Tag-Ata, Pamiry, oraz z tadżykskiemi chaństwami na Pamirach: Wachan, Roszan i Szugnan. Stąd prowadzą w góry stosunkowo wygodne drogi, któremi kupcy wożą wyroby rękodzielnicze, nici, igły, pierścionki, noże, nożyczki, kumgany, misy z miedzi, wyroby żelazne, porcelanę, mąkę, ryż i wogóle wszystko, co jest niezbędne do codziennego użytku koczownika, wymieniając to na barany, konie, wielbłądy, wojłoki, skóry, futra rozmaitych zwierząt lub na dywany kirgiskiej roboty.

Handel taki jest nadzwyczaj wygodny. Koczownicy pieniędzy nie cenią, bo nie mają gdzie i co kupować. Ale chętnie zamieniają swe przedmioty na towary, których potrzebują lub które im się podobają.

Przekonałem się o tem w parę lat potem, podróżując na Pamirach. Zdarzało się, że, nie mając czasu na polowanie lub wskutek chwilowego pechu myśliwskiego, potrzebowałem mięsa dla siebie i ludzi i płaciłem po 5—6 rubli za barana, którego sprze-

dawano mi bardzo niechętnie. Tymczasem za drobiazgi, wzięte na podarunki, a mianowicie: srebrne pierścionki, tanie kolczyki, paczki z igłami rozmaitej wielkości, chusteczki kolorowe na głowę, za parę arszynów kumaczu, (czerwona materja bawełniana, kosztująca 15—20 kop. za arszyn) lub srebrne drobne, ale nowe monety, które Kirgizki chętnie wplatają w korale, ludzie moi z łatwością dostawali wzamian barany lub wojłoki; masło zaś, śmietanę i inne produkty gospodarstwa kobiecego można było otrzymać tylko za takie drobiazgi.

To też w Jangi-Gisarze kwitnie drobny handel i przystosował się do potrzeb koczowników. Nadto w okolicznych siołach sieją znaczną ilość bawełny, z której miejscowe warsztaty wyrabiają gruby materjał biały, „daba“, mający ogromny zbyt nietylko wśród koczowników, ale i u ludności wiejskiej. Materjału tego, farbowanego na kolor niebieski albo na ciemno-bronzowy, używa się na wierzchnie ubranie i na kołdry. Wiele warsztatów zajętych jest wyrobem obuwia z czarnej skóry dla mężczyzn i z zielonej lub czerwonej dla kobiet. Reszta towarów stanowiły albo wyroby i produkty, przywiezione z Rosji (perkaliki, cukier, wyroby z żelaza lub szkła i t. d.), albo też z Indyj (sukna jaskrawych kolorów, cienkie muśliny na czałmy, złotogłów na czapki kobiece i zielona herbata). Z wyrobów miejscowych jedwab, atłas i adras, przerobione na gotowe koszule damskie lub męskie i na chałaty kobiece, także miały duży zbyt śród koczowników.

Wróciwszy z rynku do zajazdu, znalazłem w podwórzu mnóstwo chorych, oczekujących na pomoc lekarską. Nie pomagały zapewnienia, że nie jestem doktorem i nie mam lekarstw. Krajowcy przyzwyczaili się w każdym cudzoziemcu widzieć lekarza, więc mi nie wierzono i odmowę przypisywano innym pobudkom. Do pokoju mego wszedł np. major miejscowej lanzy, chory na oczy, prosząc o pomoc. Na nic się nie zdały zapewnienia, że nie znam się na tych chorobach i nie mam lekarstwa. Major usiadł na mojem łóżku polowem, mówiąc, że jest dostatecznie bogaty, żeby nawet drogo opłacić moje lekarstwa, ale bez nich nie odejdzie, bo go oczy strasznie bolą.

Miałem w apteczce polowej Liq. Plumbum acet. Nie mogąc pozbyć się natręta i bojąc się, że mi zanieczyści łóżko lub zarazi mię chorobą oczu, odlałem część płynu do flaszki i poleciłem mu, aby, rozpuściwszy 5—6 kropli w salaterce wody, robił z tego parę razy dziennie okłady na czystej wacie.

Uprzedziłem go przytem, żeby zaprzestał kompresów, jeżeli mu za dwa dni lepiej nie będzie, gdyż bałem się, że ma jakieś zapalenie, które od zimnych okładów mogłoby się pogorszyć. Na szczęście obawy moje się nie ziściły. Po powrocie do Kaszgaru, znalazłem w konsulacie list dziękczynny i odcinek jedwabiu na kurmę, z prośbą, by wysłać jeszcze trochę tego znakomitego „eliksiru". Jedwab i lekarstwa przesłałem choremu majorowi przez Zung-Tuna.

Nie mając z sobą żadnych lekarstw, innych natarczywych chorych musiałem leczyć proszkami sody, których miałem trochę.

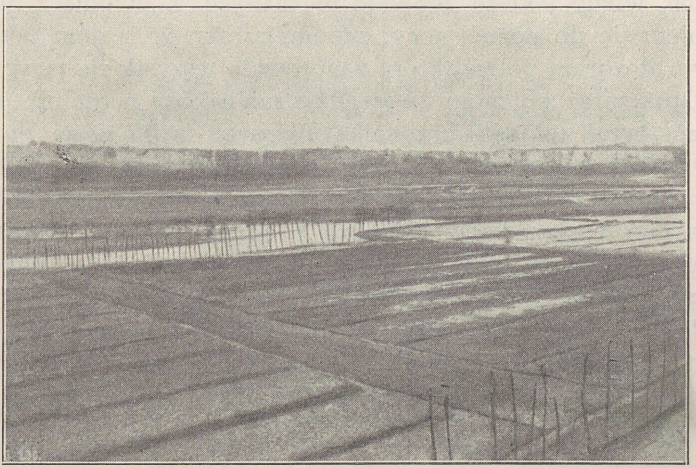

Ryżowe pole w Kaszgarji (s. 121).

Widok zimnej wody, która burzyła się, jak wrzątek, wywierał na chorych ogromne wrażenie, że zaś każdy po wypiciu czuł się nieco odświeżony, więc powodzenie tego środka „od wszystkich chorób" było zapewnione. Wspominam o tem dlatego, żeby ci, co wybierają się w podróż po krajach mało kulturalnych, nie zapominali o konieczności zabierania z sobą pewnego zapasu lekarstw.

Miasto Jangi-Gisar nie jest otoczone murem i dlatego zabudowuje się szerzej, niż inne miasta kaszgarskie. Twierdza Jangi Szaar przylega wprost do miasta od strony północno-wschodniej. Jest to czworobok, długości i szerokości około 250 sążni, otoczony rowem, napełnionym wodą. Wysokość wału wynosi około $2^1/_2$ sążni, grubość (o ile udało mi się stwierdzić przy przejeździe przez

bramę) około 5 sążni. Twierdza ma troje wrót: z północnej, wschodniej i z południowej strony.

Mieszka w niej naczelnik okręgu i jego urzędnicy; mieści się tam również jedna konna lanza, ze swem dowództwem, skład żywności, oraz kilkanaście chińskich sklepów z towarami, bez których Chińczycy obejść się nie mogą. Mieszkają tam wszyscy wogóle Chińczycy, bo wskutek częstych zamieszek boją się mieszkać poza fortecą, która się na noc szczelnie zamyka.

Całe popołudnie przeszło mi na rozmowie z kupcami z Fergany, którzy handlowali z koczownikami i docierali do Pamirów; komunikowali mi oni mnóstwo ciekawych szczegółów o owych stronach, wtedy jeszcze zupełnie nieznanych. Z dwoma z nich zasiedziałem się do późnej nocy, zapomniawszy, że jestem pod nieustannym dozorem policji, która zanotowała wszystkich, jacy u mnie byli. Otóż zaraz po moim wyjeździe miejscowy naczelnik okręgu (Ambań—tytuł takiego urzędnika) wezwał mych gości do siebie i pod jakimś pozorem kazał wsypać każdemu z nich po 100 kijów. Wiadomość o tem, przez samych Chińczyków rozpowszechniona, szybko mię wyprzedziła w drodze i odjęła ochotę tubylcom do poufnych zwierzeń. Naturalnie, dowiedziawszy się o tym akcie bezprawia, natychmiast oskarżyłem ambania przed Dao-Tajem, ten zaś ukarał go grzywną, którą, jako odszkodowanie, wypłacono obitym. Wszystko to zaszło po powrocie moim do Kaszgaru, tymczasem zaś owa egzekucja przyczyniała wiele szkody mym badaniom.

XV.

DROGA DO JARKIENDU. POCZĄTEK PUSTYNI GOBI.
ZAJAZDY. ROŚLINNOŚĆ. WYDOBYWANIE SOLI. MIASTO JARKIEND.
KARAWAN-SERAJE I MEDRESE. PODZIAŁ KRAJU NA OKRĘGI.
ADMINISTRACJA CHIŃSKA. ŁAPOWNICTWO. TŁUMACZE. SĄDY. TORTURY.
KARA ŚMIERCI. PORÓWNANIE PROCEDURY KARNEJ W CHINACH
Z ANGIELSKĄ W KOLONJACH.

Z Jangi-Gisaru wyjechaliśmy dalej w stronę Jarkiendu 13 października i w trzy dni przebyliśmy 126 kilometrów, dzielących oba te miasta.

Jeszcze przed Jangi-Gisarem dawała się odczuwać bliskość pustyni Gobi, która miejscami przecinała drogę barchanami[1]) lotnych piasków. Za Jangi-Gisarem objawy te stale się zwiększały. Brak opadów i suche, gorące wiatry z pustyni spowodowały zmniejszenie się ilości śniegów na zboczach gór, okrążających Kaszgarję z zachodu. Mniejsze rzeczki powysychały, a brak wody do sztucznego nawodniania obrócił olbrzymie tereny, nadające się do wszelkiej uprawy, w zupełną pustynię. Barchany lotnych piasków, posuwające się od strony pustyni, dopełniają dzieła zniszczenia. Proces ten, naturalnie, odbywa się bardzo powoli, ale nieustannie, i nie ulega wątpliwości, że południowo-zachodnią Kaszgarję pustynia zczasem pochłonie. Dopiero na przestrzeni ostatnich 10—12 kilometrów przed Jarkiendem droga wbiega do kraju

---

[1]) Barchany—krótkie wydmy w kształcie półksiężyca; łagodne zbocze barch na leży na wypukłości półksiężyca, strome zaś — po wklęsłej jego stronie, rogi są wyciągnięte za wiatrem.

kulturalnego i gęsto zaludnionego, dzięki obfitym zapasom wody z rzeki Jarkiend-Darji; rzeka ta zbiera wody z północnych zboczy pasma gór Himalajskich, przecina pasmo bardzo wysokich gór Raskiem i w różnych miejscowościach nosi różne nazwy (Jarkiend-Darji, Zarewszana, lub Raskiem-Darji).

Droga przeważnie biegnie po kamienistej pustyni, pozbawionej wszelkiej roślinności, jak np. między wioskami Kyzyl i Kuk-

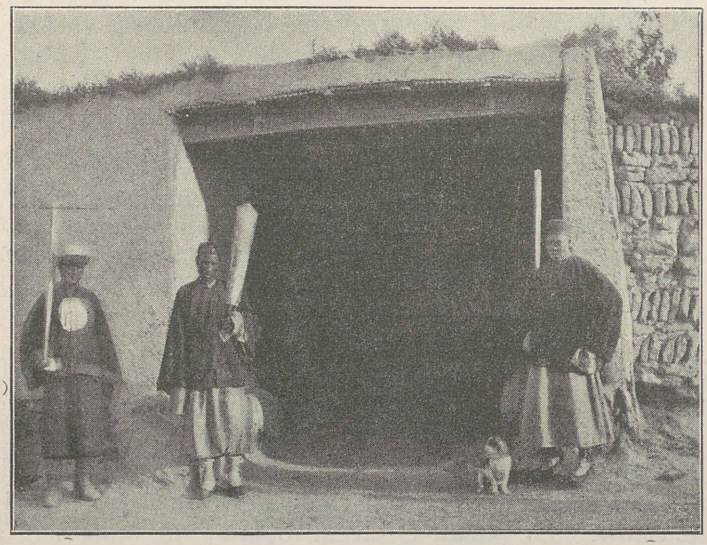

Straż przed zajazdem w m. Jangi-Gisar (s. 124).

Rawat, gdzie na przestrzeni 40 kilometrów jedzie się przez miejscowości bezwodne: na prawo (na zachód) widać góry Kyzyl-Tau, na lewo (na wschód) — jak okiem sięgnąć — bezbrzeżna pustynia lotnego piasku. Na całej tej przestrzeni są tylko dwa zajazdy: Utekczy-Langar i Ak-Rawat. Pierwszy z nich zbudowano z rumowisk rawata, wzniesionego jeszcze za czasów Abdulachana, kiedy na miejscu tem była jeszcze duża wioska. Cegła z tych zwalisk wypalona jest tak świetnie, że po kilku wiekach nic nie straciła ze swej mocy, i Chińczycy zużyli ją na budowę nowych rawatów, oraz słupów Pu-taj, wskazujących ilość przebytych kilometrów (Pu-taj = 10 li = 4 kilometrom). Słupy te stoją co 10 li wzdłuż całej drogi, od Kaszgaru do Chotanu. Przy Utek-

czy-Langarze [1]) jest studnia z dobrą wodą, głębokości 7 sążni, lecz wody tej niedużo, ledwie jej wystarczy do napojenia 30—40 koni. Przy Ak-Rawacie są dwie studnie, jedna opuszczona, druga działa sprawnie, lecz ilość słono-gorzkiej wody na głębokości 21 sążni jest w niej niewielka, i w lecie, oraz przy zwiększonym ruchu karawan handlowych wyczerpuje się do ostatniej kropli, tak, że karawany nieraz czekają po kilka godzin „w ogonku", aby móc napoić konie.

W Ak-Rawacie mieszka urzędnik poczty chińskiej, który ma do rozporządzenia 5 pocztowych dżigitów. Są tam składy siana i kukurydzy, która w Kaszgarji zastępuje owies dla koni. Zapasy te sprzedają podróżnym według taksy, wymienionej na wrotach Langaru, za podpisem i pieczęcią naczelnika okręgu. Wogóle władze chińskie robią co mogą dla ułatwienia ruchu karawan handlowych: w pustyniach budują ogromne zajazdy, kopią przy nich głębokie studnie, na rzekach wznoszą mosty, a pod Jangi-Gisarem przecięto strome pasmo niewysokich gór, przebiwszy w nich korytarz, aby utworzyć drogę. Pomiędzy wspomnianemi zajazdami widać zboku drogi wierzchołki drzew. To słone błota, zarośnięte wysokiem lasem tugraków [2]). Mówiłem już, że liście tugraku schną na drzewie, kruszą się, poczem roznosi je wiatr; dlatego nie tworzą one mierzwy pod drzewem. Drugą osobliwością tego rodzaju topoli jest różnorodność form jej liści, występująca często na jednem i tem samem drzewie. Tugrak chętnie rośnie na gruncie słonym, że zaś liście nie tworzą mierzwy, więc jazda przez las tugrakowy powoduje tumany słonego kurzu, bardzo szkodliwego dla oczu. Na złomach kory tugraków widać osad białego proszku soli sodowych.

W Kaszgarji niema kopalni soli. Mieszkańcy przeto radzą sobie w ten sposób, że ją wydobywają ze słonej gleby, którą spotyka się bardzo często w różnych miejscowościach kraju. Na terenie słonym kopią oni doły kwadratowe, 15—20 metrów długości i 1½ metra szerokości. W jesieni doły te zazwyczaj wypełnia woda deszczowa; w razie zaś braku opadów atmosferycznych, wodę przeprowadza się z niewielkich rzeczek, miarkując jej ilość stosownie do objętości danego dołu.

---

[1]) Langar i Rawat, albo Rabat—zajazdy.
[2]) Tugrak—gatunek topoli, spotykany tylko w Kaszgarji.

Latem, w czasie upałów woda wysycha, a boki i dno dołu pokrywa gruba warstwa białej, błyszczącej soli, która po oczyszczeniu z piasku jest dobra do użytku i idzie na sprzedaż. Sól ta, naturalnie, jest nieczysta i dosyć gorzka, ale w braku lepszej używa się jej w całym kraju.

Około Kuk-Rawata widać ślady dawnego kanału, wyprowadzonego podobno z Jarkiend-Darji jeszcze za Abdułła-Chana. Obecnie jest on zarzucony i nie działa. Według zwyczaju, przyjętego przez władze chińskie, wioska Kuk-Rawat wchodzi już w granice okręgu jarkiendskiego, jako otrzymująca wodę z Jarkiend-Darji.

Obfitość wody w tej rzece daje możność krajowcom odprowadzania zbywającej ilości szczególnie w jesieni, kiedy woda nie jest potrzebna na zasiewy, między piaszczyste barchany. Tam tworzą się jeziorka, gęsto zarośnięte wysoką trzciną, wśród której gnieździ się mnóstwo najrozmaitszego ptactwa. A że Chińczycy nie polują, krajowcom zaś, jak i w rosyjskim Turkiestanie, trzymać broni palnej nie wolno, więc ptactwo mnoży się tam nadzwyczajnie, gdyż sidłami wielkiej szkody krajowcy zrobić nie mogą. Obfitość trzciny w tej miejscowości daje zarobek całej wiosce Suguczak, która nic nie sieje: wszyscy mieszkańcy zajęci są wyrobem cienkich mat (bujra) do podściółki pod wojłoki i dywany, lub grubych mat (bardan), któremi przykrywa się dachy, zwierzchu otynkowane gliną. Glina, rozrobiona z posiekaną słomą, wysycha i zastępuje w tym kraju blachę, gonty lub dachówkę.

W Suguczaku jest duże źródło kryniczne z wodą, niezamarzającą w zimę. Zbudowano tam młyn, który w zimie dla mieszkańców w obrębie kilkudziesięciu wiorst posiada ogromne znaczenie, gdyż pracuje on całą zimę, kiedy w innych młynach woda zamarza, zmuszając je do bezczynności. Zwykłych u nas wiatraków lub młynów parowych Kaszgarczycy nie znają.

O 8 kilometrów od Jarkiendu droga przechodzi przez ogromny kanał Upa Ustang, wyprowadzony z Jarkiend-Darji, który teraz jest prawdziwą rzeką, szerokości około 100 sążni. Brodu kanał ten nie ma, z powodu swej głębokości i błotnistego dna. Przez rzekę prowadzi most drewniany, wzniesiony na trzech filarach jeszcze za Jakóba-Beka, przez Szygauła Datchę, Chakima Jarkiendu. Stoi on dotychczas bez żadnych poprawek. Dalej widać pawilon w stylu chińskim, gdzie urzędnicy chińscy witają swe władze. Tu spotkali mię delegaci kupców, poddanych rosyjskich,

zamieszkujących stale w Jarkiendzie, z przewodniczącym swym na czele i, stosownie do zwyczaju, zaprosili mię na dastarchan.

Po krótkim wypoczynku ruszyliśmy dalej do Jarkiendu i, posuwając się między ogrodami, doszliśmy koło mazara Ałtyn, z kopułą, pokrytą różnokolorową emalją, do wrót twierdzy Jangi-Szaaru; okrążywszy ją, przez wrota Ałtyn wkroczyliśmy do Jarkiendu. Byłoby wprawdzie bliżej przejść przez twierdzę, lecz krajowcy unikają tej drogi, gdyż straż chińska, stojąca przy wrotach, bije ich często przez swawolę, bez żadnego powodu.

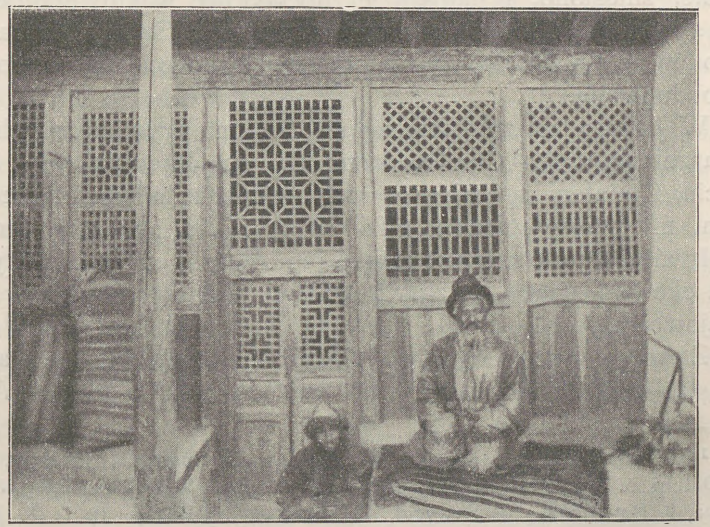

Jarkiend. Wnętrze domu Kaszgarczyka średniej zamożności. Za sztachetami pomieszczenie dla kobiet (s. 134).

Miasto Jarkiend leży na jedynej drodze karawan między Indjami a Chinami i prowadzi ożywiony handel z temi krajami, oraz z Tybetem. Mury dokoła miasta krępują jego rozwój. Domy budowane są nadzwyczaj ciasno: tylko po 2—3 głównych ulicach można przejechać w powozie; reszta ich jest tak wąska, że trudno przecisnąć się konno przez tłumy ludzi i zwierząt jucznych. Czasami budynki wznoszą się nawet nad ulicami, które wskutek tego wyglądają, jak długie, ciemne tunele. Miasto liczy około 12 000 domów i 120 000 mieszkańców; składa się ze 180 dzielnic, noszących każda inną nazwę. Bram jest pięć: Ałtyn i Terek-Bak prowadzą

w stronę Kaszgaru, Chanak i Maschora do Chatanu i Kabachat— w stronę Marał-Baszy i Ak-su. W Jarkiendzie jest 30 dużych karawanserajów[1]) i 40 medrese [2]) (szkół wyższych). Naukowa wartość tych szkół muzułmańskich po zawojowaniu Kaszgarji przez Chiny poczęła znacznie się zmniejszać z tego powodu, że szkoły te dawniej utrzymywały się z dochodów z majątków ziemskich lub z domów, ofiarowanych przez fundatorów, które stanowiły tak zwany „wakuf“ (dobra kościelne). Wakuf ten za Jakóba-Beka miał osobny zarząd, który pilnie baczył, żeby dochody szły na szkoły według woli fundatorów. Przy Chińczykach zarząd wakufami, naturalnie, zniesiono, i najbardziej dochodowe wakufy zabrano na rzecz skarbu lub dla urzędników państwowych. Szkoły, pozbawione dochodów, mają bardzo słaby personel nauczycielski i z roku na rok podupadają.

W Jarkiendzie zatrzymałem się w domu prywatnym uchodźcy z Margelanu, sarta Chasan-Dżan-Baja, znajdującym się w śródmieściu, i miałem sposobność rozmawiania z ludźmi, dobrze znającymi miejscowe stosunki. To też dwa dni, spędzone tam, pozwoliły mi dopełnić zebrany przeze mnie bogaty materjał, dotyczący stanu ekonomicznego Kaszgarji oraz wzajemnych stosunków rządu z krajowcami.

Zawojowawszy Chańskwo, Chińczycy rozdzielili Kaszgarję na dwa dao-tajstwa: Północne[3]), do którego weszły okręgi Ak-Su,

---

[1]) Handlowe karawanseraje: 1. Andiżan, 2. Sugat, 3. Janczyk, 4. Szigauł-Datchi, 5. Cheszim - Chodżi, 6. Jangi - Kurgan, 7. Tejże nazwy, 8. Niaz-Achuna, 9. Pir-Bacza, 10. Sypyrgi, 11. Szajtan-Kul-Baszy, 12 i 13. Kawak-Darwaza, 14. Dżamal-Chana, 15. Chakim-Beka, 16. Tymir-Kul-Baszy, 17. Jangi-Machale, 18. Chalit-Kore, 19. Karym-Achuna, 20. Mir-Saur-Bija, 21. Machomet-Niaz-Achuna, 22. Machomet-Sabyra, 23. Nogara-Chana, 24. Pachta-Saraj, 25. Supy-Niaza, 26. Chakim - Beka, 27. Machomed - Tochta-Saraj, 28. Kunak - Saraj, 29. Oszlik-Saraj i 30. Noman-Kazy.

[2]) Medrese: 1. Tadżychakim-Beka, 2. Machomed-Niaza, 3. Utun-Bazar, 4. Ałtyn-Guzar, 5. Kunia-Medrese, 6. Ałtyn-Achuna, 7 i 8. Gumbaz, 9. Koczkar-Ata, 10. Basmaczy-Kula, 11. Szygauł-Datchi, 12. Ak-Medrese, 13. Junus-Wanga, 14. Utur - Hałyra, 15. Jaszyl - Medrese, 16. Awaz - Beka, 17. Sza - Seid - Beka, 18. Chaszyma, 19. Atur-Halfy, 20. Mulla-Halfy, 21. Nupułła-Beka, 22. Pinadzy-Medrese, 23. Czarsy-Medrese, 24. Urda-Kul Baszy, 25. Kuczak-Chodży, 26. Aszur-Chodży-Kuła, 27. Czarsy-Kuła, 28 i 29. Kaszmir-Kucza, 30. Nogaraczy, 31. Buz-Bazar, 32. Kuk-Saraj, 33. Tugrak-Tele, 34. Gurbaz, 35. Rawat-Urda, 36. Urdakul, 37. Ibrahim Chazret, 38. Mir-Niaz-Iszana, 39. Chazret-Tuga i 40. Ucz-Kuszlar.

[3]) Północną Kaszgarję opisał w jezyku rosyjskim A. N. Kuropatkin. Petersburg, wyd. 1870 r.

Ucz-Turfan, Kara-Szaar i Kucza z rezydencją Dao-Taja w Ak-Su, i Południowe, które zkolei dzieli się na trzy okręgi: Kaszgarski, Jarkiendski i Chotański, dwa powiaty: Jangi-Gisarski i Maral-Baszyński i 3 oddziały: Kaszgarski, Kargałykski i Keryjski, w resortach odnośnych naczelników okręgów: Kaszgarskiego, Jarkiendskiego i Chotańskiego.

Przy każdym z naczelników są urzędnicy do szczególnych zleceń i kancelarja. Wynagrodzenie tych pracowników nie jest przewidziane przez etat, lecz zależy od uznania ich bezpośredniej władzy, która z dochodów miejscowych otrzymuje na to dość znaczne sumy. Tak np. Dao-Taj w Kaszgarze dostaje 15 000 sar srebra miesięcznie (30 000 rubli met.), lecz jest to suma wyznaczona nietylko, jako pensja osobista: mieści się w niej i wynagrodzenie dla urzędników i kancelarji.

W taki sposób płatni są wszyscy inni naczelnicy, tylko, naturalnie, wysokość wynagrodzenia zależy od stanowiska, jakie zajmuje dany osobnik. Dao-Taj mówił mi, że ma przy sobie 16-tu urzędników, którym płaci po 6 do 12 sar miesięcznie, daje mieszkanie i pewną ilość mąki, ryżu, kukurydzy i drzewa ze składów państwowych, znajdujących się pod jego zarządem. Oczywiście, takie skromne wynagrodzenie przyciąga z wewnętrznych prowincyj Chin na te oddalone kresy tylko elementy najgorsze, które nie mogą znaleźć miejsca w swych stronach rodzinnych. Ludzie ci wysługują się jak mogą Dao-Tajowi, żeby otrzymać posadę, a potem ciągną z ludności, ile się da. Skądinąd znów władze wyższe zainteresowane są osobiście, żeby swym urzędnikom wypłacać jak najmniejsze gaże, bo im mniej zapłacą, tem więcej zostanie dla nich.

To też łapownictwo w administracji chińskiej jest przysłowiowe. Łapówki biorą wszyscy od najwyższych do najniższych. Dao-Taj w rozmowie ze mną skarżył się na naczelnika okręgu Jarkiendskiego, który w ciągu swego 18-miesięcznego zarządu krajem ściągnął z mieszkańców około 200 000 sar srebra podatków nieustanowionych, za co Dao-Taj musiał oddać go pod sąd. Pomimo udowodnienia mu przestępstwa, urzędnika tego jednak nie usunięto, i pozostawał on na swem stanowisku w czasie pobytu mego w Jarkiendzie, wpływając wszelkiemi sposobami na zeznania świadków, których wzywano do Kaszgaru z odległości 200 kilometrów.

Goszcząc w konsulacie, byłem świadkiem, jak starszy urzędnik do szczególnych poruczeń przy Dao-Taju, Lu-da-łoje, wyzna-

czony przez niego specjalnie do ściągnięcia należności dla poddanego rosyjskiego za sprzedane towary, pieniądze otrzymał, lecz właścicielowi oddał tylko połowę, drugą zaś schował do kieszeni. Na skutek skargi konsula, Dao-Taj pozbawił Lu-da-łoje niebieskiej gałki (oznaka VII stopnia służby), ale po 2-ch miesiącach przywrócił mu ten stopień i bardzo się zdziwił, gdy konsulat przestał przyjmować owego urzędnika w sprawach służbowych.

Za bytności mej w Chotanie kupiec Raim-Baj, poddany rosyjski, przedstawił mi kwit na pobrane od niego cło od towarów,

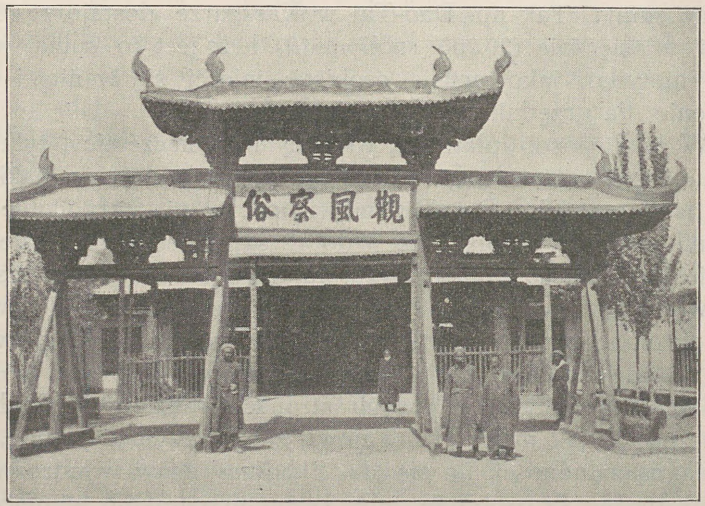

Wjazd do Jamynia naczelnika okręgu w Jarkiendzie (s. 135).

przyczem kwit wystawiony był nie na jego imię, lecz na imię jakiegoś nieznanego mu Kaszgarczyka. Ponieważ kupcy, poddani rosyjscy, są zwolnieni od opłaty cła, przeto w sprawie tej interwenjowałem u miejscowego ambania, lecz ten ze zdumiewającym cynizmem odpowiedział mi, że sprawę tę pamięta doskonale, gdyż cło od towarów stanowi jego osobisty dochód. Kwit fikcyjny ambań kazał wydać dlatego, żeby Raim-Baj, jako nieobowiązany do opłacania cła, nie mógł oskarżyć go przed konsulem, który domagałby się zwrotu nieprawnie pobranych pieniędzy.

Przytaczane fakty doszły do mej wiadomości przypadkowo w ciągu krótkiego pobytu mego w Kaszgarze i są tylko drobnemi przykładami łapownictwa administracji chińskiej. Ambań chotań-

ski rządził tamtejszym okręgiem od czterech lat i już dwa razy wysyłał stamtąd do kraju karawany, składające się z 60—70 wielbłądów, objuczonych srebrem, jedwabnemi dywanami chotańskiemi i innym dobytkiem.

Na administracji chińskiej wzoruje się administracja, złożona z krajowców, której dziwić się niepodobna, gdyż od rządu nie pobiera ona żadnego wynagrodzenia, lecz żyje z tego, co wyciśnie z ludności. Niższą administrację stanowią: Juzbaszy—(setnik), zarządzający dzielnicą, Beki i Min-Beki, którzy odpowiadają sołtysom i wójtom gminy, wreszcie Chakim-Beki, co pełnią obowiązki starostów i mają ogromną władzę.

W ostatnich latach Chińczycy nowych Chakim-beków nie mianują wobec tego, że mają oni za wiele wpływu na podwładną im ludność. Niektórych zesłano do Hami (miasto w północnej części Gobi), innych jakoby do zarządzania kopalniami złota wysłano w góry, daleko od ich okręgu.

Koczownikami rządzą Bekowie, wybrani z pośród bogatych rodów kirgiskich. Jako wynagrodzenie, otrzymują oni prawo pobierania od Kirgizów rocznie $^1/_{10}$ części plonów i $^1/_{40}$ części żywego inwentarza.

Bekowie obowiązani są raz do roku przybyć do Dao-Taja z darami, stosownemi do dochodów, na znak lennego stosunku do rządu chińskiego. Noszą oni także okrągłe czapki urzędowe, mauzy, z miedzianą gałką (XIV kategorja służbowa). Ci, zamiast pawiego pióra, mają umocowany ztyłu soboli ogonek.

Chińczycy nie lubią gór i rządzą Kirgizami nominalnie, lecz w celu rozdrobnienia władzy dzielą rody kirgiskie na części i w każdej z nich mianują oddzielnego Beka. Naprzykład kirgiski ród Juwasz (koczuje wzdłuż drogi od Irkesztamu w stronę Kaszgaru), liczący wszystkiego 300 jurt, władze chińskie podzieliły na 4 części i mianowały 4 Beków, którzy ciągle się między sobą kłócą. Zasada: „divide et impera“ znana jest dobrze i w Chinach.

Miastami zarządza policmajster-Chińczyk, nadto z pośród krajowców: Padsza-Szab-Bek (władca nocy), t. j. naczelnik policji, pomocnik jego, naczelnicy dzielnic (machale) i dziesiętnicy. Wszyscy oni również nie biorą pensyj, przytem Padsza-Szab-Bek utrzymuje jeszcze na swój koszt, t. j. na koszt ludności, potrzebną ilość konnej i pieszej policji. Pieniądze, niezbędne na utrzymanie policji, władze co miesiąc rozkładają na wszystkie dzielnice miasta, w każdej zaś dzielnicy sumę odpowiednią płacą właściciele domów.

Ogólną cechą rządów chińskich jest pełen pogardy stosunek do krajowców. Nie spotkałem ani jednego Chińczyka w administracji lub w wojsku, znającego język tiurkski, którym mówi cała Kaszgarja. Administracja i sąd w sprawach najważniejszych porozumiewają się z krajowcami przez tłumaczy, którzy stanowią klasę ludzi, najmniej zasługującą na zaufanie. Są to przeważnie albo dawni żołnierze-Chińczycy, którzy, będąc w niewoli u Jakóba-Beka, nauczyli się po tiurksku, albo krajowcy, którzy, służąc u Chińczyków, nauczyli się trochę po chińsku. Kasta tłumaczy oddziela murem chińskim administrację od ludności i na wszelkie skargi i prośby do władz pozwala dopiero po ściągnięciu haraczu do własnej kieszeni.

Niedostatek ten dobrze rozumie rząd chiński. To też obecnie w większych miastach założono szkoły dla dzieci kaszgarskich, które uczą się w nich języka i pisma chińskiego. W szkole dzieci otrzymują pełne utrzymanie, noszą warkocze i ubranie chińskie. Rodzice ich wolni są od wszelkich podatków.

Szkołę taką zwiedzałem w Jarkiendzie. Starsze dzieci, które są tam już 6 — 7 lat, mówią swobodnie po chińsku, i trudno jest odróżnić je od małych Chińczyków, uczących się tam języka tiurkskiego. Gorzej jest z pisaniem, i zarządzający szkołą mówił mi, że stracił nadzieję, żeby wychowańcy jego mogli się kiedyś nauczyć dobrze pisać po chińsku.

Mówiąc o administracji, trudno pominąć sądownictwo, od którego zależy praworządność w kraju.

Zająwszy Kaszgarję, Chińczycy pozostawili tam „kaziów", którzy, jak i we wszystkich innych krajach muzułmańskich, sądzili na zasadach koranu i szariatu. Z biegiem czasu jednak większość spraw przeszła do rąk administracji, i w jurysdykcji kaziów pozostały tylko sprawy rozwodowe i spadkowe, zarówno jak i sporządzanie dokumentów, dotyczących kupna i sprzedaży nieruchomości. Kaziów nie wybiera ludność, lecz mianują ich władze okręgowe, wskutek czego miejsce kaziów zajmują często ludzie bez żadnych kwalifikacyj. Lepsze siły sądownicze ustąpiły same, albo zostały usunięte przez rząd, i obecnie nawet drobne sprawy o ściągnięcie długu rozpatruje tylko administracja.

Z cztero-miesięcznego pobytu w Kaszgarji wyniosłem przekonanie, że administracja chińska posiada zbyt wiele prerogatyw, które stosuje do podwładnej sobie ludności z surowością bezwzględną.

Prawo karania śmiercią ma nietylko Dao-Taj, lecz i naczelnicy okręgów; tortury zaś stosuje się przy każdem dochodzeniu, prowadzonem nawet przez drobnych przedstawicieli administracji, naczelników oddziału i policmajstrów, przyczem urzędnik nie jest odpowiedzialny za śmierć torturowanych. O karze cielesnej już nawet nie mówię; stosuje ją każdy urzędnik w dowolnej ilości tak, że wymierzenie winowajcy 2—3 tysięcy kijów jest na porządku dziennym.

Prawo chińskie z drobiazgową ścisłością omawia sposób, w jaki należy wykonywać karę cielesną. Nie wolno bić kijem kan-

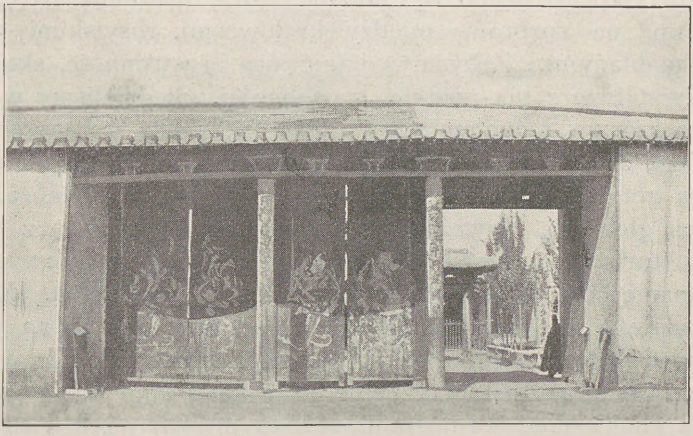

Jamyń naczelnika okręgu w Chotanie (s. 140).

ciastym, okrągłym lub sękatym. Kij, użyty do kary cielesnej, powinien mieć $^3/_4$ metra długości, 6 ctm. szerokości i 3 ctm. grubości. Delikwenta kładzie się na szerokiej ławie, oprawca zaś, bijąc, nie może odrywać od niej łokcia. W ten sposób znacznie się zmniejsza rozmach uderzenia. Bije się nie po „siedzeniu“, lecz nieco niżej, po udach. Przy znacznej liczbie razów kawały mięsa z uda odpadają, i rany albo okropne blizny pozostają na całe życie. W sądach nawet świadkowie nie są wolni od kary cielesnej, przyczem ordynuje im się pewną ilość kijów przed zeznaniem, żeby ich zachęcić do mówienia prawdy. Tylko Mandżurzy korzystają z przywileju otrzymywania kary nie kijem, lecz „biczem z byczej skóry“ (nahajem), przytem na 30 batów ma prawo skazać każdy urzędnik, na większą ilość sąd.

Sprawy między krajowcami a Chińczykami mogą sądzić tylko władze administracyjne. Spory między krajowcami mogą być dowolnie rozpatrywane przez kaziów lub przez admininistrację; jednak wyroki kaziów nie obowiązują administracji. Wskutek tego strona niezadowolona z orzeczenia kaziów apeluje do administracji, która rozpatruje sprawę ponownie, czyni zarządzenia wprost przeciwne postanowieniu kazia i natychmiast wprowadza je w życie. Naturalnie, w takich warunkach sądy kaziów nie mają żadnego znaczenia, co właśnie odpowiada życzeniom Chińczyków.

Zastosowanie tortur przy wydobywaniu zeznań jest w powszechnem użyciu. Zdarzyło mi się być obecnym przy procedurze sądowej tylko raz jeden w Chotanie, gdzie naczelnik okręgu zaprosił mię na rozprawę między krajowcami, rosyjskimi a chińskimi poddanymi. Żeby uwydatnić swą bezstronność, skorzystałem skwapliwie z tak rzadkiej sposobności. Siedzieliśmy w pawilonie, o którym mówiłem przy opisie przyjęcia u kaszgarskiego Dao-Taja, na 2-ch obok siebie stojących fotelach. Obie strony klękały na gołej ziemi przed pawilonem, u stóp jego podnóża, z odkrytemi głowami, trzymając w ręku nietylko zdjęte z głowy czałmy (turbany), ale i tiubietejki (krymki), których, jak wiadomo, muzułmanie nie zdejmują nawet w nocy w czasie snu. Kobiety też zeznawały z odkrytemi twarzami, lecz w czapkach na głowie. Procedura sądowa ciągnie się długo, gdyż ostatecznie dla wydania wyroku potrzebne jest przyznanie się oskarżonego do winy. Stąd wynika konieczność wymuszania zeznań prawdziwych i, co zatem idzie, tortur lub admonicji cielesnej. Dopiero wtedy zrozumiałem, dlaczego generał Wan-dżu-min w mojej sprawie tak spiesznie bez zastrzeżeń przyznał się do winy przed sądem Zung-Tuna. Zapewne się bał, że gdyby się zaparł, Zung-Tun, ktory był wtedy wściekły i korzystał z prawa najsurowszego co do sądu doraźnego, t. j. nie w urzędzie, ale na każdem miejscu, gdzie jest wystawiony obnażony miecz, symbol jego władzy, każe wsypać mu pewną ilość kijów w konsulacie, co naturalnie, byłoby największą obrazą miłości własnej Wan-dżu-mina.

W sprawie, którą rozpatrywano w mojej obecności w Chotanie, chodziło o to, że Kaszgarczyk nie zaprzeczał długu, lecz upewniał, że część należności za kupione towary już był spłacił. Poddany rosyjski zaś twierdził, że wprawdzie część pieniędzy otrzymał, ale nie jako spłatę długu, lecz tytułem procentów.

Obeszło się bez tortur, ale wyrok chłosty nastąpił tak błyskawicznie, że, nim zrozumiałem, o co chodzi, już oprawcy pociągnęli ofiarę do sąsiedniej izby. Naczelnik okręgu gorąco mię namawiał, żebym „dla porządku“ kazał oćwiczyć kupca, w obronie którego stawałem, i był wprost zdumiony, gdy się dowiedział, że nietylko w Rosji, lecz w całej Europie nie wolno bić w sądach, i że zawiniłbym ciężko, gdybym się uciekł do takiego środka. Sama możność obejścia się bez tak łatwego sposobu wymuszania zeznań zdawała mu się tak nieprawdopodobna, że kilkakrotnie pytał mię, czy są wypadki, żeby w sądzie ktoś dobrowolnie przyznał się do winy.

Po skończonym sądzie poprosiłem o pozwolenie obejrzenia mieszkania oprawców. Zgodził się niechętnie, mówiąc, że nic ciekawego tam nie znajdę, gdyż okrąg jego stanowi najdalsze kresy, i dlatego mógł zaopatrzyć się tylko w pierwotne, wiejskie narzędzia. Słowem, wstyd mu było nie tego, że stosuje tortury, ale tego, że nie może pochwalić się wyrafinowanemi przyrządami do tortur.

Na środku pokoju stała szeroka ława, na której kładziono skazanych na kije. Obok, z dwóch stron—kosze z kijami, bo dla przyśpieszenia operacji biją winowajcę odrazu z dwóch stron. Ambań własnoręcznie pokazywał, jak według prawa nie wolno, bijąc, odrywać łokcia od ławy.

W kącie stało kilka egzemplarzy „szali“. Jest to ciężka deska kwadratowa, około metra długości i 10 cent. grubości, rozcięta na pół, z wypiłowanym pośrodku otworem na szyję. Za drobne przestępstwa, jak nieposłuszeństwo, pijaństwo, bijatyki, czasami za drobną kradzież, winnego skazują na noszenie szali na czas od tygodnia do miesiąca. Deskę wkłada się na szyję w ten sposób, że głowa wystaje nad deską, i deska zamyka się na klucz; na boku deski nakleja się napis, za co i na jak długo winowajca został skazany, i w tym stanie wypuszcza się go na ulicę. Położenie skazanego jest krytyczne: pracować nie może, musi więc żebrać; ale i wyżebrane pieniądze nie na wiele się zdadzą, bo wskutek szerokości deski ręką nie może on sięgnąć do ust; musi się przeto znaleźć litościwa osoba, która go nakarmi. Spać może tylko, siedząc, przytem ciężar deski i niewygodne położenie szyi tak denerwują, że skazany po skończeniu tortury zwykle ciężko choruje.

Obok stoją żelazne sztaby długości około 2 metrów i wagi 40—60 funtów. Na obydwóch końcach takiej sztaby mieszczą się

żelazne obroże. Jedna wkłada się na szyję, druga na nogę w ten sposób, że sztaba przechodzi wzdłuż ciała przez grzbiet. Skazaniec może wprawdzie posuwać się, ale bardzo małemi kroczkami, przyczem obydwiema rękami ztyłu musi podtrzymywać sztabę, bo w przeciwnym razie zadusiłaby go swym ciężarem. Oczywiście, usiąść z taką sztabą niepodobna, a położyć się lub wstać można tylko przy pomocy dwóch silnych mężczyzn, którzyby odrazu podnieśli lub położyli skazanego. Termin noszenia sztaby zależy od

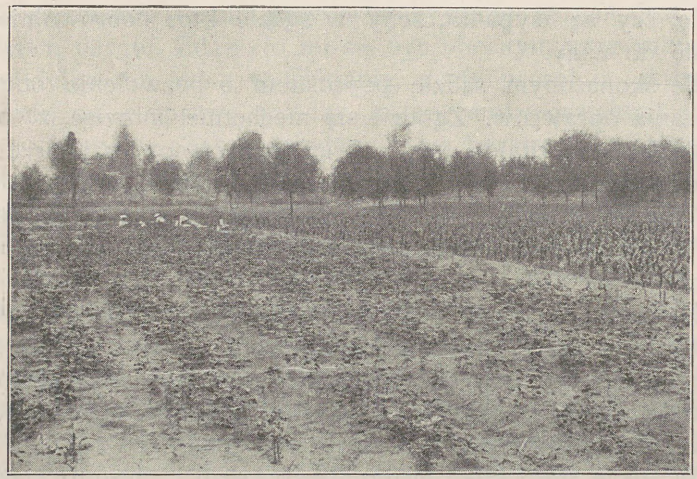

Pola zasiane bawełną i (obok) kukurydzą w Kaszgarji (s. 150).

woli urzędnika i czasami wynosi kilka miesięcy. Nałożenie szali lub sztaby jest karą tak zwyczajną, że trudnoby było znaleźć bazar większego miasta, gdzieby choć paru ludzi w szalach lub z żelazem za plecami nie prosiło przechodniów o jałmużnę.

Dalej szanowny ambań pokazał mi jeszcze dwie deski, połączone zapomocą śruby, które służą do ściskania palców u rąk. Deski były obficie poplamione krwią, co dowodzi ich częstego użycia. Nadto widziałem tam kłody do ściskania nóg; łańcuch grubości palca, którym, po rozpaleniu go, obwijają nogi winowajcy powyżej kolana; deskę, nabitą ostremi gwoździami, na której opornych stawiają na klęczkach.

W bramie Jamynia (urzędu) tegoż ambania wisi ogromna klatka z żelaznych prętów, z otworem w wierzchniej części, przeznaczonym na szyję, urządzona w ten sposób, że zamknięty w niej

człowiek głowę ma wytkniętą nad klatką, dna zaś jej dotyka tylko końcami palców u nóg. Gdy palce zemdleją, skazaniec zawisa na szyi. Dla przedłużenia męczarni pod pięty podkładają czasami kawałki cegły. Do klatki tej wsadzają wielkich przestępców, np. ojcobójców lub żonobójców - Chińczyków, skazanych na śmierć powolną. Ludzie męczą się tam zwykle 3 — 4 dni, przez cały czas agonji nie otrzymują żadnego pożywienia i przytem wystawieni są w klatce na widok publiczny, co ściąga tłumy ciekawej gawiedzi.

Kary, grożące kobietom za nierząd, są także bardzo surowe. W przejeździe przez miasto Kargałyk widziałem młodą kobietę, którą obwożono na ośle po ulicach, przyczem herold ogłaszał, że za uprawianie nierządu została ona ukarana 200 uderzeniami „czarma" po twarzy. (Czarm—kawał grubej podeszwy, przytwierdzonej do krótkiej rączki, używa się specjalnie do bicia po twarzy). Posadzona twarzą do ogona, kobieta słaniała się na ośle, podtrzymywana przez dwóch policjantów; z twarzą straszliwie opuchniętą, pokrytą zapiekłą krwią, wywierała przygnębiające wrażenie. Mówiono, że czarmem wybito jej wszystkie zęby.

W czasie mej bytności w Kaszgarze, Dao-Taj skazał odrazu 20 kobiet za nierząd; każda z nich otrzymała po 400 kijów, a potem obwożono je na osłach po mieście twarzą do ogona.

Trudno jest wierzyć, aby sądy średniowieczne z torturami i z wyrafinowanem biciem dotąd utrzymały się w Chinach. A jednak tak było nietylko na dalekich kresach, w Kaszgarji, lecz i w 18 lat później, kiedy byłem generalnym komisarzem Kwantunu.

W imię bezstronności muszę nadmienić, że i wysoce kulturalni Anglicy w kolonjach swych stosują surowe kary względem krajowców.—W jednej z podróży swych na Daleki Wschód zwiedzałem więzienia w Colombo, na Cejlonie i w Singapore, podziwiając przepiękne roboty więźniów, szczególnie zaś meble, wyplatane z trzciny. Otóż, obchodząc sypialnie, wylane asfaltem, byłem zaintrygowany, do czego właściwie służą żelaza, umocowane rzędem w podłodze. Pokazało się, że więźniowie śpią pokotem na gołym asfalcie, czyściutko wymytym i błyszczącym, jak posadzka, przyczem nogi ich w kostce kajdankami przykute są na noc właśnie do tych kółek żelaznych, które mię tak zaintrygowały. Wyobrażam sobie, jak trudno przeleżeć całą noc w jednej pozycji nawznak; przykute do podłogi nogi, nie pozwalają zmienić położenia. Kary cielesne stosują w więzieniu zapewne

dosyć często, bo dozorca pokazywał mi przyrząd, ułatwiający ich wymierzanie. Był to trójkąt w rodzaju litery A. Nogi delikwenta żelaznemi spięciami przymocowywano w kostce do nóg trójkąta, ręce zaś do sznura, przewleczonego przez kółko, przytwierdzone u góry, w ostrym końcu trójkąta. Przy pociągnięciu za sznur, wierzchnia połowa trójkąta odchylała się na dół, ciągnąc za sobą górną część ciała przywiązanego do trój ąta człowieka. Że zaś dolna połowa trójkąta pozostawała na miejscu, więc na poprzecznej żerdzi, znajdującej się pośrodku trójkąta, uwypuklało się „siedzenie“ delikwenta, które służyło za cel operacji.

Do więzienia w Singapore trafiłem przypadkowo w czasie przechadzki więźniów. Szli w głębokiem milczeniu jeden za drugim, w odległości 3 kroków, okrążając niewielkie podwórko, otoczone wysokim murem. Na spacer była przeznaczona godzina czasu. Więźniowie szli po rozpalonym asfalcie, ciężko kłapiąc drewnianemi podeszwami, przywiązanemi do bosych nóg. Pośrodku podwórka stał dozorca z długim biczem, w milczeniu śmigając jego końcem po plecach więźniów i w ten sposób popędzając opieszałych lub tych, którzy nie przestrzegali ustanowionej odległości. Są to może błahostki, ale wymownie świadczące o rygorze, w jakim trzyma się Syngalezów w Colombo lub Malajczyków w Singapore—rygorze, którego my sobie nawet wyobrazić nie umiemy.

XVI.

PODATKI I CŁA W KASZGARJI. ROLNICTWO. HODOWLA. SZTUCZNA IRYGACJA. PRZEMYSŁ. ZŁOTO I JEGO KOPALNIE. NEFRYT. ODKRYCIE ŻYŁ NEFRYTU, Z KTÓREGO WZNIESIONO GROBOWIEC TAMERLANA W SAMARKANDZIE. STO KILOMETRÓW BEZ WODY. ANTYLOPY.

System opodatkowania Kaszgarczyków jest dosyć pierwotny i sprowadza się do trzech głównych kategoryj: a) podatku rolnego, b) cła od sprzedanych wyrobów lub produktów i c) świadczeń rzeczowych i osobistych.

Po zajęciu Kaszgarji Chińczycy wymierzyli wszystkie ziemie zdatne do siewu, obliczyli je w „mu“ (mu = 450 m.^{2}), rozdzielili na trzy kategorje i obciążyli je podatkami według kategoryj, a mianowicie: „mu“ pierwszej kategorji 5 dżynami ziarna (1 dżyn = 0,5 kg.), mu drugiej kategorji 3 dżynami, trzeciej — $1^1/_2$ dżynami ziarna. Ziemie, które były zdatne do uprawy, lecz nie miały właścicieli, ci bowiem zginęli w czasie wojny, uciekli lub przesiedlili się do innej okolicy, upaństwowiono i oddano w dzierżawę lub kolonistom chińskim.

Jako podatek, pobierano wyłącznie pszenicę i kukurydzę w równych częściach, niezależnie od tego, co uprawiano w rzeczywistości na danym terenie. Więc np. wioski, leżące w miejscowości błotnistej lub obfitującej w wodę, siały tylko ryż, bawełnę lub sorgo, lecz dla opłaty podatku musiały kupować pszenicę i kukurydzę i dostawiać do składów. Oprócz podatku w ziarnie, każde 2 „mu“ musiały dostawić rocznie 4 pudy słomy, 4 pudy drzewa i jednego robotnika. Ziarno w naturze przyjmowano tylko w ilości niezbęd-

nej do rocznego wykarmienia wojsk i zaspokojenia potrzeb urzędników państwowych. Resztę ludność winna była wnieść nie w ziarnie, lecz w pieniądzach, według cen, wyznaczonych przez naczelników okręgów. Więc np. w okręgu kaszgarskim, gdzie skoncentrowane były prawie wszystkie wojska, podatek wnoszono całkowicie w ziarnie, a w chotańskim, gdzie stała tylko jedna lanza, ziarna przyjmowano mało, należny zaś podatek wpłacać kazano pieniędzmi.

Ziemianie woleli wnosić podatki gotówką, niż ziarnem, bo, chociaż ceny, wyznaczone przez naczelników okręgów, były zwykle

Widok z Dangnyn-basz Pamiru na węzeł, gdzie się łączą Himalaje z Hindukuszem, oraz na szczyt Cesarzewicza Mikołaja około 26 000 st. (8 400 metrów) n. p. m. (s. 162).

wyższe od rynkowych, lecz ziemianin wiózł pieniądze do kasy, wpłacał je i wracał do domu, gdy tymczasem ziarno musiał dostawiać w ciągu sierpnia do składu, znajdującego się często o kilkadziesiąt kilometrów, i miał przytem wiele kłopotów z urzędnikami, którzy ważyli ziarno i brakowali je, co zwykle zajmowało dwa trzy dni i pociągało za sobą znaczne wydatki. Jeszcze uciążliwsza jednak była dostawa drzewa w naturze, gdyż w Kaszgarji lasów niema, i celem dostawy trzeba było wyrąbywać sady owo-

cowe. Po drodze starałem się zbadać, jaki ten podatek stanowi procent od dochodu z ziemi; wynotowawszy dane, dotyczące setki gospodarstw, przyszedłem do przekonania, że podatek ziarnem dochodził do 37% od dochodu brutto. Wynikało to stąd, iż rząd nie liczył się z tem, że w skutek nieszczególnej gleby i braku nawozu nikt z ziemian nie mógł zasiewać z roku na rok całego obszaru swej ziemi, podatek jednak płacił od całkowitej ilości „mu“, które stanowiły jego własność.

Cło od sprzedanego bydła, od produktów lub wyrobów wynosiło: 10% od żywego inwentarza i 5% od wszystkiego, co wytwórca przywoził na rynek, a więc od ziarna, mąki, bawełny, kokonów, obuwia, dywanów, kożuchów i t. d., i t. d. Połowa cła szła do kasy państwowej, drugą brali celnicy, jako wynagrodzenie za swe czynności, ci zaś, materjalnie zainteresowani w tej sprawie, pilnie baczyli na wszystkie rynki w kraju, by czegokolwiek nie sprzedano bez opłaty cła.

Najwięcej jednak narzekań wywoływały świadczenia osobiste. Przy budowie mostów, przeprowadzaniu dróg, irygacyjnych kanałów, przy budowie fortec i przy innych robotach spędzano tysiące robotników, często z wiosek, położonych o dziesiątki kilometrów od miejsca robót, którzy musieli pracować darmo i być na własnem utrzymaniu. Oprócz robotnika, ludność obowiązana była dostarczać potrzebnego materjału i dowieźć go do miejsca robót.

Jadąc w stronę Jarkiendu, widziałem roboty przy budowie mostu przez Kyzył-su, o 20 kilometrów od Kaszgaru. Pracowało tam już od dwóch miesięcy 2 500 robotników, którzy otrzymywali od rządu dżyn mąki i 1 kop. dziennie na włoszczyznę. Setki arb woziło darmo kamienie, piasek i darninę. Przed rozpoczęciem robót urzędnicy objechali wioski okoliczne i zapisali drzewo, które mogło się przydać do budowy; potem właściciel obowiązany był wyrąbać drzewo, dostawić belki i otrzymywał za każdą 15 kopiejek.

Oprócz wymienionych podatków ogólnych, są jeszcze świadczenia nieprzewidziane. Naprzykład w razie przemarszu wojsk wioski, przez które przechodzi armja, obowiązane są dostarczyć wszelkich produktów spożywczych, oraz furmanek do przewozu ciężarów.

Poza tem wszystkiem ludność jeszcze wystawia potrzebną ilość konnych durg, t. j. kurjerów — dżigitów. Ilość ich zależy od woli naczelnika okręgu. Naczelnik okręgu jarkiendskiego trzyma

ich 300. Przytem durga pełni służbę na swoim koniu i w swojem ubraniu i otrzymuje zato 1 sar srebra i dwa pudy pszenicy miesięcznie. Resztę dopłaca wioska, która durgę wysłała. Oczywiście niektórzy, nie mogąc wyżyć zato, co dostają, uciekają. Lecz administracja zastępuje zbiega przez jego ojca lub brata, albo też zmusza wioskę do wysłania innego durgi.

Jeżeli do tych kilku rysów znamiennych dodać fakt, że cała administracja, złożona z krajowców, nie otrzymuje żadnego wynagrodzenia, lecz żyje na koszt ludności, to trudno nie przyznać, że powszechne skargi na przeciążenie podatkami są zupełnie uzasadnione.

Inne stosunki panują między koczownikami a rządem chińskim. Mówiłem powyżej, że Chińczycy rządzą Kirgizami tylko nominalnie i, jak dotychczas, nie dopuszczają tylko do ześrodkowania się silnej władzy w jednych rękach; dlatego nawet niewielkie rody kirgiskie dzielą na kilka „bekostw". Taki układ stosunków ma źródło w tem, że Kirgizi zamieszkują góry, graniczące na ogromnej przestrzeni z Rosją, gdzie znaleźli stałe schronienie pretendenci do tronu kaszgarskiego: potomkowie Chodżej, dawnych chanów Kaszgarji, i Bek-Kuli-Bek, ostatni władca tej prowincji. Otóż rząd chiński rozmyślnie nie opodatkował Kirgizów, którzy pod władzą chanów płacili ogromną daninę, żeby w pogranicznym z Rosją pasie mieć przychylnych sobie mieszkańców, jacy, rozumiejąc własny interes, nietylko sami nie wzięliby udziału w zaburzeniach, ale uprzedzili jeszcze o nich rząd chiński. Stąd pochodzi samorząd kirgiski i chętne obdarzanie wpływowych Kirgizów.

Ogromną różnicę w stosunku rządu do Kaszgarczyków a Kirgizów ilustruje chociażby następujący fakt: W miejscowości Igiz-Jar, na zachód od Jangi-Gisaru, wśród rozległych koczowisk kirgiskich, Chińczycy rozpoczęli budowę fortu Karanglik, który ma zamknąć drogę z Pamirów w głąb Kaszgarji. Na budowę posłano dwie lanze chińskie, które, według prawa, mieli żywić miejscowi obywatele. Lecz Kirgizi odmówili karmienia przysłanej na roboty lanzy, a Dao-Taj, nie chcąc zaostrzenia stosunków z nimi, obowiązek ten włożył na mieszkańców najbliższej wioski, Muszy, liczącej 300 gospodarstw i znajdującej się o 50 kilometrów od miejsca budowy fortu Karanglik. Ponieważ budowa ciągnęła się przez całe lato, więc mieszkańcy Muszy, nie mogąc wykarmić 2-ch lanz, porzucili gospodarstwa i rozbiegli się. Wtedy dopiero Dao-Taj wydał rozporządzenie, aby potrzebne zapasy żywności dostarczono ze składnic Jangi-Gisaru.

Właśnie w drodze między Jangi-Gisarem a Jarkiendem spotkałem owe lanze, wracające do Kaszgaru. Tylko początek kolumny, 30—40 żołnierzy szło zwartym szeregiem i wyglądało po wojskowemu; dalej ludzi ciągnęli w pojedynkę lub niewielkiemi grupkami, często boso, niosąc obuwie na karabinach, jak na kijach. Wielu chorych, czy wycieńczonych leżało tuż przy drodze, przyglądając się ciekawie szybko posuwającej się naszej karawanie.

Co do ogólnego stanu rolnictwa w Kaszgarji, należy stwierdzić, że warunki rozwoju jego są dosyć trudne. Obecna Kaszgarja stanowiła niegdyś dno olbrzymiego wewnętrznego morza Azji Środkowej i wskutek tego ma duże obszary „ziem słonych", których uprawa połączona jest z wielkim wysiłkiem pracy.

Z drugiej strony bliskość ogromnej piaszczystej pustyni Gobi i zależna od tego sąsiedztwa suchość powietrza wpływają ujemnie na ilość opadów w górach.

Wskutek tego góry są prawie zupełnie pozbawione lasów, które stanowią naturalną ochronę spadających w zimie śniegów. Dlatego w Kaszgarji śniegi z nadejściem ciepłej pory roku tają szybko: na wiosnę przepełnione wodą rzeczki często wychodzą z brzegów i psują kanały irygacyjne, w najlepszym zaś razie zbyteczne wody uchodzą w step i giną w piaskach. Zato w czasie lata odczuwa się dotkliwy brak wody.

W walce z temi żywiołowemi przeszkodami ludność Kaszgarji korzysta tylko z doświadczenia, odziedziczonego po przodkach, gdyż władze chińskie, czerpiąc główne dochody z rolnictwa, wzamian nie dają krajowi ani szkół rolniczych, ani instruktorów, i życie biegnie tak, jak biegło za dziadów i pradziadów. To też z prawdziwem zdziwieniem przyglądałem się sztucznym kanałom nawodniającym, przeprowadzanym często po wysokich nasypach, otoczonym polami, urządzonemi na stopniowo zniżających się tarasach. Szczególnie zainteresował mię umiejętny sposób wyzyskiwania prawa fizycznego o równowadze płynów w dwóch połączonych naczyniach. Ponieważ drogi w Kaszgarji zwykle biegną znacznie niżej od nawodniających kanałów, które przeprowadzone są często po nasypach, więc w razie, gdy kanał przecina drogę, krajowcy, żeby nie budować wysokich i drogich mostów przez kanał, przepuszczają go pod drogą, i woda wytryskuje na wysokim nasypie z drugiej strony drogi. Prosty ten sposób jest w powszechnem użyciu w okręgu jarkiendskim i chotańskim, lecz nigdy nie zda-

rzyło mi się widzieć podobnych urządzeń w innych miejscowościach Azji, z wyjątkiem Persji.

Poza tem zasługuje na uznanie umiejętny wybór zasiewów nietylko w zależności od gatunku ziemi i od ogólnej ilości wody, ale i od tego, w jakiej porze roku wody jest najwięcej i pola mogą być najobficiej polewane. W największem użyciu jest w Kaszgarji kukurydza (kunak, meka-dżugara). Z mąki kukurydzowej wypiekają chleb, przekładając go surową cebulą; ziarnem podkarmiają konie i woły, gdyż jęczmienia w Kaszgarji sieją mało, owsa zaś

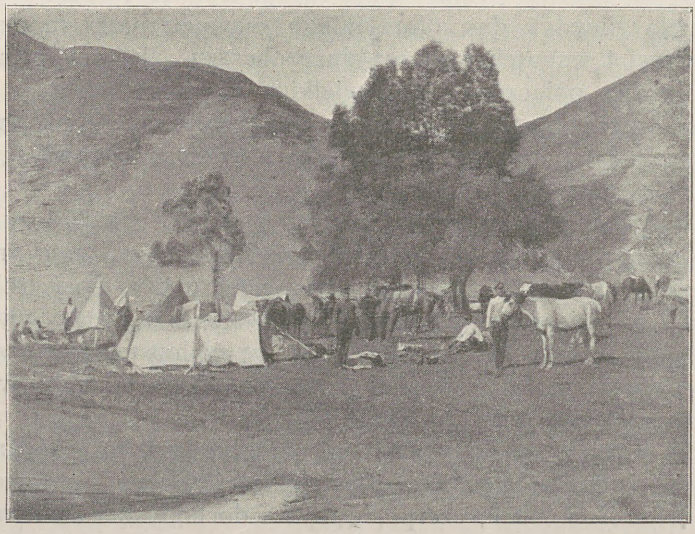

Tiuja-Tugdy niedaleko rzeki Raskem Darji,
gdzie stała ekspedycja w czasie poszukiwania nefrytu (s. 163).

nie znają; liście i łodygi zjadają kozy i barany; wreszcie wysuszone szyszki i korzonki służą za paliwo w kuchni.

Ogrody warzywne są przy każdym domu, a kartofle poczynają stopniowo wchodzić w użycie, czego w innych krajach Azji Środkowej jeszcze nie było.

Zwracają też uwagę duże plantacje konopi, z których wyrabia się narkotyk „nasza“, do palenia w fajkach. Odurzający narkotyk ten działa, jak opjum; po użyciu wywołuje silne bóle głowy, lecz z powodu taniości jest w powszechnem użyciu. Wielką ilość „naszy“ wywożą do Kaszmiru, Ladaku, Tybetu, a także do Rosji azjatyckiej.

O owocach już mówiłem. W Chotanie spotkałem nowy rodzaj, a mianowicie „czylan“, rosnący nawet w stanie dzikim. Nazywają go tam „dzikim daktylem“, bo wygląda, jak daktyl, tylko jest mniej słodki i bardzo mączysty. Rośnie on na karłowatych drzewach „dżydy“ z liśćmi podobnemi do liści oliwnych. Kwiat jest żółty, drobny, z odurzająco silnym zapachem miodowym. Czylan wchodzi obowiązkowo w skład tak zwanego „dastarchanu“ (pistacje i rodzynki) i w znacznej ilości wysyłają go do tych samych krajów, co i „naszę“.

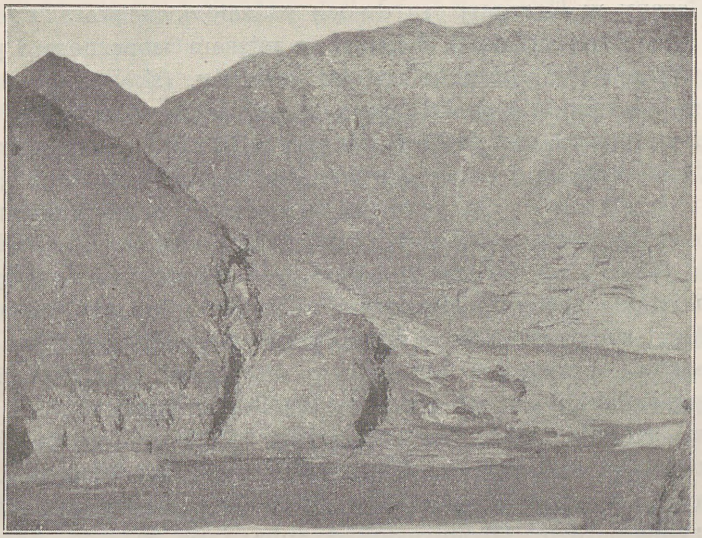

Skały nefrytu nad rzeką Pil, z którego wykonany został grobowiec Tamerlana (s. 165).

Koni w Kaszgarji wogóle jest bardzo mało. Utrzymanie ich kosztuje drogo, Chińczycy zaś po zajęciu kraju w celach politycznych zabronili krajowcom trzymania koni i zabierali je darmo. Obecnie zakaz ten cofnięto, i dziesiątki tysięcy koni do karawan handlowych dostarczają Kirgizi, rosyjscy poddani, z Ałaju i z Siedmiorzecza. Do użytku domowego Kaszgarczyków wystarczają osły, które jedzą wszystko i których utrzymanie znacznie taniej kosztuje noszą one swobodnie juk wagi 240 funtów, gdy konie unieść mogą tylko 320 funtów. Osioł jest uparty i leniwy, to też zmuszają go do pracy w dosyć barbarzyński sposób, kłując zaostrzonym kijem w mięśnie tylnych nóg. Obecnie wchodzą w użycie, szcze-

gólnie pod wierzch, wprowadzone przez Chińczyków muły (kaczyry). Są to wysokie i silne zwierzęta, o budowie końskiej, tylko z długiemi oślemi uszami i ogonem. Chińczycy używają ich także do zaprzęgu.

Wołów i krów używa się tam do orania pól, a także do noszenia juków. Aby łatwiej niemi kierować, przebija się im dziurę w chrząstce między nozdrzami i wstawia w to miejsce drewniane kółko, do którego przywiązany jest sznur. Kiedy zwierzę idzie na paszę, drewniane kółko podciąga się do góry, a sznurek okręca dokoła rogów.

Barany w Kaszgarji są dwóch rodzajów: większe z ogromnemi, okrągłemi połciami tłuszczu, z mięsem smacznem i prawie pozbawionem specyficznego smaku baraniny, (skóry ich, pokryte ciepłem włosiem, idą na kożuchy), oraz mniejsze, z wyborną cienką wełną, w rodzaju merynosów hiszpańskich; lecz mięso ich ma silny specyficzny zapach, co nie wszyscy znoszą. Barany te mają szerokie i długie do 25 cm. ogony z tłuszczu. Z wełny ich wyrabiają cienkie, różnobarwne szale, w rodzaju kaszmirskich, oraz delikatne wojłoki białe lub farbowane na kolor czerwony albo błękitny. Wojłoki takie zastępują dywany i są bardzo poszukiwane w krajach Azji środkowej z powodu taniości i pięknego wyrobu. Stada merynosów spotykałem przeważnie w okręgu chotańskim, choć i w jarkiendskim jest ich niemało. Wielbłądy i jaki trzymają Kirgizi w górach. Jaki, przyzwyczajone do życia wśród bardzo wysokich gór, stanowią najbezpieczniejszy środek lokomocji przez lodowce i wieczne śniegi. Idą powoli, lecz wchodzą swobodnie na góry najbardziej strome, dokąd żadne inne zwierzę, prócz kozłów skalnych, nie mogłoby się wdrapać. Na lodowcach, schodząc, siadają na tylne nogi i, ustawiwszy cztery kopyta, ześlizgują się na dół, pozostawiając na lodzie ślady swych racic. Nie znam takiego wypadku, aby jak, nawet z ciężkim jukiem, wpadł w przepaść. Ich krótkie, ale grube nogi niosą lekko ogromne cielsko. Oswojony, domowy jak jest bardzo posłuszny. W stanie dzikim w Tybecie lub na zboczach Himalajów przebywają na wysokości 15 tysięcy stóp n. p. m. niewielkiemi stadami, po 12 — 16 sztuk. Uzbrojone ogromnemi, ostremi rogami, z długą szerścią na brzuchu, z wysuniętym ozorem i z wysoko podniesionym ogonem, który kończy się buńczukiem długich włosów, jaki wściekle atakują wrogów, tratując wszystko nogami; przytem w pędzie uderzają rogami w ziemię z taką siłą, że wyrwana ziemia i kamienie rozsypują

się wysoko w powietrzu. Dziki jak waży około 800 kg. Mięso jego jest ciemne, ugotowane zaś — znacznie ciemniejsze od mięsa kaczki lub cietrzewia. Do najsmaczniejszych części należy ozór, garb i polędwica. Polowanie na jaka jest niebezpieczniejsze, niż polowanie na tygrysa. Największe stado dzikich jaków, jakie udało mi się widzieć w 4 lata potem, w czasie podróży do Tybetu, składało się z 50 — 60 sztuk, łącznie z młodemi. Skóra jaków daje bardzo grube i mocne podeszwy.

Poza tem w Kaszgarji są jeszcze świnie, przywiezione przez Chińczyków, którzy trzymają je w ogromnej ilości, ze względu na mięso, stanowiące podstawę pożywienia chińskiego. Świnie te są rosłe, czarne, prawie nagie, na krótkich nogach, tłuste i z ogromnemi brzuchami; włóczą się po wszystkich zakątkach fortec, zajętych przez Chińczyków, budząc nieopisany wstręt wśród muzułmańskich krajowców, którzy wierzą, że nawet mimowolne dotknięcie się świni robi człowieka nieczystym (haram) i wywołuje konieczność specjalnego obmycia przez mułłę.

Mówiąc o rolnictwie w Kaszgarji, wypada zaznaczyć, że kraj ten otoczony jest z trzech stron najwyższemi w Azji górami z wyjątkowo trudnemi do przebycia przełęczami, z czwartej zaś — największą w Azji piaszczystą pustynią Gobi. Przy takich warunkach wywóz produktów rolniczych za granicę kraju jest wyłączony, i co za tem idzie, rolnictwo rozwija się o tyle, o ile tego wymagają własne potrzeby kraju. Z drugiej strony słony charakter gleby wywołał konieczność nietylko nadzwyczaj starannej uprawy, lecz i obfitego nawodniania. To też nie można się dostatecznie nadziwić umiejętności, z jaką są przeprowadzone kanały irygacyjne, tem bardziej, że wszystkie prace przy nich odbywają się na oko, bez jakichkolwiek bądź przyrządów, których krajowcy zupełnie nie znają.

W przeprowadzaniu i utrzymaniu kanałów rząd chiński nie bierze żadnego udziału, tak samo, jak i w corocznem oczyszczaniu kanałów, oraz w rozdzielaniu wody między drobne arterje. Wszystkie te roboty, powodujące ogromny rozchód materjałów i wymagające dużej ilości robotnika, prowadzą wybrani przez ludność kuk-baszy (głowa, albo władca zieloności), którzy nie otrzymują stałego uposażenia, lecz pewien procent od urodzaju. Utrzymanie kanałów stanowi obowiązek rolników i jeszcze bardziej utrudnia warunki rozwoju rolnictwa.

Najkulturalniejszy i najbogatszy jest okrąg jarkiendski, najbiedniejszy — kaszgarski.

Przemysł w Kaszgarji jest wogóle słabo rozwinięty. Fabryk w europejskiem znaczeniu słowa niema zupełnie. Maszyny, jeżeli i są jakie, to prymitywne i miejscowego wyrobu. Oprócz grubej materji bawełnianej, którą wyrabiają przeważnie w okręgu kaszgarskim i w jangi-gisarskim, i która wskutek taniości ma zapewniony ogromny zbyt w krajach, sąsiadujących z Kaszgarją, oraz oprócz wyrobu wojłoków, okręgi jarkiendski i chotański zajmują się przeważnie wyrobem dywanów, taniością, dobrocią i różnobarwnym rysunkiem śmiało konkurujących z najlepszemi wyrobami Buchary lub Persji północnej. Dywany kaszgarskie widziałem

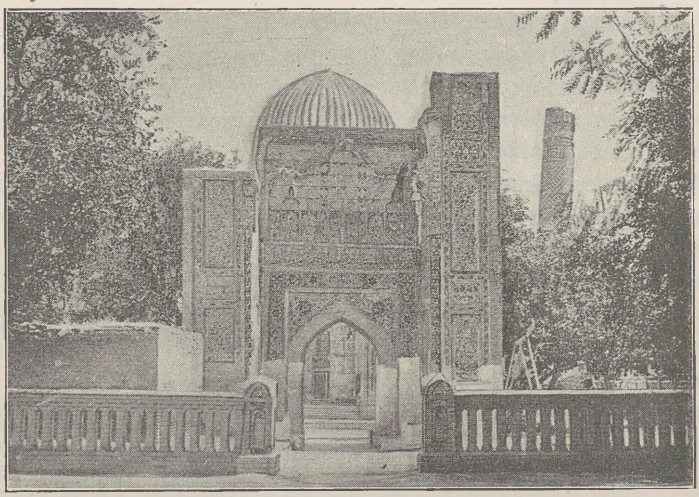

Grobowiec Tamerlana w Samarkandzie.
Na mogile wewnątrz monolit z nefrytu. (s. 167).

nawet w Warszawie, w sklepach Szczerbińskiego i Hersego, tylko zapewne sprzedaje się je pod inną nazwą. Szczególnie piękne są dywany jedwabne, wyrabiane w Chotanie: miękkie, puszyste i przytem o ślicznym rysunku wschodnim, nie ustępują one najlepszym wyrobom tego gatunku w Persji południowej, lecz są więcej niż o połowę tańsze. Zachwycają się temi dywanami urzędnicy chińscy, biorą je po cenach, oznaczonych przez siebie samych i zawsze tak niskich, że nie opłacają one nawet kosztów materjału. Wskutek tego najlepsze fabryki takich dywanów są zamknięte i gotowego towaru nie mają; robią jednak na zamówienie, przytem

dowolnych rozmiarów, tak, że można sobie zamówić dywany, zastosowane do wielkości pokojów. Najwięcej jedwabiu wyrabia okrąg Kerja, na wschód od Chotanu; jedwabne nitki wywożą stamtąd w znacznej ilości.

Poza tem jeszcze sławne są wyroby z misternie cyzelowanej miedzi: wschodnie imbryki do herbaty (kumgany), tace, misy i półmiski i t. d., które chętnie nabywają koczownicy, a to ze względu na taniość ich i praktyczność.

O przyrodzonych bogactwach Kaszgarji trudno powiedzieć coś określonego, bo kraj ten jest jeszcze prawie niezbadany. Lecz i to, co już obecnie wydobywa się z ziemi, dowodzi, że Kaszgarja jest pod tym względem obficie uposażona i posiada wiele danych do rozkwitu ekonomicznego.

Z bogactw, znanych już, wspomnę tylko o znajdujących się w zwiedzonej przeze mnie Kaszgarji Południowej. A więc np. węgiel kamienny wydobywają w okręgu kaszgarskim w ilości bardzo ograniczonej i tylko na potrzeby chińskich koszar i innych gmachów rządowych, ogrzewanych przez kany (leżaki), na których Chińczycy siedzą we dnie i śpią w nocy. Kany—to szerokie ławy z cegły, otynkowanej gliną, ciągnące się wzdłuż jednej ściany przez całe mieszkanie. W kanach przeprowadzone są przejścia, jak u nas w piecach kaflowych. Przy wejściu do mieszkania, zwykle jeszcze nazewnątrz, w kanie urządzony jest otwór pieca. Kanał do dymu, t. j. dymnik przechodzi przez kan do komina, który stoi na przeciwległej stronie budynku i jest znacznie wyższy od dachu domu. Im dłuższy budynek, tem wyższy jest komin, żeby lepiej ciągnął. W zimie, przed wieczorem, kiedy już mieszkańcy domu się zejdą, w piecu pali się zwykle słomą, żeby prędzej ogrzać powietrze w kanie i wywołać przeciąg do komina. Potem piec napełnia się drzewem, lub innem paliwem, kan się rozgrzewa, i na nim Chińczycy śpią. Kan, dobrze urządzony, rozgrzewa się szybko i tak silnie, że nawet, pokrywszy go wojłokami, siedzieć i leżeć na nim niepodobna. Po wygaśnięciu komin i otwór pieca szczelnie się zamyka, i ciepło w kanie trzyma się do rana. Innych pieców w domach chińskich niema. Naszą kuchnię zastępują Chińczykom specjalne samowary i ruszty, opalane węglem drzewnym.

Krajowcy Kaszgarji pieców zupełnie nie znają i w zimie grzeją się przy tak zwanych „sandałach“, które urządzone są w następujący sposób: pośrodku pokoju jest otwór, wielkości metra kwadratowego i na 30 centymetrów głęboki; w środku tego otworu

mieści się drugi, mniejszy i nie tak głęboki. Do tego drugiego otworu sypią rozżarzone węgle, stawiają nad węglami taboret, który zwierzchu nakrywa się ogromną, grubo watowaną kołdrą— końce jej leżą daleko na podłodze—i „sandał“ gotów! Wszyscy domownicy siadają na podłodze dokoła taboretu i wsuwają nogi pod kołdrę, zwracając je w stronę żarzących się węgli, skąd bucha gorące powietrze i ogrzewa dolną część ciała, gdy wierzchnia jest wystawiona na działanie zimnego powietrza pokoju; trzeba więc siedzieć w ciepłem ubraniu, w którem się chodziło po ulicy. Wszyscy śpią tam, gdzie siedzą, podkładając pod głowę wałki z waty i watowane kołdry pod bok. Sandały urządzone są w pokoju, gdzie się przyjmuje gości, w pokoju dla służby, wreszcie w żeńskiej połowie domu, dokąd w krajach muzułmańskich, jak Kaszgarja, może wejść mąż, ojciec lub brat tylko wtedy, gdy niema tam innych kobiet.

Ponieważ fabryk w Kaszgarji niema, przeto krajowcy węgla kamiennego zupełnie nie używają. Wytapianiem żelaza zajmuje się wioska Kyzyl, o 40 kilometrów na południe od miasta Jangi-Gisar, gdzie odpowiednie piece znajdują się absolutnie w każdym domu. Urządzenie pieców jest zupełnie pierwotne: składają się one właściwie z dwóch jam, wykopanych jedna pod drugą. Wierzchnią zapełnia się rudą żelazną i następnie starannie zakrywa. W drugiej jamie rozpala się ogień i podtrzymuje go w ciągu trzech dni i nocy. Potem wierzchnią jamę się odkrywa, i na dnie jej pozostaje około 2 pudów stopu żelaza, który po oczyszczeniu z ziemi idzie na wyrób kietmeni (rodzaj szerokich zakrzywionych łopat, któremi krajowcy pracują). Rudę przywożą z gór Kyzyl-Tau, o 2 dni drogi od wioski Kyzyl. Ruda podobno leży zupełnie na powierzchni ziemi, i dla wydobywania jej niema żadnych urządzeń. Żelazo, wydobyte w tak prymitywny sposób, naturalnie, jest niewysokiego gatunku, ale ponieważ jest tanie, więc z powodzeniem konkuruje z żelazem, przywożonem z Rosji, i rozchodzi się po kraju w ogromnej ilości. W drodze do Chotanu spotykałem wiele karawan, wiozących żelazo z Kyzyla lub gotowe kietmenie. Miedź wydobywają w znacznej ilości w Kaszgarji północnej w okręgach Ak-su, Kucza i Sajrama, używając jej na wyrób naczyń cyzelowanych, które wywożą do Rosji.

W Kaszgarji południowej znajdują się kopalnie miedzi koło miejscowości Czuklik, po drodze z Kuk-Jara do Ladaku w Małym Tybecie. Kopalni tych jednak obecnie Chińczycy jeszcze nie eksploatują.

Ołów w znacznej ilości znajduje się w miejscowośct Kurgaszyn-Kany (żyły ołowiu), na drodze z Irkesztamu do Kaszgaru. Według opowiadań krajowców, w ołowiu tym jest tak znaczny procent srebra, że okoliczni mieszkańcy wydobywają je sposobem ręcznym. Kopalni tych dotychczas rząd nie eksploatuje. Właśnie w drodze do Kaszgaru spotkałem naczelnika okręgu kaszgarskiego, który jechał na Kurgaszyn-Kany, aby zbadać, o ile uruchomienie tych kopalń może być korzystne dla rządu chińskiego. Siarkę wydobywają około wioski Kalpin, po drodze z Kaszgaru do miasta Ucz-Turczanu, oraz w okolicach miasta Kurcza. Znaczne pokłady siarki znajdują się także w górach Ałtyn-Tag, w okręgu chotańskim.

Pokłady ałunu i amonjaku są w okolicach miast: Kucza i Kunia-Turfan. Produkty te stanowią przedmiot ożywionego handlu z Rosją.

Mum, albo wosk skalny, znajduje się niedaleko traktu z Osza do Kaszgaru, na południe od przełęczy II Kurgaszyn-Kany, ale wydobywają go jedynie miejscowi Kirgizi na własne potrzeby.

Pokładów nafty dotąd jeszcze nie znaleziono w Kaszgarji; naftę przywozi się tam z Rosji lub Indyj, wskutek czego jest ona bardzo droga i mało używana. Krajowcy palą łojówki lub rozmaite tłuszcze w kopcących lampach wyrobu domowego.

Najwięcej eksploatowane są kopalnie złota, których jest bardzo dużo, w okręgach chotańskim i jarkiendskim. Góry, znane w geografji pod nazwą Kuen-lun, okalają Kaszgarję z południa, i przez krajowców zwane są pasmem gór Ałtyn-Tag (złote góry) z powodu obfitości w nich rzeczek złotonośnych. Jedna z nazw, jakie nosi rzeka Jarkiend-Darja, brzmi Zarafszan, co znaczy „złotonośna“ gdyż i z niej otrzymuje się złoto prawie we wszystkich dopływach. Chodzi tylko o to, że ręczny sposób przemywania złota, przy braku jakichkolwiek bądź maszyn, daje tak skromne wyniki, że mieszkańcy traktują przemywanie złota, jako zajęcie poboczne, czasowe, w braku innego.

Olbrzymie pasma tych gór są jeszcze prawie zupełnie niezbadane, i spodziewać się tam można doniosłych odkryć. Część Ałtyn-Tagu na południe od Jarkiendu, Chotanu i Kerji, zwiedzał w roku 1889 inżynier prof. Karol Bohdanowicz, członek tybetańskiej ekspedycji pułkownika Piewcowa, a obecnie prezes Polskiego Towarzystwa Geograficznego w Warszawie.

Z bardziej znanych kopalń złota wskażę w okręgu keryjskim kopalnie w miejscowościach: Kapa, Sour-gak, Bukalik i Czygir-tag, gdzie roboty prowadzi rząd chiński. W miejscowościach tych do-

zwolona jest praca na własną rękę osób prywatnych, które zobowiązują się oddawać rządowi $^1/_5$ część wydobytego złota.

W cztery lata później podróżowałem po górach Ałtyn-Tag i zwiedziłem kilka z bardziej znanych miejscowości, skąd wydobywano złoto. Warunki pracy były wszędzie ciężkie, możliwe tylko w ciągu miesięcy letnich i jesiennych. W innych porach roku tereny w górach były pokryte śniegiem. Robotnicy, spędzeni z dolin, otrzymywali miesięcznie $1^1/_2$ puda kukurydzy i tyleż pszenicy ziarnem, a nie mąką lub kaszą; że zaś młynów w okolicy nigdzie nie było, więc ziarno przy wymianie na mąkę oddawano za bezcen. Wzamian zato robotnicy obowiązani byli dawać 1 gram złota dziennie. Kto dał więcej, otrzymywał naddatek według umowy. Niedobór w ustanowionej ilości złota zapisywano robotnikowi, jako dług. Robotnicy, nie mogąc się utrzymać, uciekali. Jeżeli uciekiniera schwytano, po potężnej chłoście, zmuszano go ponownie do pracy. Jeżeli nie udało się go złapać, w następnym sezonie uciekiniera zastępował ojciec jego, brat lub inny z najbliższych krewnych. Jako przykład, jak były ciężkie warunki pracy w kopalniach złota w górach, może służyć następujący fakt: W jesieni 1890 roku zwiedziłem kopalnie w miejscowości Sourgak, w górach Ałtyn-Tag. Roboty prowadzone są w miejscu, położonem na wysokości 7 684 stóp n. poz. m. Teren jest absolutnie pozbawiony wody, którą przywożą na osłach z odległości 27 kilometrów i sprzedają na szklanki po niesłychanych cenach. Mieszkania niema żadnego. Są langary i zajazdy czasowe ze zbitych plecionek trzcinowych, ale te przeznaczone są dla urzędników lub kupców, którzy mogą płacić za takie pomieszkania. Robotnicy, chroniąc się przed dotkliwem zimnem, sypiają w szurfach pod ziemią. O charakterze budowy zajazdu powiem tyle, że w wynajętej tam celi wieczorem pracować nie mogłem, gdyż wiatr gasił świecę, przewiewając nawskroś przez ścianę. Położywszy się, byłem mimowolnym świadkiem domowego pożycia zamieszkującej przez ścianę rodziny Chińczyków; w nocy zaś musiałem wstać i wyjść na świeże powietrze, gdyż nie mogłem znieść ckliwego zapachu opjum, które palił mój sąsiad z prawej strony.

Aby przedostać się do pokładu piasku złotonośnego, trzeba przebić prostopadły otwór, wielkości około 2-ch metrów średnicy i na 25 metrów głęboki. Nad otworem szurfu stawia się kołowrót z mocną liną, do końców której przymocowane są dwa kubły w ten sposób, że kiedy jeden podnosi się do góry, drugi opuszcza się

na dół. Dopiero dotarłszy do złotonośnego piasku, robotnicy, jak krety, ryją głębokie nory w różnych kierunkach od sznura i wydobyty piasek w kubłach podają na górę. Ponieważ wody do przemywania niema, więc piasek podlega przewiewaniu. Robotnicy rozścielają koło szurfa wełniane „pałace“ (kilimy). Wprawny robotnik nabiera na drewniany półmisek trochę piasku i, korzystając z wiatru stale silnego w tej miejscowości, w umiejętny sposób, szerokim rozmachem rozsiewa piasek po powietrzu. Złoto, jako cięższe, teoretycznie powinno upaść tuż u nóg robotnika na rozesłane kilimy, piasek zaś rozwiewa wiatr daleko. Po przewianiu całego zapasu piasku, wydobytego z szurfu, złoto na kilimach strząsa się w kupkę, większe kawałki się wyjmuje, resztę składa do worka i przemywa na brzegu rzeczki, o 24 kilometry od Sourgaku. Oczywiście, opisany sposób wydobywania złota jest wielce niepraktyczny, gdyż dużo złotych pyłków unosi wiatr razem z piaskiem, i giną one bezpowrotnie.

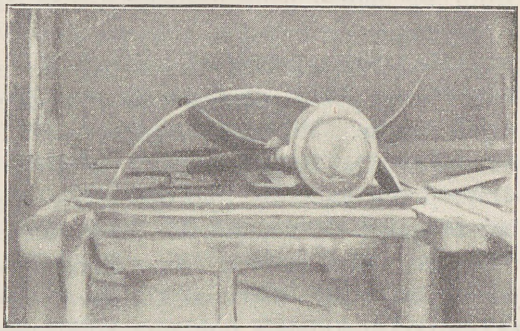

Przyrząd ręczny do obrabiania nefrytu (s. 168).

W Sourgaku mieszka urzędnik chiński z kilku żołnierzami; obchodzi on codziennie wszystkie szurfy prywatne i odbiera $^1/_5$ część wydobytego złota. Urzędnik ten, człowiek uprzejmy, był dosyć lubiony przez poszukiwaczy złota, z którymi wszelkie sprawy załatwiał polubownie, nie uciekając się do chłosty lub innych sposobów wymuszania, tak zwykłych w innych kopalniach.

W Sourgaku jest złoto, naniesione niegdyś przez wodę z gór, którego większe kawałki osiadły w jamach i zostały zasypane przez piasek. Jeżeli szczęśliwiec, wykopawszy szurf, natrafił na taką jamkę, stawał się odrazu bogaczem, znajdując pewną ilość samorodków, czasami znacznej wielkości. Urzędnik pokazywał mi kupiony przez siebie samorodek złota, wielkości niedużej filiżanki chińskiej, wagi około kilograma. Stąd pochodzi przesadzona fama o bogactwie kopalni w Sourgaku, przyciągająca mnóstwo poszukiwaczy złota, którzy często tracą cały swój dobytek i z ludzi do-

statnich stają się robotnikami, pracującymi na dniówki u szczęśliwszych od siebie poszukiwaczy. Stracić wszystko jest łatwo dlatego, że wykopanie szurfu kosztuje 25 000 tnieg. (2 500 rubli metal), bardzo zaś często nie natrafia się nietylko na samorodne złoto, ale nawet na złotodajny piasek, tak, że szurf trzeba porzucić i przystąpić do kopania nowego, nieraz z takim samym wynikiem.

Urzędnik chiński mówił mi, że mieszka w Sourgaku już cztery lata; przed jego oczyma przesunęły się tysiące najrozmaitszych typów. Widział szczęśliwców, którzy przypadkowo trafiali na nadzwyczaj bogate jamki i, gdyby się byli wycofali z tego rodzaju pracy, mogliby byli całe życie spędzić w dostatku. Ale rozpaleni żądzą złota, zakładali dziesiątki nowych szurfów i, nie znajdując nic albo prawie nic, rujnowali się zupełnie. Bogacą się, jak ze śmiechem dowodził urzędnik, nie poszukiwacze złota, lecz ci, którzy dostawiają tam wszystkie niezbędne produkty po cenach bardzo wygórowanych.

Złoto przyciąga, przywiązuje do siebie człowieka, i w Ałtyn-Tagu, a szczególniej w dopływach Jarkiend-Darji lub rzeki Tiznafu spotyka się wielu pojedyńczych poszukiwaczy, którzy, włożywszy do torby nieco zapasów żywności i wziąwszy z sobą drewniany półmisek z wgłębieniem do przemywania piasku, idą w góry i znikają na całe miesiące. Do poszukiwań zwykle wybierają oni wartkie dopływy rzek w miejscowościach, niebardzo oddalonych od przełęczy. Na zakrętach takich rzeczek zwykle zalegają niewielkie ławice piasku. Otóż poszukiwacz złota odgrzebuje wierzchnią warstwę piasku i, dotarłszy do dna kamienistego, bierze garstki piasku i żwiru na półmisek i, zanurzywszy go w strumieniu w ten sposób, że szybko płynąca woda ledwo go pokrywa, kręci nim prędko: woda znosi piasek i żwir, złoto zaś, jeżeli jest, jako cięższe, opada we wgłębienie półmiska. Potem złoto, zwykle w kształcie drobnych pyłków, odłącza się od żwiru i przechowuje w oddzielnym woreczku, który wisi na szyi. Bywają, naturalnie, takie zdarzenia, że wykwalifikowany poszukiwacz, po konfiguracji i geologicznym składzie gór umiejący określić, że w danej miejscowości może być złoto, przemywając piasek, trafia na bogatsze złoże i zdobywa znaczną ilość szlachetnego metalu. Lecz większość przemywaczy, sprzedawszy przyniesione z sobą złoto, otrzymuje za nie znacznie mniej, niżby zarobili w ciągu lata przy każdej innej robocie. Lecz to nikogo nie zraża, i z wiosną znowu mnóstwo ludzi pędzi w góry, póki nie zginą od cho-

roby, dzikiego zwierza lub z ręki zbójów, którzy polują właśnie na takich poszukiwaczy.

Oprócz złota, w górach Ałtyn-Tag wydobywają szmaragdy, rubiny, szafiry i ametysty, lecz miejsca, gdzie są większe złoża tych kamieni, nie były znane ani rządowi Jakóba-Beka ani obecnemu rządowi chińskiemu.

Jakób-Bek bowiem i Chińczycy, dowiedziawszy się o odkryciu pożytecznych metali lub drogich kamieni, starali się eksploatować je przy pomocy tubylców, zmuszając ich do pracy darmo lub za tak małe wynagrodzenie, że nie wystarczało ono nawet na utrzymanie. Otóż krajowcy, bojąc się takich przymusowych robót, starannie ukrywają się, jeżeli im się uda zrobić jakie odkrycie. Mogę stwierdzić to na podstawie swoich przejść osobistych. Będąc w Jarkiendzie i w Chotanie, interesowałem się bardzo kopalniami nefrytu. Jest to kamień, bardzo ceniony przez narody wschodnie, szczególnie zaś przez Chińczyków, którzy przypisują mu własności magiczne, jako amuletowi, przynoszącemu szczęście w życiu i chroniącemu od choroby nerek, która jest w Chinach dosyć częsta. Z nefrytu robią bożki domowe, sygnety lub bransolety. Jedzenie, podane w miseczce nefrytowej, nie może być zatrute, gdyż według pojęć chińskich nefryt posiada własność neutralizowania wszelkich trucizn. Gdzie znajdują się pokłady tego minerału w górach Ałtyn-Tag, mnie przynajmniej nie udało się dowiedzieć, gdyż, oprócz kopalni nefrytu w miejscowości Tasz-Kuszny-Kany [1]), o 26 kilometrów od fortu Szachi-dułła-Chodża (na północnych zboczach Himalajów) na wysokości 12 828 st. (3 910 m.) n. p. m., inne pokłady nie są znane. Tymczasem nefryt znajduje się we wszystkich większych rzekach tej części Kuen-luna, a mianowicie w rzekach Kara-Kosz-Darji, Jurung-Kosz-Darji, w Tisnafie i w Jarkiend-Darji. Wydobywają go w niewielkich odłamkach, oszlifowanych przez wodę i przyniesionych przez rzeki z gór. Ten kamień w rzekach znajdują po spadku letnich wód: późną jesienią, gdy woda staje się przejrzysta, nefryt można odróżnić wśród innych kamieni, stanowiących dno rzek. Jest on koloru zielonego wszelkich odcieni, chociaż spotyka się i przezroczysto-mleczny z odcieniem opalowym. Ostatni ceni się najdrożej. W Chotanie udało mi się nabyć okazyjnie filiżankę, wydrążoną z nefrytu takiego koloru. Była ona tak cienka, że w słońcu mieniła się

[1]) Kopalnie te zbadałem w końcu listopada 1889 roku. Opis w XXVI tomie Wiadomości Ces. Ros. Geogr. Towarzystwa, str. 102—103.

wszystkiemi barwami opalu, a płyn, nalany w nią, przeświecał nazewnątrz.

Osobiście interesowałem się szczególnie nefrytem dlatego, że w Samarkandzie, niegdyś stolicy groźnego władcy Mongołów, Tamerlana (właściwie Timur-leng—Timur-chromy), a w czasach podróży mojej miasta gubernjalnego w Turkiestanie, dotychczas istnieje grób jego, pokryty monolitem długości około 2 metrów i szerokości około 1½ metra, na którym wyrżnięty w języku tiurkskim napis opiewa główniejsze epizody jego zwycięstw. Ponieważ nefryt znajdowano tylko w niewielkich kawałkach, rzadko większych od pięści ludzkiej, zwykle zaś mniejszych, przeto uczeni byli zaintrygowani, z jakich pokładów mógł być wzięty tak ogromny monolit, tem bardziej, że w górach niebotycznych, okalających Turkiestan rosyjski, nie było pokładów nefrytu; analiza zaś chemiczna nefrytów, znajdujących się w muzeach geologicznych, wykazywała, że monolit samarkandzki pochodzi z jakichś innych pokładów, dotąd nieznanych.

Otóż w 1888, wracając z podróży do chańskiwa Kandżut, u źródeł rzeki Indus, zatrzymałem się na Dangnyn Basz Pamirze, żeby wypocząć po ciężkich przeżyciach, no, i zapolować na dzikie barany i niedźwiedzie. Tam przyłączył się do mnie miejscowy Kirgiz, zapalony myśliwy, który się zachwycał celnemi strzałami z karabinu Berdana. Po tygodniowej włóczędze po przepastnych górach i lodowcach, jedząc z jednej misy i śpiąc w jednym namiocie, zaprzyjaźniliśmy się z tym myśliwym bardzo. Podczas jednej z rozmów wyrwało mu się, że na Dangnyn Basz Pamirze nefrytu niema, ale o kilka dni drogi, w dorzeczu Raskem-Darji, są kopalnie nefrytu, zaniechane oddawna i znane mu przypadkowo, gdyż raz dotarł tam w pogoni za dzikiemi baranami. Ale wskazać tych kopalni nie chciał za nic, mówiąc, że z legendy, przechodzącej od pokolenia do pokolenia, wiadomo mu, że kiedyś były one czynne, i praca w nich stała się przekleństwem całego jego rodu. Potem, w czasie zmian politycznych w Kaszgarji, pamięć o tych kopalniach zaginęła; ród jego przekoczował z okolic pokładów nefrytu na Pamiry; rząd chiński zniszczył [1]) wszelkie ślady dróg do kopalni, i z bie-

[1]) Drogi były zniszczone, a kopalnie zaniechane rozporządzeniem z Pekinu wskutek tego, że następca tronu chińskiego, śpiąc na łóżku z tego nefrytu, zachorował na wrzody i umarł. Za karę odłamy tego nefrytu, wiezione do Pekinu, zakuto w łańcuchy i zrucono w drodze. Jeden z takich odłamów wielkości kamienia młyńskiego, leżał w łańcuchach przy wielkiej drodze, wpo-

giem czasu wszyscy o nich zapomnieli. Zaintrygowany tem opowiadaniem, zaproponowałem myśliwemu najwyższe w stosunku do mych środków wynagrodzenie w srebrze, gotówką. Pokusa była wielka, ale oparł się jej stanowczo, tłumacząc mi, że ród jego wypędziłby go, gdyby się dowiedział, że on wskazał pokłady obcemu przybyszowi. Ostatecznie skusiła go „berdanka“ i setka ładunków, oraz przysięga na ziemię świętą[1]), że nigdy i nikomu nie powiem, że to on wskazał mi kopalnie nefrytu.

Przesunęliśmy się z całą ekspedycją na Iły-Su i o trzy dni drogi wdół rzeki Iły-Su w stronę Raskem-Darji, a potem z nim i z jednym tylko kozakiem wyruszyliśmy na polowanie. Było to w październiku, kiedy śniegi jeszcze nie spadły, ale po suchem i gorącem lecie strumyki i źródła wyschły, czego pod uwagę nie przyjęliśmy i co omal nas nie zgubiło. Dla skrócenia drogi poszliśmy nie z biegiem rzeki Iły-su do Raskemu, lecz naprzełaj, zamierzając przez 5 przełęczy przeciąć kilka równoległych odnóg górskich i wyjść na rzeczkę Pil. Mieliśmy przejechać w jeden dzień około 100 kilometrów. Wyruszyliśmy przed świtem i z początku odbywaliśmy podróż raźnie, tem bardziej, że dzień był śliczny i, choć jesienny, ale bardzo upalny. Przeszedłszy przez dwie przełęcze, zatrzymaliśmy się na śniadanie, ale źródła, które mieliśmy tam znaleźć, wyschły, a chociaż świeża trawa wskazywała, że woda była niegłęboko, lecz nie było ani czem kopać studni, ani czasu na to, tem bardziej, iż przewodnik zapewniał, że dalej, za trzecią przełęczą znajdziemy większą rzeczkę, gdzie woda będzie. Pokazało się jednak, że i tam znaleźliśmy tylko suche koryto i rozpalone kamienie. Wracać byłoby już dalej, niż iść naprzód.— Z nadzwyczajnym wysiłkiem zdobyliśmy czwartą przełęcz. Konie

---

bliżu miasta Kucza, w Kaszgarji. Opowiadali mi o tem liczni podróżni. Opowiadaniu temu nie uwierzyłbym, gdybym nie wiedział, że Chińczycy mają zwyczaj nakładania kar nietylko na ludzi, lecz i na przedmioty. Tak, Zung-Tun, pokazując mi swój arsenał, w Jangi-Szaarze, pod Kaszgarem, wskazał cały szereg dział, łańcuchami przykutych do ścian arsenału, mówiąc, że w ten sposób ukarał działa, zdobyte na Jakóbie-Beku, zato, że służyły temu awanturnikowi.

[1]) Przysięga na ziemię wśród Kirgizów odbywa się w ten sposób: Po szczegółowem omówieniu sprawy, przysięgający klękają twarzą do siebie, wyjmują z za pasa noże i, mówiąc: Alhamdu-Lillo, Rachman i Rachim (w imię Boga Wszechmogącego i Sprawiedliwego) uderzają razem nożami w ziemię. Okruchy ziemi, które przylepiły się do mego noża, zjada mój towarzysz, a ja z jego noża, mówiąc: Hu do ursyn (niech skarze Bóg) — i ceremonja skończona.

ciężko chrapały i drżały, tocząc krwawą pianę. Żeby im ulżyć, poszliśmy pieszo, trzymając się za ich ogony, jak zaś rozłożyliśmy na wierzchowe konie w równych częściach. Na dole—znowu ani kropli wody. Rozpacz nas ogarniała, wargi popękały, spalony język napróżno starał się wydobyć z siebie choć kroplę śliny, żeby zwilżyć zeschłe usta. — Słońce było już bliskie zachodu, zaczął się chłód wieczorny, a przed nami wznosiła się jeszcze jedna łagodna, ale wysoka przełęcz. Gdyby nie nadzieja, że tam, za tą górą na pewno znajdziemy wielką rzekę, nie wystarczyłoby nam

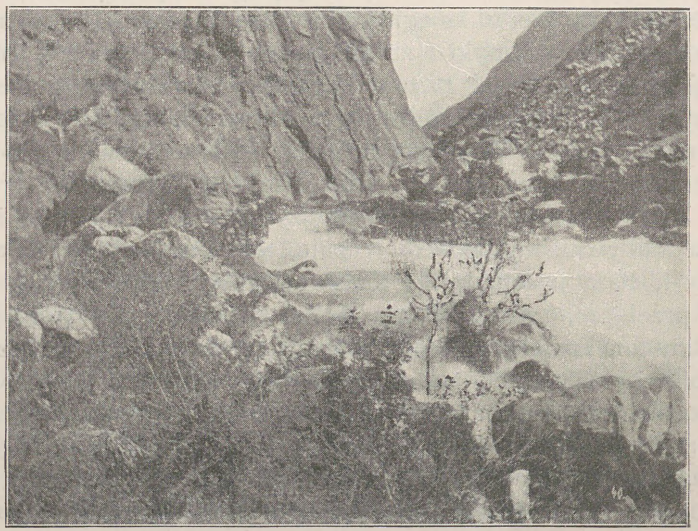

Jeden z fragmentów t. zw. ciężkiej drogi
na przełęczy Kiljang (s. 173).

energji, aby iść dalej. Zostawiliśmy tedy wszystko, co mieliśmy z sobą, prócz broni, brezentowego wiadra, czajników, toporka i kilku takich rzeczy, które były nieodzownie konieczne, i, prowadząc konie luzem, żeby dopędzić je do wody, i trzymając się ich ogonów, powoli poczęliśmy wdzierać się na ostatnią przełęcz Tugadyr. Konie dostały czkawki. Nie wiem, jak inni, lecz ja potrzebowałem całego wysiłku woli i młodzieńczej energji, żeby iść dalej. Na przełęcz dotarliśmy głęboką nocą. Owiał nas zimny wiatr, przynosząc ochłodę, a w czystem powietrzu górskiem słychać było z oddali szum wielkiej rzeki, toczącej się po kamieniach.

Konie, poczuwszy wodę, poczęły chrapami wciągać powietrze i zwolna ruszyły naprzód. Tylko juczny koń najsłabszy padł, nie doszedłszy na przełęcz, i nie mogliśmy go podnieść. Poczęliśmy schodzić po kamienistem zboczu, potykając się i często padając. Wycieńczenie nasze doszło już do ostatecznego kresu, kiedy o północy dotarliśmy do brzegu rzeki. Lecz pokazało się, że to jeszcze nie koniec naszych przygód. Wąwóz, którym schodziliśmy, kończył się urwiskiem na 15 — 20 metrów. Rzeka ryczała tuż, tuż pod naszemi nogami, ale w ciemności nie mogliśmy się do niej dostać. Konie stały, ponuro spuściwszy łby. Na szczęście, kozak przypomniał sobie, że w sakwie przy siodle ma składaną latarkę i ogarek świecy. Kirgiz schwycił wiadro brezentowe i latarkę i po urwisku z małpią zręcznością spuścił się na dół, gdzie zaraz odnalazł ścieżkę, wydeptaną przez dzikie zwierzęta, dążące do wodopoju, i wkrótce wrócił z wiadrem zimnej, jak lód, wody. Ożyliśmy. W kilka chwil już się zapomniało o przebytych męczarniach, i zaczęliśmy się energicznie krzątać. Pierwszą rzeczą było napojenie koni. Wody dawaliśmy im potrochu, po kilka łyków, napakowawszy do wiadra połamanych gałęzi, przez które mogły wodę sączyć, ale nie pić dużemi łykami. Po zaspokojeniu pierwszego groźnego pragnienia, zeszliśmy ostrożnie na dół, na brzeg rzeki, gdzie znaleźliśmy piaszczystą łachę, porośniętą wikliną i tamaryszkiem. Przywiązawszy konie tak, żeby nie mogły zbliżyć się do wody, zrobiliśmy herbatę. Dopiero o świcie daliśmy koniom przegryźć trochę pędów wikliny i napić się wody dosyta.

O wschodzie słońca wstaliśmy przemarznięci do kości, lecz po śnie iście kamiennym, do którego ułożyliśmy się byli tak, jak staliśmy na wilgotnym piasku.

Przed nami wprost z wody wyłaniały się dwie czarne żyły w skalistym przeciwległym brzegu rzeki. Był to nefryt, wymyty przez wodę na obnażonych zboczach.

Dawszy wypocząć koniom, posłałem Kirgiza z kozakiem pozostawione za przełęczą rzeczy, sam zaś przeprawiłem się na drugi brzeg rzeki i zająłem się zbadaniem skał nefrytowych. Pokazało się, że wypolerowany przez wodę nefryt był taki twardy, iż mój stalowy młotek geologiczny, kupiony w Petersburgu, w sklepie Rychtera, kruszył się przy uderzeniu o skałę, i nie udało mi się odbić od niej ani kawałka.

Nie będąc geologiem i nie znając własności nefrytu, nie chciałem zabierać z sobą drobnych i porozrzucanych tu i owdzie

kawałków, gdyż bałem się, że mogły być zwietrzałe. Począłem przeto ściągać rozrzucone po brzegu rzeki odłamy drzewa, korzenie i wogóle wszystko, co było palne, ułożyłem stos przy samym nefrycie i zapaliłem go, podsycając ogień w ten sposób, żeby całą siłą ogrzewał skałę. Po 2—3 godzinach rozpaliła się ona w ogniu tak, że nie mogłem stać blisko. Wtedy zaczerpnąłem wiadrem wody i polałem nią rozpaloną skałę, która poczęła trzeszczeć, pękając na niewielkie odłamy. Zalawszy ogień wodą, z łatwością odbiłem parę niedużych kawałów: w środku nefryt okazał się nie czarny, jak zwierzchu, lecz zielonego koloru wody morskiej. Wybrawszy kilka lepszych kawałków do kolekcji, oraz zdjąwszy fotografję ze skał nefrytowych, wymytych wodą, poszedłem zbadać zarzucone szachty. Niektóre z nich były z szerokiemi wejściami i, o ile można sądzić, miały kiedyś sklepienia z belek; inne wąskie, kręte. Będąc zupełnie sam i bez światła, nie chciałem się zagłębiać w ciemne i kręte czeluści, obawiałem się bowiem trafić na dzikiego zwierza lub na zepsute powietrze, tem bardziej, że i strzelać wewnątrz było niebezpiecznie, gdyż od wstrząśnięcia powietrza łatwo mogłyby się załamać sklepienia szachty. Wróciłem więc do skały nefrytowej. Było już południe. Ludzie nie wracali. Jeść mi się chciało bardzo, a nie było absolutnie nic do zjedzenia, gdyż zapasy zostały za przełęczą. Usiadłem wpobliżu ogniska, zagotowałem czajnik z herbatą i po paru filiżankach, siedząc w słońcu, zasnąłem. Musiałem spać długo, bo byłem bardzo zmęczony. Nagle moje czułe ucho myśliwskie usłyszało szmer, jaki czynią małe kamyki, toczące się z pod nóg zwierzęcia, które idzie po osypisku. Nie ruszając się, otworzyłem oczy, przyćisnąwszy broń do siebie, i obejrzałem się bacznie dokoła. Słońce chyliło się już ku zachodowi, kładąc niebieskie cienie na przeciwległe zbocze góry, po którem ostrożnie spuszczało się ku wodzie stadko dżejranów (antylop). Żółte ich futro tak zlewało się z ogólnem zabarwieniem gór, że, gdyby nie białe brzuchy, byłoby trudno je odróżnić od wyschłej żółtej trawy na zboczach. Dżejrany — to przysmak miejscowy, lecz trudny do zdobycia, gdyż są one nadzwyczaj ostrożne i szybkonogie. Na przedzie szedł prowodyr z maleńkiemi rogami, przed nadejściem nocy prowadząc stadko do wodopoju. Zamarłem, prosząc Boga, żeby stadka cokolwiek nie spłoszyło, bo antylopy w pospiesznym biegu znikały, jak widma. Prowodyr był niespokojny; szedł powoli, rozglądając się często i wciągając powietrze w nozdrza. Wreszcie antylopy ze-

szły do wody o 160 kroków ode mnie. Szybko złożyłem się i dałem ognia do prowodyra, który padł, jak piorunem rażony. Stadko chwilę stało bez ruchu, nie rozumiejąc, skąd ten piorun uderzył, potem rzuciło się do ucieczki. Korzystając z chwili zdumienia, zdążyłem założyć do karabinu berdana drugi ładunek i dałem ognia do antylopy, która uciekała ostatnia, oglądając się za prowodyrem. Zachwiała się, padła i stoczyła się po zboczu na brzeg rzeki.

Teraz byliśmy na parę dni zaopatrzeni w świetne mięso. Tymczasem ukazali się ludzie, którzy, usłyszawszy wystrzały, pędzili śpiesznie na pomoc, sądząc, że zaatakowały mię niedźwiedzie, często ukrywające się w szachtach. Wyjaśniła się przyczyna spóźnienia mych towarzyszy: wiedząc, że na naszej łasze nie było trawy, pędy zaś wikliny konie gryzły niechętnie, skorzystali oni z łąki, na której wczoraj zostawiliśmy rzeczy, i pozwolili koniom dobrze się napaść. Rozbiliśmy namiocik, rozpaliwszy duży ogień, i zajęliśmy się przygotowaniem wspaniałego szaszłyku.

Powrotną drogę do obozu odbyliśmy w 4 dni, posuwając się stale wzdłuż brzegu rzeki. Obóz swój znalazłem w porządku, ale w wielkiej trwodze z powodu długiej mej nieobecności.

Po powrocie do Petersburga, zbiory swe oddałem zarządowi Towarzystwa Geograficznego, który kolekcję geologiczną przesłał znanemu profesorowi Instytutu Górniczego, inżynierowi D. Muszkietowowi, znakomitemu badaczowi Turkiestanu. Zrobiona przez prof. Muszkietowa analiza chemiczna wykazała, że znalezione przeze mnie pokłady nefrytu na brzegu rzeki Pil, są właśnie temi, z których niegdyś był wydobyty olbrzymi monolit na grób Tamerlana. Odkrycie to wywołało ogólne zaciekawienie, a monografja prof. Muszkietowa z załączeniem wyciągu z mojego dziennika, z opisem trudów, jakie znosiliśmy w czasie podróży do rzeki Pil, była wydrukowana w odnośnym tomie Wiadomości Ces. Ros. Tow. Geograficznego [1]).

W Chotanie przełożony kupców, poddanych rosyjskich, Abdu-Satar, mówił mi, że w miejscowości Chalal-Bak, w górach, na południe od Chotanu, są pokłady mleczno-przezroczystego nefrytu, i tam również znajdują się turkusy, szmaragdy i rubiny. Lecz

---

[1]) Zamietka o nefritie i żadaitie s wostocznago Pamira... Izw. Russk. Geogr. Obszczestwa XXV, 1889, str. 454—467.

nie zdołałem zebrać jakichkolwiek bardziej określonych wskazówek. Że jednak w tych opowiadaniach tkwiła pewna doza prawdy, dowodem była filiżanka z matowo-białego nefrytu z odcieniami, o której wspomniałem. Nefrytu takiego koloru nie spotykałem więcej nigdzie. Nefryt jest bardzo twardy, jednak krajowcy obrabiają go przy pomocy zupełnie pierwotnych przyrządów.

XVII.

HANDEL KASZGARJI Z ROSJĄ, INDJAMI I CHINAMI. WYPRAWA NA PRZEŁĘCZ KARA-KORUM. PIENIĄDZE OBIEGOWE W KASZGARJI. STOSUNEK WŁADZ CHIŃSKICH DO KUPCÓW. SYMPATJE KASZGARJI DO ROSJI I ANGLJI. RYWALIZACJA DWÓCH MOCARSTW W AZJI ŚRODKOWEJ. WYPRAWY ANGIELSKIE. MOJA BYTNOŚĆ W KANDŻUCIE.

Stosunki handlowe w Kaszgarji były w stałej zależności od warunków politycznych. Kiedy krajem rządził Apak Chodża i jego potomkowie albo Jakób-Bek, wszelkie stosunki z Chinami przerywały się zupełnie, i wymiana towarów zwracała się na zachód od Tian-Szania w stronę chańskiego Kokandzkiego i Buchary, albo na południe od Himalajów, w stronę Kaszmiru i Indyj. I odwrotnie, kiedy Chińczykom udawało się opanować ten kraj, główna fala handlu zwracała się na wschód, w stronę Chin, przyczem Chińczycy robili wszystko, co mogli, żeby przerwać wszelką komunikację z zachodniemi chańskiemi muzułmańskiemi, gdzie zawsze znajdowali schronienie odwieczni ich wrogowie, potomkowie Chodży, stali pretendenci do tronu Kaszgarji.

Okoliczności nieco się zmieniły, gdy Rosja opanowała chańskie Kokandzkie i pod nazwą Fergany wcieliła do swych obszarów, stanąwszy mocno na Tian-Szaniu, którego wschodnie zbocza należą już do Chin. Rosja graniczy z Chinami na olbrzymiej przestrzeni około 12 000 kilometrów, od Oceanu Spokojnego wzdłuż rzeki Amuru, Wschodniej i Zachodniej Syberji, aż do Kaszgarji, i związana jest z Chinami traktatami, gwarantującemi poddanym obydwóch państw prawo handlu w pasie pogranicznym

bez opłaty cła i bez obowiązku posiadania dokumentów handlowych. Samowola chińskich wyższych i niższych urzędników w pogranicznych okręgach często gwałciła traktaty i pozbawiała poddanych rosyjskich należnych im praw. Ale skargi, wystosowane w takich wypadkach, zawsze rozpatrywał przychylnie rząd centralny w Pekinie i prędzej czy później karał złych urzędników.

Tak było i w Kaszgarji. Kupcy, poddani rosyjscy, przeważnie uchodźcy z Turkiestanu rosyjskiego, korzystając z prawa han-

Miejscowość Darwaza-Taryk-Ut.
B. Grąbczewski u stóp przełęczy Kara-Korum w Himalajach,
2 grudnia 1889 roku na wysokości 16 358 s.
(4 986 metr.) n. p. m. (s. 175).

dlu bez opłaty cła na przestrzeni całej Kaszgarji, byli w warunkach wyjątkowo korzystnych. Że zaś cło od towarów stanowiło jeden z główniejszych dochodów urzędników miejscowych, więc poddani rosyjscy byli solą w oku zarządowi chińskiemu, który, korzystając z ogromnych przestrzeni, oddzielających te kresy od władz centralnych obydwóch państw, pozwalał sobie na wszelkie nadużycia w stosunku do poddanych rosyjskich. Tymczasem zbliżenie się Rosji z jej wyrobami do Tian-Szania wywołało przewrót w handlu Kaszgarji, która zalana została towarami rosyjskiemi. A ponieważ Chińczycy, ze względów politycznych, niechętnie wydawali paszporty Kaszgarczykom na wyjazd do Rosji, więc towary przy-

wozili poddani rosyjscy, którzy pod nazwą „Andiżanów“ (od miasta powiatowego Andiżan, w Ferganie, z bardzo rozwiniętym handlem) zjawili się we wszystkich miastach Kaszgarji. Jako poddani rosyjscy, cło płacili oni tylko pod przymusem, powróciwszy zaś do kraju, zawsze wnosili skargi o pozbawienie ich mienia lub o rozmaite barbarzyńskie kary, do których tak skłonni są urzędnicy chińscy. Skargi te wywołały ustanowienie w Kaszgarji konsulatu rosyjskiego, który, ściśle przestrzegając brzmienia traktatów,

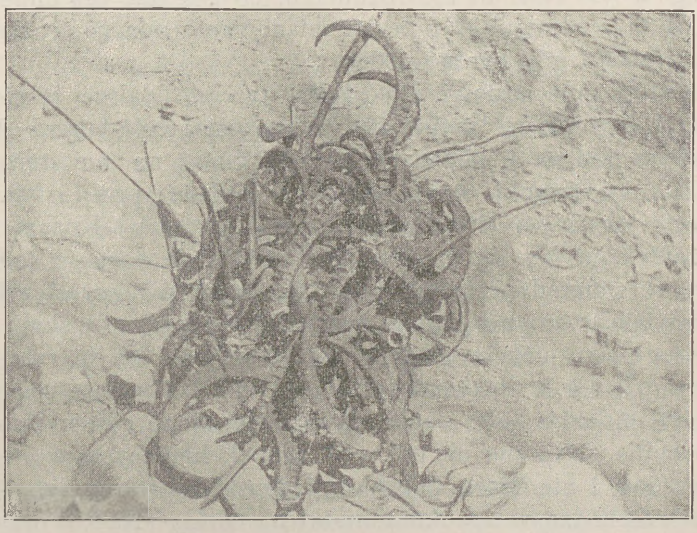

Mazar-Sugiet, pod przełęczą Sugiet na wysokości 17 340 st. (5 285 metrów) n. p. m. Nocleg 13 grudnia 1889 roku (s. 175).

o wszelkich nadużyciach miejscowych władz donosił posłowi rosyjskiemu w Pekinie. Zmiana w krótkim przeciągu czasu dwóch Dao-Tajów w Kaszgarze wskutek skargi konsula podniosła jego znaczenie, a zarazem utrwaliła położenie prawne poddanych rosyjskich. Chłosty lub konfiskaty mienia zdarzały się jeszcze, lecz miały charakter sporadyczny i zawsze wywoływały energiczny sprzeciw ze strony konsulatu. O poglądach urzędników chińskich na prawa swe w stosunku do krajowców i cudzoziemców może dać pojęcie rozmowa moja z naczelnikiem okręgu chotańskiego, który, korzystając z przestrzeni, dzielącej go od Kaszgaru, a także ze stosunków swych z Dao-Tajem, był szczególnie skłonny do

wszelkich nadużyć. Powołując się na obowiązujące traktaty, prosiłem go o odwołanie niektórych rozporządzeń, naruszających prawa poddanych rosyjskich. Słuchał mię ze zdumieniem, ciekawie przeczytał odnośne paragrafy traktatu, który miałem z sobą w językach rosyjskim i chińskim, a o którym przedtem nigdy nie słyszał, wreszcie odpowiedział:

— Przypuśćmy, że pan ma słuszność. Ale wyjaśnij mi jedno: jeżeli ja mam spełniać traktaty pod rygorem kar, które tu są wymienione; jeżeli mam słuchać we wszystkiem rozporządzeń kaszgarskiego Dao-Taja, to nie rozumiem, co zostanie dla mnie, jako dla naczelnika okręgu! A przecież mianowanie mię na to stanowisko kosztowało mię bardzo drogo.

Mogłem mu odpowiedzieć tylko tyle, że dalsze stosowanie przyjętych przez niego metod będzie go kosztowało jeszcze drożej, gdyż straci miejsce i wydanych pieniędzy nikt mu nie zwróci.

Trudne warunki komunikacji z Indjami przez najwyższe w świecie pasmo gór Himalajskich, z przełęczą Kara-Korum 18 500 stóp (5 500 metrów), do tego stopnia utrudniają dostawę towarów z Indyj, że stamtąd przywożą tylko to, czego nie wyrabia Rosja, a mianowicie: rozmaite gatunki cierpkiej herbaty indyjskiej, która jest w ogólnem użyciu nietylko w Kaszgarji, ale w całej Azji Środkowej, więc w Bucharze, Chiwie i w Turkiestanie rosyjskim. Poza tem import z Indyj obejmuje materje, tkane złotem (kimhab), bardzo ładne, używane na pokrycie czapek kobiecych; złote nitki nie ciemnieją i nie tracą blasku w ciągu dziesiątków lat, tak, iż często przechodzą w spadku z matki na córkę. Nadto przywożą korzenie (gwoździki, cynamon, muszkat. gałka), oraz zioła i lekarstwa, wreszcie — cienki muślin miękki, wyrabiany specjalnie na turbany (zawoje), które noszą na głowie mężczyźni; farby roślinne (nil, marenna i inne), służące do farbowania wełny, używanej do tkanja dywanów. Tanich farb anilinowych w Kaszgarji jeszcze nie znano, i wskutek tego dywany kaszgarskie, jak i turkmeńskie, nie tracą swych barw w ciągu bardzo długiego czasu.

Z Kaszgarji do Indyj wywożą: srebro i złoto, drogie kamienie: turkusy, szmaragdy, narkotyk „nasza“, futra, lisy, kuny, dywany, wojłoki, kilimy, jedwab w nitkach, a szczególnie duże chustki, cienkie, jak etamina, jaskrawych barw, wyrabiane w ogromnej ilości w Ferganie i w Bucharze, karakuły, oraz skóry tybetańskich baranów, białych i czarnych, z bardzo długim, kręcącym się włosem.

Konie juczne do karawan, idących do Kaszmiru i Indyj, kupuje się przeważnie od Kirgizów z doliny Wielkiego Ałaju. Konie te, hodowane w górach na wysokości 10—12 tysięcy st. n. p. m., przyzwyczajają się do rozrzedzonej atmosfery i przechodzą przez przełęcz Kara-Korum 18 500 stóp n. p. m. dziesiątki razy, niosąc na sobie juki z towarami z Kaszgarji do Kaszmiru i odwrotnie; droga w jedną stronę trwa 45—48 dni.

W końcu listopada i w początkach grudnia 1889 roku zbadałem całą tę drogę aż do przełęczy Kara-Korum, skąd musiałem zawrócić, gdyż nie otrzymałem pozwolenia od wicekróla Indyj na przejście do Kaszmiru.

Trudna droga poczyna się od wioski Kiljang 7 349 st. n.p. m., znajdującej się o 70 km. na południe od Jarkiendu, wgórę rzeczki Kiljang na przełęcz tejże nazwy. Wysokość przełęczy Kiljang wynosi 17 123 st. n. p. m. (5 219 metr.). Z przełęczy droga spuszcza się w dolinę rzeki Kara-Kosz-Darji (Chotan-Darji) i na 7-my dzień od wyruszenia z Kiljangu wychodzi się na miejscowość Szachidułła-Chodża, leżącej na drodze karawanowej z Indyj do Kaszgaru, gdzie Kaszmirczycy wybudowali fort, w miejscu, pozbawionem wszelkiej roślinności. Obok fortu koczuje tam kilka jurt Kirgizów, zajmujących się dostawą żywności, oraz wynajmem koni i wielbłądów przechodzącym karawanom. Inwentarz swój Kirgizi trzymają o trzy dni drogi od Szachidułła-Chodża w miejscowości King-Szywer (obszerna łąka).

Nająwszy w Szachidułła-Chodża 2 wielbłądy i konia wierzchowego, w towarzystwie przewodnika i służącego, 29 listopada wyruszyłem wgórę rzeki Kara-Kosz, w stronę przełęczy Kara-Korum. W dolinie rzeki spotykaliśmy zarośla: wierzby, tamaryszku i cierni, gdzie chroniły się „kakliki“ i zające. Zbocza gór są żółte i pozbawione roślinności. Zboku drogi, w wąwozach, według opowiadania przewodnika, znajdują się antylopy dwóch gatunków: wielkie—Kyzył-Teke (czerwone kozy), małe dżejrany, a także dzikie jaki (Dżawa-Kutas).

W miejscowości Bałykczy są źródła, a w nich pstrągi, lecz mniejsze, niż na zboczach Tian-Szania. 30 listopada niebo się wypogodziło, termometr spadł do—27° C., a nad ranem do—32° C. 1-go grudnia przeszliśmy przez przełęcz Kawak (w narzeczu jarkiendskiem—wierzba), na wysokości 16 562 st.,=5 048 m. n. p. m. w dorzecze rzeki Raskem (Jarkiend-Darji). Przełęcz jest łagodna i do przebycia nietrudna. Termometr o godzinie 2 p. p. wskazywał—

Gurkowie, żołnierze konwoju ekspedycji kapitana Younghusband'a, którą spotkałem w pustyni Raskemu (s. 190).

23° C., przy gwałtownym wietrze. Wierzchołek przełęczy — to wysokie płaskowzgórze, z ledwo widocznym spadkiem w stronę południa. Przed samą przełęczą zachorował na dusznicę najęty wierzchowiec. Przecięliśmy mu nozdrza: krew polała się obficie, ale koń słaniał się i nie miał sił iść dalej. Przesiadłem się na wielbłąda. Namiot i inne rzeczy zostawiłem na przełęczy, konia zaś spędziliśmy na dół. Dokoła przełęczy nigdzie śniegu, nigdzie wody, nigdzie ani śladu roślinności. Późno w nocy doszliśmy do miejscowości Czukur-Dżylga (głęboki wąwóz), 16 178 st.=4 931 m. n. p. m., gdzie znaleźliśmy trochę lodu, ale pociemku nie mogliśmy zebrać korzonków terskenu [1]) (w narzeczu jarkiendskiem—bursa), służącego tu za jedyny opał, i położyliśmy się bez namiotu, na otwartem powierzu, nie roznieciwszy ognia. Nad ranem termometr wskazywał — 35° C. i, pomimo zupełnej ciszy w powietrzu, było bardzo zimno. Bojąc się zmarznięcia, nie spaliśmy. Zaszedł księżyc. Przy nikłym jego blasku udało się zdobyć kilkanaście korzonków terskenu i z roztopionego lodu zagotować herbaty. Przed świtem wyruszyliśmy dalej w stronę Kara-Korum, idąc po szerokiem, miękkiem płaskowzgórzu, pozbawionem wszelkiej roślinności. Powietrze było nadzwyczaj przejrzyste. W odległości widać było koryto rzeki Raskem-Darji (Jarkiend-Darji) a za niem wysokie pasmo gór głównego grzbietu Himalajów. Około godz. 2 po południu przecięliśmy koryto rzeki Raskem-Darji, w miejscowości Darwaza-Taryk-Ut—a o kilka kilometrów dalej — ujrzeliśmy mnóstwo rozrzuconych juków i przeszło 20 świeżych trupów końskich. Potem

[1]) Tersken — roślina, rosnąca prawie wszędzie na zboczach Himalajów i w północnym Tybecie, na wysokości 15—16 000 st. n. p. m., gdzie inne trawy nie rosną; ma długi na 30 cm. smolisty korzonek i drobniutkie listki. Łatwo się pali, ognia prawie nie daje, ale silny żar.

dowiedzieliśmy się, że to była karawana handlowa Kaszmirczyka, Abdu-Hałyk-Baja, który w ciągu tej nocy z 45 koni — stracił 27 słabszych i wycieńczonych. Konie zmarzły, a poganiacze, bojąc się śmierci, zrzucili pakunki i, zabrawszy resztę lepszych koni uciekli w stronę Szachidułła-Chodży. Na przesądnego właściciela wielbłądów (przewodnika) wypadek ten wywarł takie wrażenie, że kategorycznie odmówił prowadzenia nas dalej na przełęcz, w obawie o swe wielbłądy, które, będąc już drugi dzień bez wody i jedzenia, mogły łatwo zamarznąć. Zresztą nie było o czem iść dalej. Do przełęczy Kara-Korum zostawało wszystkiego około 12—15 kilometrów, i widać było, że nieznacznie wznosi się ona nad płaskowzgórzem, nocować zaś na przełęczy, bez namiotu i możności zgotowania sobie chociażby herbaty, było w taki mróz rzeczą ryzykowną. Zawróciliśmy wdół rzeki Raskem-Darji i późną nocą dotarliśmy do miejscowości Czybra 16 358 st. = 4 986 metr. n. p. m., gdzie zanocowaliśmy. Niebo pokryło się chmurami, termometr spadł do—23° C. Zaczął padać śnieg.

Dn. 3 grudnia podczas silnej zamieci przeszliśmy przez przełęcz Sugiet 17 340 st.=5 285 m. n. p. m., znowu w dorzecze Kara-Kosz-Darji. Przełęcz ta jest łagodna, bez śladów roślinności. Nocowaliśmy koło Mazar-Sugiet[1]) pod przełęczą, a 15 grudnia wróciłem do ekspedycji, aby zbadać okolicę przełęczy Kara-Korum[2]) z dwóch stron: od rzeki Kara-Kosz-Darji, t. j. od strony Jarkiendu i od strony rzeki Raskem-Darji, t. j. Pamirów. W Szachidułła-Chodża doręczono mi aż trzy listy od rezydentów angielskich w Kaszmirze i w Ladaku, że wicekról Indyj nie pozwolił przeprawić się mojej wyprawie ani do Kaszmiru, ani nawet do najbliższej od Kara-Korum wioski Panamik, w Małym Tybecie (Ladaku), gdzie mógłbym przebyć parę najcięższych miesięcy zimowych, wypocząć i odkarmić konie, strasznie wycieńczone długim dwumiesięcznym marszem przez pustynię Raskem i wzdłuż pasma gór Himalajów po terenach z bardzo ubogą roślinnością.

Równocześnie z listu konsula dowiedziałem się, że rząd rosyjski pozwolił oficerom armji indyjskiej, porucznikowi Bauer i majorowi Cumberland zwiedzić Turkiestan i przez Pamiry wrócić do Indyj. Komentarze są zbędne.

---

[1]) Jest to grób jakiegoś miejscowego świętego (Mazar-grób), zbudowany nie z kamienia lub gliny, lecz z rogów kozłów skalnych. Stanowi on punkt orjentacyjny dla karawan, przechodzących z Indyj do Chin.

[2]) Sprawozdanie o tej wyprawie było wydrukowane w tomie XXV Wiadomości Ces. Ros. Geogr. Tow. str. 403—406.

Z tej krótkiej notatki o wyprawie na Kara-Korum widać, jakie trudności musiały przezwyciężać karawany handlowe na tej jedynej drodze handlowej z Kaszmiru (Indyj) do Chin. Droga ta, w lecie trudna, w zimie stawała się bardzo niebezpieczna. Znałem osobiście jednak kupców, którzy pomimo tego setki razy przebywali tę drogę z Jarkiendu do Kaszmiru i odwrotnie i czuli się wybornie. Naturalnie, jednym z kardynalnych warunków dla podróżnika jest mieć serce zdrowe. Znakomity geolog, P. Stoliczka, członek wyprawy Sir Douglas'a Forsyth'a, która w 1873 roku przeszła przez Kara-Korum do Kaszgarji, nie zniósł trudów podróży i w drodze powrotnej zmarł w Murgi, w Kaszmirze.

Odrębność i swoistość kultury chińskiej, różniącej się odzieżą, kuchnią i trybem życia od kultur wszystkich innych narodów świata, oraz przywiązanie Chińczyków do swych obyczajów i zwyczajów, skłaniają ich do sprowadzania z ojczyzny wszystkiego, co im jest potrzebne w życiu codziennem. Stąd o ile przy dawnych władcach Kaszgarji, Chodżach i Jakóbie-Beku, kraj ten żadnych stosunków z Chinami nie utrzymywał, o tyle znowu, kiedy władza przechodziła do rąk chińskich, stosunki te stawały się bardzo ożywione, Chińczycy bowiem sprowadzali od siebie wszystko, co im było niezbędne do życia, począwszy od obuwia, ubrania i produktów spożywczych. Sprowadzane towary jednak rozchodziły się tylko między Chińczykami, i nie wywożono ich zagranicę, ani też nie miały one zbytu wśród krajowców. Wyjątek stanowiła lekka jedwabna materja, durdun i kanfa, znana w handlu pod nazwą „tauwara", oraz porcelana, szczególnie zaś rozmaitej wielkości filiżanki do herbaty i kumysu.

Wszystkie obroty handlowe odbywają się w Kaszgarji w połowie za gotówkę, w połowie zaś w formie zamiany na miejscowe towary. Składnicą towarów, pochodzących z Rosji, jest Kaszgar, skąd towary te wysyłane są do Jarkiendu, a dopiero, o ile nie zostaną tam sprzedane, idą do Chotanu, gdzie dostają się w ręce drobnych kupców, którzy rozwożą je do wiosek i wymieniają na nitki jedwabne, wełnę lub skóry i futra.

Składnicą towarów, przychodzących z Indyj, jest Jarkiend.

Monety, będące w obiegu w Kaszgarji, były następujące:

1) Monety muzułmańskie, miejscowe: tilla, moneta złota, bita przez Jakóba-Beka, wartości 3 rub. 60 kop.

Oprócz tego w ogólnem użyciu, szczególnie w okręgu chotańskim był złoty proszek (reg) i złoto w płytkach (sych ałtyne), które ceniono w owym czasie po 12 rub. 30 kop. za 1 łut czystego złota.

Spotkanie ekspedycji B. Grąbczewskiego z angielską ekspedycją kapitana Younghusband'a w pustyni Raskemu, w listopadzie 1889 roku, gdzie znaleźli się razem przedstawiciele 21 narodów. 1. Kap. B. Grąbczewski, Polak, 2. kap. Younghusband, Anglik, 3. preparator Konradt, Niemiec, 4. 6 kozaków—Rosjanie, 5. kozak Matwiejew, Mordwin, znający język mongolski, 6. Tadżycy, 7. Sartowie, 8. Kirgizi, 9. Kandżuci, 10. Wachańczycy, 11. Żołnierze armji angielskiej, indyjskiego plemienia Gurków, 12. Kaszmirczycy, 13. Baltistańczycy, 14. Tybetańczycy, 15. Hindusi, 16. Mongołowie, 17. Kirgizi z Sarykji, 18. Kirgizi tybetańscy, 19. Kaszgarczycy, 20. Toglicy Pachpu i 21 Sarykoltowie (s. 190).

Tenga—drobna moneta srebrna, wartości 10 kop.

Pul—moneta miedziana, wartości $^1/_5$ części kopiejki.

2) Monety chińskie:

Jamba—płyta czystego srebra, wagi około 2 kg., wyglądająca jak czółno z szerokiem dnem. W jambie jest 50 sar czystego srebra. Sar waży około 8½ zołotnika i kosztował 2 ruble. Jamby odlewały rozmaite firmy handlowe w Chinach, wybijając na nich swe znaki i pieczęcie. Małe „jamby“ miały po 10 sar. Były to najmniejsze pieniądze, gdyż „sar“ stanowił monetę teoretyczną, obrachunkową i w rzeczywistości nie istniał. Monety takiej wielkości były bardzo niewygodne. Kupując coś w sklepie albo na rynku, trzeba było toporem odrąbywać od jamby pewną ilość srebra i zważyć na wadze chińskiej, która przy nieumiejętnem obchodzeniu się z nią powodowała dość znaczne omyłki. Oprócz tego bywały wypadki, że pomimo znaków firm, trafiały się jamby fałszywe, t. j. tylko zwierzchu oblane srebrem, wskutek czego weszło w zwyczaj rozrąbywanie każdej jamby, wzbudzającej pewne wątpliwości, celem sprawdzenia jej zawartości. Wreszcie, waga jamby niezawsze była jednakowa, i różnica dochodziła do kilku dekagramów, wskutek czego jamby trzeba było jeszcze ważyć.

Chińczycy papierowych pieniędzy nie mieli i nie używają ich dotychczas. Będąc w 1920—21 roku w Szanghaju i Hon-Kongu, miałem kłopot z wymianą pieniędzy, gdyż dolary srebrne w Hon-Kongu są mniejsze od dolarów srebrnych w Szanghaju. Wskutek tego w każdem mieście trzeba zmieniać pieniądze w bankach, co zawsze powoduje stratę. Banknoty, wypuszczane przez pewne banki, mają znaczenie tylko lokalne i w innych miastach nie są przyjmowane.

Do-czan, moneta miedziana, przebita do noszenia na sznurku, stanowiła 0,4 kopiejki. Pieniądz ten, jako zbyt małej wartości i zbyt ciężki, także nie mógł być wygodnym środkiem płatniczym. Za jednego rubla otrzymywało się 250 sztuk do-czanów lub 500 sztuk mniejszych o połowę szu-czan'ów, nawiązanych, jak suszone grzyby, na sznurze, z którym niewiadomo było, co zrobić: nosić ciężko, wyrzucić — szkoda!

3) Wreszcie — papierowe ruble rosyjskie, które miały rozległy zbyt wskutek tego, że cały handel był w rękach poddanych rosyjskich, tak zwanych „Andiżanów“, którzy, potrzebując rubli rosyjskich na zakup towarów, chętnie wykupywali je od Kaszgarczyków.

Andiżanów, zarejestrowanych w konsulacie i mieszkających w Kaszgarji za paszportami rosyjskiemi, było niewielu, a mianowicie: w Kaszgarze—120, w Jangi-Gisarze—20, w Jarkiendzie—70, w Chotanie — 80 i w Kerji 30; razem 320 kupców. W rzeczywistości zarejestrowani kupcy stanowili nikły odsetek ogólnej liczby uchodźców z Fergany. Lecz ludzie ci, mieszkając w Kaszgarji dziesiątki lat, mając tam rodziny i nieruchomości, bali się prześladowań ze strony administracji chińskiej i złożyli tak zwane „Dżaj Chat", przez co uznali się za Kaszgarczyków. Dla ściślejszego dozoru nad sprawami poddanych rosyjskich konsulat rosyjski usta-

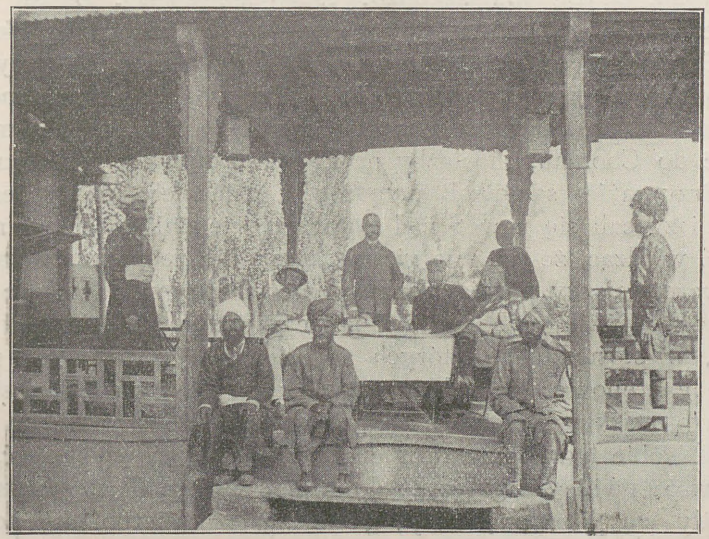

Ekspedycja kapitana Younghusband'a w Jarkiendzie.
Stoi kap. Younghusband, na prawo w hełmie Macartney,
z lewej strony kap. Beech i porucz. Lenard,
za nimi stoi sekretarz Chińczyk (s. 195).

nowił we wszystkich większych miastach agentów handlowych ak-sakał'ów, wybranych przez miejscową kolonję kupców, poddanych rosyjskich. Agenci owi służyli za łącznik między konsulatem a kupcami, otrzymując zato pewne wynagrodzenie od konsulatu i kupców w zależności od ich obrotów pieniężnych. Rozporządzenie takie podobało się administracji chińskiej, która dla sprawniejszego zarządzania kolonjami kupców, cudzoziemców: Kaszmirczyków, Tybetańczyków i innych mianowała także ak-sakał'ów (ak-sakał—biało-brody), wybra-

nych z pośród tych cudzoziemców. Z biegiem czasu jednak, kiedy konsulat rosyjski, mając w najdalszych zakątkach Kaszgarji agentów, którzy donosili mu o wszystkich szczegółach życia miejscowego, był często lepiej poinformowany od centralnych władz chińskich, agenci handlowi zostali znienawidzeni przez władze prowincjonalne, które krzywdziły ich na wszelki sposób. W takiem właśnie położeniu był handlowy ak-sakał Chotanu, Abdu-Satar, któremu miejscowy ambań nie pozwalał już po raz trzeci mieszkać w Chotanie, gdzie miał rodzinę, nieruchomość i składy towarów. Dowiedziawszy się, że jadę do Chotanu, Abdu-Satar wrócił do domu w nadziei, że przy mnie ambań nie będzie mu szkodził. Stało się inaczej, ambań kazał go aresztować, wsypać mu 100 kijów i wysłać za granicę okręgu.

Spotkałem go po drodze między Chotanem a Kargałykiem pod eskortą 2 durg (policjantów) i wziąłem pod ochronę mojego małego konwoju, gdyż w sprawach handlowych koniecznie musiał wrócić do Chotanu, chociażby na krótki czas mojej tam bytności.

Przy takiej samowoli urzędników chińskich, którzy bez ceremonji znęcali się nawet nad przedstawicielami konsulatu rosyjskiego, wiedząc, że ten energicznie ujmie się za pokrzywdzonymi i że wcześniej czy później winny poniesie karę za nadużycie władzy, łatwo sobie wyobrazić, w jak ciężkiem położeniu byli krajowcy, w stosunku do których administracja chińska nie miała potrzeby krępować się żadnemi względami. To też z jednej strony nie było ucisku, któregoby administracja nie stosowała do podwładnej sobie ludności, z drugiej zaś trudno sobie wyobrazić, jaką nienawiść żywili Kaszgarczycy do swojej władzy. Oczy wszystkich zwracały się w stronę Rosji, gdzie znaleźli schronienie potomkowie ubóstwianych przez lud Chodżów, oraz ostatni władca Kaszgarji, Bek-Kuli-Bek, który, chociaż nie był tak popularny, jak potomkowie Chodży (Kaszgarczycy nazywali Bek-Kuli-Beka Kulbacza, t. j. syn niewolnika), lecz zawsze był im drogi, jako ostatni przedstawiciel samodzielnej władzy narodowej. Najfantastyczniejsze wieści znajdowały posłuch, i lud święcie wierzył, że Rosja pomoże komuś z dawnych władców, i ci wypędzą Chińczyków. Stąd niezrozumiała na pierwszy rzut oka sympatja do wszystkiego, co przychodziło z zachodu, z za kordonu. Doświadczyłem tego na sobie. Kaszgarczycy chętnie i zupełnie bezinteresownie dostarczali mi wszelkich wiadomości o kraju, o ilości wojsk chińskich, oraz o uzbrojeniu fortec, chociaż wiedzieli dobrze, że wrazie denuncjacji za rozmowę ze mną czeka ich co najmniej chłosta i grzywna.

Trzeba dodać, że uczucie patrjotyzmu kazało im z jednakową sympatją patrzeć na „ferengi“ (Anglików), o praworządności których wiedzieli dobrze od licznych Kaszmirczyków i mieszkańców Ladaku (Małego Tybetu), zamieszkujących w rozmaitych miastach Kaszgarji.

Zbadanie mało znanej Kaszgarji miało duże znaczenie w oczach rządu angielskiego w Indjach nietyle ze względów handlowych, jako nowego rynku dla przemysłu indyjskiego, ile głównie ze względów politycznych, jako terenu, skąd wygodnie było obser-

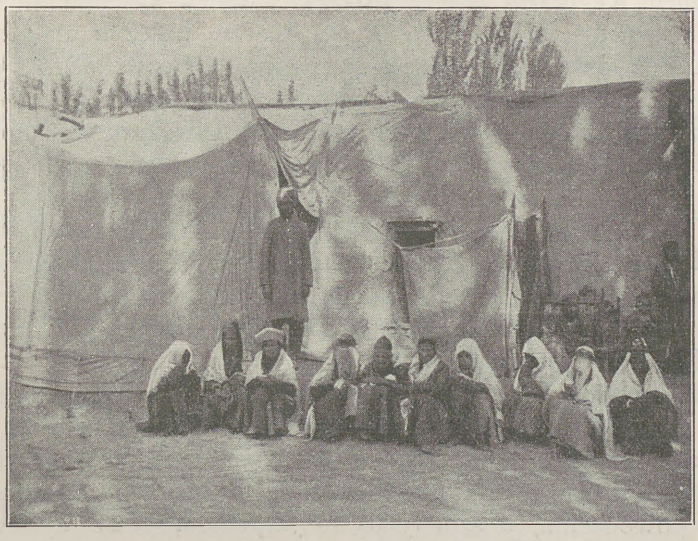

Ambulatorjum dla przychodzących chorych przy pomieszczeniu, zajętem przez kap. Younghusband'a w Jarkiendzie.
Stoi doktór, Kaszmirczyk, siedzą chore Kaszgarki, dalej dzieci (s. 195).

wować Rosję; ta bowiem w połowie zeszłego stulecia z ogromną szybkością posuwała się w głąb Azji i, owładnąwszy chańskwami: Chiwą, Bucharą, Kokandem i Merwem, zbliżyła się do Indyj, od których dzieliły ją tylko nieznane Pamiry i pasmo niebotycznego Hindukuszu.

Rywalizacja obydwóch mocarstw w Azji Środkowej zmuszała je do zbadania tych terenów. Stąd duża ilość wypraw, które przecięły te kraje w rozmaitych kierunkach i wzbogaciły naukę olbrzymiemy odkryciami geograficznemi.

ednym z pierwszych Europejczyków, którzy po znakomitym podróżniku weneckim, Marco Polo, znaleźli się w Kaszgarji, był

Adolf Schlagintweit; 1857 roku przybył on z Indyj przez przełęcz Kara-Korum i z rozkazu ówczesnego władcy Kaszgaru, Wali-chan-Tiury, był zabity o parę kilometrów od Kaszgaru zato, że nie chciał oddać Wali-chan-Tiurowi listów, które wiózł od wicekróla Indyj do chana Kokandu. Miejsce zabójstwa Schlagintweita odnalazł konsul Petrowskij, który wystawił tam skromny słup kamienny z tablicą pamiątkową.

W 1865 roku z gór tybetańskich przybył do Chotanu Anglik, Johnson, który dokonywał zdjęć topograficznych na północ od Kaszmiru. Kaszgarją wtedy wstrząsały spory wewnętrzne między trzema synami Wali-chan-Tiury, którzy walczyli między sobą o władzę. Johnson był gościnnie przyjęty przez jednego z pretendentów, Chabibułła-Chodżę, który w walce z braćmi chciał oprzeć się na Anglikach, ale właśnie dlatego podróżnik ten nie mógł zwiedzić innych miejscowości Kaszgarji i z Chotanu przez Kuenlun i Karakorum wrócił do Indyj.

W 1868 roku przybyli do Kaszgarji: geograf Hayward i uczony angielski, Shaw. Haywarda zamordowano w Jasinie. Shaw pod pozorem rozprzedaży przywiezionych towarów przemieszkał w Kaszgarze 6 miesięcy i przez Jarkiend wrócił do Indyj, aby zaraz wziąć udział w nowej wyprawie.

Mianowicie, w 1870 roku rząd angielski wysłał do Jakóba-Beka, który w tym czasie owładnął całym Dżyty-Szaarem, pierwsze poselstwo oficjalne. Posłem był mianowany sir Douglas Forsyth, członkami: Hendersen i Shaw. Poselstwo to jednak nie miało powodzenia, doszło tylko do Jarkiendu, gdzie było zatrzymane z rozkazu Jakóba-Beka, który posłów nie przyjął i kazał odesłać ich zpowrotem do przełęczy Karakorumskiej pod dozorem specjalnych urzędników. Stamtąd poselstwo wróciło z niczem do Indyj.

Przez dwa następne lata rząd angielski w Indjach, za pośrednictwem zamieszkałego w Jarkiendzie aksakała kaszmirskiego, zabiega przed Jakóbem-Bekiem o przyjęcie oficjalnego poselstwa. Wreszcie władca ten, potrzebując pieniędzy i broni i mając nadzieję otrzymania ich od Anglików, zgadza się na przyjęcie poselstwa angielskiego w Kaszgarze. Posłem mianowany zostaje sir Douglas Forsyth, a członkami poselstwa podpułkownik Gordon, kapitanowie: Biddulf, Trotter i Chapman, oraz doktór Belew i geolog, dr. Stoliczka (jak wyżej mówiłem, zmarł on w powrotnej drodze pod przełęczą Kara-Korum, w Murgi).

Oprócz tego poselstwu towarzyszyło wielu Kaszmirczyków, przygotowanych do prowadzenia robót topograficznych i astronomicznych, preparatorów, tłumaczy, lekarzy i t. d. O ilości pakunków, które wiozło poselstwo, można sądzić chociażby z tego, że maharadża kaszmirski musiał wyznaczyć od siebie dodatkowo 1621 jucznych koni i 6476 ludzi, jako poganiaczy i tragarzy[1]). Poselstwo zorganizowało się w Raul-Pindi i wyruszyło w drogę 15 lipca 1873 roku, a przybyło do Jarkiendu 8 listopada tegoż roku.

W Jarkiendzie poselstwo zatrzymano w ciągu trzech tygodni, i dopiero 4 grudnia przyjął je Jakób-Bek w Kaszgarze.

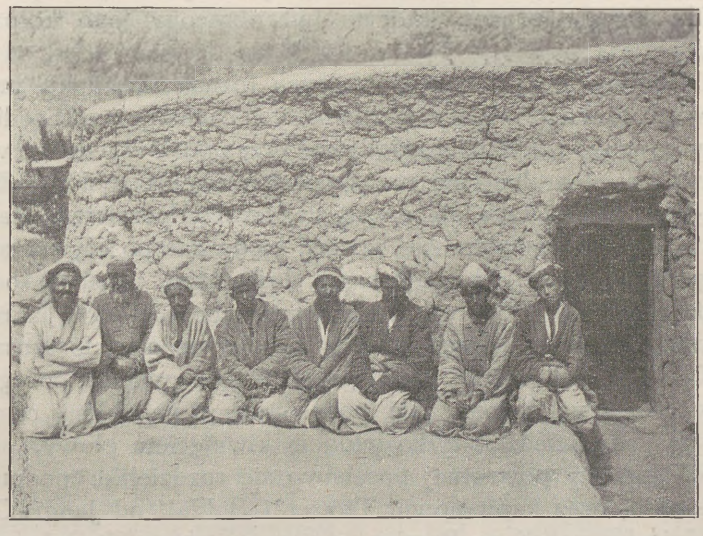

Typy górali (Toglików z rodu Pachpu)
u źródeł rzeki Tiznaf, (s. 204).

Przebywanie poselstwa w Kaszgarze żywo przechowało się w pamięci wielu z otoczenia Jakóba-Beka, którzy niejednokrotnie opowiadali mi rozmaite szczegóły z życia Anglików w Jarkiendzie; podkreślali czołobitność i uniżoność, jakie poselstwo okazywało nietylko Jakóbowi-Bekowi i następcy jego, Bek-Kuli-Bekowi, ale nawet wyższym urzędnikom Jakóba-Beka. Opowiadaniom tym trudnoby było uwierzyć, gdyby nie świadectwo członka wyprawy, dr. Belew, który prowadził dziennik ekspedycji i notuje w nim,

[1]) Dr. Belew. Kaszmir i Kaszgar. Dziennik poselstwa angielskiego w Kaszgarze w 1873—74 r. (tłum. ros.) Petersburg 1876 r. str. 149.

że gubernator Jarkiendu, Mahomed Junus Szygauł Datcha[1]), nie oddał wizyty przedstawicielowi Anglji; kiedy zaś przed odjazdem poselstwa z Jarkiendu, w odpowiedzi na doręczone mu podarki, przysłał sir Douglasowi Forsyth'owi chałat z jaskrawej materji, podbity futrem, oraz kołpak futrzany, kryty zielonym aksamitem, sir Forsyth na znak szacunku dla Szygauł Datchi włożył to ubranie na siebie i jechał w niem przez całą drogę do Kaszgaru. Następnie, otrzymawszy w drodze list od Jakóba-Beka, sir Forsyth przyjął go w obecności całego poselstwa, a przed rozpieczętowaniem zwrócił się twarzą w stronę Kaszgaru, gdzie mieszkał Jakób-Bek, i przycisnął list do oczu i serca; przeczytawszy zaś, schował w fałdy swego turbanu, którym był okręcony jego kołpak futrzany[2]).

Okazywanie takich zewnętrznych oznak szacunku przyjęte było w stosunku do władców rozmaitych chańst w Azji Środkowej, lecz tylko przez poddanych, nigdy zaś przez posłów jednego władcy do drugiego, tem bardziej przez poselstwo europejskie. To też Jakób-Bek, widząc taką uniżoność, zlekceważył poselstwo i żadnego traktatu z sir Forsyth'em nie zawarł; kiedy zaś poseł wzamian za zapasy broni, które obowiązał się dostarczyć, prosił o oddanie Anglikom kopalni złota w górach okręgu chotańskiego, Jakób-Bek przerwał wszelkie układy i kazał poselstwu opuścić Kaszgarję. Bek-Kuli-Bek był jeszcze mniej grzeczny, bo podczas pożegnalnej wizyty poselstwa nikomu nie podał ręki, a na ukłony członków poselstwa odpowiedział tylko lekkiem kiwnięciem głowy.

W podróży powrotnej poselstwo się rozdzieliło: podpułkownik Gordon, oraz kapitanowie Trotter i Biddulf od Jangi-Gisaru, przez Igiz-Jar poszli na Pamiry, a stamtąd przez Hindukusz wrócili do Indyj. Reszta zaś wyruszyła 18 maja 1874 r. z Jarkiendu po znanej drodze przez przełęcz Karakorumską i 18 lipca przybyła do Kaszmiru. Było to największe poselstwo, jakie kiedykolwiek posyłały rządy europejskie do chanów Azji Środkowej.

Jesienią tegoż roku niespodziewanie zjawił się w Jarkiendzie Anglik Dalglejsz, człowiek młody, energiczny i bardzo sprytny. Towarów przywiózł on z sobą za pokaźną sumę 5 tysięcy jamb (500 000 rubli) i w krótkim czasie umiał stać się potrzebny guber-

---

[1]) Mieszkał w 1885 r. w Ferganie i sprawował urząd kazia w mieście Kokanie.

[2]) ib. str. 216 i 266.

natorowi Jarkiendu, Mahomet-Szygauł Datcha, który pozwolił mu zamieszkać w Jarkiendzie do czasu wyprzedaży towarów.

Dalglejsz nauczył się języka kaszgarskiego, którym potem władał swobodnie, wyrobił sobie ogromne stosunki handlowe i był bardzo popularny wśród krajowców Kaszgarji pod przezwiskiem „czotar sahib“ (pan ospowaty) [1]). Dalglejsz przetrwał wszystkie przewroty polityczne w Kaszgarji, to znikając do Indyj na pewien czas, to znowu powracając do Kaszgarji pod pozorem ściągania należności za towary, umiejętnie rozdane w słabe i niepewne ręce. Charakter polityczny jego misji był ustalony przez konsulat rosyjski wobec władz chińskich, które wreszcie zdecydowały się wysłać go za granicę Kaszgarji i wydały odnośne rozporządzenia. Dalglejsz jednak nie spieszył się z wypełnieniem tego rozkazu. Wtedy ambań jarkiendski znalazł oryginalny środek pobudzenia Dalglejsza do wyjazdu, a mianowicie włożył „szal“ (grubą deskę) na szyję aksakała Kaszmirczyków, z którym Dalglejsz utrzymywał najbliższe stosunki, i kazał postawić biedaka przed drzwiami mieszkania Dalglejsza. Przeczekawszy parę dni i widząc, że administracja chińska jest zdecydowana nie zmieniać swych zarządzeń, Dalglejsz wyjechał z Jarkiendu, ale, żegnając się z kupcami, mówił, śmiejąc się, że ma w ręku dokumenty, iż Chińczycy wydalają go na skutek prośby konsula rosyjskiego, lecz wróci niebawem

[1]) Nazwiska europejskie dla ludów, zamieszkujących Azję, są trudne do wymówienia i niezawsze mogą być prawidłowo napisane. Przeto Europejczykom popularniejszym nadają krajowcy przezwiska, pod któremi znani oni są często na bardzo dużych obszarach. Ja np. byłem znany w całym Turkiestanie, gdzie przesłużyłem 21 lat, pod przezwiskiem „Uzun-ajak-tiura“ (pan długonogi). Przezwisko to prawdopodobnie otrzymałem dlatego, że jeździłem zwykle na siodle angielskiem, na długich strzemionach, w przeciwieństwie do krajowców, którzy jeżdżą tylko na strzemionach, krótko podciągniętych, żeby podczas słoty nie zabłocić nóg. Z powodu przezwiska miałem zabawne przejście na Dangnyn-Basz-Pamirze, gdzie miejscowy bek kirgiski podejrzewał mię, że nie jestem prawdziwym „Uzun-ajak-tiurą“, gdyż według opowieści, krążące wśród Kirgizów, Uzun-ajak-tiura ma tak długie nogi, że może jeździć tylko na 2 wielbłądach: sam siedzi na jednym, a nogi kładzie na drugim, którego prowadzą przodem. Chińskiemi hieroglifami nazwisko moje pisało się „Polum-bo-cze-u-se-ki“. W skróceniu zaś chińskie władze nazwały mię „Go-da-żeń“ (mąż stanu Go, od pierwszej litery mojego nazwiska). Pod tem przezwiskiem znano mnie w całej Mandżurji, gdy byłem tam wojennym komisarzem; tak prowadziłem służbową korespondencję, taki otrzymałem patent na komandorską gwiazdę ze wstęgą najwyższego w Chinach orderu podwójnego Smoka.

Góralka z rodu Pachpu, zamieszkałego u źródeł rzeki Tiznaf (s. 204).

do Kaszgarji. Było to na krótko przed moim przyjazdem do Jarkiendu, tak, że osobiście nie udało mi się poznać tego wysoce zdolnego agenta. Obietnicy swej Dalglejsz dotrzymał, bo, dotarłszy do Ladaku (w Małym Tybecie), spotkał się tam z Anglikiem Carey (Indian Salt Comissioner), który z polecenia rządu angielskiego wysłany był do Chotanu i miał paszporty, podpisane przez prezydenta Kolegjum Spraw Zagranicznych, wicekróla prowincji Peczili, wielkorządcę Li-Chung-Czana. Dalglejsz przyłączył się do tej wyprawy i w 6 tygodni po moim odjeździe z Chotanu był zpowrotem w Kaszgarji. W rok potem biedny „czotar-sahib“ znowu był wysłany przez Chińczyków z Kaszgarji i zginął w drodze do Kara-Korum, zamordowany przez nieznanych złoczyńców. Miejsce jego zajął Macartney, lecz już jako oficjalny przedstawiciel Anglji, z początku agent konsularny, a potem konsul angielski w Kaszgarji. Macartney'a poznałem osobiście w trzy lata później w Jarkiendzie. Był to człowiek młody, dobrze władający językiem chińskim. Mogąc porozumieć się bez tłumacza (t. j. niepożądanego świadka), z wyższemi władzami w Kaszgarji, miał Macartney duży wpływ na miejscową administrację, paraliżując akcję konsula rosyjskiego.

Jeszcze większy niepokój wzbudzała w rządzie angielskim północna granica Indyj od strony Pamirów.

Rosja, zająwszy w 1875 roku chańtwo Kokandskie, miała niezaprzeczalne prawo i do Pamirów, które stanowiły część chańtwa i znajdowały się pod zarządem chana kokandskiego. Jednak, z pobudek politycznych, głównie nie chcąc drażnić opinji angielskiej w trudnych dla Rosji czasach po wojnie tureckiej roku 1877—78, Pamirów nie zajęto, i zostawały one bezpańskie do roku 1893. W tym okresie czasu Anglja usiłowała z początku podzielić tereny te między Afganistan i Chiny i stworzyć państwo

buforowe między Hindukuszem a Rosją. Powstanie w Afganistanie w 1888 roku, gdy w ciągu paru miesięcy cała północna część kraju oddzieliła się i oddała pod protektorat Rosji, dowiodło nieaktualności samej idei państw buforowych, utworzenie których kosztowało olbrzymie sumy i nie zabezpieczało granic Indyj. Anglja zmieniła taktykę i, zająwszy szereg drobnych, niepodległych chańśtw na południowych zboczach Hindukusza (Kandżut, Czitral, Jasin, Kafiristan), podsunęła się z południa do Pamirów. Wtedy to nastąpił okres różnorodnych wypraw, które rząd angielski wysyłał na Pamiry dla zbadania przełęczy w Hindukuszu na Pamirach.

Wspomnę tu tylko o paru, które zorganizowano z wielkim kosztem i wystawnością.

W sierpniu 1885 roku przybyła do Jarkiendu wyprawa angielska Elias'a, mając z sobą 40 żołnierzy w konwoju, oprócz punditów (topografów) i usługi z Kaszmirczyków, Badachszanów, a nawet Kundżutów. Bagaż ekspedycji przywieziono na 300 kaczyrach. Władze chińskie, otrzymawszy odpowiednie zarządzenia od wicekróla Li-chung-czana, przyjęły Elias'a z wielką uprzejmością i urządziły, jako mieszkanie dla Elias'a, jeden z centralnych karawanserajów w Jarkiendzie. Odpocząwszy i odesławszy kaczyrów do Kaszmiru, Elias wynajął w Jarkiendzie 300 koni i we wrześniu poszedł na Pamiry drogą podpułkownika Gordona przez Jangi-Gisar i Igiz-Jar.

Jadąc do Jarkiendu, w wiosce Kyzyl spotkałem partję Kirgizów, koczujących na Pamirach między jeziorami Rang-Kul i Mały Kara-Kul, którzy dążyli do Jangi-Gisaru dla zakupu mąki na zimę. Kirgizi ci mówili mi, że Elias zatrzymywał się w ich koczowiskach, wypytując się, kiedy w dolinie Wielkiego Ałaju nie bywa koczowników, i szukał przewodnika, któryby znał dobrze drogę do jeziora Wielki Kara-Kul (jez. smocze), leżącego już w granicach Rosji, i do doliny Wielkiego Ałaju. Przewodnik taki się znalazł, i Elias wynajął go za jedną jambę (około 100 rubli). Poza tem Elias interesował się bardzo rosyjskim fortem, Irkesztam, i uspokoił się, kiedy się dowiedział, że konsystujący tam garnizon kozacki ma połączenie z Ferganą przez przełęcz Terekdawan, i że o tej porze roku z powodu śniegów, które spadają wcześnie na przełęczy Tanu-murun, w dolinie Wielkiego Ałaju nie bywa. Z tych wszystkich zarządzeń Kirgizi wnioskowali, że Elias chciał skorzystać z późnej jesieni i dotrzeć do granic Fergany-

Później w Kaszgarze Dao-Taj mówił mi, że otrzymał list od Elias'a, w którym dziękuje mu za gościnność i zawiadamia, że przez Czitral wraca do Indyj, skąd prześle zpowrotem wynajęte w Jarkiendzie konie.

Równocześnie inna wyprawa pod dowództwem pułkownika Lokharta wyszła z Kaszmiru i przez Gilgit oraz Nagar podeszła do granic niezawisłego podówczas Kandżutu, proponując za pozwolenie przejścia przez Kandżut 30 000 rupij i odpowiednie podarunki dla chana, jego starszego syna, oraz wezyra; lecz żądała, żeby władca Kandżutu, Gazan-Chan, i wezyr jego dali, jako zakładników, swoich synów, którzy mieli przybyć do Gilgitu i gwarantować bezpieczeństwo wyprawie. Długo ciągnęły się pertraktacje, wreszcie Gazan-Chan, wytargowawszy ile mógł, posłał swojego młodszego syna, Mahomed Nazifa, i starszego syna wezyra Dadu, jako zakładników do Gilgitu, i ekspedycja pułkownika Lokharta wkroczyła do Kandżutu w otoczeniu 200 ludzi konwoju i tragarzy. Wyprawa przeszła na Pamiry przez przełęcz Wachdżyr, a przez przełęcz Borogil wróciła zpowrotem przez Jasin do Indyj.

Pomimo zakładników i bogatych podarunków ekspedycja Lokharta przeszła Kandżut z ogromnemi trudnościami, okradana ze wszystkiego, co się dało Kandżutom ukraść. Prócz tego 18 ludzi z konwoju zostało schwytanych przez Gazan-Chana, a potem sprzedanych do niewoli Kirgizom pamirskim, oraz władcom sąsiednich chańst[1]). Wyszedłszy na Pamiry, pułkownik Lokhart zwrócił się z listem do Gazan-Chana, prosząc o uwolnienie 18 schwytanych poddanych angielskich, przyczem obiecywał zapłacić za nich tyle, ile Gazan-Chan zażąda, nadmieniając, że uwolnienie tych żołnierzy jest niezbędne ze względu na autorytet Wielkiej Brytanji. Otrzymał na to dumną odpowiedź Gazan-Chana, że dla podtrzymania swej powagi sprzeda tych ludzi komu mu się będzie podobało.

Zdawałoby się, że, jeżeli ze zrozumiałych powodów pułkownik Lokhart, będąc w czeluściach Kandżutu, musiał znosić wiarołomstwo chana, to, wyszedłszy za granicę kraju, mógł i powinien był dać wyraz słusznemu oburzeniu w stosunku do zakładników, którzy się znajdowali w Gilgicie. Polityka jednak wymagała czego

---

[1]) Sprawozdanie porucznika Younghusband'a — Tom XXXVI. Materjałów z podróży po Azji. Wydanie Wojsk. Naukowego Komitetu Sztabu Generalnego.

innego: zakładnicy, obdarowani przez rezydenta angielskiego, wrócili spokojnie do Kandżutu, a sprzedanych do niewoli żołnierzy pozostawiono własnemu ich losowi.

Gdy byłem w rok potem na Pamirach, udało mi się wykupić jednego z tych biedaków z niewoli i odstawić do konsulatu rosyjskiego w Kaszgarze, skąd karawaną handlową został odesłany do Kaszmiru. O ciężkiej doli innych mówiłem kapitanowi Younghusband'owi, spotkawszy się z nim w pustyni Raskemu, ale czy cośkolwiek zrobiono dla nich, nie wiem.

W 1888 roku, będąc na Pamirze, postanowiłem zwiedzić chańskie rozbójnicze Kandżut, znajdujące się na południowej stronie gór Hindukusz, przez przełęcz Kalik spuściwszy się do źródeł rzeki Indus, dotarłem do stolicy chańskiego, Baltitu, gdzie w ciągu 10 dni byłem gościnnie podejmowany przez nowego chana, Safder Alija. Muszę zaznaczyć, że konwój mój składał się tylko z 4 kozaków orenburskich i z 2-ch krajowców do posług osobistych; absolutnie żadnych cennych podarków dla kandżutskiego chana nie miałem, gdyż wysłany byłem przez Tow. Geograficzne dla zbadania Pamirów, i tylko w razie sprzyjających okoliczności pozwolono mi prywatnie i na własną odpowiedzialność zwiedzić Kandżut [1]).

---

[1]) Opis tej podróży znajdą czytelnicy w oddzielnej książce, p. t. „Przez Pamiry i Hindukusz do źródeł rzeki Indus", która ukaże się niebawem, nakładem tej samej firmy.

XVIII.

SPOTKANIE Z KAP. YOUNGHUSBAND'EM.
SZCZĘŚLIWY STRZAŁ W OBECNOŚCI SAFDER-ALI-CHANA.
PRZYCZYNY BUDOWY FORTU W SZACHIDUŁŁA-CHODŻA I JEGO LOSY.
POWTÓRNE SPOTKANIE Z YOUNGHUSBAND'EM W JARKIENDZIE.
ZATARG ROSYJSKO-ANGIELSKI W SPRAWIE PAMIRÓW.
DALSZA DROGA DO CHOTANU.
„WOLE" I INNE CHOROBY MIEJSCOWE. KARGALYK.

W r. 1889, badając pustynię Raskemu, oraz północne zbocza Himalajów, spotkałem kapitana Youghusbanda [1]), który, wybudowawszy fort w Szachidułła-Chodża i osadziwszy tam garnizon kaszmirski, szedł na Pamiry Dangnyn-Basz, mając zamiar zbadać południową część Pamirów i przez jedną z przełęczy w Hindukuszu zejść zpowrotem do Indyj. Wyprawy nasze w ciągu trzech dni stały obok siebie, i czas spędziliśmy w przyjacielskich pogawędkach. Byliśmy wtedy w jednym stopniu służbowym i mniej więcej w tym samym wieku.

Ekspedycja jego, jak wogóle wszelkie wyprawy angielskie, była zaopatrzona wspaniale. Miała konwój z Gurków, najwaleczniejszego plemienia górskiego w Indjach; żołnierze ci, choć bardzo niewielkiego wzrostu, prezentowali się doskonale pod względem sprawności wojskowej. Zrobiłem zdjęcie fotograficzne połączonych wypraw, które o ile pamiętam, składały się z przedstawicieli 18—20 narodów. Narody te spotkały się w pustyni, na zboczach Himalajów i na wysokości około 4 000 metrów n. p. morza. Byli

[1]) Kapitan Younghusband, znany angielski podróżnik, obecnie generał dywizji i główny naczelnik całej północnej pogranicznej linji w Indjach.

tam: Anglik, Polak, Niemiec, Rosjanie (miałem wtedy konwój z 7-iu kozaków orenburskich) Kaszmirczycy, Gurkowie, Tadżik, Sart, Tybetańczycy i t. d.

Younghusband znał mię z nazwiska i z opowiadań Kandżutów, którzy zachwycali się celnością mych strzałów. Rzeczywiście spotkał mię tam rzadki wypadek ślepego szczęścia. Bawiąc w Balticie, stolicy chańskwa, oświadczyłem Safder-Ali-Chanowi, że chciałbym udać się wdół rzeki, chociażby do miejsca, gdzie łączy się rzeka Kandżut, nad którą stoi stolica, z rzeką Nagar,

Górale z rodu Kiujdy, zamieszkałego w górnym biegu rz. Tiznaf (s. 204).

spadającą z Himalajów — obie rzeki stanowią źródło rzeki Indus— i zobaczyć jego dolinę. Safder-Ali-Chan z wielką uprzejmością zgodził się i zaproponował, że pojedzie ze mną razem. Ustaliliśmy dzień wyjazdu. Że zaś jesień była pogodna, posłałem naprzód swego kucharza, aby przygotował śniadanie z produktów, jakie uda się kupić. Safder-Ali-Chan wziął z sobą sokoły myśliwskie, których był wielkim zwolennikiem, i w ten sposób zorganizował się piknik. Jechaliśmy konno wąską ścieżką obok siebie, gwarząc wesoło po tadżyksku i mając zprzodu i ztyłu wielką świtę.

Nagle ludzie na przedzie zatrzymali się i cofnęli wstecz. Wysunęliśmy się z Safder-Ali-Chanem naprzód, i bystre jego oczy od-

razu na skalistem zboczu ujrzały stadko kóz, które, żerując, powoli ciągnęło wzdłuż zbocza, nie zwracając uwagi na ludzi, stojących na ścieżce. Safder-Ali-Chan, chcąc przekonać się, jak daleko niosą kule z naszych karabinów, począł prosić, żebym strzelił do kóz. Zmierzyłem okiem przestrzeń. Stadko szło o 1800—2000 kroków nad ścieżką. Oczywiście, o celnym strzale mowy być nie mogło, lecz kula z karabinu Berdana powinna była upaść w środek stada i rozpędzić kozy na wszystkie strony. To też zsiadłem z konia, wziąłem karabin z rąk najbliższego kozaka i, podniósłszy celownik na 1800 kroków, dałem ognia, mierząc do kozy, żerującej najwyżej. Trzeba trafu, że kula przebija szyję kozy, żerującej najniżej, uderza w skałę i rykoszetem druzgoce przednią nogę kozy, żerującej tuż obok. Koza z przebitą szyją podrzuca się wgórę, traci równowagę i pada na dół. Koza ze zdruzgotaną przednią nogą nie może piąć się po skałach i zostaje na miejscu, stadko zaś rozpierzcha się w popłochu w różne strony. Skutki strzału wywołują ogólny okrzyk zachwytu Kandżutów, którzy wydobywają handżyry (krzywe kindżały) z za pasa i, jak stado wilków, pełzną wgórę, żeby dobić poranione zwierzę. Ja zaś, tłumiąc w sobie radość z wyjątkowo szczęśliwego trafu, oddaję spokojnie karabin kozakowi i dosiadam konia, jakgdyby zabicie 2 kóz jednym strzałem było rzeczą najzwyczajniejszą.

Chan milczał przez chwilę, potem stracił wschodnią powagę i prosił, żebym mu darował zaczarowaną strzelbę. Odpowiedziałem, że chętnie ofiaruję mu ją na pamiątkę, lecz nie w tej chwili; wyślę karabin z Kaszgaru, gdzie konwój konsula ma zapasowe karabiny, jednym z których będę mógł zastąpić podarowany; według regulaminu bowiem odpowiadałbym ciężko za pozbawienie broni kozaka, będącego na służbie wartowniczej. Chan długo oglądał niepozorny karabin i uczył się go nabijać.

Żeby upewnić go, że właśnie ten, a nie inny karabin będzie mu przysłany, zaproponowałem, aby na lufie kazał swemu płatnerzowi wyrznąć pieczęć swoją, na co przystał z radością. W ten sposób ślepy przypadek uczynił mi wśród Kandżutów sławę niezrównanego strzelca.

Wogóle Safder-Ali-Chan, pomimo wszystkich wad, zwykłych w każdym wschodnim despocie, nie umiejącym poskramiać swych zachcianek, był słowny i miał dużo wrodzonej rycerskości.

Yunghusband na zapewnienia moje, że do żadnej politycznej misji w Kandżucie nie byłem upoważniony przez rząd rosyjski

i że zwiedziłem ten kraj li tylko w celach naukowych, z oburzeniem opowiedział mi, jak Safder-Ali-Chan, na przywiezione przez Younghusbanda zaproszenie wicekróla, by zwiedził Indje, odpowiedział: „Ja i mój wielki protektor, cesarz Aleksander III, do Indyj nie jeździmy“. Wtedy już dla mnie stało się jasne, że dni samodzielności Kandżutu są policzone.

Fakt, że przez cały czas pobytu mego w chańskwie nic mi nie ukradziono, da się objaśnić tem, że w dzień przybycia mego do Baltitu Safder-Ali-Chan kazał ogłosić we wszystkich meczetach w czasie namaru-i-szam (wieczornej modlitwy), że kto ukradnie cokolwiek członkom wyprawy rosyjskiej będzie im z rodziną oddany, jako niewolnik.

Powodem wybudowania przez Younghusbanda fortu w Szachidułła-Chodża, daleko na północ od Himalajów, a więc na terytorjum bezspornie chińskiem, był wypadek następujący: Safder-Ali-Chan wysłał bandę rozbójniczą, która, zaczaiwszy się w bliskości przełęczy karakorumskiej, na głównej drodze karawan z Indyj do Chin, ograbiła kilka handlowych karawan, zabrała mnóstwo towarów, koni, kaczyrów i ludzi i pognała to wszystko do Kandżutu. Właściciele towarów, Kaszgarczycy, poddani chińscy, zwrócili się ze skargą do administracji chińskiej, która odpowiedziała, że, ponieważ karawany ograbiła szajka Kandżutów, przeto trzeba skierować prośbę o zwrot chociażby ludzi do chana kandżutskiego.

O tem dowiedział się rezydent angielski w Kaszmirze i, motywując pretensje swoje tem, że rabunki karawan handlowych, dokonywane na jedynej drodze z Indyj do Chin, wyrządzają szkodę handlowi Indyj brytańskich, zażądał odpowiedniego odszkodowania. Pretensję tę, choć jawnie niesłuszną, poparło w Pekinie poselstwo angielskie. Administracja w Kaszgarze otrzymała rozkaz wyjaśnienia tej sprawy; odpowiedziała ona, że napaści dokonano na terytorjum, leżącem daleko na południe od ostatniego posterunku chińskiego, i że administracja chińska nie może odpowiadać za napady, organizowane przez sąsiednich władców na ziemiach tylko nominalnie podwładnych Chinom.

Odpowiedź ta zupełnie zadowoliła władze angielskie, które zaraz zawiadomiły administrację Kaszgarji, że, skoro terytorja te są tylko nominalnie podwładne Chinom, które nie mogą odpowiadać za bezpieczeństwo karawan handlowych, w takim razie obronę ich bierze na siebie rząd angielski.

Wnet też posłano kapitana Younghusbanda, który, wybudowawszy prymitywny fort w Szachidułła-Chodża, obsadził go nie-

wielkim garnizonem kaszgarskim, zgromadził dookoła do 40 jurt Kirgizów z Sarykji, mianował bekiem miejscowego Kirgiza, Turdy-Kuł-Bija, i, wypłaciwszy mu pensję, ruszył w stronę Pamirów, gdzie po drodze w pustyni Raskemu spotkał się ze mną. Było to 23 października 1889 roku.

Określiwszy astronomicznie miejsce spotkania, przez co moje prace topograficzne, prowadzone w ciągu ostatnich lat, zostały związane z pracami angielskiemi, rozstaliśmy się bardzo przyjaźnie.

W połowie grudnia dotarłem do Szachidułła-Chodży i w przekonaniu, że fort zajęty jest przez Kaszmirczyków, zatrzymałem się o 18 kilometrów od fortu. Stamtąd posłałem umyślnego gońca, by się dowiedział, czy niema od rezydenta angielskiego w Kaszmirze odpowiedzi na moją prośbę (wysłaną z porady Younghusbanda i przez jego gońca) o pozwolenie przezimowania w Ladaku. Na drugi dzień wrócił mój posłaniec w towarzystwie miejscowego starszego Kirgiza, który mi zakomunikował, iż Chińczycy zupełnie spokojnie przyjęli wiadomość o tem, że Kaszmirczycy budują w Szachidułła-Chodża fort i obsadzają go swoim garnizonem. Kiedy jednak nastąpiła zima, i przełęcz karakorumska stała się niebezpieczna do przebycia, administracja chińska najniespodziewaniej wzbroniła wszelkiego wywozu mąki lub ziarna z Kaszgarji w stronę Szachidułła-Chodży. Kirgizi, nie mając chleba, wynieśli się wdół rzeki Karakasz-Darji, Kaszmirczycy zaś, zostawszy sami, bez chleba i pomocy Kirgizów, w obawie śmierci głodowej, porzucili fort i wrócili do Kaszmiru. Wtedy zjawili się urzędnicy chińscy, aresztowali mianowanego przez Younghusbanda Turdy-Kuł-Beka. Wysławszy go do Kaszgarji, zajęli wybudowany przez Kaszmirczyków fort, obsadzili go oddziałem kirgiskiej lanzy, mianowali nowego beka i wrócili do Jarkiendu.

Góralka z rodu Kiujdy nad górnym Tiznafem, (s. 204).

Latem następnego roku, pracując nad zbadaniem terenów, zamieszkałych przez nieznane dotąd szczepy górali w dorzeczu rzeki Tiznafa, przypadkowo dowiedziałem się, że do Jarkiendu przybyła ogromna wyprawa angielska. Przerwałem więc pracę i udałem się z gór do Jarkiendu. Pokazało się, że naczelnikiem wyprawy jest zeszłoroczny mój przyjaciel, Younghusband, członkami zaś kapitan Beech i porucznik Lenard. Tłumaczem był Anglik Macartney (późniejszy konsul w Kaszgarji), sekretarzem — Chińczyk, urodzony i wychowany w Indjach. Poza tem—doktór, pundita, duży konwój wojsk indyjskich i kaszmirskich, oraz cały tłum służby, poganiaczy i tragarzy, złożony z Kaszmirczyków, Afgańczyków i różnych narodów Małego Tybetu.

Przywitaliśmy się z Younghusbandem bardzo przyjaźnie, ani słowem nie dotykając przyczyn, które nas sprowadziły do Jarkiendu. Ani słowem też nie wspomniałem o odmowie wicekróla Indyj na prośbę moją o pozwolenie przezimowania w Ladaku, wskutek czego zmuszony byłem podczas najsurowszej zimy ruszyć w pustynie Tybetu, żeby się dostać do zamieszkałych jego okolic i dać wypocząć ludziom i koniom. W rezultacie, nie spotkawszy w ciągu 4 dni wody, straciłem $^1/_3$ część koni, musiałem pozostawić w pustyni większość juków, i, idąc podczas mrozu przez przełęcze, na wysokości 19 000 stóp (5 600 metrów) nad p. m., cudem tylko uszliśmy śmierci [1]).

Skład wyprawy Younghusbanda, obecność w niej tłumacza Anglika i sekretarza Chińczyka, który skończył uniwersytet w Kalkucie—wszystko to dowodziło wagi poruczonej Younghusbandowi misji i chęci uniknięcia niedyskrecji czynników miejscowych. Chociaż konferencję prowadzono w wielkim sekrecie, lecz, znając stosunki miejscowe, nietrudno mi było stwierdzić, że celem kosztownej wyprawy było zawarcie traktatu z Chinami co do podziału Pamirów między Chinami i Afganistanem.

Wreszcie i Rosja się ocknęła. Zaprotestowawszy energicznie w Pekinie przeciwko temu traktatowi, Rosjanie w 1892 roku wysłali oddział wojsk, który wyparł z Pamirów afgańskie i chińskie straże przednie i stwierdził suwerenność Rosji nad całym krajem, wybudowawszy fort, zajęty przez garnizon rosyjski. Mnie poruczono wprowadzenie tam krajowej administracji. W rok później pełno-

---

[1]) Podróż kapitana Br. Grąbczewskiego w Środkowej Azji. Roczniki Tow. Przyj. Nauk. Poznańskiego t. XVIII. Zeszyt. I.

mocni komisarze Rosji i Anglji ustalili granicę państwową między Rosją, Afganistanem, oraz Indjami, i rywalizacja między temi mocarstwami w owych stronach Azji straciła ostry charakter.

Oto garść wiadomości o Kaszgarji, jej handlu, przemyśle i o ówczesnych prądach politycznych.

A teraz wracam do opisu dalszej podróży swej do Chotanu.

Z Jarkiendu do Kargałyku (64 kilometry) przeszliśmy w dwa dni. Jest to najbogatsza część Kaszgarji. Droga biegnie dobrze utrzymanym gościńcem, obsadzonym rozłożystemi wierzbami, wśród wspaniałych pól, uprawionych z drobiazgową starannością. Mnóstwo wody, doprowadzonej sztucznemi kanałami z rzeki Jarkiend-Darji, daje możność uprawy ryżu w znacznej ilości. Wioski, tonące w zieleni ogrodów owocowych, spotyka się literalnie na

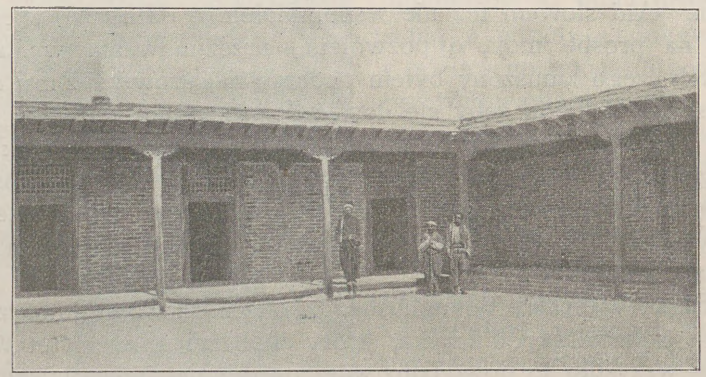

Czulak—Langar w pustyni Takla-Makan, (s. 209).

każdym kroku. Niektóre, jak np. Posgam, gdzie nocowaliśmy, ma około 1500 domów i dosyć duży rynek, na którym można dostać wszystkiego, co jest niezbędne dla krajowców, nie wyłączając wyrobów rękodzielniczych.

O 17 wiorst od Jarkiendu przeszliśmy w bród rzekę Jarkiend, albo Zarafszan-Darję. Koryto jej zajmuje około $1^1/_2$ kilometra i jest bardzo kamieniste. Mostu niema. W owej porze roku rzeka płynie kilku odnogami, które rozdzielają szerokie łachy kamieniste. Woda sięgała siodeł. Latem brodu niema. Przeprawa odbywa się na ogromnych łodziach drewnianych (kema), które prąd znosi czasami na parę kilometrów. W czasie bardzo wielkiej wody łodzie przeprawiają podróżnych niżej, w miejscowościach Tugrak-

Kema (prom u Tugraku) lub jeszcze niżej, w miejscowości Biszkent (pięć wiosek), gdzie prąd rzeki jest znacznie spokojniejszy. Wtedy droga przedstawia się w formie kręgu, długości około 24 kilometrów. Po drodze—kilka młynów wodnych i tłoczni do obdzierania ryżu.

Za rzeką Jarkiend-Darją okolica jest jeszcze bardziej ożywiona i nosi nazwę Iki-su-orasy (między-dwiema-wodami), gdyż otrzymuje wodę z dwóch rzek: Jarkiend-Darji i Tiznafu.

W korycie rzeki Jarkiend-Darji widzieliśmy poszukiwaczy nefrytu; wydobywali oni ten cenny kamień z pośród innych, po których biegnie rzeka, lub z kamienistych łach, zalanych wodami letniemi. Są tam również i przemywacze złota.

W okręgach jarkiendskim i kargałykskim bardzo rozpowszechniona jest choroba „wole“ (bugag), chorobliwe puchnięcie gruczołów na szyi, dosięgających czasami olbrzymich rozmiarów. Choroba ta szczególnie rozpowszechniona jest w Posgamie i w okolicznych wioskach, gdzie rzadko można spotkać człowieka bez „wola“. Krajowcy przypisują to działaniu wody do picia. Ponieważ jednak wodę otrzymują z rzek, które przepływają przez inne okolice, gdzie choroba ta nie jest znana lub zdarza się tylko wyjątkowo, przeto sądzę, że, jeżeli przyczyną „wola“ jest woda, to chyba wtedy, jeżeli, biegnąc po polach, nabierze z ziemi jakichś szczególnych własności. Wole jest chorobą bardziej nieprzyjemną dla oka, niż niebezpieczną dla organizmu ludzkiego. Widziałem starców 70—80 letnich, których szyje były wzdęte tak okropnie, że obwód ich 2—3 razy przewyższał obwód twarzy. Ludzie ci cieszyli się jednak dobrem zdrowiem, choć nosili „wole“ po 40—50 lat. Wielu chorych na „wole“ spotykałem także w Kokandzie, dawniejszej stolicy Fergany, gdzie krajowcy również przypisywali tę chorobę działaniu wody. Znałem wypadki, że „wola“ dostawali urzędnicy rosyjscy, długo mieszkający w Kokandzie, szczególnie kobiety, które przebywały tam od dzieciństwa. Gruczoł gardłowy poczynał brzęknąć nieznacznie, powiększając się z roku na rok, zwykle z początku z jednej strony gardła, potem jednak obrzęk przechodził na drugą, wypełniał całą szyję i często wystawał nazewnątrz w postaci narośli. Lekarze rosyjscy stosowali w początkowem stadjum choroby jodynowanie i mówili mi, że jodyna powstrzymywała brzęknięcie gruczołów.

Kto zwracał na siebie uwagę i odrazu stosował jodynę, ten się wyleczył. Wole jednak rośnie bez bólu, więc chory zwraca

uwagę na nie dopiero wtedy, kiedy gruczoł znacznie się rozwinie i kiedy już trudno jest wstrzymać dalszy jego rozwój. Krajowcy żadnych lekarstw przeciwko wolu nie znają i na tę chorobę zupełnie nie zwracają uwagi.

W okręgu kargałykskim, w tej jego części, gdzie wody jest mało i gdzie krajowcy używają jej do picia z cystern, w których woda się odświeża tylko parę razy do roku, dosyć rozpowszechniona jest inna choroba, „ryszta". Polega ona na tem, że do organizmu człowieka, używającego do picia wody nieprzegotowanej, dostaje się jakiś mikroorganizm, który się w nim rozwija. Po pewnym przeciągu czasu gdzieś na ciele zjawia się bolesny pryszczyk, który bardzo swędzi. Oczywiście człek drapie, pryszczyk się zaognia, powstaje jątrząca się ranka, z której wygląda czarna główka glisty, wielkości główki od szpilki.

Są specjaliści krajowcy, którzy umieją tę główkę uchwycić i, wyciągając glistę z nadzwyczajną ostrożnością, nawijają główkę na patyczek drzewa, cieńszy od zapałki, poczem zaraz ranę wraz z patyczkiem bandażują. Opatrunek robi się codzień w ciągu dwóch — trzech tygodni, przyczem codzień potrochu na patyczek nawija się glistę. Cała sztuka leczenia polega na tem, że należy glistę, grubości włosa końskiego, wyciągać tak ostrożnie, aby się nie przerwała. Jeżeli glista się przerwie, całe leczenie na nic. Glista odradza się z ogona i często wyłania się w 2—3 miejscach. Jest to choroba nie niebezpieczna, lecz bardzo denerwująca, gdyż ranki, gdzie siedzi glista, jątrzą się boleśnie i swędzą bardzo silnie. „Ryszta" znana jest w rozmaitych miejscowościach Turkiestanu, szczególnie zaś w Bucharze, która wodę otrzymuje z rzeki Zarafszanu, znajdującej się w obrębie Rosji (okrąg Samarkandy), i jest w zupełnej zależności od dobrych stosunków z samarkandzkim urzędem wodnym, na którego wyzysk i łapownictwo nieraz słyszałem utyskiwania z ust emira Buchary.

Na wielkim gościńcu pocztowym z Samarkandy do Taszkientu, przy wjeździe do „głodnego stepu", gdzie na przestrzeni przeszło stu kilometrów wody nie było (dwie stacje pocztowe miały obszerne kryte cysterny, do których w ciągu zimy spływała woda deszczowa, latem zaś wodę tę brano do picia i do pojenia koni), leży miasteczko Dżyzak, a przy niem stacja pocztowa nad rzeczką z gorzkawą wodą, gdzie jest szczególnie dużo zarazków „ryszty".

Trzecią specyficznie miejscową chorobą Kaszgarji, no, i Turkiestanu, jest „jara" (rana). Polega ona na tem, że robi się pryszcz,

który rwie i nie goi się, pomimo wszelkich leków naszych doktorów. Krajowcy zalepiają wrzodzik jakąś czarną lepką maścią, która zasycha i po 2—3 tygodniach odpada, zostawiając głębokie blizny. „Jara“ zjawia się najczęściej na miejscach odkrytych i na rękach, twarzy lub szyi, zwykle u dzieci lub kobiet z wrażliwą skórą.

Nigdy nie zdarzyło mi się widzieć „ryszty“ lub „jara“ u osób w wieku podeszłym lub starych. Rzecz ciekawa, że do roku 1896, kiedy opuszczałem Turkiestan, przenosząc się na służbę na Daleki Wschód, lekarze rosyjscy nie dociekli przyczyn tych chorób i nie umieli ich leczyć, tak, że Europejczycy, a szczególnie dzieci ich, które zapadały na te choroby, musiały się leczyć u krajowców. Znachorzy—krajowcy sądzą, że choroba powstaje od ukąszenia nieznanej muchy.

Wreszcie jest jeszcze jedna choroba, będąca jednak właściwością nietylko Azji Środkowej — trąd (machau). Trędowatych w każdem większem mieście Azji jest stosunkowo dużo, tylko na skutek postanowień, zawartych w Koranie, w miastach muzułmańskich ludzi tych z całą bezwzględnością usuwa się z miasta do tak zwanych „machan kiszłaków“. Chodzić po mieście im nie wolno. Siedzą zwykle rzędem przed bramami miast i żebrzą, wystawiając na pokaz swe okropne rany. Krajowcy dają im chętnie jałmużnę, ale nigdy do ręki, tylko zawsze do miski, którą wystawia trędowaty zdaleka (często na kiju). Kiedy urzędowałem jeszcze w starym Margelanie, w celu zbadania trądu przyjeżdżał tam prof. uniwersytetu dorpackiego, M. Ponieważ w mieście żadnego lokalu, możliwego dla Europejczyka, nie było, umieściłem go u siebie. Czcigodny uczony twierdził, że trąd nie jest tak zaraźliwy, jak się powszechnie przypuszcza, i że przy pewnych środkach ostrożności możliwość zarażenia się jest wyłączona. Przyjmował u siebie chorych, brał do badania ropę i t. d. Dobrze się stało, że po wyjeździe jego nietylko kazałem pokój, gdzie mieszkał, odnowić, ale i meble spalić, gdyż potem dowiedziałem się, że szanowny profesor zaraził się trądem, ciężko zachorował i umarł w parę lat potem po ciężkich cierpieniach.

Mniej więcej o trzydzieści kilka kilometrów od Jarkiendu kończy się oaza kulturalna, i droga snuje się po terenie słonym, między wysokiemi barchanami piasku, porosłemi gęstą trzciną. Okolica ta nosi nazwę Tokuz-Kupriuk (dziewięć mostów) i stanowi teren napadów band zbójeckich na karawany handlowe i na podróżnych. Krajowcy są przekonani, że naczelnicy band płacą

haracz stały władzom chińskim i tylko dlatego mogą grasować bezkarnie w ciągu całych lat. Bezczelność bandytów doszła do tego, że banda ma swych przedstawicieli w Jarkiendzie i w Kargałyku, którzy, jak w każdym innym interesie handlowym, za pewien procent ubezpieczają karawany od napaści i wydają im listy ochronne. Nie było wypadku, żeby ubezpieczoną karawanę kiedykolwiek ograbiono.

Piaszczyste barchany kończą się nad rzeką Tiznaf. Mostu niema. Bród jest głęboki, i nawet o tej porze roku woda dochodzi do siodła. Przeprawa to trudna z powodu bystrości prądu i bar-

Wyznawca sekty Kalendar, śpiący na cmentarzu, który ta sekta zamieszkuje, (s. 212).

dzo kamienistego dna rzeki. Koryto rzeki, szerokości około pół kilometra, w lecie całe wypełnia się wodą, i w czasie silnych upałów, kiedy woda z lodowców górskich pędzi z szaloną szybkością, po kilka dni przeprawy niema wcale, lub też trzeba szukać jej wyżej albo niżej od drogi, koryto rzeki bowiem zmienia się bardzo często. Przeprawa na łódkach jest niemożliwa z powodu bardzo szybkiego prądu.

Przeprawiwszy się na prawy, wysoki brzeg Tiznafu, przebyliśmy około 8 kilometrów brzegiem rzeki, to schodząc na samo koryto rzeki i idąc wśród pól ryżu, to znowu wznosząc się na

wysoki brzeg, aż do kanału Aryk-Chodża. Dalej na przestrzeni około 24 kilometrów do m. Kargałyku wodę można było znaleźć tylko w studniach, chociaż pięknie uprawne pola i dobrze zadrzewione wioski wskazują, że w lecie kraj ten posiada obfitość wody. Wynika to stąd, że teren ów leży znacznie wyżej od zimowego poziomu wody i może być sztucznie polewany tylko wiosną i latem, kiedy stan wody w rzece Tiznaf jest znacznie wyższy, niż w zimie. Nie chcąc budować kosztownych śluz dla podwyższenia poziomu wody, krajowcy wolą kopać studnie, z których korzystają przez całą zimę, i w ten sposób obywają się bez wody bieżącej.

Miasto powiatowe Kargałyk należy do okręgu jarkiendskiego i w ogólnych zarysach przypomina Jangi-Gisar, tylko niema tu twierdzy, t. zw. Jangi-Szaara, tak, że urzędy chińskie i sklepy Chińczyków znajdują się pośród miasta muzułmańskiego, co jest prawdziwą plagą dla krajowców. Droga podbiega do ulicy głównej, na noc zamykanej na bramę z drewnianych sztachet, i wśród domów i sklepów prowadzi do środka miasta, przez który przepływa głęboki i obfitujący w wodę kanał. Przez most wchodzi się na rynek, gdzie mieszczą się urzędy, mieszkanie naczelnika okręgu, sklepy chińskie i langar (zajezdny dom rządowy) dla podróżnych. Tam zatrzymaliśmy się na noc.

Wogóle miasto liczy conajmniej 3 500 domów, t. j. około 40 000 mieszkańców. Prowadzi ono ożywiony handel, między innemi z oryginalnym szczepem górali, zamieszkujących doliny rzek: Kiujdy, Pachpu, Czukszy, Julung oraz Bulung, stanowiących źródła Tiznafu. Okolice owe zwiedziłem później (w 1889 roku), przedostawszy się tam od strony pustyni Raskemu, i zapoznałem się z głównemi szczepami tych górali, którzy nie mają nic wspólnego ani z osiadłą ludnością Kaszgarji, ani z koczującymi w górach Kirgizami.

XIX.

PLEMIONA GÓRSKIE. TOGLICY. ICH ZWYCZAJE I OBYCZAJE. PUSTYNIA TAKLA-MAKAN. ŚLADY MIASTA TAKLA-MAKAN. DALSZA DROGA DO OAZY GUMA. GUMA. SEKTA KALENDAR. PYALMA. KUM-RAWAT. GOŁĘBIE ŚWIĘTE.

Sami oni nazywają siebie Toglikami (góralami). Typem swym Toglicy przypominają mieszkańców południowo-zachodniej Kaszgarji, chociaż spotyka się między nimi często piękne twarze, o typie czysto tadżykskim. Górale mówią po kaszgarsku, niedźwięcznem, gardłowem narzeczem jarkiendskiem. Wyznają wiarę muzułmańską, sekty sunitów; są bardzo nabożni, ale nie fanatyczni. Ubierają się w koszule białe, z grubej materji bawełnianej i w takież spodnie. Jako ubranie wierzchnie, noszą chałat watowany z takiej samej materji bawełnianej, ufarbowanej na bronzowo, oraz kożuch barani bez pokrycia. Na nogach mają długie, sięgające aż za kolana pończochy wojłokowe i łapcie z byczej skóry, szerścią do góry, (zupełnie przypominające łapcie Litwinów lub Żmudzinów); sznurki od łapci okręcają dokoła nogi i zawiązują je pod kolanami. Na głowie noszą ostrokanciaste czapki futrzane, futrem do środka. Tylko bardzo zamożnych Toglików widziałem w czorykach, t. j., w butach skórzanych na miękkiej podeszwie i bez obcasów, wygodnych do chodzenia po górach.

Główne zajęcie Toglików—to hodowla owiec. Ubogie ich pastwiska są powodem, że mogą oni trzymać tylko niewielką ilość koni, jaków i wielbłądów. Krów i mułów nie widziałem tam zupełnie. Zato hodowla owiec kwitnie, i często spotykałem wielotysięczne stada. Owce są białe, nieduże, prawie bez „kurdiuków“

tłuszczu, lecz z szerścią miękką i z cienkim włosem. Oprócz tego, wszyscy Toglicy trudnią się rolnictwem, które stanowi coprawda, zajęcie poboczne, gdyż wąskie wąwozy, zamieszkane przez nich w małym stopniu nadają się do uprawy roli. Pola zalegają wąskiemi tarasami na zboczach gór i są bardzo starannie uprawiane, lecz z powodu, że ziemie te leżą na wysokości 3 000 metrów n. p. m., dojrzewa na nich tylko jęczmień. Nie wystarcza go jednak na potrzeby ludności, co zmusza Toglików do sprowadzania mąki (przeważnie kukurydzowej, mniej pszennej) aż z Kargałyku, o 12—14 dni drogi. Mąkę przywożą na jakach, rzadziej na wielbłądach, prawie nigdy końmi ze względu na trudną, kamienistą drogę. Toglicy wyrabiają cienkie, białe wojłoki, ładne dery na konie i śliczne różnobarwne tkane kurżuny (wory szerokie, połączone z sobą, w które kładzie się pakunki i przerzuca je przez konia albo jaka). Wyroby te sprzedają w Kargałyku, albo wymieniają tam na mąkę lub ryż.

Toglicy żyją chlebem i zupą z mąki, okraszoną mlekiem, twarogiem owczym, rozpuszczonym w gorącej wodzie, lub masłem. Mięsa jedzą mało, chyba podczas wielkich świąt rodzinnych, kiedy trzeba dobić chore bydlę, lub też przyjmując bardzo znakomitego gościa. Wtedy zjawia się i płow, ulubiona potrawa wszystkich ludów Azji Środkowej.

Toglicy mieszkają w jurtach wojłokowych, typu kirgiskiego, lecz brudnych, ciasnych, często zupełnie dziurawych, które nazywają ak-uj (biały dom). Nazwa przeto nie odpowiada rzeczywistości. Dużych, pięknych jurt, jakie się spotyka w każdym aule kirgiskim, wśród Toglików nie widziałem nigdy.

Pośrodku jurty stoi niewielki, ulepiony z gliny piec, około którego w zimie skupia się cała rodzina i goście. Za opał służy gnój barani, dający dużo żaru, ale mało ognia. Na piecu gotują jedzenie i pieką małe placuszki z mąki, nad piecem zaś suszą mokrą bieliznę lub ubranie. Oprócz jurty, każda rodzina górali obowiązkowo posiada swój dom, ułożony z cegiełek z wysuszonej gliny, o dachu zupełnie płaskim, na którym suszą ziarno, owcze sery i inne przedmioty. W domach jednak górale przebywają rzadko, chyba podczas bardzo mroźnej zimy, zazwyczaj przekładając nad dom swe dziurawe jurty.

Roślinność w Pachpu jest bardzo nikła. Trawa rośnie tylko w pasie alpejskim pod przełęczą; na zboczach zaś — tylko caragana-jubata, po kirgisku tiuja-ujriuk (wielbłądzi ogon), a po toglicku-czusz-kun, którą jedzą wielbłądy.

Dalej w dole — zbocza skaliste, a wąwóz tak się zwęża, że słońce w zimie na dno jego sięga tylko na 2—3 godziny dziennie. Miejscami na brzegu rzeki trafia się nikła wierzba, cierń, lub głóg. Krajowcy mówili mi, że w niższej części doliny zdarzają się drzewa, które służą im za belki do dachów. Owoców, warzyw niema żadnych. Lato jest gorące i duszne, zima — mroźna. W Pachpu byłem w początkach listopada; termometr wskazywał — 22° C., a średnia temperatura dzienna wynosiła — 10° C. Opadów, pomimo znacznej wysokości n. p. m., jest nadzwyczaj mało, i tereny, na których krajowcy nie mogą zaprowadzić sztucznego nawodnienia, leżą odłogiem bez uprawy.

Toglicy są usposobienia cichego i temperamentu spokojnego, bardzo uczciwi i uprzejmi, przy łagodnem obchodzeniu się z nimi rozmowni, lecz dokuczliwie ciekawi. Wszystko chcieliby wziąć do rąk i wiedzieć, do czego służy.

W jurcie każdego Toglika wisi strzelba, ale górale ci nietylko nie są narodem wojowniczym, lecz nawet nie mają w sobie żyłki myśliwskiej. Sami stwierdzają, że nie mogą dać rady Kandżutom, którzy 32 razy ograbili Pachpu tak steroryzowali mieszkańców, iż wolą oni płacić ustanowioną daninę, niż żyć pod ciągłą grozą pogromu. Zresztą tej samej taktyki trzymają się i inni sąsiedzi wojowniczych Kandżutów, jak Kirgizi Ak-su i Dangnyn-Basz Pamirów, Tadżycy Sarykoła, Wancza i Tunga — wszyscy poddani chińscy, których administracja chińska nie chce, czy nie może, obronić przed Kandżutami i którym sama radzi wejść w polubowne z nimi układy, płacić, co każą, i mieć spokój.

W czasie mojej bytności w Pachpu zjawili się posłowie z Kandżutu celem otrzymania 2-ch jamb srebra dla chana i nadto czegoś dla siebie „za fatygę". Toglicy zakrzątnęli się, żeby jak najprędzej zebrać daninę i pozbyć się nieproszonych gości.

Dawniej Toglikami rządzili ich właśni bekowie rodowi. Obecnie Chińczycy mianowali nad nimi beka Chodża-Jara, nic wspólnego z Toglikami nie mającego.

U źródeł Tiznafu jest 5 gmin Toglików [1]), ogółem 700 domów. Każda gmina ma swego juz-basza (setnika). Najliczniejsza z nich, Czukszy, liczy do 400 domów; najbiedniejsza, Kiujdy, 20—30 domów. Gmina ta dotychczas nie może przyjść do siebie po ostatnim pogromie, dokonanym przez Kandżutów, który zdarzył się 5—6 lat temu.

[1]) Kiujdy, Pachpu, Czukszy, Julung i Bulung.

Oprócz tych gmin nad średnim Tiznafem mieszka jeszcze 6 innych, ogółem do 800 domów [1]).

Wreszcie 200 domów Toglików mieści się w dolinie rzeki Goz i 300 w dolinie rzeki Pszypija, dorzeczu rzeki Kara-Kosz Darji.

Ogółem posiadają więc Toglicy w całej Kaszgarji około 2.000 domów. Skąd się wzięli Toglicy w górach Kaszgarji, dociec trudno; jednak nie ulega wątpliwości, że część ich przeszła z Raskemu stosunkowo niedawno, jakieś 100 — 120 lat temu, gdyż w Pachpu odróżniają dwa rody Togliков: Raskem i Kiujdy.

Wędrowny bard z cytrą w południowej Kaszgarji, (s. 216).

Zresztą wszystkie 11 gmin w dorzeczu Tiznafu, jak również gminy w dolinach rzek Goz i Pszypija pozostają z sobą w bliskiem pokrewieństwie. Gminy w dorzeczu Tiznafu sądzi jeden kazi, którego wybiera cała ludność. Oprócz tego, każda gmina ma swego imam-achuna, który daje śluby, czyni obrzezanie, odczytuje modlitwy za umarłych i t. p.; za posługi religijne imam-achun otrzymuje 2 metry perkalu, „tuszę“ barana, tacę chleba. Sprawy drobne roztrząsają starcy gminy łącznie z imam-achunem. Ważniejsze sprawy, a także sporządzanie wszelkich dokumentów leży w kompetencji kazia, który wogóle wszelkie sprawy sądzi na podstawie Koranu.

Przebywając stosunkowo niedługo wśród Togliков, nie mogłem zbadać, czy są jakie różnice między ich obyczajami a obyczajami innych narodów muzułmańskich. Zwróciłem jednak uwagę na to, że kobiet swych nie ukrywają oni przed obcymi. Zatrzymując się czasami na nocleg w jurtach toglickich, osobą swoją nie wywoływałem żadnego zamieszania. Kobiety spełniały swe obowiązki gospodarskie tak, jakby mnie w jurcie nie było.

Druga różnica polega na tem, że mężczyzna, biorąc żonę, nie wpłaca kałymu, t. j., nie daje za nią okupu. Najbogatszy Toglik,

[1]) Mumyk, Usas, Gusas, Ustusz, Szychpu, Azgan-sal.

żeniąc się, daje rodzicom żony: 1 jaka, 9 baranów, 8 pudów mąki, 2 pudy ryżu i 20 f. masła, a przyszłej żonie — dwa chałaty, dwie koszule, czapkę ze złotogłowia i miękkie buty. Biedniejszy narzeczony składa w darze tylko 2 barany i w takim stosunku inne produkty i przedmioty. Bydło i produkty spożywcze przeznaczone są na ucztę weselną, podarowane zaś ubranie narzeczonej wraca do domu nowożeńca wraz z żoną.

Obrzezania chłopców dokonywa się, skoro ukończą oni 7—8 lat. Dziewczynki wychodzą zamąż, mając 12 — 14 lat, przyczem niema zwyczaju, aby w razie rozwodu wymagać zapłaty „machr'a", t. j. wynagrodzenia za niewinność. Rozwód, jak wszędzie u muzułmanów, jest bardzo łatwy. Wystarcza, gdy mąż, chociaż w gniewie, powie trzy sakramentalne wyrazy: „ucz talak kujdym" (trzy razy oswobodziłem cię), aby dalsze współżycie małżonków było nieprawne.

Co do podatków, jakie Toglicy płacą władzom chińskim, te są równoznaczne z podatkami, płaconemi przez mieszkańców Kaszgarji, z tą różnicą, że ziemie górali są zaliczone do III kategorji, przytem chociaż w Pachpu nie rośnie nic, oprócz jęczmienia, jednak górale muszą dostawić do Kargałyku należną z ziemi ilość ziarna kukurydzą i pszenicą.

Dla pobrania cła od każdej rzeczy sprzedanej lub kupionej są wyznaczeni specjalni celnicy (badżgiry).

Pastwiska uznane są za własność państwową, i za prawo wypasu administracja chińska pobierała od stu baranów równowartość 2 rb. 40 kop. Najcięższe jednak są świadczenia osobiste. Naonczas Chińczycy w dolinie Kiujdy wypławiali miedź, i każda gmina musiała dostarczyć po 100 robotników nietylko darmo, ale i na własnem utrzymaniu. Na rok przed moim pobytem w owych stronach administracja budowała urzędy, i cały materjał leśny musieli Toglicy wyciąć i dostawić darmo do Kargałyku.

Z Kargałyku do Chotanu prowadzą dwie drogi: jedna przez oazę Guma, bardziej zagłębioną w pustynię Takla-Makan, druga przez oazę Sandżu, więcej zaciśniętą w góry Kuen-Lun. Poszliśmy przez oazę Guma, wróciliśmy zaś z Chotanu przez oazę Sandżu.

Z Kargałyku wyszliśmy 19 października, do Chotanu doszliśmy 24-go, zrobiwszy w 6 dni 259 kilometrów.

Ogólny charakter tych okolic to piaszczysta pustynia, na której zrzadka trafiają się oazy kulturalne, zupełnie nikłe, w porównaniu z ogromnemi obszarami lotnego piasku, który przenika wszędzie, zasypuje i niszczy wszystko.

Po wyjściu z miasta, mijaliśmy chińskie składy prowjantury, dokąd krajowcy zwożą ziarno, należne rządowi, jako podatek rolny. Składy mieszczą się w dwóch dużych budynkach, obwarowanych wysokim murem. Nieco dalej droga się rozdwaja: jedna prowadzi do Kaszmiru przez oazę Sandżu i wioskę Kiljang. Jest to główna droga handlowa między Indjami a Chinami, którą ciągną wszystkie karawany z towarami. O 2½ kilometra od miasta wznosi się pawilon, gdzie administracja chińska wita swą władzę wyższą, a znów trochę dalej—droga spuszcza się w koryto rzeczki Bisz-Aryk-Ustang, zupełnie suche w tej porze roku, gdyż woda z gór nie dochodzi do tego miejsca; na potrzeby wioski Bisz-Aryk używa się źródlanej. Szerokość koryta rzeczki, które w lecie wypełnia się wodą, dochodzi do trzech kilometrów; bród jednak nie jest trudny właśnie z powodu szerokości koryta. Wioska Bisz-Aryk posiada 8 dzielnic i liczy około 2 000 domów. Za wioską poczyna się piaszczysta pustynia zaraz od tego miejsca, dokąd nie dochodzi woda z rzeczki Bisz-Aryk. O 20 kilometrów od Kargałyku droga przechodzi około Akyn-Langaru, składającego się z kilku domów z pokojami dla podróżnych. Przez Akyn-Langar biegnie potok czystej wody źródlanej. Wokoło na stepie — gęste zarośla cierni i tamaryszku. Dalej na przestrzeni 67 kilometrów wody bieżącej niema; ludzie i zwierzęta korzystają z wody w rzadko odświeżanych cysternach.

O 28 kilometrów od Kargałyku—zajazd Kasz-Langar (Gungang). Jest to duży kwadratowy budynek z palonej cegły, z dachem w rodzaju kopuły, a w nim 20 dużych pokojów, których drzwi wychodzą na ogólne podwórze. Pokoje, zajmujące środek budynku, połączone są prócz tego między sobą. Przed Langarem stoi meczet i wzniesienie dla muedzina. Przy Langarze jest duży staw, w którym wodę odświeża się raz na 2 miesiące przez kanał, przeprowadzony od źródeł z wioski Bujra.

Osobliwością Langaru jest to, że pokoje, galerje, oraz podwórze wymoszczone są ogromnemi cegłami, których każda strona ma około 42 centymetrów. Cegły te, wypalone znakomicie, mają kolor szaro-niebieskawy i wyglądają, jak wykute z marmuru. Wypalone one zostały w wiosce Guma, i stamtąd na wielbłądach dostawiono je do Langaru, który wybudował przed 25 laty Jakób-Bek. Budowa całego Langaru była tak dobra, że pomimo, iż ćwierć wieku stał on bez remontu, wyglądał tak, jakgdyby był świeżo wykończony. Przy Langarze mieszkają 2 rodziny Kasz-

garczyków, którzy baczą na porządek i usługują podróżnym, mając na sprzedaż trochę paszy dla koni, drzewa na opał i chleba.

O parę kilometrów od Langaru wznosi się wysoka, obszerna baszta z palonej cegły. Ma to być jedyna pamiątka ogromnego miasta, które kiedyś istniało w tej miejscowości. Ale rzeka, płynąca z gór, która je zaopatrywała w wodę, wyschła; mieszkańcy porzucili miasto, które powoli zasypały piaski.

Za Kosz-Langarem droga na przestrzeni 25 kilometrów biegnie po piaszczystej pustyni, pozbawionej wszelkich objawów życia. Jak okiem sięgnąć, na horyzoncie widać tylko wysokie barchany lotnego piasku. Po drodze dużo trupów jucznych zwierząt, szczególniej osłów, których, jak mówiłem, w Kaszgarji jest najwięcej. W pustyni tej, zdaje się, niema ani wilków, ani szakali, ani nawet drapieżnych ptaków, gdyż trupy osłów są nietknięte; z powodu nadzwyczajnej suchości powietrza nie gniją one, lecz wysychają, jak mumje, i dziesiątki lat służą podróżnym za drogowskazy. Te stepy pustynne w zimie i w lecie nawiedzają silne szkwały powietrzne. Obłoki drobnego piasku zasłaniają horyzont, a wiatr zasypuje piaskiem wszelkie ślady drogi. Na przestrzeni kilku kroków już nic nie widać; wszystko niknie w tumanach drobnego pyłu. Karawany lub podróżni, zaskoczeni przez burzę, zatrzymują się na miejscu i wyczekują jej końca, obawiając się stracić drogę i zbłądzić w pustyni. Krajowcy opowiadają mnóstwo zdarzeń, gdy całe karawany, straciwszy drogę i błądząc po pustyni, ginęły z głodu i z pragnienia. Z rozporządzenia Jakóba-Beka, utrzymywanego w mocy i przez władzę chińską, wzdłuż drogi, co 50 kroków, wkopane są wiechy, albo owiązane słomą lub cierniem, albo też z przywiązanemi do nich głowami lub kośćmi jucznych zwierząt. Przechodzące karawany uważają za święty obowiązek podtrzymywać te wiechy, podnosząc i stawiając przewrócone przez wiatr, lub zastępując zerwaną przez wichry słomę i wiązanki cierniowe kośćmi zwierząt. Podczas pogody wytyczną linję wiech widać daleko, ale w czasie burzy wszystko ginie w morzu piasku, wirującego w powietrzu, i człowiek traci orjentację. Z roku na rok zwiększa się kronika nieszczęśliwych wypadków w pustyni.

Droga między Kosz-Langarem i następnym Czulak-Langarem przecina trzy pasma wysokich barchanów lotnego piasku, które po każdej burzy zmieniają wygląd zewnętrzny i przesuwają się z miejsca na miejsce, zachowując jednak ogólny kierunek z północnego wschodu na południowy zachód.

Miejscowość ta nosi nazwę Taklamakan-Kum. Według podania, i tu także było niegdyś ogromne miasto, zasypane przez lotne piaski. Rzeczywiście, wracając z Chotanu, przebywałem te okolice po trzechdniowym huraganie, który w pewnych miejscach poznosił lotne piaski, odsłaniając twardy pokład ziemi: otóż przez jeden z takich terenów szliśmy na przestrzeni paru kilometrów po gruncie, pokrytym bitą cegłą paloną, skorupami różnokolorowej emalji i grubego szkła, często rzeźbionego lub inkrustowanego. Jadący ze mną kozacy zebrali parę monet miedzianych, ale tak zniszczonych i zaśniedziałych, że nie udało mi się odczytać na nich nawet słabych śladów jakichkolwiek znaków.

Sądzę, że specjalista-archeolog znalazłby tam ciekawe pole dla badań, począwszy od zwalisk starożytnej baszty w Kosz-Langarze. Ostatnia przed wielką wojną wyprawa naukowa pułkownika Kozłowa do pustyni Gobi przypadkowo odkryła zasypaną przez piasek basztę starożytną, a w niej mnóstwo rękopisów mongolskich, które Kozłow przesłał do Bibljoteki publicznej w Petersburgu. Rękopisy te dotychczas nie są opracowane, ale nawet pobieżny ich przegląd, jak mówił mi sam Kozłow, dostarczył dużo nieznanych materjałów do wyjaśnienia dziejów Wielkiego Mogoła i zasypanej obecnie piaskami stolicy jego, do której przed sześciu wiekami przedsięwziął był długą podróż znakomity podróżnik Marco Polo.

Czulak-Langar (Gungang) zbudowany jest na lewym. wysokim brzegu głębokiego wąwozu, na dnie którego urządzono kwadratową cysternę. Każda strona kwadratu ma 140 kroków. Głębokość jej wynosi $1^1/_4$ metra. Wodę do cysterny sprowadza się dwa razy do roku, na wiosnę i w jesieni, z rzeczki Kiljang właśnie przez ten wąwóz. W razie wielkich upałów, kiedy cysterna wysycha, administracja zarządza przeprowadzenie wody jeszcze jeden raz w lecie, co połączone jest z wielkiemi trudnościami technicznemi i z ogromnym kosztem.

Czulak Langar zbudował Jakób-Pek. Jest on zupełnie taki sam, jak Kosz Langar. Na wierzchu kopuły, na dachu, w nocy pali się ogień, wskazujący spóźnionym karawanom położenie Langaru. Takie ognie palą się na dachach wszystkich rządowych langarów i są dobrodziejstwem dla podróżnych. Za Jakóba-Beka na dachach umocowane były ruchome deski z przymocowanemi do nich dzwonami. W czasie wichury, kiedy ogień nie mógł się palić, deski poruszały się pod naciskiem wiatru, i dzwony dzwoniły, dając znać podróż-

nym o miejscu, gdzie się langar znajduje. Chińczycy dzwony zdjęli, ale ognie stale podtrzymują.

Przy Czulak-Langarze są przybudówki w stylu chińskim, w których mieszka chiński urzędnik pocztowy i 5 pocztowych dżygitów. Urzędnik ten z polecenia administracji sprzedaje podróżnym opał, a także koniczynę i kukurydzę dla koni po cenach, zatwierdzonych przez naczelnika okręgu. Zapasy tych produktów były dość znaczne, a ceny w czasie mojego przejazdu niewysokie.

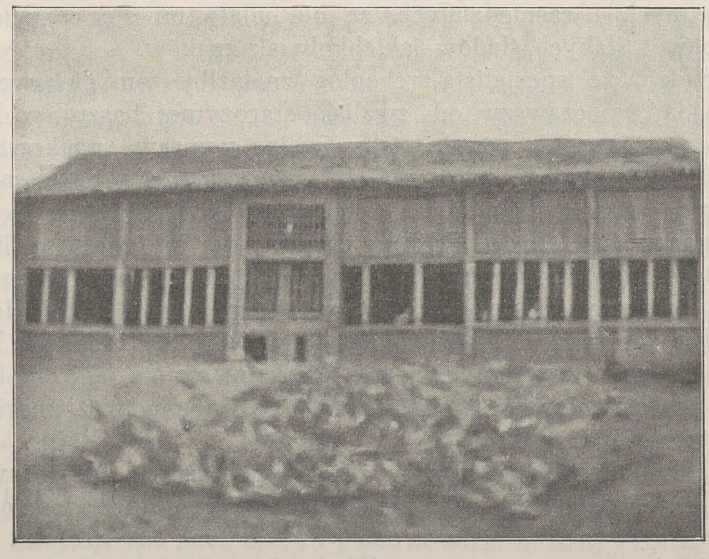

Gołębnik przy Kum-Rawacie w pustyni Takla-Makan.
Gołębie spotykają zabłąkanych podróżnych daleko w piaskach i wskazują drogę do Rawatu, (s. 217).

Tak np. dżyn (½ kg.) drzewa do gotowania jedzenia kosztował 1 kop., dżyn koniczyny 4 kop.; i 5 kg. kukurydzy 35 kop. Produktów tych dostarczała miejscowa ludność z wiosek Gumy i Kiljangu, spełniając przez to jedno z ciężkich świadczeń osobistych.

Od Czulak-Langaru do miasteczka Gumy jest 36 kilometrów, i droga przeważnie biegnie również przez piaski, czasami tylko przecinając pola kamieniste, po których na wiosnę spływają z gór wiosenne wody. Trochę krzaków tamaryszku i cierni rośnie tylko w wąwozie Czulak-Langaru. Znaczna ilość trupów zwierząt wzdłuż drogi dowodzi trudności, jakie są połączone z tym przejazdem.

Wodę w małych i zabłoconych cysternach spotyka się tylko przy langarach Syrlik i Gadżib. W langarach tych, małych i brudnych, podróżni zatrzymują się w ostateczności, zaskoczeni burzą lub nocą.

Od Gadżyb-Langaru do Gumy 14 kilometrów drogą bardzo kamienistą.

Przed wjazdem do miasteczka, w miejscu, gdzie droga rozchodzi się w trzech kierunkach, zbudowane są dwa langary: jeden (Gungang) przez Jakóba-Beka, drugi naprzeciw niego przez Chińczyków. W nich zatrzymują się wszyscy ci, co nie mają koniecznej potrzeby zajeżdżania do miasteczka.

Oaza Guma znajduje się przy końcu rzeczki Kiljang, z której wodę ludzie wyczerpują do ostatniej kropli. Oaza składa się z 3-6 wiosek. Do miasteczka od langarów prowadzi droga środkowa; dwie inne okrążają oazę z północy i z południa. Niedaleko od langarów, które zbudowane są z niewypalonej cegły i w niczem nie przypominają monumentalnych budynków, opisywanych powyżej, droga schodzi do suchego koryta rzeki Kiljang, przebiega na drugi brzeg i prowadzi do miasta. Latem, w czasie silnych roztopów w górach, korytem, zwykle suchem spływają resztki wody i poza oazą giną w piaskach.

Przez środek miasteczka ciągnie się kanał, obficie zaopatrzony w wodę zapomocą śluz z rzeki Kiljang. Ulice w mieście są bardzo wąskie, a mosty na kanałach zdatne tylko do przejścia juków, tak, że arby do miasta nie wchodzą i drogą kołową okrążają je z południa. Miasteczko liczy około 2 000 domów i 20 000 mieszkańców, ma rynek i kilkanaście sklepów, które zaspokajają potrzeby krajowców. Oaza prowadzi znaczny handel cienkiemi wojłokami, które, jak mówiłem, mają znaczny zbyt w całej Azji środkowej. Guma koni trzyma mało, wielbłądów nie ma, arb nie używa z powodu ciężkiej drogi piaszczystej, wszystkie zaś ciężary przewozi na osłach lub na wołach i krowach. Do kierowania niemi wkłada się im w nozdrza drewniane kółko, do którego przywiązany jest sznurek. Na krowach i wołach jeżdżą wierzchem, ale, naturalnie, tylko stępa. Przy karmieniu kółko drewniane podciąga się do góry za sznurek, który się okręca dokoła rogów: w ten sposób nie przeszkadza ono bydlęciu jeść.

Następny nocleg mieliśmy w wiosce Mudży, o 36 kilometrów od oazy Guma. Pierwsze 10 kilometrów drogi—to ścieżka, wijąca się między polami poszczególnych osad, zdatna tylko dla juków; dalej łączy się ona z drogą kołową, która okrąża miasteczko. Cha-

rakter okolicy jest ten sam, co przedtem: szczera pustynia lotnych piasków, z wysuszonemi trupami zdechłych zwierząt jucznych, lub rozległe kamieniste polany, pozbawione śladów życia.

W miejscowościach, gdzie blisko znajduje się woda zaskórna lub dokąd choć czasami latem dochodzi woda z rzeczek górskich, barchany lotnego piasku pokryte są drobnemi zaroślami tamaryszku i osobliwego rodzaju wierzby (salix sp?, miejscowa nazwa—jułgun), która ma bardzo długie korzenie, głęboko rozgałęzione w piasku. Korzenie te, wysuszone, doskonale się palą; krajowcy, wydobywając je, rozsypują piaszczyste barchany, przez co ułatwiają wichrom przenoszenie piasków na nowe obszary.

Drugim środkiem, zatrzymującym lotne piaski, jest dziki owies (po kaszgarsku czyj), który rośnie dużemi kępami i wzmacnia powierzchnię piasku. Czyj daje wysoką do 1 metra, twardą słomę, z której wyrabiają misterne maty, zastępujące parawany lub makaty na ścianach. Dlatego krajowcy chętnie ścinają słomę, a owce zjadają młode pędy owsa, nie dając kępie urosnąć i umocnić piasku.

Wioska Mudży liczy około 500 domów; otrzymuje wodę z rzeczki Sandżu, płynącej z gór Ałtyn-Tagu. Do Mudży dochodzą resztki wody, których nie wyczerpała oaza Sandżu, znajdująca się o 24 kilometry wgórę rzeki. Przechodzimy koło dużego cmentarza, który, jak wszystkie cmentarze w południowej Kaszgarji, wygląda, niby lasek uschłych drzew. Pochodzi to stąd, że do mogiły nad głową umarłego wkopuje się długą żerdź, na której rodzina i krewni często przywiązują rozmaite fetysze, np. rogi dzikich zwierząt, ogony jaków, lub nawet różnokolorowe gałgany; że zaś mogiły leżą blisko jedna obok drugiej, więc mnóstwo żerdzi, nieoczyszczonych z kory, zdaleka wywiera wrażenie lasku, w którym drzewa uschły.

Na niektórych cmentarzach, szczególnie po miastach i większych wioskach, stale mieszkają wyznawcy sekty Kalendar. Jest to bractwo, rodzaj zakonu mnichów, który nie ma prawa posiadania swej własności, nawet stałego mieszkania. Wskutek tego ludzie ci w zimie mieszkają w opuszczonych przez krewnych, walących się w gruzy grobowcach, latem zaś — na odkrytych miejscach cmentarzy. Członkowie sekty nie pracują, nie żebrzą, nie obcują z ludźmi; żyją, jak pustelnicy, z tego, co im przyniosą litościwi ludzie na cmentarz. Czas przechodzi im na modlitwie i religijnem rozmyślaniu. Kalendarzy mają przeora (Pir), mieszkającego w kl sztorze w Jarkiendzie. Zbierają się oni w określonych przez Pira miej-

scach na wspólną modlitwę, po której następują ćwiczenia pod przewodnictwem starszych w zakonie braci.

Do ćwiczeń członkowie sekty siadają rzędem, albo stają wkoło i, wołając głośno: „Jo — chija“ (jedno z Imion Boskich), pochylają się wszyscy jednocześnie naprzód i wtył. Tempo wykrzykników i pochylań stopniowo się zwiększa, aż wreszcie któryś z braci, wycieńczony głodem i bardziej nerwowy, dostaje histerycznego napadu, podczas którego z ust toczy mu się piana, a język bełkoce wyrazy niezrozumiałe. Jest to oznaka, że Bóg wstąpił w ciało epileptyka. Przewodniczący stara się uchwycić chociażby oddzielne wyrazy chorego i tłumaczy znaczenie ich w formie przepowiedni

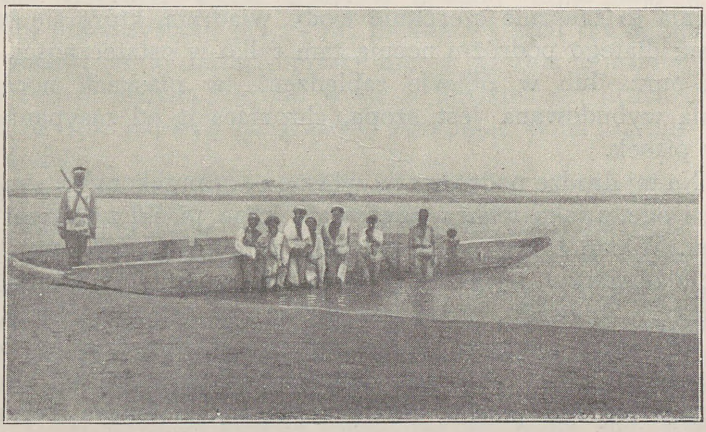

Przeprawa na łódkach przez rzekę Kara-Kasz-Darję w lecie, (s. 220).

Bożej. Takie ćwiczenia odbywają się czasami publicznie na placach, gromadząc tłumy ludzi, czasami w domach, ale przy otwartych drzwiach, tak, że każdy przechodzień, słysząc okrzyki „Jo-chija“ może wejść, na co zatopione w modlitwie bractwo nie zwraca, wcale uwagi. Na histeryka w transie, jako na człowieka, wybranego przez Boga, sypie się jałmużna — i ćwiczenie skończone!

Członkowie bractwa przeznaczają część zebranej jałmużny na życie, resztę odnoszą do starszych zgromadzenia, którzy zkolei odsyłają zebraną sumę przeorowi. Sekta ta jest popularna w Kaszgarji, i bogobojni ludzie, szczególnie kobiety, nie szczędzą jej jałmużny.

Bractwo Kalendar ma swoje gniazda i w innych miejscowościach Azji środkowej. Częściej jednak można tam spotkać der-

wiszów z sekty, pokrewnej derwiszom Indyj, z któremi pozostają oni w stałej łączności.

W wiosce Mudży jest kilka prywatnych langarów, z których wygodniejszy należy do Mułła Chamidułły. Jest również urtuga chiński, w którym mieszka chiński urzędnik pocztowy i kilku dżygitów. Pola tej wioski ogrodzone są płotami z plecionych gałęzi wierzby, które przypominają płoty w Rosji. Wskutek braku drzewa kołki, umacniające płoty, zastąpiono sznurami, które często opadają.

22 października nocowaliśmy w wiosce Pijalma, przebywszy 57 kilometrów. Wodę znaleźliśmy tylko w wiosce Zang-Uja o 22 kilometry od Mudży; dalej na przestrzeni 35 kilometrów jest tylko jedna studnia w miejscowości Chodża Langar, o 9 kilometrów przed Pijalmą, z wodą bardzo słoną, na głębokości 30 metrów. Utrudnia to znacznie czerpanie wody wiadrem, które się wyciąga rękami; dlatego podróżni nocują tam tylko w ostateczności, zaskoczeni burzą lub w obawie zabłądzenia w piaskach nocą. Nad studnią wybudowana jest szopa, chroniąca ją od zasypania przez lotny piasek.

Na tej drodze podróżny na własne oczy przekonywa się o szybkości i sile, z jaką wiatry nawiewają lotne piaski z pustyni Takla-Makan. Widać, że człowiek walczył z niemi, jak mógł i umiał, ustępując z obszarów uprawnych tylko przed siłą, której niepodobna zwalczyć. Są osady, porzucone dopiero w ostatniej chwili, kiedy były już napół zasypane piaskiem; są i takie, gdzie ludzie mieszkają jeszcze dziś, choć nad chałupami ich wznoszą się olbrzymie barchany lotnego piasku, który sypie się, nawiewa coraz dalej przy słabych nawet podmuchach wiatru.

Wioska Zang-uja liczy około 300 domów i wodę otrzymuje z oazy Sandżu raz na 20 dni i to w bardzo niewielkiej ilości, tak, że nie wystarcza jej na nawodnienie zasiewów; dlatego też znaczna liczba żyznych pól z roku na rok zalega odłogiem, stanowiąc łatwą zdobycz dla lotnego piasku. Domy w tej wiosce mają ściany, splecione z gałęzi wierzbowych, otynkowanych z obydwu stron gliną. Dalej budowy tego typu spotykają się często.

O parę kilometrów od Mudży, zboku od drogi, widać lasek wysokich topoli — tugraków, rosnących pośród piasków w takich warunkach, w jakich żadne inne drzewo rozwijaćby się nie mogło. Lasek ten nazywa się Mokia.

Przeciskając się przez obszary, pokryte lotnym piaskiem, to znowu snując się po kamienistych polanach z kępami, porosłemi

tamaryszkiem i cierniem, droga za wioską Zang-uja wznosi się na pasmo wysokich barchanów piasku, szerokości 18 kilometrów; to wbiega na nie, to znowu wije się między niemi. Kopyta końskie nurzają się w miękkim piasku ruchomym, który ślady ich zasypuje w ciągu kilku minut. Barchany rozrzucone są bezładnie i tak są podobne do siebie, że, pomimo wiech, które w tej miejscowości stoją co 15—20 kroków, zbłądzić jest nadzwyczaj łatwo. Droga to bardzo ciężka; konie z trudnością wyciągają nogi z piasku i idą bardzo powoli. Maszerowaliśmy tak 14 godzin.

Wioska Pijalma stanowi przykład, jak ginęło życie i ulegały zasypaniu miasta w różnych stronach pustyni Takla-Makan. Barchany piasku zapełzły już do samej wioski i ścisnęły niektóre domy, inne zaś zasypały. Liście z drzew opadły. Pola mają wygląd równych, piaszczystych placyków; niektóre z nich tak wysoko zasypał piasek, że do dalszej uprawy nie są już zdatne, nawet gdyby jakimś cudem zjawiła się tam woda w dostatecznej ilości. Piasek z roku na rok napiera na wioskę, zasypując pola, ogrody i rujnując domy.

Wioska ta otrzymywała dawniej wodę ze źródeł rzeki Dua, które teraz wysychają. Od 5 lat do wioski dochodzi tylko woda deszczowa, jeżeli w górach spadną obfite deszcze. W czasie mojej bytności ludność nie miała świeżej wody w ciągu 6 miesięcy. Za rezerwuar do picia służy ogromna sadzawka, położona pośrodku wioski; napełnia się ona wodą z deszczów miejscowych lub tą, co spływa z gór po wielkich deszczach. Wody w sadzawce było bardzo niewiele, tylko na samem dnie, przytem miała ona ciężki, zatęchły zapach i smak dosyć słony. Sadzawka jest źle utrzymana; przyrządów do czerpania wody niema, bydło zaś miejscowe i konie karawan przypędza się do sadzawki, jak do wodopoju, i piją one bezpośrednio z basenu. Wskutek tego woda w sadzawce w czasie wodopoju, staje się brudną kałużą, pełną mikroorganizmów.

Wogóle Pijalma przedstawia się bardzo smutnie. Połowa wioski leży w gruzach; bazar, który jeszcze za pamięci teraźniejszych mieszkańców był pośrodku wioski, obecnie mieści się na jej krańcu, i w krótkim przeciągu czasu wioska zniknie, jak zniknęły setki innych, pożartych przez pustynię Takla-Makan.

W Pijalmie rosną olbrzymie tykwy, które po wydrążeniu mieszczą 3—4 wiader i służą do przechowywania wody miejscowej, oraz przywożonej ze studni, jakie mieszkańcy kopią o 4 kilometry

poniżej wioski. W zimie topią oni lód, wydobywany ze stawu, i w ten sposób otrzymują wodę.

Wieczorem przyszedł do nas wędrowny bard z cytrą i śpiewał pieśni narodowe do późnej nocy.

Następny nocleg przypadł nam w Zawa-Kurganie, o 46 kilometrów od wioski Pijalma. Ogólny charakter miejscowości podobny jest do poprzedniego, tylko barchany lotnego piasku są cokolwiek mniejsze, a polany kamieniste większe i częstsze.

O 19 kilometrów od Pijalmy znajduje się miejscowość Tachtawarlik-Mazar. Dawniej był tam langar, teraz zrujnowany. Okolicę tę łatwo poznać, bo na miejscu langaru stoi chiński słup drogowy (pu-taj), obok zaś mazar, t. j. grobowiec, otoczony drewnianemi sztachetami. Wewnątrz ogrodzenia w mogiłę wetknięto kilka żerdzi, upiększonych fetyszami. Mazar i Pu-taj stoją z lewej strony drogi, a naprzeciw Mazaru o 60 kroków z prawej strony drogi w niewielkiem wgłębieniu — studnia, której otwór założono kijami i kamieniami. Odsunąwszy kamienie, wody w studni nie dojrzałem; ale, rzuciwszy kamyk, wyraźnie usłyszałem plusk wody. Studnia musi być głęboka, gdyż plusk dał się słyszeć w 7 sekund po rzuceniu kamienia.

O 2 kilometry dalej droga przechodzi koło małego zajazdu z palonej cegły, z kopulastym dachem. Zajazd nazywa się Ak-Gumbez, zbudowany był przez Chakima chotańskiego, Niaz-Beka, a zrujnowany przez Chińczyków, którzy wyłamali drzwi i futryny, cegły zaś rozbierają na drogowskazy (pu-taj).

Stąd już widać Ak-Langar, który także wybudował Niaz-Bek, tej samej wielkości i w tym samym stylu, co i wybudowane przez Jakóba-Beka Kasz-i Czulak-Langar. Przy zajeździe są trzy studnie, jedna w podwórzu langaru, a dwie o 100 kroków na północ od niego.

W czasie wojny między Niaz-Bekiem a Bek-Kuli-Bekiem Niaz-Bek kazał zasypać wszystkie trzy studnie, chcąc przeszkodzić ofensywie wojsk Kuli-Beka.

Obecnie studnię w podwórzu odkopano, i woda jest w niej na głębokości około 50 metrów. Nad studnią urządzono kołowrót, przy pomocy którego czerpie się wodę. Wiadro spuszcza się w ciągu 35 sekund, a dźwiga wgórę 1½ minuty. Wody jest dosyć dużo, przynajmniej przechodzącym karawanom wystarczała, ale jest ona gorzko-słona.

Przed langarem stoi wysoki słup; na nim wisiały dzwony, w które bito w czasie burzy. Teraz dzwony zdjęto, ognie na dachu

się nie palą, i nawet wiechy w piaskach, należących do okręgu chotańskiego, nie są podtrzymywane.

Dalej na przestrzeni 9 klm.—znowu wysokie barchany lotnych piasków aż do Kum-Rawatu, gdzie znajduje się mogiła muzułmańskiego świętego, Hazreti-Imam-Szakira, bardzo czczonego przez mahometan, którzy, przejeżdżając koło niej, wszyscy bez wyjątku schodzą z koni i mijają grobowiec pieszo. Żeby podróżni wiedzieli, gdzie należy zsiąść i zacząć iść pieszo, przeciągnięto sznur, przy końcach którego są dwie ławeczki dla wygody wsiadających i zsiadających z koni. Zabudowania Kum-Rawatu są stare i niepokaźne.

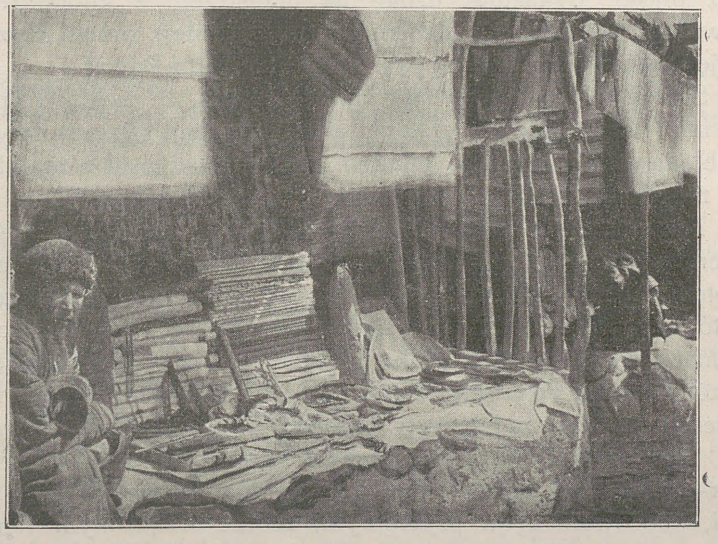

Sklep z towarami włókienniczemi w Chotanie, (s. 222).

Przy langarze roją się dziesiątki tysięcy gołębi, które bardzo lubił święty. Czciciele jego, zakładając Rawat przy mogile, wybudowali specjalne pomieszczenie dla gołębi, na karmienie których przeznaczyli dochody z jednej dużej wioski. Szeich (zarządca) Rawatu i gołębnika opowiadał mi, że codziennie wydaje dla gołębi 100 funtów kukurydzy.

Nie wiem, czy ptactwa tego jest za dużo, czy waga nieprawidłowa, dosyć, że gołębie są zawsze głodne, a instynkt samozachowawczy wyrobił w nich osobliwy sport. Oto szybują one w powietrzu bardzo wysoko i, zobaczywszy karawanę, lecą na jej spot-

kanie czasami 8—10 kilometrów i siadają na konie lub przed niemi. Karawan-basz (naczelnik karawany) natychmiast zatrzymuje karawanę, rozpościera dywanik lub wojłok i dziękuje Bogu za szczęśliwe przebycie pustyni, poczem obficie sypie kukurydzę ptakom, które są tak oswojone, że siadają na plecach i na głowach ludzi, wyrywając im ziarna z rąk. Potem karawana rusza, a stado gołębi szybuje nad nią, zataczając kręgi, ale kierując się zawsze w stronę rawatu, i doprowadza podróżnych na miejsce. Tu naturalnie spotyka ich szeich, który odczytuje modlitwy dziękczynne i wraz z gołębiami otrzymuje pewną daninę dla siebie. To samo dzieje się z karawanami odchodzącemi. Gołębie odprowadzają je przez piaski, wskazując drogę na przestrzeni 8 kilometrów do pierwszego posterunku, Tał-Bugaz (nigdy dalej), znowu otrzymują porcję kukurydzy i wracają do siebie na Kum-Rawat.

Szeich z zupełną powagą opowiadał mi, że żaden drapieżnik nie śmie tknąć świętych gołębi, a kiedy przed dwoma laty jakiś przybłęda-sokół schwycił jednego, sam zaraz zdechł i został przybity na słupie, na postrach innym drapieżnikom.

Nas także spotkały i odprowadziły gołębie. Podzieliwszy się z niemi zapasami i zapłaciwszy daninę szeichowi, rozstaliśmy się z gołębiami na posterunku Tał-Bugaz, zajętym przez kilku policjantów, z ramienia ambania chotańskiego. W Kum-Rawacie jest studnia z wodą słoną, głęboka na 5 metrów, a w Tał-Bugazie — jeziorko, również ze słoną wodą. Za posterunkiem droga wznosi się jeszcze raz na piaszczysty barchan, skąd widać fort Zawa-Kurgan. Przeszedłszy koło fortu, poszliśmy na most przez rzeczkę Kara-su (czarna woda) i, wjechawszy na prawy, wysoki brzeg rzeki, zanocowaliśmy w prywatnym, dobrze urządzonym langarze. Brodu w rzece Kara-su niema, nawet w tej porze roku; podobno brody znaleźć można o parę kilometrów wyżej i niżej mostu. Wioska Zawa-Kurgan liczy do 500 domów i otrzymuje wodę z Kara-Kasz-Darji.

XX.

OKRĄG CHOTANU I JEGO IRYGACJA. CHOTAN. OSOBLIWOŚCI MIASTA. DROGA POWROTNA DO KASZGARU. OAZA SANDŻU. WĄWÓZ KUNDALAGAZ. WIADOMOŚCI O BUNCIE WOJSKOWYM W KASZGARZE. POWODY CZĘSTYCH BUNTÓW W CHINACH. CHUNHUZI I ICH RZĄDY. CHUNHUZ TAO-LIN A WICE-KRÓL W GIRINIE.

24 października przeszliśmy ostatnie 33 kilometry, dzielące nas od Chotanu.

Ogólny charakter gruntu piaszczysto-kamienisty nie powinienby nadawać się do uprawy, lecz obfitość opadów i wody, wspaniały klimat i pracowitość krajowców uczyniły z tego zakątka prawdziwą perłę Kaszgarji.

Tutaj dwie wielkie rzeki: Kara-Kasz-Darja i Jurung-Kasz-Darja, spływają z gór: pierwsza z Himalajów, druga z wyżyn Tybetu; przedarłszy się przez wysokie pasmo gór Kuen-Lun, łączą się one i pod nazwą Chotan-Darji giną w piaskach pustyni Gobi, tylko w latach wyjątkowych dobiegając do rzeki Tarymu i do zbadanego przez podróżnika Przewalskiego jeziora Lob-nor. Rzeki te dały możność zbudowania gęstej sieci sztucznych kanałów nawodniających, tak, że trudnoby znaleźć najmniejszy kawałek ziemi, któryby nie był wyzyskany, nawodniony i uprawiony.

Zastanawiałem się nieraz, w jaki sposób krajowcy mogą prowadzić takie prace irygacyjne, nie znając żadnych przyrządów niwelacyjnych i wogóle nie mając absolutnie nic, prócz własnego doświadczenia. A większość kanałów prowadzi masy wód i biegnie czasami dziesiątki kilometrów po nasypach. Przytem rezerwuarami, skąd kanały otrzymują wodę, są rzeki górskie, gdzie wysokość

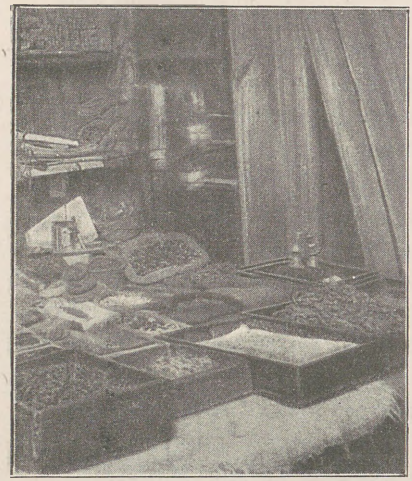

Apteka w Chotanie, (s. 222).

wody zmienia się codzień, w zależności od tajania śniegów i lodowców, lub od obfitości deszczów, padających w górach, a więc od czynników zupełnie nieuchwytnych dla krajowców, którzy nie mają pojęcia o barometrze i meteorologji. A jednak jakoś z tem wszystkiem dają sobie radę i tak sprawnie, że niepodobna się dość nadziwić.

Główna śluza, skąd biorą początek wszystkie większe kanały tego terenu, znajduje się na rzece Kara - Kosz, o 20 kilometrów od Zawa - Kurgana, w miejscowości, noszącej nazwę Tokuz - Ustang (dziewięć kanałów). Śluza urządzona jest zupełnie prymitywnie z turów, nabitych kamieniami, z pęków faszyny i kołów, któremi się to wszystko umocowuje. Jeżeli zburzyć tę śluzę, cała okolica zostanie bez kropli wody do picia.

Droga do Chotanu biegnie szerokim gościńcem, wysadzonym morwami lub topolami, których wierzchołki ścięto tak, że drzewa, rosnąc, tworzą rozłożyste korony. Przejeżdżamy przez wioski, tonące w ogrodach, przez ślicznie uprawione pola i przez mnóstwo kanałów, nawodniających te okolice. Po drodze—rynek, a że targi na nim odbywają się w piątki, więc nosi on nazwę Dżuma-bazar (dżuma-piątek).

O 10 kilometrów od naszego noclegu droga przechodzi w bród rzekę Kara-Kosz; koryto jej, szerokości około kilometra, zawalone jest kamieniami; wody w październiku niewiele, i bród jest niegłęboki, w lecie jednak napływa ona obficie i wypełnia całą szerokość koryta; przeprawa odbywa się na łódkach. Żeby uchronić te pola i wioski okoliczne od wylewów, wzdłuż obydwóch brzegów rzeki zbudowano tamy, wysokości około 3 metrów i szerokości 5—6 metrów. Tamy te ciągną się dziesiątki kilometrów i zbudowane są z faszyny, z kamieni i belek. Prace takie pochłonęłyby ogromne sumy, na jakie nie mógłby się zdobyć ani rząd Jakóba-Beka, ani tem bardziej administracja chińska, gdyby trzeba było płacić za najem robotnika i za materjał: wykonanie ich było możliwe tylko przez wyzyskanie prawa świadczeń osobistych.

O trzy kilometry dalej wznoszą się obszerne koszary, w których dawniej mieściła się konna lanza chińska, obecnie zaś mieszka urzędnik pocztowy i pocztowi dżygici. Koszary otaczają ładne topole. Obok—duża sadzawka z wodą bieżącą.

Za wioską Byzym, znowu bazar, noszący nazwę Duszambe (poniedziałek) dlatego, że targi odbywają się tam w poniedziałki. O 30 kilometrów od noclegu, droga, biegnąc ciągle wśród bogatych wiosek i przecinając mnóstwo różnej wielkości kanałów, podchodzi do twierdzy Jangi-Szaar, gdzie mieszkają władze chińskie i garnizon.

Wchodzi się do fortecy przez wrota Jarkiendskie (Jarkiend-Darwaza), przecina się ją z zachodu na wschód i wychodzi przez wrota Ilczy-Darwaza (wrota poselskie). Na północ zostają wrota Kara-Kosz, a na południe Tussala-Darwaza [1]).

Wzdłuż tej ulicy mieści się wiele sklepów chińskich. Za wrotami Ilczy-Darwaza droga wychodzi odrazu na rynek główny Chotanu i ciągnie się przez całe miasto na przestrzeni około trzech kilometrów. Przy wyjściu z miasta przechodzimy około Kunia-Gulbacha, dawniejszego pałacu (Ucda) beków chotańskich, zniszczonego przez Chińczyków. Zatrzymaliśmy się za miastem, na brzegu rzeki Jurung-Kosz-Darji.

Miasta Chotanu właściwie niema, są zato trzy miasta: Ilczy, Jurung-Kosz i Kara-Kosz, które niemal łączą się z sobą i razem wzięte noszą nazwę Chotanu. Różnice tych nazw zresztą podkreślają tylko stali mieszkańcy. Wogóle zaś w całej Kaszgarji miasto Ilczy, jako największe i najbardziej handlowe, przyjęto nazywać Chotanem. Miasta zaś Kara-Kosz i Jurung-Kosz uważają za dzielnice Chotanu. Otóż Ilczy swym wyglądem zewnętrznym zupełnie przypomina inne wielkie miasta Kaszgarji. Takie same wąskie ulice, zupełny brak ogrodów i drzew, brak większych placów, ciasnota domów i dziedzińców, oraz ogólne piętno starożytności na wszelkich zabudowaniach — wszystko to pozwala przypuszczać, że miasto Chotan powstało w odległej przeszłości. Ilczy nie jest otoczone zewnętrznym murem, ale domy są tak budowane, że do wnętrza miasta można się dostać tylko przez którąś z pięciu bram: Kazyłyk, Hait-go, Su, Gudżak i Achmet-Chakim-Beka.

[1]) Wszystkie fortece chińskie, przeznaczone do obrony miast, są budowane w formie czworokąta i zawsze według południka. Mają zwykle 2 główne ulice, prowadzące z północy na południe i ze wschodu na zachód. Resztę ulic planuje się według tych głównych.

Oprócz tego między wrotami Kazyłyk i Hait-go zrobiona jest furtka, przez którą warta przepuszcza do miasta. W Ilczy jest 112 dzielnic i około 6 000 domów. Mieszkańców liczy podobno Ilczy około 60 000. Tę liczbę podaję w przybliżeniu, gdyż ze zrozumiałych powodów ludność ukrywa właściwą liczbę mieszkańców, bojąc się powiększenia podatków.

Karawanserajów w Ilczy jest 14; z nich najlepsze: Medresse-Saraj, Abdułła-Bała-Igan, Aglam-Achun, Seid-Chodża-Saraj i Sychan-Saraj.

Budynków, wyróżniających się rozmiarami, architekturą lub starożytnością, niema. Największą czcią otoczone są mogiły Imamów: Chareti-Musa i Kasym, w wiosce Tussala, około Chotanu, i Imama-Szakira-Padszy w Kum-Rawacie. Przy pierwszej z tych mogił mieszka 600 szeichów. O drugiej i o gołębiach świętych wspominałem już w niniejszem opowiadaniu.

O administracji Chotanu, o bogactwach kopalnych okręgu, o przemyśle i handlu mówiłem również. Dodam tylko, że rynek chotański, cały osłoniony dachem, składa się z poszczególnych oddziałów; w każdym z nich sprzedaje się tylko pewne produkty. Więc dajmy na to: wyroby rękodzielnicze, towary apteczne, obuwie, restauracje i t. p. mieszczą się w oddzielnych działach rynku, co znacznie ułatwia zakupy i sprzedaż własnych wyrobów. Nie trzeba szukać potrzebnych sklepów, lecz idzie się do danego oddziału na rynku i w jednem miejscu znajduje się wszystkie sklepy, handlujące w Chotanie poszukiwanemi przez nabywcę towarami.

Późna jesień i znaczne wydatki, na które, wyjeżdżając z domu, przygotowany nie byłem, zmuszały mnie do śpiesznego powrotu do Kaszgaru, żeby przed wielkiemi mrozami i śniegami przedostać się przez Tian-Szan do Fergany. Że zaś główny cel podróży do Chotanu—połączenie swych prac topograficznych w Ferganie i Kaszgarze z pracami pułkownika Przewalskiego, który przed dwoma miesiącami, w powrotnej drodze z Tybetu, był w Chotanie i udał się na północ—osiągnąłem, przeto, odpocząwszy w Chotanie tylko trzy dni, 28 października wyruszyłem w drogę powrotną do Kaszgaru.

Przez pierwsze trzy dni, przez Zawa-Kurgan-Pijalma do wioski Zang-uja, wracałem tą samą drogą, którą jechałem był do Chotanu. Dopiero od Zang-uja, zamiast iść na oazę Guma, zawróciłem na południe do oazy Sandżu, żeby zbadać obie drogi.

Od Zang-uja przez Sandżu do Kargałyku 171 kilometrów. Oaza Sandżu składa się z 16 wiosek. Ogólna liczba gospodarstw dochodzi do 2 000. Mieszkańcy zajmują się tylko rolnictwem; wody z rzeczki Sandżu mają dostatecznie i dlatego żyją dostatnio. Handlowego znaczenia oaza ta nie ma. Od Sandżu do Kargałyku szliśmy po zboczach kaszgarskiego (raskemskiego) pasma gór na przestrzeni około 130 kilometrów, przecinając kilka rozgałęzień gór, dzielących jedną rzeczkę od drugiej. Między wioską Kosz-Tag a Bujra przebyliśmy szeroki wąwóz Kundalagaz, którym, według podania, niegdyś płynęła duża rzeka Kundalagaz, zaopatrująca w wodę miasto Taklamakan.

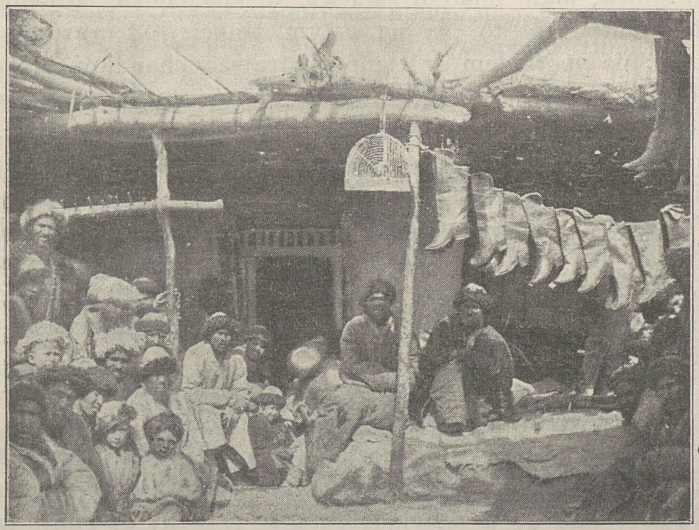

Sklep z obuwiem w Chotanie, (s. 222).

Z niewiadomych przyczyn (może wskutek jakiegoś kataklizmu w górach) rzeka Kundalagaz wyschła lub zmieniła kierunek. Gdy miasto zostało bez wody, mieszkańcy porzucili swe domy, i Taklamakan powoli zasypały piaski, które dotąd noszą nazwę Taklamakan-Kum (między Kargałykiem a Czulak-Langarem).

Bardzo żałowałem, ze konjunktury polityczne zmuszały mię do jak najszybszego wycofania się z południowej Kaszgarji, wskutek czego nie mogłem udać się wgórę wąwozu Kundalagaz, żeby dokładnie zbadać, z jakich powodów miasto Taklamakan przestało istnieć.

W Sandżu mianowicie po raz pierwszy doszły mię pogłoski o buncie chińskich wojsk w Kaszgarze przeciwko swym władzom i o powstałych wskutek tego zaburzeniach. Opowiadano o wymordowaniu kupców, poddanych rosyjskich, o ograbieniu konsulatu rosyjskiego, który miał jakoby śpiesznie opuścić Kaszgar, o ucieczce Dao-Taja i ustanowieniu dyktatury zbuntowanych wojsk w Kaszgarze. Na każdym noclegu pogłoski potęgowały się, przybierając coraz to fantastyczniejsze kształty.

Znając krajowców i skłonność ich do wyolbrzymiania zdarzeń, niebardzo wierzyłem opowiadaniom, lecz zupełnie lekceważyć ich nie mogłem; w ciągu bowiem ostatnich dni nie miałem żadnych wiadomości z konsulatu, ani też odpowiedzi co do niektórych spraw, jakie miałem załatwić w Jarkiendzie; głównie jednak niepokoiło mię to, że na całym trakcie od czasu wyjazdu z Chotanu nie spotkałem ani jednej karawany handlowej. Na okoliczność tę zwróciłem uwagę jeszcze przed otrzymaniem wiadomości o zaburzeniach i nie mogłem sobie tego wytłumaczyć, gdyż trakt chotański jest bardzo ożywiony, i spotyka się na nim codziennie dziesiątki karawan handlowych.

Teraz brak karawan potwierdzały pogłoski, gdyż kupcy w kraju tak mało praworządnym, jak Chiny, z natury rzeczy muszą baczyć na ogólny nastrój i w razie zaburzeń politycznych wstrzymują wysyłkę towarów, bojąc się w drodze wpaść w zawieruchę i stracić mienie.

Z drugiej strony, w ciągu trzymiesięcznej bytności w Kaszgarji, będąc zawodowym wojskowym, mimowoli zwracałem stale uwagę na wojsko chińskie i poznałem dobrze jego ustrój, dyscyplinę i psychologję: otóż zdobyte wiadomości w tym kierunku doprowadziły mię do przeświadczenia, że powody do buntu w wojsku są zupełnie jednakowe w całej Kaszgarji, i w razie powodzenia w Kaszgarze, automatycznie wybuchną bunty wojsk w Jarkiendzie i Jangi-Gisarze. Należało zatem ominąć jak najśpieszniej te miasta, żeby zbliżyć się do granicy rosyjskiej i w razie anarchji przejść za kordon. Na pomoc i sympatję Kaszgarczyków mogłem liczyć w zupełności. Niebezpieczeństwo przedstawiały tylko miasta, gdzie stały garnizony chińskie, zdolne do wszelkich wybryków.

Żeby wyjaśnić przyczyny, wskutek których w wojsku chińskiem mogły stale powtarzać się bunty, ogarniające czasem ogromne przestrzenie i wstrząsające podstawami bytu państwa, muszę choć w kilku słowach powiedzieć o ówczesnej organizacji wojsk chińskich.

Jednostką bojową i gospodarczą jest lanza (pułk), która według ustawy powinna się składać z 500 żołnierzy i 10 podoficerów (szy-dżan). Lanza dzieli się na 5 kompanij, któremi dowodzą dowódcy kompanji (sau-gan), oraz ich pomocnicy (fu-sau-gan). Dowódca lanzy (inguań) ma pomocnika (ung-san). Oprócz tego w skład lanzy wchodzi dwóch pisarzy (sia) i chorąży (szun-sa, w kawalerji — siun-bua), który mieszka w koszarach i pilnuje porządku służby w lanzie.

Dowódca lanzy wykupuje u głównego dowódcy wojsk, Zung-Tuna, patent na prawo dowodzenia lanzą w ciągu 3 lat i albo obejmuje wakującą lanzę, albo formuje nową, jeżeli z rozmaitych powodów (jak np. choroby epidemiczne, bunty, dezercja) w lanzie zostało tak mało żołnierzy, iż resztki rozporządzeniem Zung-Tuna wcielone były do innych pułków. Wypadki takie były na porządku dziennym. W ciągu bytności mojej w Kaszgarji widziałem formujące się lanze w Kaszgarze i w Chotanie. Dokonywano tego w sposób, możliwy tylko w Chinach, gdzie mnóstwo ludzi nie znajduje żadnego zarobku, i każdy z nich gotów jest życie i wolność oddać za kawałek chleba.

Na głównym rynku wystawia się sztandar z napisanem na nim imieniem nowego dowódcy. Obok na ścianie widać ogłoszenie o warunkach służby w lanzie. Pod sztandarem siedzi pisarz (sia) i zapisuje zgłaszających się. Opodal rozlega się głos ogromnego bębna i piszczałki, instrumentów, których muzykanci używają naprzemian dla zwrócenia uwagi publiczności. Przechodnie zatrzymują się, czytają ogłoszenie, często się targują z pisarzem i odchodzą, lub też zapisują się z takim spokojem, jakgdyby chodziło o jakiś zwykły interes, a nie o losy całego życia. Tymczasem ten, kto zapisał się do wojska, musi pozostać żołnierzem do końca życia. Uwolnienie następuje dopiero w zupełnej starości; a za dezercję grozi kara śmierci. Stąd wśród żołnierzy zdarzają się i młodzi chłopcy 16—18, i 50-letni ludzie zupełnie siwi.

Po zwerbowaniu 250 ludzi lanza jest sformowana, i nowi żołnierze zbierają się w koszarach; otrzymują oni umundurowanie rządowe, z naszytemi białemi tarczami na piersiach i plecach, na których wielkiemi hieroglifami wypisane jest imię dowódcy lanzy. Koszary zwykle otacza wysoki mur obronny, z jedną bramą i pawilonem nad nią, w którym dzień i noc stoi warta. Wrota na podwórze z koszar otwierają się o świcie, zamykają zaś o zmroku. Koszary wewnątrz podzielone są przepierzeniami na nieduże pokoje, w których mieści się po 10 żołnierzy. Ludzie śpią pokotem

na kanach (tapczany, od spodu ogrzewane w zimie). Opuścić koszary żołnierz może tylko po otrzymaniu deseczki (pej-cho), na której wypisano imię dowódcy, zastępujące liczby, albo nazwy lanzy. W korespondencji nie pisze się: piesza, czy konna lanza, liczba taka a taka, lecz: lanza Wan-dżu-mina, czy Dżan-da-żenia. Wracając do koszar, żołnierz zwraca pej-cho chorążemu, który wieczorem oddaje wszystkie deseczki dowódcy lanzy.

Żołnierze otrzymują miesięcznie pensję: 3½ sary srebra (7 rubli) i w naturze 70 kg. drzewa i 36 kg. mąki kukurydzowej, czasami zmieszanej z pszeniczną. Więcej nic. Sami muszą się karmić, a w zimie i opalać koszary. Wypłata pensyj i wydawanie zapasów żywności odbywają się bardzo niepunktualnie. W czasie mej bytności żołnierze nie otrzymywali żołdu w ciągu 8 miesięcy, zapasów zaś dostarczano im w znacznie zmniejszonej ilości, gdyż pewną ich część przywłaszczały sobie władze wojskowe. Jedzenie żołnierze gotują każdy dla siebie; częściej jednak mieszkający w jednym pokoju stołują się razem. Ćwiczenia wojskowe nie są bardzo uciążliwe i odbywają się zwykle na wiosnę i w jesieni. W lecie i w zimie większość żołnierzy zwalnia się na zarobki prywatne, i wtedy należne im od rządu pensje i zapasy żywności w naturze zabiera dowódca lanzy. To samo się dzieje, gdy w lanzach niema pełnego kompletu ludzi, z tą różnicą, że wtedy dowódca, otrzymując od rządu wszystko, coby się lanzie należało, gdyby miała pełny skład ludzi, dzieli się z tun-linem (dowódcą 4 lanz) i ti-du (dowódcą 8 lanz). W ten sposób i dowódca lanzy, i najbliżsi jego zwierzchnicy zainteresowani są materjalnie, żeby w lanzach nie było kompletu, gdyż im mniej jest w lanzie ludzi, tem większa suma przypada do podziału. Pewien hamulec w tem ogólnem rozprzężeniu stanowi władza Zung-Tuna. To też lanze, stojące stale w Kaszgarze i w najbliższych okolicach, które Zung-Tun ma na oku i których inspekcji dokonywa czasami (7 pieszych lanz i 5 konnych), posiadają największą liczbę ludzi w szeregach, niemal połowę etatowego stanu szeregowców. Im dalej od Kaszgaru, tem mniej bywa żołnierzy w lanzach, a w konnej lanzie w Chotanie czynne są tylko 3 kompanje, liczące po 30 ludzi.

O nadużyciach tych Zung-Tun jest dobrze poinformowany i wie, że dowódca lanzy (Inguań), biorąc gażę w wysokości tylko 120 sar sreb. (240 rub. met.) miesięcznie, nie mógłby zapłacić za patent 15—30 tysięcy sar srebra, gdyby nie miał nadziei w ciągu 3 lat odbić sobie z lichwą wpłaconych pieniędzy.

Takie obdzieranie skarbu i wyrafinowane wyzyskiwanie żołnierzy jest na porządku dziennym i w każdej lanzie wzbudza wśród nich nienawiść do władzy. Nienawiść ta potęguje się jeszcze wskutek nadzwyczajnie surowych kar, jakie nakładają na żołnierzy nietylko dowódca lanzy, lecz i wszyscy młodsi oficerowie. Aresztu, jako kary dyscyplinarnej za przewinienia służbowe, kodeks chiński nie zna; za mniej ważne przekroczenia wymierza się karę cielesną; za dezercję, rozbój, bunt grozi kara śmierci. Karę cielesną, będącą w naszem pojęciu barbarzyństwem, w Chinach stosuje się nader obficie. Ponieważ zaś liczby uderzeń prawo dla żołnierzy pochodzenia chińskiego[1]) nie ogranicza, przeto wymierzenie 2—3 tysięcy kijów jest rzeczą zwyczajną.

Dowódcy lanzy, naturalnie, dobrze wiedzą, jak są znienawidzeni przez swoich podwładnych i nie dowierzają im. Broń i ładunki są zawsze zamknięte w oddzielnem pomieszczeniu przy mieszkaniu dowódcy. Broń wydaje się żołnierzom tylko na czas ćwiczeń i zaraz po ich ukończeniu zamyka się na klucz. Poza tem część żołnierzy lanzy w liczbie 30 — 40 ludzi, pochodzących najczęściej z tej samej prowincji, co i dowódca, stanowi osobistą jego ochronę. Rozmieszczeni są oni przy jego mieszkaniu; oni też pilnują broni i wymierzają swym towarzyszom wyznaczone kary. Ludzie ci są dobrze uposażeni przez dowódcę i popierają jego władzę wszelkiemi środkami, wiedząc, że są również znienawidzeni przez lanzę i w razie zamieszek pierwsi ponoszą konsekwencje swego wyjątkowego wyróżnienia wśród innych żołnierzy.

Trzecią przyczyną głębokiego niezadowolenia wśród wojsk jest stosowany przez władze sposób budowania fortów z pomocą wojska, szczególniej w górach, gdzie niema stałych mieszkańców i gdzie budowę prowadzi się w ciężkich warunkach klimatycznych, do których Chińczycy zupełnie nie są przyzwyczajeni. W drodze z Kaszgaru do Jarkiendu spotkałem dwie lanze, wracające z gór, gdzie budowały fort Karanglik. Lanze te były zupełnie wycieńczone i obdarte. Oddział w sile około 500 żołnierzy tylko na przedzie miał grupkę, złożoną z 20—30, którzy byli podobni do ludzi. Za nimi żołnierze wlekli się w pojedynkę lub grupkami po kilku, na przestrzeni 15 kilometrów; wielu z nich szło boso, lub bez

[1]) Mandżurów, służących w wojsku, prawo pozwala ukarać tylko 30 uderzeniami i to nie kijami, ale biczem z byczej skóry. Tak mię przynajmniej urzędownie poinformował cicikarski Dziań-Dziań w pewnej sprawie, kiedy byłem pogranicznym komisarzem nad rzeką Amurem.

zwierzchniego ubrania, inni, chorzy czy wycieńczeni, leżeli na ziemi wzdłuż drogi. Inni znowu nieśli strzępy obuwia lub ubrania, przywiązane do karabinów, dźwigając je na plecach, jak u nas baby noszą obuwie na kijach, idąc boso na odpust do kościoła. Inni wreszcie szli, kulejąc i podpierając się karabinami, jak laskami. Lanze te wysłane były na roboty z Kaszgaru i wracały do koszar na zimowe leże bez oficerów i w stanie największego rozgoryczenia.

Wymienione niedomagania nie były właściwością wyłącznie wojsk, konsystujących w Kaszgarji, lecz stanowią one wady ogólnej organizacji wojsk chińskich. Wskutek tego bunty wojskowe

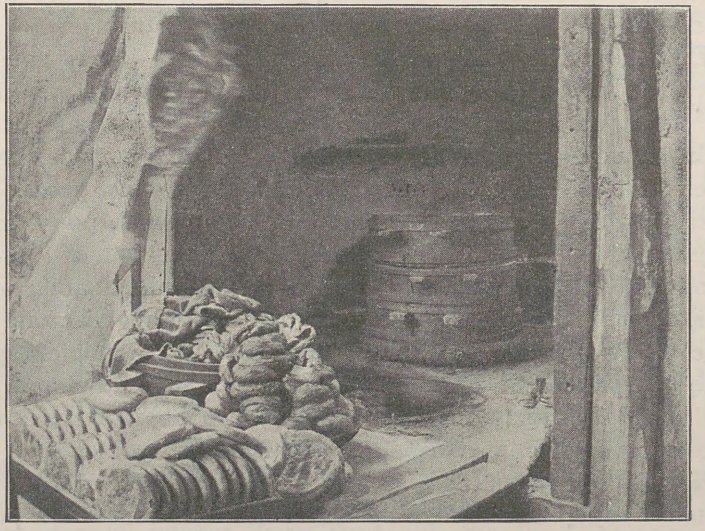

Piekarnia i kuchnia w Chotanie, (s. 222).

są rzeczą zwykłą i zdarzają się równie często na kresach, jak w Mandżurji lub w wewnętrznych prowincjach chińskich. Zwykle przebieg buntu jest taki, że zbuntowana lanza zabija swego dowódcę i jego najbliższe otoczenie, zabiera broń, amunicję i kasę i odchodzi w pełnym rynsztunku kędyś dalej od władz centralnych. Z lanzą łączą się dezerterzy, których dużo jest wszędzie, oraz inne elementy wywrotowe; banda taka rośnie, wybiera sobie naczelnika i otrzymuje nazwę bandy chunhuzów od imienia swego wodza. Bandy takie często zajmują całe okręgi i rządzą niemi zupełnie

samowładnie w ciągu dłuższego czasu, zanim powolna administracja chińska ściągnie dostateczną ilość wojska, żeby, jeżeli nie rozbić, to choć rozproszyć bandę i wznowić na zajętym terenie rządy władzy prawowitej.

Bliżej z takiem położeniem zetknąłem się w latach 1896 — 1900, będąc granicznym komisarzem nad Amurem, który stanowi granicę między Rosją a Chinami na ogromnej przestrzeni około 3 000 kilometrów. Jednocześnie pełniłem obowiązki konsula rosyjskiego w Mandżurji północnej, a mianowicie dla prowincji Girińskiej i Cicikarskiej. Otóż w 1896 roku w wojskach girińskiego Dzian-Dziunia (wice-króla) z powodów analogicznych, jak w Kaszgarji, powstał rokosz. Kilka lanz zbuntowało się, opuściło Girin i zajęło najbogatszy okrąg prowincji girińskiej, z dużem, bogatem i bardzo handlowem miastem, Bajan-susu, skąd cały kraj nad Amurem otrzymywał zboże, potrzebne dla wojsk i mieszkańców rosyjskich.

Po zajęciu Bajan-susu przez chunhuzów, handel zanikł. A że prowincję nad Amurem nawiedziła powódź, i zboże trzeba było sprowadzić przed zawieszeniem żeglugi na Amurze i na jego dorzeczu, Sungari, musiałem przeto spiesznie jechać do Bajan-susu, żeby chunhuzi wypuścili zboże, zakupione przez dostawcę Tifontaja.

Bajan-susu leży prawie w środku biegu Sungari, przeto pojechałem na małym statku Tifontaja „Ima“, mając tylko ze sobą 15 kozaków i na przodzie statku działko Hotchkissa. Trzeba było popłynąć wgórę Sungari, wtedy jeszcze mało znanej, na przestrzeni około 600 kilometrów i wejść w pertraktacje z naczelnikiem bandy Tao-linem, co do którego niewiadomo było, jak będzie traktował całą tę sprawę. Pokazało się, że wszystko udało się nadspodziewanie gładko. Z drogi zawiadomiłem Tao-lina o celu swej podróży; list wysłałem przez rządową pocztę chińską, która doręczyła go naczelnikowi bandy chunhuzów z największą sprawnością. Natychmiast otrzymałem odpowiedź, że Tao-lin wyjedzie na moje spotkanie. I rzeczywiście spotkaliśmy się o 20 kilometrów od Bajan-susu. Tao-lin ubrany był w mundur generała chińskiego z koralową gałką na mauzie; stawił się w ogromnem otoczeniu służby i konwoju, oraz ze wszelkiemi atrybutami władzy, używanemi w Chinach przez naczelników oddzielnych prowincyj.

Sprawę załatwiliśmy literalnie w godzinę, ściśle na zasadzie traktatów, zawartych między Rosją a Chinami. Tao-lin uwolnił

wszystkie dżonki[1]), naładowane zbożem dla wojsk i mieszkańców kraju nad Amurem, a Tifontaj zapłacił Tao-linowi cło, które należało się rządowi chińskiemu.

Tao-lin zarządzał okręgiem Bajan-susu w ciągu roku, dopóki wreszcie Dzian-Dziuń-Jan (wice-król prowincji girińskiej) nie zdołał zebrać dostatecznych sił, żeby otoczyć wojskami Bajan-susu i zająć znów ten okrąg. Tao-lin ze świtą wpadł w ręce wojsk rządowych i był ścięty w Girinie.

Jing-kou (Niuczuang), jedyny w owe czasy otwarty port dla handlu międzynarodowego w Mandżurji, znajdujący się przy ujściu rzeki Lao-he do zatoki Peczilijskiej, trzymali w swych rękach chunhuzi w ciągu 2-ch lat, i, jak mi mówił długoletni tamtejszy konsul amerykański, Petersen, był to okres porządku i praworządności, rzadkiej w Chinach.

Waśnie i walki, teraz rozdzierające Chiny, mają oparcie w pozbawionych dyscypliny wojskach chińskich, które popierają ambitnych awanturników politycznych.

W 1897 roku powódź zalała kraj nad Amurem, i w sprawie wykupienia potrzebnej ilości zboża w Mandżurji znowu musiałem płynąć po Sungari, tym razem do Girina (1 200 kilometrów od Amuru), rezydencji Dzian-Dziunia. Lecz wtedy sprawa się przeciągnęła. Dzian-Dziuń wiedział o powodzi w prowincji Nadamurskiej i, oczekując łapówki, kategorycznie odmówił wypuszczenia zboża. Sprawa telegraficznie oparła się o Pekin, i, dzięki wpływowemu poparciu posła rosyjskiego, hr. Artura Kassiniego, Zung-li-Jamyń (Ministerstwo Spr. Zagranicznych) kazał wypuścić zboże.

Z Girina dopłynąłem wtedy do Sancze-he, gdzie rzeki Nonni i Girin-Dzian, łącząc się, stanowią razem Sungari, aby stamtąd wgórę rzeki Nonni udać się do Cicikaru, tam bowiem miejscowy Dzian-Dziuń również wzbronił wywozu zboża i bydła. Znowu sprawa oparła się o Pekin, i dopiero po otrzymaniu telegramu z Zung-li-Jamynia cicikarski Dzian-Dziuń wydał odpowiednie rozporządzenie hulanczeńskiemu Fu-du-tun'owi (naczelnikowi okręgu); bojąc się jednak, że podwładny mu Fu-du-tun rozporządzenia jego nie spełni lub z wykonaniem będzie zwlekał, posłał ze mną jednego z wyższych urzędników swojej kancelarji, aby ten osobiście wpłynął na prędkie załatwienie zlecenia.

[1]) Ogromne łodzie żaglowe, pojemności do 160 ton zboża, pływające po Amurze i Sungari, jednym z największych dopływów Amuru, po którym mogą chodzić statki do Girina i Cicikara, na przestrzeni 1200 kilometrów.

W ten sposób do przeprowadzenia sprawy, którą naczelnik chunhuzów załatwił w ciągu godziny, musiałem stracić 2 miesiące czasu i ponieść ogromne koszty na wynajęcie specjalnego statku, na którym przepłynąłem 3 500 kilometrów po zupełnie niezbadanych rzekach, oczekując lada chwila, że statek może osiąść na mieliźnie lub wpaść na podwodne kamienie i korzenie zatopionych drzew.

Jeszcze jeden szczegół z tej ciekawej podróży: statek „Ima" był pierwszym, jaki zjawił się na Girin-Dzianie, wzbudzając nadzwyczajne zainteresowanie wśród miejscowej ludności. Rzeka Girin-Dzian biegnie z szybkością około 6 kilometrów na godzinę. Mój mały statek ciągnął za sobą barkę z drzewem do opalania maszyny i, z trudnością przezwyciężając prąd, powoli płynął wgórę. Z obydwóch stron brzegiem biegły tłumy pieszo i konno, krzycząc i gestykulując. Obawiając się, że w Girinie, jak w każdem mieście, motłoch jest bardziej natarczywy i, usiłując przez ciekawość wedrzeć się na statek, narobi mi szkody, napisałem do girińskiego Dzian-Dziunia, zawiadamiając go o swym przyjeździe i prosząc o wskazanie miejsca, gdzie się mam zatrzymać, oraz o wyznaczenie urzędników policji dla ochrony statku. Przewidywania moje się sprawdziły. Kiedy wjechaliśmy do Girina, oba brzegi rzeki zaczerniały od tłumów, które biegły, przypatrując się nigdy niewidzianemu potworowi, który wyrzucając kłęby dymu z komina, pruł wodę, ciągnąc naładowaną barkę i niosąc na sobie kilkunastu „jan-guzi" (djabłów zamorskich). Miasta nie znaliśmy. Nie wiedziałem, gdzie mam lądować, a urzędników, o przysłanie których prosiłem, nie było. Kazałem więc uruchomić syrenę, żeby przeraźliwym gwizdem zawiadomić władzę o swem przybyciu. To poskutkowało. Wkrótce zobaczyłem pędzącą konno grupę urzędników w galowych mundurach, którzy zatrzymali się, zobaczywszy statek. Zbliżyłem się do brzegu, żeby się z nimi porozumieć i wziąć któregoś z nich na statek, by wskazał miejsce, gdzie miałem lądować. Lecz skoro tylko statek wszedł na płytką wodę, śmielsi z tłumu weszli do rzeki, okrążyli statek i, pomimo krzyku urzędników, jak szczury poczęli wspinać się na pokład. Zniewolony byłem spiesznie odpłynąć znowu na środek rzeki; przejechawszy jeszcze kilometr wgórę, zatrzymałem się w bliskości pałacu Dzian-Dziunia, który był zbudowany na samym brzegu rzeki i, jak zwykle, wysokim murem oddzielony od miasta.

W Girinie osiedlili się misjonarze angielscy, z doktorem Grey'em na czele. Doktora tego niesforni żołnierze lanzy osobistej

Córka beka chińskiego w Japczanie, (s. 236).

Dzian-Dziunia schwytali w bramie miejskiej, zaciągnęli do kordegardy i z zachowaniem ceremonjału chińskiego wsypali mu 300 kijów, pod pozorem, że późno wracał do miasta. Naturalnie, misjonarze wnieśli skargę, którą poparł energicznie poseł angielski w Pekinie, że zaś tego złośliwego aktu przemocy dopuścili się żołnierze własnej lanzy Dzian-Dziunia, i nie było na kogo złożyć winy, bo za lanzę odpowiadał sam Dzian-Dziuń, jako jej dowódca, przeto, bojąc się odpowiedzialności i straty posady, za którą zapłacił olbrzymią sumę pieniędzy, Dzian-Dziuń starał się znaleźć wyjście z kłopotu i załagodzić całą sprawę. D-r. Grey, jako rekompensaty, zażądał dla misji prawa nabycia własnego kawałka ziemi i zabudowania go. Było to bardzo dużo, gdyż w Mandżurji, skąd pochodziła rodzina Bogdy-chana, w celu utrzymania ziemi w rękach Mandżurów, wzbronione było wykupowanie ziemi nawet Chińczykom, nie mówiąc już o cudzoziemcach.

Jednakże Dzian-Dziuń, przyciśnięty do muru trudnem położeniem, wydał misjonarzom pozwolenie kupna kawałka ziemi i przeprowadził tę tranzakcję przez Zung-li-Jamyń, który kupno zatwierdził.

Był to precedens niezwykle ważny, gdyż na zasadzie traktatów o najbardziej uprzywilejowanem mocarstwie, upoważniał i Rosję do kupna ziemi i urządzenia faktorji handlowej w Girinie. To też dowiedziawszy się o tem zdarzeniu, poszedłem do misjonarzy, żeby złożyć kondolencję Dr. Grey'owi i przy tej sposobności zapoznać się z dokumentami, na mocy których misja angielska otrzymała prawo własności w Mandżurji.

D-r. Grey'a nie zastałem. Wyjechał do Anglji dla poratowania zdrowia, nadwyrężonego brutalnem obejściem się z nim żołnierzy chińskich. W misji zastałem dwóch innych misjonarzy, ludzi młodych, żonatych. Wszyscy ubrani byli w kostjumy chińskie, co wywierało komiczne wrażenie, misjonarze bowiem — jeden blondyn drugi rudy — mieli na głowach czarne atłasowe, okrągłe czapeczki

chińskie w rodzaju krymek z przyczepionemi do nich czarnemi warkoczami, sięgającemi aż do pięt. Niemniej zabawnie, choć bardziej kokieteryjnie, wyglądały żony misjonarzy, młode i przystojne Angielki, ubrane w szerokie spodnie do kostek i w krótkie kurmy, z blond włosami, zaczesanemi według mody chińskiej, wysoko na dwa piętra, i spiętemi ogromnemi szpilkami chińskiemi.

Bek chiński w Japczanie, (s. 236).

Anglicy mieli działkę ziemi na samym brzegu Girin-Dziana. Wznieśli oni na nim szpital na 15 łóżek, tymczasowo zaś mieszkali sami w niezajętej części szpitala, gdyż budowali dla siebie domek.

Przy szpitalu świeżo założony ogródek, na podwórzu klomby z kwiatami — wszystko czyniło wrażenie dodatnie mieszkania ludzi kulturalnych, którzy się urządzają na długie lata, może na całe życie.

Dowiedziawszy się, że Dzian-Dziuń przyjął mię w dzień mego przyjazdu i na drugi dzień rewizytował na statku, gdzie został na śniadaniu i na rozmowie spędził kilka godzin, misjonarze z goryczą opowiedzieli, że konsul angielski, który przyjeżdżał w sprawie D-r. Grey'a, nie był wcale przyjęty przez wicekróla. Dzian-Dziuń przez tłumacza oświadczył, że jest zajęty sprawami zarządu, a w sprawie tak błahej, jak chłosta, wymierzona przez żołnierzy, konsul powinien zwrócić się do Fu-du-tuna. Panie dopytywały się, jaka przygoda spotkała nas na statku, że syreną wzywaliśmy pomocy. Opowiedziałem im przebieg swego przyjazdu: jak władze chińskie nie wyszły na spotkanie statku, przeto wzywałem je syreną, aby wskazały miejsce, gdzie mam lądować; jak przekonawszy się, że motłoch niechętnie słucha swoich urzędników, wylądowałem przy pałacu wicekróla, gdzie statek ochrania warta, wyznaczona przez Dzian-Dziunia. Opowiadanie to wzbudziło niekłamane zdumienie, gdyż misjonarze czuli się steroryzowani i niepewni nawet swego życia.

W kilka miesięcy po powrocie do Błagowieszczeńska nad Amurem, gdzie miałem swą rezydencję, otrzymałem numer lon-

dyńskiego „Times'a“ z dnia 30 marca 1898 roku, z artykułem pułkownika Younghusband'a o nadzwyczajnem powodzeniu polityki rosyjskiej w Chinach i wpływie jej na całą Mandżurję. Artykuł, ostrzegając opinję angielską, między innemi szczegółami komunikował co następuje: „Donoszą nam z Girinu, że w lecie zeszłego roku przybył tam pułkownik Grąbczewski i gwizdem syreny z parostatku wezwał na swe spotkanie władze chińskie, które w ciągu bytności jego w Girinie stale mu asystowały. Jest to ten sam Grąbczewski, który w 1888 roku narobił nam tyle kłopotów w Kandżucie, a którego w 1889 r. spotkałem w pustyni Raskemu, na zboczach Himalajów, i w rok potem w Jarkiendzie. Obecnie rozporządza się on w Girinie, jak u siebie w domu, w tym samym Girinie, który rok temu był nam mniej znany, niż Timbuktu“.

Ponieważ z Europejczyków byli podówczas w Girinie jedynie misjonarze angielscy, i tylko oni, mieszkając nad Girin-Dzianem, wiedzieli o drobnym epizodzie z syreną, przeto nietrudno jest wywnioskować, że poczciwi misjonarze zajęci tam byli nietylko łowieniem biednych dusz chińskich, lecz jednocześnie bacznie śledzili wypadki, mające zaberwienie polityczne, pilnie donosząc o wszystkiem swym władzom.

XXI.

POWRÓT DO KASZGARU. HISTORJA BUNTU KASZGARSKIEGO.
POŻEGNALNE WIZYTY U ZUNG-TUNA I DAO-TAJA.
PRZEZ GULCZĘ I OSZ DO MARGELANU.
ZAKOŃCZENIE.

Opisane wyżej stosunki w wojsku chińskiem między pozbawionym wszelkich praw żołnierzem a bezpośrednią jego władzą, która, wykupując patenty na dowództwo, patrzała na żołnierza, jako na przedmiot prawnie dozwolonego wyzysku, usprawiedliwiały moje obawy, że, ponieważ bunt rozpoczął się w Kaszgarze, gdzie skoncentrowane były wszystkie wojskowe i cywilne władze chińskie, przeto w razie powodzenia rokosz przerzuci się do innych miast Kaszgarji i wytworzy ogólną anarchję.

To też, nie mogąc zdobyć żadnych wiadomości o rzeczywistym stanie rzeczy, wracałem śpiesznie, omijając większe miasta, jak Kargałyk, Jarkiend i Jangi-Gisar, oraz wybierałem na noclegi domy, nadające się do zaciętej obrony. Jak mówiłem, krajowcy okazywali nam wiele sympatji, chętnie przyjmowali do siebie na noclegi, lecz nie mogli poinformować mię o położeniu w Kaszgarze, gdyż sami nic nie wiedzieli. Kipiący życiem wielki gościniec handlowy zamarł. Jadąc przez cały dzień od rana do wieczora, nie spotykaliśmy nietylko karawan handlowych, ale nawet zwykłego połączenia między sąsiedniemi wioskami. Na noclegach opowiadano nam o walnej bitwie między wojskami chińskiemi, o ściętych głowach, wystawionych na kijach nad bramami Jangi-Szaaru i Kaszgaru, lecz czyje to głowy: zbuntowanych żołnierzy, czy rozbitych władz chińskich, tego nikt powiedzieć nie umiał. Naprężenie stosunków było takie, że, dotarłszy do wioski Japczan, o 36 kilome-

trów od Kaszgaru, nie mogłem dowiedzieć się, czy konsulat rosyjski jest jeszcze w mieście, czy też trzeba obejść Kaszgar i od Japczanu zwrócić się w góry, ominąć wszystkie posterunki chińskie i wyjść na drogę do Osza, gdzie wśród Kirgizów czułbym się już bezpieczny.

Nie wiedząc, co robić, przy pomocy beka miejscowego wynająłem mieszkańca Japczana, który miał dobrego konia, i poleciłem mu nocą przedostać się do konsulatu, sprawdzić osobiście, czy konsulat jest jeszcze w Kaszgarze i, jeżeli jest, oddać mój list i przywieźć odpowiedź.

Nazajutrz rano posłaniec wrócił i przywiózł list od zarządzającego konsulatem, p. J. Lutscha, że rokosz stłumiono, ale władze chińskie zamknęły się w Jangi-Szaarze oraz w mieście Kaszgarze i nikogo tam nie wpuszczają. Wszelkie więc stosunki konsulatu z władzami centralnemi czasowo są przerwane.

Natychmiast wyruszyłem do konsulatu, omijając Jangi-Szaar i Kaszgar, przyczem na ścianach i wrotach Jangi-Szaaru naliczyłem 16 głów, zatkniętych na żerdzie z rozwiewającemi się na wietrze warkoczami, i prawie tyleż na części murów Kaszgaru, koło których przejeżdżałem.

Przybyliśmy do konsulatu 9 listopada, zrobiwszy w jedenaście dni 560 kilometrów. Powitał nas serdecznie zastępca konsula, który, nie mając żadnej wiadomości od nas i nie mogąc niczego się dowiedzieć od Dao-Taja, który zawiadomił, że komunikacja w kraju jest przerwana, był w wielkiej trwodze o nasze losy.

Dopiero w konsulacie dowiedziałem się o przebiegu buntu. Pokazało się, że 4 lanze, z których 2 stały wewnątrz Jangi-Szaara a dwie w obronnych koszarach nazewnątrz twierdzy, doprowadzone do ostateczności brakiem wszelkich środków do życia, poczęły się burzyć. Śmielsi ludzie, bardziej obeznani z miejscowemi warunkami, dezerterowali. Dowódcy tych lanz, chcąc postrachem stłumić wrzenie, poczęli surowo karać za każde drobne przewinienie. Tymczasem nadeszła jesień i chłody, a dostarczane przez zarząd drzewo opałowe opóźniło się: nie było na czem gotować jedzenia. Wszystko to razem przepełniło miarę cierpliwości. Lanze postanowiły wymordować swych naczelników, ograbić kasę i arsenał w Jangi-Szaarze, zrabować miasto Kaszgar i rozejść się. Wybuch buntu wyznaczony był na 24 października. Punktualnie o północy wszystkie 4 lanze miały rzucić się na swych naczelników i zawładnąć zamkniętą bronią. Lanze, stojące wewnątrz Jangi-

Szaaru, miały otworzyć bramy i wpuścić do twierdzy rokoszan, żeby wspólnemi siłami zaatakować lanzę własną Zung-Tuna, która składała się wyłącznie z ludzi, pochodzących z jednej z nim prowincji i służących z Zung-Tunem oddawna. Ludzie ci, otrzymując na czas należne pensje i zajmując wyjątkowe stanowisko wśród wojska Zung-Tuna, byli mu zupełnie oddani i stanowili ochronę jego wśród garnizonu.

Cały plan ten nie udał się wskutek tego, że jedna z lanz, stojących poza twierdzą, zbuntowała się o 1½ godziny wcześniej, niż było umówione. Lanza ta wymordowała swe dowództwo, owładnęła bronią i wyszła z koszar w pełnym rynsztunku. Ale dowódca sąsiedniej lanzy, usłyszawszy wystrzały, zdążył zorganizować swoją ochronę, i kiedy żołnierze jego rzucili się na skład broni w lanzie, spotkał ich ogniem i rozproszył. Żołnierze uciekli bez broni i, połączywszy się z pierwszą lanzą, ruszyli na Jangi-Szaar.

Tymczasem wszczął się popłoch w twierdzy. Władze ocknęły się i stłumiły rozruchy w dwóch lanzach, biorących udział w spisku. Na wały wyszedł Zung-Tun i spotkał ogniem buntowników, którzy, straciwszy około 40 ludzi pod murami twierdzy, odstąpili. Ludzie, którzy uciekli z drugiej lanzy bez broni, rozpierzchli się po kraju i byli częściowo już wyłapani. Pościg za lanzą, która maszerowała w zwartej kolumnie, nie dał wyników: szła ona, grabiąc wszystko po drodze, i w ten sposób bezkarnie przebyła granice Ilijskiej prowincji, leżącej poza władzą Zung-Tuna. Oczywiście, dowódcy wysłanych w pogoń konnych lanz niedowierzali swym żołnierzom i nie chcieli dopędzić uchodzącej piechoty.

Tak zakończył się bunt w wojskach garnizonu kaszgarskiego. Władze chińskie czuły się bardzo przygnębione nietyle samym buntem, ile koniecznością wytłumaczenia go w Urumczi i w Pekinie, co zawsze drogo kosztowało. Śledztwo prowadzono z nadzwyczajną surowością, i karze podlegali wszyscy zaaresztowani, nawet z lanz, które żadnego udziału w spisku nie brały. Głowy ściętych wystawiono na murach miasta i na bramach twierdzy, a trupy zabitych pod Jangi-Szaarem żołnierzy Zung-Tun zabronił grzebać. Trupy te, objedzone przez psy, leżały na polu przed twierdzą jeszcze w czasie mojej bytności w Kaszgarze, t. j. w dwa tygodnie po rokoszu. Jest to największe pohańbienie dla Chińczyków. Nawet najbiedniejsi z nich, pracując na obczyźnie, odmawiają sobie wszystkiego, żeby zebrać sumę potrzebną na wywiezienie ciała (w razie śmierci) do wioski rodzinnej.

Służąc potem w Mandżurji, dokąd na zarobki przychodzi wielu robotników z Chin, widziałem koło większych miast cmentarzyska z trumnami, stojącemi na powierzchni ziemi: to trumny z ciałami zmarłych, oczekujące odesłania do ojczyzny.

W wielu miejscowościach są towarzystwa asekuracyjne, którym robotnik płaci część swego zarobku, żeby w razie śmierci ciało jego było wysłane do kraju. Towarzystwa te mają łączność z sobą i robotnik, przechodząc z miasta do miasta, nie traci prawa do udziału, lecz wnosi składkę do innego oddziału tego towarzystwa. Gdy Chińczyk wraca szczęśliwie do domu, otrzymuje całą złożoną sumę zpowrotem, ale bez procentów, które idą na korzyść towarzystwa. Zrzeszenie trumny swych członków wystawia na cmentarzysko, a gdy zbierze się ich dostateczna ilość, dostawia je do najbliższej rzeki i na dżonkach spławia do morza. Tam ładuje trumny na statek, i karawana zmarłych odpływa do Chin. Procederem tym zajmują się specjalne statki, przeważnie chińskie, są jednak i angielskie z załogą chińską; fracht jest drogi, i zajęcie to uważane jest za bardzo korzystne.

Ponieważ w Chinach trumny hermetyczne nie są znane, więc łatwo jest sobie wyobrazić, jakie niebezpieczeństwo w czasie epidemji przedstawia przewożenie trumien na arbie po kraju, lub na dżonce po rzece do portu.

Tym razem przebyłem w Kaszgarze 8 dni, żeby dać wypoczynek zdrożonym koniom, które szły jedenaście dni bez przerwy od Chotanu i miały do przebycia niebotyczne pasmo gór Tian-Szanu.

Skorzystałem z tego czasu, żeby przewertować archiwa konsulatu i dopełnić oraz sprostować zebrane przez siebie dane o stanie ekonomicznym tej ciekawej prowincji.

Przed wyjazdem z Kaszgaru należało pożegnać wyższe władze Kaszgarji, które bądź co bądź obchodziły się ze mną przyjaźnie i w miarę możności pomagały mi w mem trudnem zadaniu.

Przeczekawszy jeszcze dni kilka, żeby się nerwy uspokoiły, posłałem bilet wizytowy do Zung-Tuna z zawiadomieniem, że chciałbym go odwiedzić i pożegnać, gdyż wyjeżdżam zupełnie z Kaszgarji.

Odpowiedział, że jest chory i odwzajemnić się wizytą pożegnalną nie może, ale przyjąłby mię chętnie prywatnie, jako dobrego przyjaciela.

Oczywiście pojechałem. Spotkał mię ze wszelkiemi honorami zastępca Zung-Tuna i poprowadził do drzwi wewnętrznego mieszkania, gdzie czekał Zung-Tun, lecz bez urzędowej mauzy, w krymce

na głowie i bez kurmy orderowej. Postarzał się o 10 lat od miesiąca, t. j. od czasu, kiedy go ostatni raz widziałem. Widać było, że przeżyte wypadki zgnębiły jego ambicję zawodową i wywołały nadto w jego psychice przewrót, z którym się Zung-Tun nie mógł pogodzić.

Poprowadził mię wprost do pokoju, gdzie zastawione było śniadanie, do którego usiedliśmy we dwóch.

Starałem się ani słowem nie dotknąć jego bolączki i wesołem, może trochę zabawnem opowiadaniem o podróży zwrócić myśli Zung-Tuna w inną stronę. Słuchał mię ciekawie, lecz nie wtórował, jak przedtem, głośnym śmiechem, rozlegającym się po całej werandzie. Nagle przerwał, pytając, czy w Rosji także bywają bunty wojskowe. Odpowiedziałem, że nie; że był wprawdzie 60 lat temu bunt wojskowy w Petersburgu (Dekabrystów w 1825 r., za Mikołaja I), lecz ten miał charakter polityczny.

Wtedy Zung-Tun z właściwą sobie otwartością opowiedział cały przebieg buntu, nie ukrywając, że, gdyby nie przypadek, iż jedna z lanz zbuntowała się wcześniej, niż było umówione, wynik buntu mógł był być zupełnie inny; gdyby bowiem miał przeciw sobie 4 lanze, trudnoby mu było zgnieść rokoszan, tem bardziej, że z całego garnizonu może on polegać tylko na swej własnej lanzie. Powody buntu — mówił — rozumie doskonale, ale przecie nie jego wina, że już od 8 miesięcy Pekin nie przysyła srebra na zapłatę należnego żołdu, a Dao-Taj nietylko nie chce nic udzielić z dochodów prowincji, ale nie dostarcza należnych wojsku zapasów żywności i opału. Teraz zaś całą winę zwala na niego; sam Zung-Tun wie o łapownictwie dowódców lanzy, ale nie może wydawać patentów darmo, gdy sam płaci ogromne sumy za swój patent.

Słowem, jest to błędne koło, z którego jedynem wyjściem jest jeszcze surowsza dyscyplina. Jeszcze śledztwo nie jest skończone, i Zung-Tun ma nadzieję upiększenia wszystkich bram Jangi-Szaaru ściętemi głowami, jak to zrobił nad bramą, którą atakowali buntownicy. Póki winnych nie ukarze, wstyd mu jest pokazywać się wśród ludzi.

Pożegnaliśmy się serdecznie, przyczem Zung-Tun wypytywał mię, kiedy, o której godzinie i jaką drogą mam zamiar wyjechać do domu.

Wizyta u Dao-taja miała inny charakter. Robił on minę baranka niewinnego i energicznie podkreślał brak dyscypliny w wojsku, który stawia administrację chińską w śmiesznem położeniu wobec cudzoziemców; opowiadał, że dzięki jego rozporządzeniu

większość zbiegłych pojedyńczo żołnierzy już schwytano, osądzono, głowy ich wiszą na murach miasta; gdyby w pogoń za lanzą, która poszła z bronią w ręku do Ili, posłano niezdeprawowane konne lanze Zung-Tuna, lecz jego lanzę, to rezultat pościgu byłby inny.

W sprawie Irkesztamu Dao-taj wyjaśnił, że główny naczelnik „Nowej Granicy“ nie mógł na mocy swej władzy rozstrzygnąć kwestji spornej i przedstawił ją na sąd Zung-li-Jamynia, który rozwiąże ją w porozumieniu z posłem rosyjskim w Pekinie.

Mając odpis tego zawiadomienia, począłem się przygotowywać do drogi powrotnej. Wyjechaliśmy byli z domu latem, podczas strasznych upałów, zaopatrzyłem się tylko w letnie ubrania, mając przebyć w drodze 3—4 tygodni. Tymczasem nadeszła zima. W dolinie Wielkiego Ałaju spadły głębokie śniegi, i trzeba było przebywać najtrudniejszą przełęcz w tej części Tian-Szania, Terek Dawan, 13 200 st. n. p. m. (szczyt Montblanc, w Alpach ma 15 785 st. n. p. m. [1]).

Zawiadomiwszy władze kirgiskie o swym powrocie, oraz wskazawszy punkty noclegów, prosiłem o wystawienie jurt i przygotowanie opału, żeby nocami było czem palić i grzać się przy ogniu.

Wyjechaliśmy z Kaszgaru 16 listopada, a 24 listopada (7 grudnia) stanęliśmy w mieście Oszu, zrobiwszy w 9 dni przeszło 400 kilometrów. Najtrudniejszy nocleg wypadł pod przełęczą, gdyż było piekielnie zimno (termometru nie miałem i nie mogłem sprawdzić, ile było stopni mrozu). Wiedząc z doświadczenia, że na przełęczach o świcie bywa najczęściej cisza, wstaliśmy jeszcze nocą i powoli wznosiliśmy się wgórę. Tym razem pogoda nam sprzyjała. Osiągnęliśmy przełęcz przy zupełnej ciszy, a przy schodzeniu na dół wichura jest mniej straszna. Śnieg na samej przełęczy był zniesiony przez wichry, lecz schodzenie po skałach, pokrytych lodem lub śliskim śniegiem, było trudne i niebezpieczne. To też odbywaliśmy tę drogę wszyscy pieszo, z rezygnacją patrząc na mnóstwo kości, któremi pokryte były jej zbocza.

Nocowaliśmy na dole, w miejscowości Terekny-Auzy, wśród pierwszych rozłożystych topoli, winszując sobie szczęśliwie przebytej najtrudniejszej części podróży, gdyż dalszą drogę przez Gulczę i Osz do Margelanu odbyliśmy już w warunkach normalnych.

W Margelanie zasiadłem do uporządkowania i ugrupowania wyników swej wyprawy. Ująłem je w formę „Sprawozdania o po-

---

[1]) 4810 metrów n. p. m.

dróży do Kaszgaru i Południowej Kaszgarji", które zostało wydane nakładem władz miejscowych w 100 egzemplarzach i rozesłane do sztabów wojskowych i do towarzystw naukowych[1]). Zawierało ono szczegółowy opis podróży, oraz wszystkie wiadomości, które udało mi się zebrać o wojsku chińskiem, o administracji Kaszgarji, o handlu, stanie przemysłu i o bogactwach naturalnych tego kraju. Do „Sprawozdania" dołączyłem: mapę Kaszgarji, na której drogi na przestrzeni 900 kilometrów (od fortu rosyjskiego Irkesztamu do Chotanu) zaznaczyłem na podstawie swoich zdjęć topograficznych, oraz plany wszystkich fortec, jakie zwiedziłem. Nadto w ośmiu załącznikach opisałem bardzo szczegółowo drogi, które sam przebyłem, wszystkie przełęcze w pasmie gór Tian-Szan, zarówno jak i drogi handlowe do Indyj, Kaszmiru i Małego Tybetu, na podstawie wiadomości, dostarczonych mi przez kupców. Ros. Towarzystwo Geograficzne za sprawozdanie to przyznało mi medal srebrny, na wniosek zaś Wojskowo-Naukowego Komitetu Sztabu Głównego imiennym rozkazem cesarskim z. dn. 24 grudnia 1886 r. polecono wypłacić mi 1000 rubli tytułem nagrody „za pożyteczną pracę, dotyczącą Kaszgarji". Nagroda była ogromna, gdy się zważy, że wówczas, jako porucznik, pobierałem 34 rub. gaży miesięcznej!

---

[1]) Otczet o pojezdkie w Kaszgar, jużnuju Kaszgarju w 1885 godu, B. Grąbczewskago. [1886].

SPIS ROZDZIAŁÓW.

		Str.
Od wydawców		VII.
Rozdział I.	Wyjazd z Margelanu. Kultura Fergany. Arawan: węże święte i grota stalaktytowa. Osz. Tron Salamona. Uzdrowisko dla kobiet bezdzietnych	1
„ II.	Langar. Wspomnienia zdarzeń z r. 1876. Poselstwo do Badauleta. Napad watahy Mułła-Hudaj-Berdy. Poseł Kuropatkin ranny. Odsiecz. Losy władcy Kaszgarji, Jakób-Beka i jego potomków	6
„ III.	Gulcza. Z Gulczy do doliny wielkiego Ałaju. Karawany handlowe i karawansaraje. Droga przez przełęcze Terek i Tałtyk	13
„ IV.	Dolina Wielkiego Ałaju. Kirgizi. Ich zwyczaje i obyczaje. Bajga. Wyścigi	17
„ V.	Małżeństwo u Kirgizów. Tran akcje matrymonjalne. Wesele i przenosiny. Przyjęcie weselne. Psy kirgiskie. Świstaki na Ałaju	26
„ VI.	Droga do fortu Irkesztam. Irkesztam. Handel pograniczny. Kurtuazja chińska. Z Irkesztamu do Kaszgaru. Zajście w Uługczacie. Wady administracji chińskiej. Spotkanie z naczelnikiem okręgu kaszgarskiego	34
„ VII.	Karanglik. Droga wśród skał z piaskowców. Sztuczna irygacja w Kaszgarji i w Azji Srodkowej. Celny urząd chiński w Mingjule i zatarg z jego naczelnikiem. Żołnierze chińscy. Obojętność Chińczyków na śmierć. Egzekucja w Mandżurji	44
„ VIII.	Doliną Kyzył-Su do Kaszgaru. Delegacja handlowa. „Dastarchan". Topola „tugrak". Przyjazd do Kaszgaru. Pierwsze wrażenia miejskie. Ceremonjalna wizyta u Dao-Taja. Przyjęcie. Powrót do domu	51
„ IX.	Rewizyta Dao-Taja. Odwiedziny u głównego dowódcy wojsk. Obiad na 240 dań. Teatr chiński. Rewizyta Zung-Tuna. Wzajemne grzeczności i podarunki	65
„ X.	Miasto Kaszgar. Bramy. Dzielnice. Mieszkańcy. Handel. Życie uliczne. Małżeństwa i rozwody	73
„ XI.	Architektura w Kaszgarze. Mauzoleum Appak-Chodżi. Szkoły i meczety. Ceremonje religijne. Nauka w szkołach. Fundacje szkolne. Grobowiec Appak-Chodżi	79
„ XII.	Odjazd z Kaszgaru na przełęcz Sujak przez Tian-Szan. Pożegnalny „Dastarchan". Jedwabniki i ich hodowla. Wyrób nici jedwabnych. Droga na przełęcz Sujak. Nocleg w górach. Spotkanie z przedstawicielem Chin. Objazd dwunastu przełęczy Tian-Szanu. Wpływ wielkich wysokości górskich na organizm ludzki. Roślinność i zwierzostan na zboczach Tian-Szanu	87

Str.

Rozdział XIII. Przyjazd do Irkesztamu. Spór o granicę. Powrót do Kaszgaru. Ćwiczenia wojsk chińskich. Zajście na placu ćwiczeń. Śledztwo i sąd nad winowajcą. Starania o wyjazd do Kaszgarji południowej. Antagonizm władz cywilnych i wojskowych. Egzaminy. Pozwolenie Dao-Taja na wyjazd do Chotanu 102

„ XIV. Wyjazd do Chotanu. Kultura kraju. Brzoskwinie w Kaszgarji. Uprawa ryżu. Poczta chińska. Domy zajezdne (langary). Miasto Jangi-Gisar. Gawiedź uliczna. Handel zamienny. „Lekarz z musu". Konferencja z kupcami z Fergany i jej skutki 119

„ XV. Droga do Jarkendu Początek pustyni Gobi. Zajazdy. Roślinność. Wydobywanie soli. Miasto Jarkend. Karawanseraje i medrese. Podział kraju na okręgi. Administracja chińska. Łapownictwo. Tłumacze. Sądy. Tortury. Kara śmierci. Porównanie procedury karnej w Chinach z angielską w kolonjach 129

„ XVI. Podatki i cła w Kaszgarji. Rolnictwo. Hodowla. Sztuczna irygacja. Przemysł. Złoto i jego kopalnie. Nefryt. Odkrycie żył nefrytu, z którego wzniesiono grobowiec Tamerlana w Samarkandzie. Sto kilometrów bez wody. Antylopy 145

„ XVII. Handel Kaszgarji z Rosją, Indjami i Chinami. Wyprawa na przełęcz Kara-Korum. Pieniądze obiegowe w Kaszgarji. Stosunek władz chińskich do kupców. Sympatje Kaszgarji do Rosji i Anglji. Rywalizacja dwóch mocarstw w Azji Środkowej. Wyprawy angielskie. Moja bytność w Kandżucie 169

„ XVIII. Spotkanie z kap. Younghusband'em. Szczęśliwy strzał w obecności Safder-Ali-Chana. Przyczyny budowy fortu w Szachidułła-Chodża i jego losy. Powtórne spotkanie z Youngshusband'em w Jarkendzie. Zatarg rosyjsko-angielski w sprawie Pamirów. Dalsza droga do Chotanu. „Wole" i inne choroby miejscowe. Kargałyk 190

„ XIX. Plemiona górskie. Toglicy. Ich zwyczaje i obyczaje. Pustynia Takla-Makan. Dalsza droga do oazy Guma. Guma. Sekta Kalendar. Pijalma. Kum-Rawat. Gołębie święte. . 202

„ XX. Okrąg Chotanu i jego irygacja. Chotan. Osobliwości miasta. Droga powrotna do Kaszgaru. Oaza Sandżu. Wąwóz Kundalagar. Wiadomości o buncie wojskowym w Kaszgarze. Powody częstych buntów w Chinach. Chunhuzi i ich rządy. Chunhuz Tao-Lin a wice-król w Girinie . . 219

„ XXI. Powrót do Kaszgaru. Historja buntu kaszgarskiego. Pożegnalne wizyty u Zung-Tuna i Dao-Taja. Przez Gulczę Osz do Margelanu. Zakończenie. 235

SPIS PRAC GEN. BR. GRĄBCZEWSKIEGO.

Otczet o pojezdkie w Kaszgar, w jużnuju Kaszgarju w 1885 g... Nowyj Margełan (Fergana) [1886] 8-o, str. 2 nl. + III + 249 + V z tabl. i mapą.

Nagrodzone srebrnym medalem przez Ros. Tow. Geogr.

Zamietki po klimatołogji kapitana B. L. Grąbczewskago wo wremia putieszestwia w Kandżut i Raskem. Izw. Russk. Geogr. Obszczestwa XXV, 1889, str. 449—453.

Wiesti iz ekspedicii B. L. Grąbczewskago. Izw. Russk. Geogr. Obszczestwa XXVI, 1890, str. 85—107 i 325—332 z mapą.

Extrait d'une lettre de... Compte Rendu de la Soc. de Géogr. [Paris] 1890, Nr. 16—17, str. 566—568.

Dokład... o putieszestwii w 1889 — 1890 dlia izsledowanja gornych dolin Gindukusza, wostocznych skłonow Gimalaja i okrain Siewiero-Zapadnago Tibeta... (Petersburg 1891). 4-o, str. 20.

Sowremiennoje politiczeskoje położenie pamirskich chanstw i pogranicznoj linji z Kaszmirom. Wojenno-politiczeskij oczerk. Nowyj Margełan (Fergana) 1891, 8-o, str. 58.

Na słuczaj wojny s Indiej. Ozero Sziwa kak strategiczeskij punkt. Wojenno-politiczeskij oczerk. Nowyj Margełan (Fergana) 1891, 8-o, str. nl. 2+16.

Dokład o putieszestwii w 1889 i 1890 g. Izw. Russk. Geogr. Obszczestwa XXVII, 1891, str. 97—118, z mapą.

Podróż kapitana B. Grąbczewskiego w Środkowej Azji (z kartą). Roczniki Tow. Przyj. Nauk. Poznańskiego. T. VIII z. 1. 1891, str. 201—223.

Naszi intieresy w Pamirie. Wojenno-politiczeskij oczerk. (Petersburg 1891). 8-ka, str. 2 nl. + 29.

Predwaritielnyj otczet o pojezdkie po Sungari w Girin i Cicikar w 1897 g. [Błagowieszczeńsk 1897] mała 8-ka, str. 34.

Kitajskije zołotyje priiski na prawom beregu Amura (Odb. z Nr.Nr. 245—246. „Priamurskich wiedomostej"). [Błagowieszczeńsk 1897], 8-ka, str. 36 z mapą.

Podróż do Kaszgarji w Chinach zachodnich. „Kurjer Polski" 1923, Nr. 202 z 28.VII i następne.

Ze wspomnień o Japonji. „Kurjer Poranny" r. 1923, Nr. 270 z 3.X, 272 z 5.X i 273 z 6.X.

Wspomnienia myśliwskie z Azji Środkowej. „Przegląd Myśliwski" 1923, Nr. 6 i następne.

PRACE OPARTE NA MATERJAŁACH GEN. B. GRĄBCZEWSKIEGO.

Astronomiczeskije opredielenja kapitana B. L. Grąbczewskago wo wremia putieszestwia w Kandżut i Raskem, obrabotał K. W. Scharnhorst. Izw. Russk. Geogr. Obszczestwa XXV, 1889, str. 437—439.

Barometriczeskije opredielenija... obrabotał D. D. Gedeonow, tamże st. 440—448.

Zamietka o nefritie i żadeitie s wostocznago Pamira... I. W. Muszketowa, tamże 454—467.

Karta Kandżuta, Raskema i Sarykola, tamże 523—524 — z mapą A. Bolszewa.

Absoliutnyje wysoty opredielennyja B. L. Grąbczewskim wo wremia putieszestwia w Pamiry, w Raskem, Kaszgarju i sewero-zapadnyj Tibet w 1889 i 1890 g. Obrabotał Al. Tillo, tamże XXVI, 1890, str. 89—100.

ERRATA.

Str.	*wiersz*	*jest*	*powinno być:*
14	7 od dołu	arby w jednokonne	arby jednokonne
36	6 „ „	Guan-Siuj	Kuan - Siu
48	11 „ „	Dao-Taji	Dao-Taja
66	14 „ góry	Nau-lu-bo-czyn	Nan-lu-bo-czyn
69	11 „ „	Dziuń-dziunia	Dziań-dziunia
76	5 „ dołu	iskzi	iskki
111	5 „ „	wczora	wczoraj
119 i nast.		Jangi - Gisar	Jangi-Hisar
120	2 od dołu	Fudżeu	Fuczou
120	1 „ „	Tziandzinie	Tien-tsinie
120	1 „ „	Czyfu	Czifu
129 i nast.		Jarkiend	Jarkend
130	5 od góry	Zarawszana	Zarafszanu
130	5 „ „	Raskiem - Darji	Raskem - Darji
148	18 „ „	Chodżej	Chodżów
181	2 „ dołu	ednym	Jednym
184 i nast.		Dalgleisz	Dalgleish
193	9 od góry	namaru - i - szam	namazu - i - szam
199	19 „ „	„machan kiszlaków“	„machau kiszlaków“
211	13 „ „	3—6	36
221	19 „ „	Ucda	urda
227	2 „ dołu	Dziań - Dziań	Dziań - dziuń

Mapa Azji Środkowej do podróży gen. Br. Grąbczewskiego w latach 1885, 1888 i 1889—91.

Przebyte drogi oznaczone są czerwoną linją.

Podziałka 1 : 4,200.000

50 25 0 50 100 150 200 250 300 km.

BIBLIOTEKA NAUKOWA
WAP
41
30064
2.